Plan damy
Nowy bestseller
Sarah MacLean
Amber
Romans historyczny

Plan damy

Sarah MacLean

Przekład
Ewa Ratajczyk
Aleksandra Januszewska

AMBER

Korekta
Barbara Cywińska
Hanna Lachowska

Zdjęcia na okładce
© Olena Zaskochenko/Shutterstock

Projekt graficzny okładki
Renata Ulanowska

Tytuł oryginału
Brazen and the Beast

Copyright © 2019 by Sarah Trabucchi
Published by arrangement with HarperCollins Publishers.
All rights reserved.
Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiejkolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2019 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-7097-5

Warszawa 2019. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

Dla V. Kocham Cię najbardziej.

1

Wrzesień 1837
Mayfair

Lady Henrietta Sedley lubiła myśleć, że nauczyła się paru rzeczy w ciągu dwudziestu ośmiu lat i trzystu sześćdziesięciu czterech dni.

Nauczyła się, na przykład, że jeżeli damie nie uchodzi nosić spodni (przykra rzeczywistość dla córki hrabiego, nawet takiej, która rozpoczynała życie bez tytułu czy fortuny), to powinna kategorycznie zadbać o to, żeby jej spódnice miały kieszenie. Kobieta nigdy nie wiedziała, kiedy przyda jej się kawałek sznurka albo nóż, żeby go przeciąć.

Nauczyła się też, że każda przyzwoita ucieczka z jej domu w Mayfair wymagała osłony nocy i dorożki powożonej przez sprzymierzeńca. Woźnice dużo gadali o dotrzymywaniu tajemnic, ale ostatecznie byli zakładnikami tych, którzy wypłacali im pensję. Ważnym dodatkiem do tej osobliwej lekcji było to, że najlepszy sprzymierzeniec to często najlepszy przyjaciel.

I może pierwszą z listy rzeczy, jakich nauczyła się przez całe życie, było to, jak zawiązać płaski węzeł. Umiała to robić, odkąd pamiętała. Ktoś mógłby pomyśleć, że z tym zasobem mrocznych i niepospolitych umiejętności Henrietta Sedley doskonale będzie wiedziała, co robić, gdyby zaistniało prawdopodobieństwo, że przypadkiem odkryje w swoim powozie związanego i nieprzytomnego mężczyznę.

Myliłby się.

Henrietta Sedley nigdy nie uznałaby takiego scenariusza za prawdopodobny. Owszem, może i czuła się swobodniej w londyńskim porcie niż na londyńskich salach balowych, ale żadne z imponującej kolekcji jej życiowych doświadczeń nie miało nic wspólnego z przestępstwem.

A jednak była tu z pełnymi kieszeniami, najbliższą przyjaciółką u boku; stała w egipskich ciemnościach nocy poprzedzającej jej dwudzieste dziewiąte urodziny, zamierzając wymknąć się z Mayfair na misternie zaplanowany wieczór i…

Lady Eleanora Madewell gwizdnęła Hattie do ucha cicho i nie jak na damę przystało. Norę, córkę księcia i irlandzkiej aktorki, którą pokochał tak bardzo, że uczynił z niej księżnę, cechowała pewna zuchwałość dozwolona u dam z niepodważalnymi tytułami i górą pieniędzy.

– W dwukółce jest jakiś jegomość, Hattie.

Hattie nie odwróciła wzroku od mężczyzny, o którym była mowa.

– Tak, widzę.

– Nie było nikogo w dwukółce, kiedy wiązałyśmy konie.

– Nie, nie było. – Powóz zostawiły przywiązany i z całą pewnością pusty na ciemnym tylnym podjeździe domu Sedleyów niecałe trzy kwadranse wcześniej, zanim weszły na górę, żeby suknie do zaprzęgania powozu zamienić na stroje bardziej stosowne do ich wieczornych planów.

W pewnej chwili między gorsetem a kredką do oczu ktoś podrzucił jej wielce nieprzyjemny pakunek.

– Chyba zauważyłybyśmy w powozie mężczyznę – powiedziała Nora.

– Wydaje mi się, że tak – padła rozkojarzona odpowiedź Hattie. – Wyjątkowo niestosowny moment.

Nora zganiła ją spojrzeniem.

– A jest stosowny moment na to, żeby znaleźć w swoim powozie związanego i nieprzytomnego mężczyznę?

Hattie domyślała się, że nie.

– Mógł wybrać inny wieczór. To okropny prezent urodzinowy.

Mrużąc oczy, zajrzała do ciemnego wnętrza powozu.

– Myślisz, że nie żyje?

Proszę, niech tylko nie będzie martwy.

Cisza. Po chwili ostrożnie ciągnęła:

– Czy w powozach przetrzymuje się nieżywych mężczyzn? – Nora pochyliła się, a jej płaszcz woźnicy opiął jej ramiona, i trąciła wspomnianego nieżywego mężczyznę. Nie poruszył się.

– Nie rusza się – dodała ze zbytecznym wzruszeniem ramion. – Może być martwy.

Hattie westchnęła, zsunęła rękawiczkę, pochyliła się do powozu i położyła dwa palce na szyi mężczyzny.

– Jestem pewna, że nie jest martwy.

– Co ty wyrabiasz? – wyszeptała nerwowo Nora. – Jeżeli nie jest martwy, to go obudzisz!

– To nie byłaby najgorsza rzecz na świecie – zauważyła Hattie. – Wtedy mogłybyśmy go poprosić, żeby z łaski swojej opuścił nasz powóz, i mogłybyśmy odjechać.

– Och, tak. Ten brutal wygląda akurat na takiego mężczyznę, który natychmiast zrobi właśnie to, zamiast się zemścić. Na pewno zdejmie czapkę i będzie nam życzył miłego wieczoru.

– Nie ma czapki – powiedziała Hattie, bo nie była w stanie obalić żadnego z pozostałych osądów na temat tajemniczego, prawdopodobnie nieżywego mężczyzny. Był bardzo potężny i bardzo krzepki, i nawet w ciemności widziała, że nie był to mężczyzna, z którym można byłoby paradować po sali balowej.

To był mężczyzna, który napadał na sale balowe.

– Co czujesz? – ponagliła Nora.

– Brak pulsu. – Choć nie była do końca pewna, gdzie należy go szukać. – Ale jest…

Ciepły.

Nieżywi mężczyźni nie byli ciepli, a ten był bardzo ciepły.

Jak ogień w zimie. Takie ciepło uświadamiało, jak bardzo sama jest zimna.

Ignorując tę głupią myśl, Hatie przesunęła palce po kolumnie jego szyi do miejsca, w którym znikała pod kołnierzykiem koszuli, gdzie grań jego ramion i zbocze… całej jego reszty… spotykały się w fascynującym zagłębieniu.

– A teraz?

– Cisza. – Hattie wstrzymała oddech. – Nic. – Pokręciła głową.

– Jezu. – Nie była to modlitwa.

Hattie nie mogła się bardziej zgadzać. Aż raptem…

Jest. Leciutkie drganie. Przycisnęła mocniej palce.

Drganie stało się stabilne. Powolne. Pewne.

– Czuję to – powiedziała. – On żyje – powtórzyła do siebie. – On żyje. – Odetchnęła głęboko z ulgą. – Nie jest nieżywy.

– Doskonale. Ale to nie zmienia faktu, że leży nieprzytomny w powozie, a ty masz gdzieś być. – Nora zamilkła. – Powinnyśmy go zostawić i wziąć kariolkę.

Hattie planowała tę szczególną wyprawę w ten szczególny wieczór przez całe trzy miesiące. Ten wieczór miał rozpocząć dwudziesty dziewiąty rok jej życia. Rok, w którym jej życie zacznie należeć do niej samej. Rok, w którym ona zacznie należeć do siebie samej. I miała bardzo konkretny plan w bardzo konkretnym miejscu o bardzo konkretnej godzinie, z powodu którego przywdziała bardzo konkretną suknię. A jednak, gdy przyglądała się mężczyźnie w powozie, te konkrety zdawały jej się wcale nie tak ważne.

Ważne wydawało jej się, żeby zobaczyć jego twarz.

Przytrzymując się klamki przy krawędzi drzwi, Hattie wyciągnęła latarkę z góry w tylnej części powozu, a potem wynurzyła się i spojrzała na Norę, której wzrok pobiegł natychmiast do nieoświetlonego wnętrza.

Nora przechyliła głowę.

– Hattie. Zostaw go. Weźmiemy kariolkę.

– Tylko zerknę – odparła Hattie.

Nora przestała przechylać głowę, a zaczęła nią powoli kręcić.

– Jeżeli zerkniesz, pożałujesz.

– Muszę zerknąć – upierała się Hattie, szukając rozsądnego powodu, nie zważając na dziwny fakt, że nie była w stanie powiedzieć przyjaciółce prawdy. – Muszę go rozwiązać.

– Niekoniecznie – zauważyła Nora. – Ktoś uznał, że najlepiej zostawić go związanego, więc jakie mamy prawo się z tym nie zgodzić?

Hattie już sięgała do kieszeni drzwi powozu po krzemień.

– Co zamierzasz?

Miała mnóstwo czasu na zamiary.

– Tylko zerknąć – powtórzyła, gdy olej lampy złapał ogień. Zamknęła drzwi i odwróciła się twarzą do powozu, podnosząc wysoko lampkę, która rzuciła cudownie złoty blask na… – O, mój…

Nora stłumiła śmiech.

– Zdaje się, że to wcale nie taki zły prezent.

Mężczyzna miał najpiękniejszą twarz, jaką Hattie w życiu widziała. Najpiękniejszą twarz, jaką ktokolwiek kiedykolwiek widział. Pochyliła się bardziej i przyglądała się jego ciepłej brązowej skórze, wydatnym kościom policzkowych, długiemu prostemu nosowi, ciemnym kreskom brwi i nieprawdopodobnie długim rzęsom, które spoczywały grzesznie na jego policzkach.

– Co za mężczyzna… – urwała. Pokręciła głową. Co za mężczyzna ma taki wygląd? Co za mężczyzna ma taki wygląd i jakimś cudem znalazł się

w powozie Hattie Sedley, kobiety, która była zupełnie nienawykła do przebywania w pobliżu mężczyzn o takim wyglądzie.

– Ośmieszasz się – powiedziała Nora. – Gapisz się z rozdziawioną buzią.

Hattie zamknęła usta, ale nie przestała się gapić.

– Hattie. Musimy jechać. – Przerwa. I raptem: – Chyba że zmieniłaś zdanie?

To swobodne pytanie sprowadziło Hattie na ziemię. Do jej planu. Pokręciła głową. Opuściła lampkę.

– Nie.

Nora westchnęła, położyła sobie dłonie na biodrach i wpatrywała się w powóz za Hattie.

– Więc ty go chwycisz od dołu, a ja od góry? – Spojrzała na spowitą ciemnością niszę poza nią. – Przytomność może odzyskiwać tam.

Hattie łomotało serce.

– Nie możemy go tam zostawić.

– Nie możemy?

– Nie.

Nora zmierzyła ją wzrokiem.

– Hattie. Nie możemy go zabrać ze sobą tylko dlatego, że wygląda jak rzymski posąg.

Hattie zarumieniła się w ciemności.

– Nie zauważyłam.

– Odjęło ci mowę.

Odkaszlnęła.

– Nie możemy go zabrać, bo zostawił go tu Augie.

Wargi Nory spłaszczyły się do idealnie prostej linii.

– Tego nie wiesz.

– Wiem – odpowiedziała Hattie, trzymając lampkę przy sznurze na nadgarstkach mężczyzny i przesuwając ją w dół do miejsca, gdzie był związany w kostkach. – Bo August Sedley nie ma pojęcia, jak zawiązać

płaski węzeł, dlatego obawiam się, że jeżeli zostawimy tu tego mężczyznę, zdoła się wyswobodzić i ruszy w pościg za moim nic niewartym bratem.

To raz, a poza tym, jeżeli nieznajomy się nie wyswobodzi, kto wie, co Augie mu zrobi. Jej brat był nie tylko nic niewart, ale był też kapuścianym łbem – połączenie to stale wymagało interwencji Hattie. Co, przypadkiem, stało się istotnym powodem jej decyzji, żeby dwudziesty dziewiąty rok życia należał tylko do niej. I co z tego – jej piekielny brat znów wszystko rujnował.

– Ogłuszony czy nie… ten mężczyzna nie wygląda na takiego, który przegrywa w bójce – skwitowała Nora, nieświadoma myśli Hattie.

Uwadze Hattie nie umknęło to niedopowiedzenie. Westchnęła, sięgnęła do środka, powiesiła rozjarzoną lampkę na haku i korzystając z okazji, rzuciła długie, przeciągłe spojrzenie na mężczyznę w jej powozie.

Hattie Sedley w ciągu swoich dwudziestu ośmiu lat życia i trzystu sześćdziesięciu czterech dni nauczyła się czegoś jeszcze: jeżeli kobieta ma problem, najlepiej, żeby rozwiązała go sama. Podciągnęła się i wsiadła do powozu, przestępując ostrożnie nad mężczyzną na podłodze, a potem spojrzała na Norę z szeroko otwartymi oczami w dole na podjeździe.

– No, wsiadaj. Pozbędziemy się go po drodze.

2

Ostatnią rzeczą, jaką pamiętał, był cios w głowę.

Spodziewał się zasadzki. To dlatego jechał masywnym stalowym powozem zaprzęgniętym w sześć dorodnych koni, wioząc do Mayfair alkohol, karty do gry i tytoń. Przejechał akurat przez Oxford Street, gdy usłyszał strzał, a po nim zbolały krzyk jednego z woźniców.

Zatrzymał się, żeby sprawdzić, co z jego ludźmi. Żeby ich chronić. Żeby ukarać tych, którzy im grozili.

Na ziemi leżało ciało. W kałuży krwi na ulicy. Zdążył wyprawić drugiego woźnicę po pomoc, gdy usłyszał kroki za plecami. Odwrócił się z nożem w dłoni. Pchnął. Usłyszał krzyk w ciemności, gdy trafił.

Potem cios w głowę.

A potem… nic.

Uporczywe stukanie w jego policzek przywróciło mu przytomność, zbyt słabą, żeby odczuwać ból, a jednak dość silną, by czuć irytację.

Nie otworzył oczu – lata praktyki pozwoliły mu udawać, że śpi, gdy dochodził do siebie. Nogi miał związane. Ręce też, za plecami. Więzy naciągały mięśnie jego klatki piersiowej na tyle mocno, że zorientował się, czego mu brakuje – noży, ośmiu stalowych ostrzy osadzonych w onyksie. Skradzione wraz z pasem, na którym były zamocowane do jego piersi. Powstrzymał impuls i nie naprężył się. Nie wpadł we wściekłość.

Bo Saviour Whittington, znany na najmroczniejszych ulicach Londynu jako Diabeł, nie wpadał we wściekłość; on karał. Szybko, doszczętnie i bez

emocji.

Ten, kto odebrał życie jednemu z jego ludzi – człowiekowi, który był pod jego ochroną – nigdy nie zazna spokoju.

Ale najpierw wolność.

Leżał na podłodze jadącego powozu. Luksusowego, o ile miękka poduszka na jego policzku mogła być jakąś wskazówką, i w bogatej dzielnicy, sądząc po miarowym turkocie kół na bruku.

Która godzina?

Zastanawiał się nad swoim następnym ruchem – głowił się, jak obezwładnić porywacza mimo więzów. Wyobrażał sobie, że łamie mu nos uderzeniem własnej głowy. Wykorzystuje związane nogi, żeby powalić mężczyznę.

Stukanie w policzek zaczęło się na nowo. A potem szept.

– Sir.

Oczy Whita się otworzyły.

Porywacz nie był mężczyzną.

Strumień złotego światła w powozie płatał figle – zdawało mu się, że płynie nie od lampki dyndającej lekko w rogu, ale od tej kobiety.

Siedząca nad nim na ławce kobieta nie wyglądała absolutnie na wroga, który powaliłby mężczyznę i związał go w powozie. Wyglądała raczej, jakby jechała na bal. Idealnie ubrana, idealnie uczesana, idealnie umalowana – z gładką skórą, kreską na powiekach, pełnymi wargami muśniętymi pomadką tylko tyle, żeby przykuć uwagę każdego mężczyzny. A to było, zanim spojrzał na suknię – niebieską w kolorze letniego nieba, idealnie dopasowaną do jej pełnych kształtów.

Ale przecież nie powinien wcale zwracać na to uwagi, biorąc pod uwagę, że leżał związany w jej powozie. Nie powinien zwracać uwagi na jej krągłości, łagodne i zapraszające w talii, na linii jej gorsetu. Nie powinien zwracać uwagi na blask jej gładkiej złocistej skóry, na wypukłości jej

ramienia w świetle lampki. Nie powinien zwracać uwagi na jej przyjemną łagodną twarz ani na jej pełne wargi podkreślone czerwoną pomadką.

Nie był tu po to, żeby ją podziwiać.

Spojrzał na nią zmrużonymi oczami, a jej oczy – czy to możliwe, że były fiołkowe? Czy człowiek może mieć fiołkowe oczy? – otworzyły się szeroko.

– Cóż. Jeżeli to spojrzenie jest odbiciem pańskiego temperamentu, nic dziwnego, że jest pan związany. – Przechyliła głowę. – Kto pana związał?

Nie odpowiedział. Nie wierzył, że ona nie zna odpowiedzi.

– Dlaczego jest pan związany?

Znów cisza.

Jej wargi ułożyły się w płaską, prostą linię i wymruczała coś, co zabrzmiało jak:

– Nic z tego. – A potem, głośniej, pewniej: – Rzecz w tym, że jest pan dla mnie bardzo kłopotliwy, bo ten powóz jest mi dziś potrzebny.

– Kłopotliwy. – Nie miał zamiaru odpowiadać, ale to słowo zaskoczyło ich oboje.

Kiwnęła głową.

– W rzeczy samej. To Rok Hattie.

– Co takiego?

Machnęła dłonią, jakby opędzała się od tego pytania.

Jakby nie było ważne. Tyle że Whit się domyślał, że jest ważne.

– Mam urodziny – ciągnęła. – Mam plany. Plany, które nie uwzględniają… cokolwiek to jest. – Cisza przeciągała się. – Większość ludzi na ogół w tym miejscu złożyłaby mi najlepsze życzenia.

Whit nie dał się złapać na przynętę.

Uniosła brwi.

– No proszę, a ja byłam gotowa panu pomóc.

– Nie potrzebuję pani pomocy.

– Jest pan dość niegrzeczny, muszę stwierdzić.

Zwalczył nieproszony odruch, choć miał ochotę się na nią gapić.

– Zostałem ogłuszony i związany w obcym powozie.

– Tak, ale musi pan przyznać, że w miłym towarzystwie, prawda?

Uśmiechnęła się, a w jej prawym policzku pojawił się dołeczek, którego nie mógł zignorować.

Kiedy nie odpowiedział, odezwała się.

– W porządku. Ale przykro mi, że znalazł się pan w potrzasku, sir. – Przerwała. – Widzi pan, jaka potrafię być dowcipna? W potrzasku!

Siłował się ze sznurami na nadgarstkach. Mocne, ale już się poddawały. Wywinie się.

– Widzę, jaka potrafi być pani nieroztropna.

– Niektórzy uważają, że jestem urocza.

– Ja niczego nie uważam za urocze – odparł, nadal manipulując przy sznurach i zastanawiając się, co go podkusiło, żeby dyskutować z tą gadułą.

– Szkoda. – Zabrzmiało to, jakby rzeczywiście tak myślała, ale zanim zdążył pomyśleć, co odpowiedzieć, dodała: – Nieważne. Nawet jeżeli pan tego nie przyzna, potrzebuje pan pomocy, a ponieważ jest pan związany, a ja jestem pańską towarzyszką podróży, obawiam się, że jest pan na mnie skazany. – Ukucnęła przy jego stopach, jakby było to czymś zupełnie zwyczajnym, i rozwiązała sznur delikatnym, zwinnym ruchem.

– Ma pan szczęście, że jestem obeznana w węzłach.

Mruknął z uznaniem i wyciągnął nogi w ograniczonej przestrzeni, gdy go uwolniła.

– I że ma pani inne plany na swoje urodziny.

Zawahała się, a jej policzki zaróżowiły się na te słowa.

– Tak.

– Co to za plany? – Nie wiedział, dlaczego drążył tę kwestię.

Jej niedorzeczne oczy, w niemożliwym kolorze i nieproporcjonalnie wielkie w stosunku do twarzy, zamrugały.

– Plany, które z pewnością nie uwzględniają sprzątania bałaganu, w jaki się pan wpakował.

– Kiedy następnym razem zostanę pobity do nieprzytomności, będę robił wszystko, aby nie stanąć pani na drodze, droga pani.

Uśmiechnęła się, a dołeczek w policzku mignął jak poufały żart.

– Trzymam pana za słowo. – Ale zanim zdążył odpowiedzieć, dorzuciła: – Choć przypuszczam, że taka sytuacja się już nie powtórzy. Raczej nie obracamy się w tych samych kręgach.

– Obracaliśmy się w nich dzisiaj.

Jej uśmiech stał się leniwy, swobodny i Whit nie mógł się powstrzymać, żeby nie zawiesić na nim wzroku. Powóz zaczął zwalniać, a ona wyjrzała za zasłonkę.

– Dojeżdżamy na miejsce – odezwała się cicho. – Musi pan wysiąść, sir. Z pewnością zgodzi się pan, że żadnemu z nas nie zależy na tym, żeby został pan odkryty.

– Moje dłonie – powiedział, choć sznur poluźnił się bardziej.

Pokręciła głową.

– Nie mogę ryzykować, że się pan zemści.

Spojrzał jej w oczy bez wahania.

– Moja zemsta nie jest kwestią ryzyka. Jest pewna.

– Nie miałam co do tego wątpliwości. Ale nie mogę ryzykować, że zemści się pan na mnie. Nie dzisiaj. – Sięgnęła poza niego do klamki, mówiąc mu do ucha, ponad stukotem kół i końskich kopyt na ulicy. – Jak powiedziałam…

– Ma pani jakieś plany – dokończył za nią, odwracając się do niej, niezdolny oprzeć się słodkiej pokusie jej zapachu, jak ciasta migdałowego.

Utkwiła wzrok w jego oczach.

– Tak.

– Proszę wyjawić mi ten plan, a panią uwolnię. – Odnajdzie ją.

Znów ten uśmiech.

– Jest pan bardzo arogancki, sir. Muszę panu przypomnieć, że to ja pana uwalniam.

– Proszę mi powiedzieć. – Rozkaz był szorstki.

Dostrzegł w niej zmianę. Obserwował, jak wahanie zamienia się w ciekawość. W śmiałość.

– Może raczej powinnam panu pokazać – wyszeptała.

Boże, tak.

Pocałowała go, przyciskając wargi do jego warg, miękkie i słodkie, i niedoświadczone, i smakujące jak wino, cholernie kuszące.

Silił się podwójnie, żeby uwolnić dłonie. Żeby pokazać tej nieznajomej, ciekawej kobiecie, jak bardzo chce poznać jej plany.

Uwolniła go wcześniej. Poczuł szarpnięcie przy nadgarstkach i sznur natychmiast się rozluźnił, zanim jej wargi oderwały się od jego warg. Otworzył oczy i dostrzegł błysk małego scyzoryka w jej dłoni. Zmieniła zdanie. Uwolniła go.

Żeby ją zniewolił. Żeby podjął pocałunek.

Jak jednak uprzedziła, miała inne plany.

Nim zdążył jej dotknąć, powóz zwolnił na zakręcie, a ona otworzyła drzwi za jego plecami.

– Do widzenia.

Instynkt kazał Whitowi skulić się przy upadku, schować brodę, chronić głowę i zacząć się toczyć, choć przeszyła go jedna myśl.

Ona ucieka.

Zatrzymał się przy ścianie pobliskiej tawerny, rozganiając grupę stojących przed nią mężczyzn.

– Oj! – krzyknął jeden, podchodząc do niego. – W porządku, brachu?

Whit podniósł się, otrzepał ręce, wygiął ramiona do tyłu, pokiwał się w przód i w tył, żeby sprawdzić kości i mięśnie – upewnić się, że wszystko jest w porządku, po czym wyjął z kieszeni dwa zegarki i spojrzał na ich tarcze. Wpół do dziewiątej.

– Rany! Jeszcze nie widziałem, żeby ktoś się tak szybko pozbierał po takim czymś – powiedział mężczyzna, wyciągając rękę, żeby poklepać Whita po ramieniu. Jednak dłoń zamarła, zanim go dotknęła, gdy wzrok mężczyzny padł na twarz Whita i jego oczy w jednej chwili otworzyły się szeroko, gdy go rozpoznał. Ciepło zamieniło się w strach, a mężczyzna cofnął się o krok.

– Bestia.

Whit uniósł głowę na dźwięk przydomku i coś sobie uzmysłowił. Skoro ten mężczyzna go znał – wiedział, jak się nazywa…

Odwrócił się i zmrużonymi oczami wpatrywał się w zakręt na ciemnej wybrukowanej ulicy, za którym zniknął powóz wraz z pasażerką, w głębi labiryntu splątanych ulic Covent Garden.

Zadudniła w nim satysfakcja.

Jednak nie ucieknie.

3

*W*ypchnęłaś go? – Nora była wyraźnie wstrząśnięta, gdy zajrzała do pustego powozu po tym, jak Hattie wysiadła. – Zdawało mi się, że nie chciałyśmy jego śmierci?

Hattie musnęła palcami jedwabną maskę, którą przywdziała, zanim wysiadła z powozu.

– Nie zginął.

Wychylała się przez drzwi powozu na tyle długo, żeby się upewnić – na tyle długo, żeby zachwycić się tym, jak się skulił, a potem zerwał na równe nogi, jakby często wyrzucano go z powozów.

Podejrzewała, że skoro zastała go związanego w swoim powozie akurat tego wieczoru, całkiem możliwe, że był wyrzucany z pojazdów regularnie. Niemniej jednak patrzyła na niego, wstrzymując oddech, dopóki nie stanął, cały i zdrowy.

– Więc oprzytomniał? – spytała Nora.

Hattie kiwnęła głową, a jej palce powędrowały do warg, na których trwało jeszcze echo jego pewnego, gładkiego pocałunku, wraz ze smakiem czegoś… cytryny?

– I?

Spojrzała na przyjaciółkę.

– Co: i?

Nora przewróciła oczami.

– Kto to jest?

– Nie powiedział.

Cisza.

– Domyślam się, że nie powiedział.

Nie. Choć dałabym wiele, żeby się dowiedzieć.

– Powinnaś spytać Augiego.

Wzrok Hattie poszybował w stronę przyjaciółki. Czyżby wypowiedziała to na głos? Nora się uśmiechnęła.

– Zapomniałaś, że znam twoje myśli jak własne?

Były przyjaciółkami przez całe życie – więcej niż jedno, jak mawiała matka Nory, przyglądając się, jak się bawią pod stołem w ogrodzie za domem, kiedy zwierzały się sobie ze swoich tajemnic. Elisabeth Madewell, księżna Holymoor, i matka Hattie funkcjonowały razem na obrzeżach arystokratycznych kręgów. Żadna z nich nie została ciepło przyjęta, gdy irlandzką aktorkę i sprzedawczynię z Bristolu los uczynił księżną i hrabiną. Przyjaźń była im pisana na długo przed tym, zanim ojciec Hattie otrzymał dożywotni tytuł – te dwie nierozłączne istoty wszystko robiły razem, włącznie z urodzeniem córek, Nory i Hattie, które przyszły na świat w odstępie paru tygodni, wychowywały się ze sobą jak siostry i nie miały okazji nie pokochać się jak siostry.

– Powiem dwie rzeczy – oznajmiła Nora.

– Tylko dwie?

– No, dobrze. Na razie dwie. Zachowuję prawo, żeby powiedzieć więcej – poprawiła. – Po pierwsze, lepiej miej nadzieję, że się nie mylisz i że przypadkiem nie zamordowałyśmy tego mężczyzny.

– Nie zamordowałyśmy go – powiedziała Hattie.

– A po drugie… – ciągnęła Nora, nie przerywając – następnym razem, kiedy powiem, żebyśmy zostawiły nieprzytomnego mężczyznę w powozie i wzięły moją dwukółkę, weźmiemy cholerną dwukółkę.

– Gdybyśmy wzięły dwukółkę, mogłybyśmy zginąć – obruszyła się Hattie. – Powozisz o wiele za szybko.

– Przez cały czas nad wszystkim panuję.

Gdy ich matki zmarły w odstępie kilku miesięcy – połączyło je nawet to – Nora szukała pociechy, której nie mogła znaleźć u ojca i starszego brata, mężczyzn zbyt arystokratycznych, żeby pozwolić sobie na luksus smutku. Ale Sedleyowie, skromnie urodzeni, obecnie arystokraci wcale za takich nieuznawani, nie mieli z tym problemu. Zrobili dla Nory miejsce w swoim domu i przy swoim stole i wkrótce Nora częściej nocowała u Sedleyów niż we własnym domu, czego jej ojciec i brat zdawali się nie zauważać – podobnie jak zdawali się nie zauważać, że zaczęła wydawać swoje pieniądze na powozy i dwukółki, które rywalizowały z pojazdami najbardziej próżnych członków socjety.

Kobieta kierująca własnym powozem, kieruje też swoim przeznaczeniem, lubiła mawiać Nora.

Hattie nie była tego taka pewna, ale nie przeczyła, że dobrze mieć przyjaciółkę z wyjątkową umiejętnością powożenia, zwłaszcza nocami, kiedy nie miało się ochoty, żeby woźnice gadali – a każdy woźnica by gadał, gdyby zawoził dwie niezamężne damy z arystokratycznych rodzin pod numer 72 przy Shelton Street. Nie miało znaczenia to, że budynek pod 72. numerem przy Shelton Street nie wyglądał na pierwszy rzut oka na burdel. Czy w ogóle nazywał się burdelem, skoro był dla kobiet?

Hattie przypuszczała, że to też nie ma znaczenia, ale reprezentacyjny budynek zupełnie nie kojarzył się z tym, jak według wyobrażeń Hattie wyglądały jego odpowiedniki służące mężczyznom. Rzeczywiście był przytulny i przyjemny, lśniący jak bekon, z oknami wypełnionymi złocistym światłem, donicami eksplodującymi jesiennymi kolorami zwisającymi po obu stronach drzwi i na górze w korytkach na każdym parapecie.

Nie umknęło uwadze Hattie, że okna były zasłonięte, co zdawało się rozsądne, zważywszy, że w środku odbywały się z pewnością rzeczy bardzo prywatnej natury.

Uniosła dłoń i jeszcze raz sprawdziła mocowanie maski.

– Gdybyśmy wzięły dwukółkę, zauważono by nas.

– Chyba masz rację. – Nora wzruszyła jednym ramieniem i posłała Hattie uśmiech. – Cóż, mamy go z głowy.

Hattie zachichotała.

– Nie powinnam była go wyrzucać.

– Nie będziemy wracać, żeby go przeprosić – powiedziała Nora, machając ręką w stronę drzwi. – I co? Wchodzisz?

Hattie wzięła głęboki oddech. Nastała ta chwila. Odwróciła się do przyjaciółki.

– Czy to szaleństwo?

– Absolutnie – odpowiedziała Nora.

– Noro!

– To szaleństwo w jak najlepszym sensie. Masz plany, Hattie. I w ten sposób je zrealizujesz. Jak już będzie po wszystkim, nie będzie odwrotu. I szczerze mówiąc, zasługujesz na to.

Słyszała szept wątpliwości, ledwie słyszalny, ale obecny.

– Ty też masz plany, ale nie zrobiłaś niczego takiego.

Cisza, i Nora wzruszyła ramionami.

– Nie musiałam. – Wszechświat obdarzył Norę bogactwem i uprzywilejowaną pozycją, i rodziną, która najwyraźniej nie miała nic przeciwko temu, że wykorzystywała obie te rzeczy, żeby czerpać z życia garściami.

Hattie nie była taką szczęściarą. Nie zaliczała się do kobiet, po których się spodziewano, że będzie czerpała z życia garściami. Ale po dzisiejszej nocy miała zamiar pokazać światu, że zamierzała właśnie to robić.

Ale najpierw musiała się uporać z jedną rzeczą, która ją powstrzymywała.

I dlatego się tu znalazła.

Odwróciła się do Nory.

– Jesteś pewna, że to…

Przerwał im nadjeżdżający powóz, stukot kopyt i turkot kół dudniły jej w uszach, kiedy się zatrzymał. Wysiadły z niego trzy roześmiane kobiety w pięknych jedwabnych sukniach lśniących jak klejnoty i w maskach niemal identycznych jak maska Hattie. Miały długie szyje, wąskie talie i szerokie uśmiechy i było widać, że są piękne.

Hattie nie była piękna.

Cofnęła się o krok, wciskając się w bok powozu.

– Cóż, teraz mam pewność, że to właściwe miejsce – powiedziała oschle Nora.

Hattie spojrzała na przyjaciółkę.

– Ale dlaczego one miałyby…

– A dlaczego ty?

– Ale one mogłyby mieć…

Kogo tylko by zechciały.

Nora zmierzyła ją wzrokiem, marszcząc ciemne brwi.

– Ty też byś mogła.

Nie była to prawda, oczywiście. Mężczyźni nie uganiali się za Hattie.

Och, lubili ją. W końcu pasjonowały ją statki, miała głowę do interesów i była dość bystra, żeby zabawiać ich rozmową w czasie kolacji czy balu. Ale kobietę, która wyglądała i mówiła tak jak ona, mężczyźni raczej klepali po ramieniu, niż porywali w namiętne objęcia. Stara dobra Hattie – nawet w czasie swojego pierwszego sezonu, choć wcale nie była stara.

Ale nie powiedziała tego wszystkiego i ciszę przerwała Nora.

– Może one też szukają czegoś… swobodnego. – Przyglądały się, jak kobiety pukają do drzwi pod Shelton Street 72, małe okienko otworzyło się i zamknęło, zanim drzwi powtórzyły ten rytuał, i kobiety znikły w środku, zostawiając ulicę na nowo w ciszy. – Może one też chcą kierować własnym losem.

Nad ich głowami zaświergotał słowik, a niemal w tej samej chwili odpowiedział mu drugi, z oddali.

Rok Hattie.

Kiwnęła głową.

– W takim razie w porządku.

Jej przyjaciółka się uśmiechnęła.

– W takim razie w porządku.

– Jesteś pewna, że nie chcesz wejść?

– A co miałabym tam robić? – spytała Nora ze śmiechem. – Nie ma tam nic dla mnie. Pomyślałam, że się przejadę, zobaczę, czy uda mi się pobić mój czas w okrążeniu Hyde Parku.

– Dwie godziny?

– Będę tutaj. – Nora przekrzywiła czapkę woźnicy i posłała Hattie uśmiech. – Miłej zabawy, milady.

Taki był właśnie plan Hattie, prawda? Bawić się w pierwszą noc reszty swojego życia, kiedy zamknie drzwi do przeszłości i weźmie przyszłość w swoje ręce. Kiwnęła głową do przyjaciółki i podeszła do budynku, nie odrywając wzroku od jego wielkich stalowych drzwi i maleńkiej szpary, która się odsłoniła, jak tylko Hattie zapukała, ukazując parę okolonych ciemną kredką, świdrujących oczu.

– Hasło?

– Regina.

Okienko się zamknęło. Drzwi się otworzyły. A Hattie weszła do środka.

Jej oczy potrzebowały chwili, żeby oswoić się z ciemnym wnętrzem budynku, które na tyle kontrastowało z jasno oświetlonym wejściem, że odruchowo sięgnęła do maski.

– Jeżeli pani ją zdejmie, nie będzie mogła pani zostać – padło ostrzeżenie z ust kobiety, która otworzyła jej drzwi, wysokiej, smukłej i pięknej, z ciemnymi włosami i jeszcze ciemniejszymi oczami, i najbardziej porcelanową cerą, jaką Hattie w życiu widziała.

Opuściła dłoń.

– Ja…

Kobieta się uśmiechnęła.

– Wiemy, kim pani jest, droga damo. Nazwiska nie są potrzebne. Pani anonimowość jest najważniejsza.

Hattie pomyślała, że chyba po raz pierwszy w życiu ktoś powiedział jej, że w jakimś sensie jest najważniejsza. I całkiem jej się to podobało.

– Och – odpowiedziała, z braku czegokolwiek innego do powiedzenia. – To bardzo miłe.

Kobieta się odwróciła i przecisnęła przez grubą kotarę do głównej poczekalni. Wtedy trzy kobiety, które Hattie widziała na zewnątrz, przerwały pogawędkę, żeby się jej przyjrzeć. Hattie ruszyła w stronę najbliższej wolnej kanapy, ale jej towarzyszka ją powstrzymała i skierowała do kolejnych drzwi.

– Tędy, droga pani.

Poszła za nią.

– Ale one przyszły przede mną.

Kolejny lekki uśmiech na pełnych wargach piękności.

– Nie były umówione.

Myśl o tym, że w takim miejscu można się pojawić bez zapowiedzi, oszołomiła Hattie. Bo taka rzecz musiała oznaczać, że ktoś w tym miejscu bywa – jak to by było, być kobietą, która nie tylko ma wstęp do tego przybytku, ale korzysta z niego regularnie? To by znaczyło, że sprawia jej to przyjemność.

Podniecenie dudniło w niej, gdy weszły do następnej sali, dużej i owalnej, bogato zdobionej ciemnoczerwonymi jedwabiami i złoceniami, mięsistymi niebieskimi aksamitami i srebrnymi paterami pełnymi czekoladek i ciasteczek.

Hattie zaburczało w brzuchu. Nie jadła w ciągu dnia, bo była za bardzo zdenerwowana.

Jej piękna opiekunka odwróciła się do niej.

– Miałaby pani ochotę na poczęstunek?

– Nie. Chciałabym mieć to już za sobą. – Jej oczy otworzyły się szeroko. – To znaczy… chciałam powiedzieć…

Kobieta się uśmiechnęła.

– Rozumiem. Proszę za mną.

Poszła za nią krętymi korytarzami budynku, który z zewnątrz zdawał się zwodniczo nieduży w stosunku do przestrzeni, jaką skrywał. Weszły po szerokich schodach i Hattie nie mogła się powstrzymać, żeby nie musnąć palcami jedwabnej okładziny ściennej w odcieniu ciemnego szafiru z wyhaftowanym srebrną nicią wzorem winorośli. Całe to miejsce ociekało luksusem i nie powinno jej to dziwić – przecież zapłaciła fortunę za przywilej wizyty.

Wtedy myślała, że płaci za dochowanie tajemnicy, nie za przepych. Wyglądało na to, że zapłaciła za obie te rzeczy.

Zerknęła na swoją towarzyszkę, gdy dotarły na szczyt schodów i weszły na dobrze oświetlony korytarz z mnóstwem zamkniętych drzwi.

– Pani jest Dahlią?

Właścicielką przybytku pod numerem 72. przy Shelton Street była tajemnicza kobieta, znana damom z arystokracji jedynie jako Dahlia. To z nią Hattie korespondowała, planując ten wieczór. To Dahlia zadała jej wiele pytań na temat jej pragnień i upodobań – pytań, na które Hattie z wypiekami na policzkach ledwie była w stanie odpowiedzieć. Bo przecież kobietom takim jak Hattie rzadko nadarzała się okazja odkrycia swoich pragnień czy posiadania upodobań.

Teraz miała upodobania.

Za tą myślą pojawił się obraz – mężczyzny w powozie, przystojnego w niemocy, a potem… przytomnego, niezaprzeczalnie pięknego. Te bursztynowe oczy, które taksowały i oceniały, które zdawały się

przeszywać ją do samej duszy. Drganie jego mięśni, kiedy walczył z więzami. I pocałunek…

Pocałowała go.

Co ona sobie myślała?

W ogóle nie myślała.

A jednak… cieszyła się z tego wspomnienia, z echa jego gwałtownego wdechu, kiedy przycisnęła wargi do jego warg, z lekkiego pomruku, który rozległ się później, rozlewając się w niej głęboko – potwierdzenie, że poddał się jej pragnieniu. I stał się jej upodobaniem.

Jej policzki znów zrobiły się gorące. Odkaszlnęła i spojrzała na swoją opiekunkę, której pełne wargi unosiły się w tajemniczym uśmiechu.

– Jestem Zeva, milady. Dahlii nie ma dzisiaj, ale proszę się nie martwić – ciągnęła. – Jesteśmy przekonane, że wszystko się pani spodoba.

Zeva otworzyła drzwi i wpuściła Hattie do środka.

Serce zaczęło jej łomotać, gdy rozejrzała się po pokoju.

Z trudem przełknęła ślinę z powodu ściśniętego gardła, nie chcąc okazać zdenerwowania, choć to, co wcześniej było szalonym pomysłem, stawało się teraz realną perspektywą.

To nie był zwykły pokój. Była to sypialnia.

Pięknie urządzona sypialnia, z jedwabiami i satyną, i aksamitną kapą w żywym odcieniu błękitu, która lśniła na tle kunsztownie rzeźbionych kolumn głównego mebla, hebanowego łoża.

Fakt, że łóżka na ogół zajmowały centralne miejsce w sypialniach, wydał się Hattie nagle zupełnie nieistotny; była pewna, że nigdy w życiu nie widziała łóżka.

Co wyjaśniało, dlaczego nie mogła oderwać od niego wzroku.

– Czy jest jakiś problem, milady? – Nie można było nie usłyszeć rozbawienia w głosie Zevy.

– Nie! – odpowiedziała Hattie, ledwie rozpoznając pisk swego głosu, który zabrzmiał jak skowyt zarezerwowany wyłącznie dla psów.

Odkaszlnęła, a gorset sukni wydał jej się nagle zdecydowanie za ciasny. Dotknęła go dłonią. – Nie. Nie. Wszystko jest idealne. Bardzo na to liczyłam. Jest dokładnie, jak planowałam. – Znów odkaszlnęła, nadal oszołomiona łożem. – Dziękuję.

– Chciałaby pani może pobyć chwilę sama, zanim przyjdzie do pani Nelson? – odezwała się z tyłu Zeva.

Nelson. Hattie odwróciła się do kobiety, słysząc męskie imię.

– Nelson? Jak bohater wojenny?

– Dokładnie. Jeden z naszych najlepszych.

– Przez „najlepszych” rozumie pani…

Ciemne brwi się uniosły.

– Poza cechami, o które pani prosiła, jest czarujący, doświadczony i nad wyraz kompetentny.

Nad wyraz kompetentny w łóżku.

Hattie zakrztusiła się piaskiem, którego – miała wrażenie – było pełne jej gardło.

– Rozumiem. Cóż. Czego więcej można chcieć?

Wargi Zevy się uniosły.

– Może przyda się pani parę chwil, żeby poczuć się swobodnie w pokoju…

Miała na myśli łóżko.

Kiwnęła w stronę sznurka na ścianie.

– …i proszę użyć dzwonka, gdy będzie pani gotowa.

Miała na myśli: gotowa do łóżka.

Hattie kiwnęła głową.

– Dobrze. Świetnie.

Zeva ulotniła się z pokoju, a ciche stuknięcie drzwi było jedynym dowodem, że kiedykolwiek się w nim znajdowała.

Hattie odetchnęła głęboko i stanęła przodem do pustego pokoju. W samotności mogła przyjrzeć się całej jego reszcie połyskującej złotej

tapecie, obłożonemu pięknymi kaflami kominkowi i wielkim oknom, za którymi za dnia z pewnością rozciągał się widok na dachy Covent Garden, ale teraz, w nocy, zamieniały się w lustra odbijające blask świec pokoju i stojącą na jego środku Hattie.

Hattie. Gotową rozpocząć swoje nowe życie.

Podeszła do jednego dużego okna, starając się, na ile tylko mogła, ignorować swoje odbicie, skupiając się zamiast tego na otaczającej ją ciemności, bezkresnej jak jej plany. I pragnienia. Na decyzji, żeby przestać czekać, aż ojciec zda sobie sprawę z jej potencjału, i sięgnąć po to, czego chciała. Żeby udowodnić, że jest wystarczająco silna, wystarczająco bystra, wystarczająco wolna.

I może tylko trochę brawurowa.

Ale jak można dojść do sukcesu bez odrobiny brawury?

Ta brawura uchroni ją przed rolą żony jakiegoś przyzwoitego mężczyzny i sprawi, że ojciec nie będzie mógł jej odmówić tego, czego naprawdę pragnęła.

Własnych interesów. Własnego życia. Własnej przyszłości.

Wzięła głęboki oddech i odwróciła się do stojącego nieopodal stolika, zastawionego taką ilością przekąsek, jaką można by wykarmić całą armię: kanapek, koreczków i herbatników. Obok jedzenia czekały butelka szampana i dwa kieliszki. Nie powinna być zaskoczona – pytania o jej upodobania co do tego wieczoru były dość szczegółowe, ale poprosiła o taką ucztę nie tyle dlatego, że lubiła szampana i pyszne jedzenie – któż nie lubił? – ale dlatego, że wyobrażała sobie, że w to właśnie zaopatrzyłaby się na taką okazję kobieta doświadczona.

Więc stół był zastawiony dla dwojga, jakby chodziło o motel przy Great North Road, a pokój czekał na nowożeńców. Hattie uśmiechnęła się na tę naiwną, romantyczną myśl. Ale to była właśnie usługa sprzedawana przy Shelton Street 72. Fantazje wedle życzenia, zapłacone i dostarczone. Szampan i ciasteczka, i łoże z baldachimem.

Nagle bardzo niedorzeczne.

Roześmiała się nerwowo. Nie było mowy, żeby zjadła kanapkę czy ciastko. Jej wzburzony żołądek natychmiast by je zwrócił. Ale szampan – może tego właśnie jej potrzeba.

Nalała sobie kieliszek i wypiła go jak lemoniadę, a ciepło rozlało się w niej szybciej, niż się spodziewała. Ciepło i odwaga wystarczające do tego, żeby przejść przez pokój i użyć dzwonka. Żeby przywołać Nelsona. Nad wyraz kompetentnego Nelsona o imieniu wojennego bohatera.

Domyślała się, że nie było to najgorsze imię dla mężczyzny, który miał ją pozbawić dziewictwa.

Pociągnęła za sznurek – w pokoju nie było słychać dzwonka, ale zadźwięczał w jakimś odległym miejscu tego tajemniczego budynku, w którym – jak wyobrażała sobie Hattie – zastęp przystojnych mężczyzn czekał, żeby zademonstrować swoją wyjątkową kompetencję, jak konie gotowe do startu w wyścigu. Uśmiechnęła się na tę szaloną myśl, wyobrażając sobie Nelsona bez twarzy – w pełnym umundurowaniu i czapce admirała, z powodu braku lepszego pomysłu – który zrywa się na ten dźwięk i biegnie do niej, pokonując długimi nogami po dwa, może nawet trzy stopnie naraz, sapiąc z wysiłku.

W jakiej pozycji powinna na niego czekać? Stać przy oknie? Będzie chciał zobaczyć ją stojącą? Żeby ocenić sytuację? Nie zachwyciła jej ta myśl.

Pozostawał więc fotel przy kominku albo łóżko.

Bardzo wątpiła, że będzie chciał z nią konwersować. Właściwie nie była pewna, czy chce, żeby z nią konwersowano. To był przecież tylko środek do celu. Więc niech będzie łóżko.

Powinna się położyć? To wydawało jej się dość zuchwałe, ale, po prawdzie, chyba przekroczyła już granice zuchwałości w czasie pomiędzy wyszukaniem Shelton Street 72 parę miesięcy temu a wskoczeniem

dzisiejszego wieczoru do powozu. Z pewnością nie przejmowała się zuchwałością, kiedy całowała mężczyznę w swoim powozie.

I przez jedną szaloną chwilę w jej stronę nie biegł admirał bez twarzy. Był to całkiem inny mężczyzna.

O pięknym obliczu. O idealnych rysach i bursztynowych oczach, i ciemnych brwiach, i wargach miększych, niż kiedykolwiek sobie wyobrażała.

Odkaszlnęła i odegnała tę myśl, powracając do nurtującego ją pytania. Leżenie wydawało jej się nieodpowiednie, podobnie jak siedzenie po turecku na łóżku. Może istnieje jakiś kompromis? Jakaś uwodzicielska figura?

Też coś. Hattie nigdy w życiu nie była uwodzicielska.

Przycupnęła w najsłabiej oświetlonym rogu łóżka i wygięła się do tyłu, obejmując kolumnę, żeby zachować równowagę, przywarła do niej, chcąc wyglądać jak kobieta, dla której te rzeczy są chlebem powszednim. Jak uwodzicielka, która zna swoje pragnienia i upodobania. Jak ktoś, kto rozumie zwroty takie jak: nad wyraz kompetentny w łóżku.

Aż raptem drzwi się otworzyły, a jej dudniło serce, gdy do środka wchodziła ciemna postać. Mężczyzna nie miał na sobie munduru ani czapki admirała. Ani stroju choć odrobinę eleganckiego. Był ubrany w czerń. Niezmierzoną ilość czerni.

Znalazł się w środku, a światło zalało jego idealną twarz ciepłym, złocistym blaskiem.

Serce jej stanęło i wyprostowała się, balansując przy zmianie pozycji tak, że omal nie spadła z łóżka.

Poruszał się z wyjątkowym wdziękiem, jakby godzinę wcześniej nie leżał nieprzytomny w jej powozie. Jakby go z niego nie wyrzuciła.

Zmierzyła go wzrokiem, szukając zadrapań i sińców, bolesnych po upadku miejsc. Nie miał ich.

Przełknęła ślinę, ciesząc się ze słabego światła.

– Pan nie jest Nelsonem.
Nie odpowiedział. Drzwi się za nim zamknęły.
Byli sami.

4

*P*owinna być jak igła w stogu siana.

Powinna się rozpłynąć w powietrzu.

Być jak tysiące kobiet, w tysiącach powozów, sunących jak skorpiony przez ciemne zakamarki Londynu, niewidzialne dla zwykłych mężczyzn ze zwykłego świata.

I tak by się stało, ale Whit nie należał do zwykłych mężczyzn. Szef gangu Bitnych Bękartów z Covent Garden był królem londyńskiego półświatka z kryjącą się w mroku armią szpiegów – i na jego terenie nie działo się nic bez jego wiedzy. Dla jego siatki informatorów odnalezienie czarnego powozu w środku nocy to była bułka z masłem.

Śledzili go, zanim Whit pofatygował się na dachy. Odnaleźli powóz, wiedząc, że tej informacji potrzebuje. Towar ze statków przepadł, ci, którzy go strzegli, zostali zaatakowani, ale przeżyli. Napastnicy rozproszyli się. Nierozpoznani.

Ale nie na długo.

Kobieta doprowadzi go do wroga, wroga, którego Bękarci szukali od miesięcy.

Jeśli Whit się nie mylił, wroga, którego znali od lat.

Nie zaszkodziło, że jego chłopcy zawsze mieli na oku wejścia do burdeli. Ostatecznie, brat chronił siostrę – nawet jeśli rzeczona siostra miała dość władzy, żeby rzucić miasto na kolana. Nawet jeśli siostra ukrywała się przed jedyną osobą, która mogła ją tej władzy pozbawić.

Whit bez trudu poruszał się po budynku, minął Zevę, zatrzymując się tylko na chwilę, żeby ustalić, gdzie przebywa kobieta, której imienia Zeva mu nie poda. Wiedział, że tak będzie. Dom przy Shelton 72 zawdzięczał swoją renomę temu, że bezwzględnie dochowywano tam dyskrecji; sekretów nie zdradzano nikomu, nawet Bitnym Bękartom.

Dlatego też nie naciskał na Zevę. Przeszedł obok, nie przejmując się, gdy zaskoczona, w milczeniu uniosła ciemne brwi. Teraz nie mogła mówić. Zeva należała do najlepszych żołnierzy i sekrety wyjawiała tylko chlebodawcy. I kiedy Grace – znana Londynowi pod imieniem Dahlia – obejmie z powrotem należne jej miejsce jako pani tego przybytku, dowie się z pewnością wszystkiego. I nie zawaha się zadawać pytań.

Nikt nie był tak niezmordowanie ciekawski jak własna siostra.

Na razie jednak Grace nie było i nie mogła go dręczyć. Pozostawała jedynie tajemnicza kobieta z powozu, z cennymi informacjami, ostatni element zegarmistrzowskiego mechanizmu, który zamierzał uruchomić. Sprężyna, którą należało naciągnąć. Znała imiona ludzi, którzy zagarnęli jego ładunek. Strzelali do jego chłopców. Nazwiska ludzi, którzy okradali Bękartów.

Nazwiska ludzi, którzy pracowali dla jego pozostającego w oddaleniu brata. Jego wroga. I oto pojawiła się tu, w budynku należącym do jego siostry, na terytorium, którego panem był sam Whit.

Czekała na mężczyznę, który miał jej dać przyjemność.

Starał się nie zwracać uwagi na falę podniecenia, jaka zalała go na tę myśl, oraz irytację, jaka po niej nastąpiła. Potrzebował jej do interesów, nie – przyjemności.

Nadeszła pora, żeby przystąpić do interesu.

Zobaczył ją, gdy tylko wszedł, siedzącą na krawędzi łóżka, trzymającą kurczowo w mętnawym świetle kolumienkę baldachimu. Kiedy zamykał drzwi za sobą, pomyślał mimo woli, że siedząc tutaj, w jednym z najdroższych burdeli w mieście, przeznaczonym dla kobiet o

wyrafinowanych gustach i zapewniającym całkowitą dyskrecję – ta kobieta nie mogła wydawać się bardziej nie na miejscu.

A powinna czuć się jak u siebie, zważywszy, że w powozie ocuciła go, konwersowała z nim, jakby byli znajomymi, którzy spotkali się na spacerze, a potem wypchnęła w biegu na ulicę.

Pocałowawszy wcześniej.

To, że jechała właśnie tutaj, pasowało znakomicie do tej szalonej nocy.

Ale był w tym jakiś zgrzyt.

Nie była nim suknia z pysznego jedwabiu, rozlewającego się w mroku wzburzonymi turkusowymi falami spódnic, bez wątpienia dzieło znakomitej krawcowej. Ani pasujące do sukni pantofelki, których czubki wystawały spod kraju spódnicy.

Ani połyskliwy gorset obejmujący i podkreślający pociągające okrągłości jej ciała – nie, to wszystko pasowało świetnie do Shelton.

To nawet nie był zarys jej twarzy – ledwie widocznej w mroku, na tyle jednak wyraźnej, że dostrzegł jej rozwarte ze zdumienia usta. Innego mężczyznę te otwarte usta mogłyby rozbawić, Whit miał jednak więcej rozumu.

Znał ich smak. Pamiętał, jak jej pełne wargi miękną i ustępują.

Przy Shelton 72 nie brakowało ciał o bujnych kształtach, pełnych ust i kobiet, które potrafiły ich używać.

Ale ta kobieta tego nie potrafiła. Sztywna jak kamień, uczepiła się rozpaczliwie kolumienki przy łóżku, aż jej palce zbielały; w drugiej ręce trzymała pusty kieliszek do szampana. Przechylała się nienaturalnie i wyraźnie nie czuła u siebie.

Wrażenie pogłębiło się, kiedy wyprostowała się jak struna, mówiąc:

– Pan wybaczy, sir, ale czekam na kogoś.

– Mmm. – Oparł się o drzwi, krzyżując ręce na piersi, żałując, że jej twarz jest w cieniu. – Na Nelsona.

Skinęła sztywno głową.

– Owszem. A jako że nim nie jesteś…

– Skąd wiesz?

Cisza. Whit z trudem powstrzymał uśmiech. Niemal słyszał jej panikę. Zaraz się podda, a on zyska przewagę. Za chwilę poda mu wszelkie informację, jakie będzie chciał, niczym dziecko zwabione cukierkami.

Tyle że powiedziała:

– Nie spełniasz wymagań z mojej listy.

Co, do diabła? Wymagania?

Cudem udało mu się nie zadać tego pytania wprost. Gaduła i tak mówiła dalej.

– Prosiłam wyraźnie o kogoś mniej…

Głos jej zamarł, a Whit stwierdził, że zrobiłby wszystko, żeby usłyszeć całe zdanie. Kiedy machnęła ręką w jego stronę, nie zdołał się powstrzymać.

– Mniej…?

Skrzywiła się.

– Dokładnie tak. Mniej.

Coś podejrzanie przypominającego dumę wezbrało w jego piersi; wysunął ją naprzód, pozwalając zapaść ciszy.

– Nie jesteś mniej – powiedziała. – Jesteś więcej. Jesteś bardzo. Dlatego wyrzuciłam cię wcześniej z powozu; przepraszam za to, tak przy okazji. Mam nadzieję, że nie potłukłeś się zanadto, upadając.

Puścił tę ostatnią uwagę mimo uszu.

– Bardzo co?

Znowu machnęła ręką.

– Bardzo wszystko. – Sięgnęła w głąb obszernej spódnicy i wydobyła z niej kartkę papieru; studiowała ją przez chwilę. – Średniego wzrostu. Średniej budowy. – Podniosła go, oceniając go otwarcie. – Ani jedno, ani drugie do ciebie nie pasuje.

Z tego powodu nie musiała czuć się rozczarowana. Co jeszcze było na tej liście?

– Nie zdałam sobie sprawy, jaki jesteś wielki, kiedy się spotkaliśmy poprzednio.

– Tak to nazywasz? Spotkanie?

Przechyliła głowę w zamyśleniu.

– Masz lepsze określenie?

– Napad.

Otworzyła szeroko oczy pod maską i podniosła się; w powozie nie wyobrażał sobie, że jest tak wysoka.

– Ja cię nie napadłam!

Nieprawda, oczywiście. Wszystko w niej go atakowało, od bujnych kształtów po blask oczu, migotliwy materiał sukni, zapach migdałów – jakby właśnie wyszła z kuchni, gdzie pieczono ciasto.

Czuł się napadnięty od momentu, kiedy otworzył oczy w powozie i znalazł ją, paplającą zapamiętale o urodzinach, planach i Roku Hattie.

– Hattie. – Nie zamierzał tego powiedzieć. A już na pewno nie myślał, że powiedzenie tego sprawi mu przyjemność.

Jej oczy pod maską stały się niemożliwie wielkie.

– Skąd znasz moje imię? – zapytała przerażona i wściekła. – Sądziłam, że to miejsce szczyci się dyskrecją?

– Co to jest Rok Hattie?

Przypomniała sobie – wcześniej podała mu swoje imię. Po chwili zapytała:

– A co cię to obchodzi?

Nie był pewien odpowiedzi, więc ją przemilczał.

Nie pozwoliła ciszy trwać; zaczynał odkrywać, że to u niej zwykłe zachowanie.

– Przypuszczam, że nie podasz mi swojego imienia? Wiem, że nie jesteś Nelsonem.

– Bo jestem za bardzo, żeby być Nelsonem.

– Ponieważ nie spełniasz moich oczekiwań. Jesteś za szeroki w ramionach, masz za długie nogi, nie jesteś czarujący i z pewnością nie jesteś miły.

– Miałaś oczekiwania odpowiednie dla psa, nie pieprzenia.

Nie dała się sprowokować.

– A jeszcze nie doszliśmy do twojej twarzy.

Co, do diabła, było nie tak z jego twarzą? Przez trzydzieści jeden lat nikt się na nią nie skarżył, a ta dzikuska miała to zmienić?

– Mojej twarzy.

– Tak jest. – Te słowa uderzały jak rozpędzony powóz. – Chciałam twarzy, która by nie była taka…

Whit zamienił się w słuch. Teraz ta kobieta uznała za stosowne zamilknąć?

Pokręciła głową, a on stłumił przekleństwo.

– Mniejsza o to. Ważne, że nie zamawiałam ciebie i cię nie napadłam. Nie mam nic wspólnego z tym, że znalazłeś się nieprzytomny w moim powozie. Chociaż, prawdę mówiąc, zaczynam podejrzewać, że jesteś człowiekiem, który mógłby zasługiwać na cios w głowę.

– Nie sądzę, żebyś brała udział w napadzie.

– Dobrze, bo nie brałam.

– Kto brał?

Cisza.

– Nie wiem.

Kłamstwo.

Osłaniała kogoś. Powóz należał do kogoś, komu ufała, inaczej nie wzięłaby go, żeby tutaj przyjechać. Ojciec? Nie, niemożliwe. Nawet ta wariatka nie kazałaby się zawieźć powozem ojca do burdelu w sercu Covent Garden. Woźnice gadają.

Kochanek? Przez krótką chwilę rozważał możliwość, że nie tylko pracuje z jego wrogiem, ale także z nim śpi. Whitowi nie podobał się niesmak, jaki odczuł na tę myśl, opamiętał się jednak.

Nie. Nie kochanek. Nie trafiłaby do burdelu, gdyby miała kochanka. Nie pocałowałaby Whita, gdyby miała kochanka.

A pocałowała go – miękkimi, słodkimi, niedoświadczonymi ustami.

Kochanka nie było. Ale pozostała wierna wrogowi.

– Myślę, że wiesz, kto mnie związał w tym powozie, Hattie – powiedział cicho, zbliżając się do niej; czuł wzrastające podniecenie – kobieta była niemal jego wzrostu, jej pierś wznosiła się i opadała w nierównym rytmie ponad linią dekoltu, mięśnie szyi poruszały się, kiedy go słuchała. – I myślę, że wiesz, że chcę mieć jego imię.

Zmrużyła oczy w mroku.

– To groźba? – Nie odpowiedział; w ciszy wydawała się uspokajać, jej oddech wyrównał się, cofnęła ramiona, prostując się. – Nie lubię gróźb. To już drugi raz, kiedy zakłócasz mój wieczór, sir. Lepiej by było, gdybyś zechciał pamiętać, że to ja ocaliłam wcześniej twoją skórę.

Stała przed nim teraz inna kobieta.

– O mało mnie nie zabiłaś.

Parsknęła z pogardą.

– Błagam. Świetnie sobie poradziłeś. Widziałam, jak wypadałeś z powozu; to raczej nie był pierwszy raz, kiedy cię to spotkało. – Przerwała. – Mam rację, prawda?

– To nie znaczy, że chcę uczynić z tego nawyk.

– Rzecz w tym, że beze mnie zginąłbyś w jakimś rowie. Rozsądny dżentelmen podziękowałby mi grzecznie w tym momencie i poszedł sobie.

– Nieszczęśliwie się zatem składa, bo taki nie jestem.

– Rozsądny?

– Nie jestem dżentelmenem.

Zachichotała zaskoczona.

– Cóż, jako że jesteśmy obecnie w burdelu, chyba żadne z nas nie może pretendować do tytułu dżentelmena czy damy.

– To nie figurowało na liście twoich wymagań?

– Och, tak. Ale spodziewałam się raczej pozornego niż prawdziwego dżentelmeństwa. Ale to mi się właśnie nie podoba; mam plany, do diabła z pozorami, i nie pozwolę ci ich zniszczyć.

– Plany, o których mówiłaś, zanim wyrzuciłaś mnie z powozu.

– Nie wyrzuciłam cię. – Milczał, więc dodała: – No, dobrze, wyrzuciłam cię. Ale nic ci się nie stało.

– Nie dzięki tobie.

– Nie mam informacji, której się domagasz.

– Nie wierzę ci.

Otworzyła usta. Zamknęła je.

– Jakie to niegrzeczne.

– Zdejmij maskę.

– Nie.

Usta mu drgnęły na tę nieustępliwą odpowiedź.

– Co to jest Rok Hattie?

Podniosła brodę wyzywająco, ale milczała. Whit mruknął cicho i przeszedł przez pokój po szampana, a potem wrócił, żeby napełnić jej kieliszek. Odstawił butelkę na miejsce i oparł się o parapet, przyglądając się, jak dziewczyna porusza się niespokojnie.

Była w ciągłym ruchu, wygładzając spódnice albo bawiąc się rękawem. Chłonął łapczywie widok jej długiej sukni, ukrywającej obfite kształty, a w nich obietnicę, której spełnienia pragnąłby każdy mężczyzna. Światło świec nadawało jej skórze złotawy odcień. To nie była kobieta, która piła herbatę. To była kobieta, która żywiła się blaskiem słońca.

Miała pieniądze, oczywiście. I władzę. Kobieta potrzebowała jednego i drugiego, żeby uzyskać wstęp na Shelton 72 – nawet znalezienie tego miejsca nie było łatwe i wymagało siatki znajomości. Mogłaby chcieć tu się

znaleźć z tysiąca powodów i Whit znał je wszystkie. Nuda, niezadowolenie, żądza przygód. Ale nie widział tego w Hattie. Nie była impulsywna – miała dość lat, żeby wiedzieć, czego chce i dokonać wyborów. Nie była też prostaczką czy dyletantką.

Ruszył w jej stronę. Powoli. Stanowczo.

Zesztywniała. Zacisnęła palce na kartce papieru.

– Nie dam się zastraszyć.

– Okradł mnie, a ja chcę odzyskać swoją własność.

Ale to nie wszystko.

Był na tyle blisko, że mógł jej dotknąć. Na tyle blisko, że mógł ocenić jej wzrost, na który wcześniej zwrócił uwagę, a który niemal dorównywał jego wzrostowi. Na tyle blisko, żeby widzieć jej oczy, ciemne pod maską, utkwione w jego twarzy. Na tyle blisko, żeby owionął go zapach migdałów.

– Cokolwiek to jest. – Wyprostowała się ponownie. – Dopilnuję, żeby do ciebie wróciło.

Cztery transporty. Trzech ludzi podziurawionych kulami. A dzisiaj jeszcze stracił noże, które niezwykle cenił. Więcej, niż dałoby się kiedykolwiek zwrócić.

Pokręcił głową.

– To niemożliwe. Żądam imienia.

Zirytowało ją jego powątpiewanie.

– Wybacz, ale ja nigdy nie zawodzę.

Inny mężczyzna może by się roześmiał na te słowa. Ale Whit usłyszał w nich szczerość. Jaki był jej udział w tym bałaganie? Zapytał, nie mogąc się powstrzymać:

– Co to jest Rok Hattie?

– Jeśli ci powiem, zostawisz mnie w spokoju?

Nie. Tego nie powiedział.

W ciszy wciągnęła głęboko powietrze, najwyraźniej rozważając możliwości. A potem dodała:

– To jest dokładnie to, co mówią te słowa. To mój rok. Rok, który uważam za swój.

– W jaki sposób?

– Mam czteropunktowy plan, według którego chcę pokierować swoim losem.

Uniósł brwi.

– Cztery punkty.

Podniosła dłoń, odliczając punkty na swoich długich, obleczonych w rękawiczki palcach.

– Firma. Dom. Majątek. Przyszłość. – Urwała. – Jeśli powiesz mi, co dokładnie ci ukradziono, dopilnuję, żeby ci to zwrócono, i będziemy mogli w spokoju zająć się własnym życiem, nie wchodząc sobie w drogę.

– Firma. Dom. Majątek. Przyszłość – powtórzył. – W jakiej kolejności?

Przechyliła głowę.

– Jaka okaże się możliwa.

– Jaki rodzaj interesu? – Whit miał dużo pieniędzy i mógł jej pomóc we wszelkiego rodzaju interesach… w zamian za informację, jakiej żądał.

Milczała, posyłając mu nieufne spojrzenie. Pewnie miała ambicje w dziedzinie krawiectwa czy kapelusznictwa; jedno i drugie mogło dać jej dom, ale nie fortunę. Ale czy nie odpowiedniejsza dla niej byłaby rola żony i matki w jakiejś wiejskiej posiadłości?

Właśnie to, a nie wymienione cztery punkty, wydawało się sensowne w kontekście burdelu przy Shelton 72. Wskazał kartkę, którą ściskała w dłoni.

– Czego spodziewałaś się po Nelsonie, inwestycji?

Zachichotała cicho.

– Coś w tym rodzaju.

– W jakim rodzaju?

– Jest piąty punkt – powiedziała.

Zegar w korytarzu wybił godzinę, głośno i dźwięcznie i Whit, nie myśląc, wyciągnął zegarki i sprawdził oba, po czym schował je do kieszeni.

– Jakiż to punkt?

Śledziła wzrokiem jego ruchy.

– Czas się zgadza? – Usłyszał kpinę w jej głosie.

– Tak. Jest jedenasta.

– Na obu?

– Jaki jest piąty punkt?

Zarumieniła się, a ciekawość Whita co do tej dziwnej kobiety stała się nie do zniesienia.

– Ciało – odparła po chwili, głosem jasnym i czystym, jak dźwięk zegara za drzwiami.

Kiedy Whit miał siedemnaście lat, zszedł kiedyś z ringu, zataczając się po walce, która trwała zbyt długo, z przeciwnikiem, który był dla niego za wielki. Był ogłuszony wrzaskami tłumu, zachwycony ciężkimi ciosami, które otrzymał. Oprzytomniał w jakimś zaułku za magazynami i wciągając zimne powietrze w płuca, wyobrażał sobie, że jest wszędzie, tylko nie w klubie bokserskim Covent Garden.

Drzwi za nim otworzyły się i zamknęły; podeszła do niego kobieta z płócienną ściereczką. Powiedziała, że zmyje krew z jego twarzy. Łagodne słowa i delikatny dotyk sprawiły mu największą przyjemność, jakiej doznał w życiu.

Do momentu, kiedy usłyszał, jak Hattie wymawia słowo: ciało.

Zaśmiała się nerwowo.

– Przypuszczam, że to raczej pierwszy punkt na liście, jako że ma podstawowe znaczenie wobec pozostałych punktów.

Ciało.

– Wyjaśnij. – To zabrzmiało bardziej jak warknięcie.

Wydawała się rozważać sytuację, w której tego nie wyjaśni, jakby mógł bez tego pozwolić jej odejść. Musiała to sobie uświadomić, bo w końcu odezwała się:

– Są dwa powody.

Czekał.

– Niektóre kobiety przez całe życie czekają na małżeństwo.

– A ty nie?

Pokręciła głową.

– Może kiedyś przyjęłabym je z radością… – Głos jej zamarł, a Whit wstrzymał oddech, czekając na jej następne słowa. Wzruszyła ramieniem. – Jutro kończę dwadzieścia dziewięć lat. Wobec tego jestem jedynie posagiem i niczym więcej.

Whit nie uwierzył jej ani przez chwilę.

– Nie chcę być posagiem. – Spojrzała na niego. Nie chcę być towarem. Chcę należeć do siebie. Dokonywać samodzielnych wyborów.

– Firma. Dom. Majątek. Przyszłość – powiedział.

Uśmiechnęła się szeroko, triumfalnie, ukazując ten piekielny dołeczek, a on nie mógł się powstrzymać, żeby nie utkwić wzroku w jej wargach, których smak tak dobrze zapamiętał. Poruszyły się znowu.

– Jest tylko jeden sposób, żeby sobie zapewnić swobodę wyboru. – Zamilkła. – Pozbyć się jedynej rzeczy, która jest we mnie w cenie. Wtedy będę panią siebie. Wtedy wygram.

– Przyszłaś tu, żeby… – Urwał, znając odpowiedź. Pragnął, żeby ona to powiedziała.

Chciał to usłyszeć.

Zarumieniała się. A potem oznajmiła dumnie:

– Pozbawić się dziewictwa.

To było jak śpiew w jego uszach.

A ta kobieta w jakiś sposób zdołała się roześmiać.

– Cóż, sama nie mogę tego zrobić, rzecz jasna. To raczej przenośnia. Nelson miał się tym zająć.

Pozwolił, żeby cisza trwała chwilę, podczas gdy usiłował zapanować nad myślami.

– Pozbywasz się dziewictwa i żyjesz tak, jak ci się podoba.

– Właśnie! – Wydawała się zachwycona, że ktoś to zrozumiał.

– A jaki jest drugi powód?

Znowu zalała się rumieńcem. Kim była ta kobieta, śmiała i rumieniąca się co chwila?

– Sądzę… – przerwała. Odchrząknęła. – Sądzę, że chcę tego.

Chryste.

Mogłaby powiedzieć tysiąc rzeczy, których się spodziewał. Takich, które by go nie poruszyły, nie odebrały spokoju. A zamiast tego podała powód tak uczciwy, że chcąc nie chcąc, poczuł się wzruszony.

I zapragnął coś zrobić.

Uciął to, zanim się zaczęło, stłumił pożądanie, wsunął rękę, którą ku niej wyciągał, do kieszeni i z papierowej torebeczki wydobył cukierka. Wsunął go do ust; miód z cytryną rozlały się na jego języku.

Wszystko, byle odwrócić uwagę od jej słów.

„Chcę tego”.

Hattie zerknęła na torebeczkę.

– Cukierki?

Spojrzał na nie. Mruknął potwierdzająco.

Przechyliła głowę.

– Wiesz, nie powinieneś jeść słodyczy, jeśli nie zamierzasz się nimi dzielić.

Mruknął ponownie. Wyciągnął torebeczkę w jej stronę.

– Nie, dziękuję – uśmiechnęła się.

– Dlaczego więc prosiłaś?

I znowu uśmiech.

– Nie prosiłam o cukierka. Prosiłam, żeby mi go zaoferowano. A to całkiem co innego.

Jakże była denerwująca. I fascynująca. Ale on nie miał czasu, żeby się nią fascynować.

Schował cukierki do kieszeni, starając się skupić na cytrynie, cierpkiej, słodkiej przyjemności – jednej z niewielu, na jakie sobie pozwalał. Próbował odsuwać od siebie fakt, że to nie cytryny pożądał w tej chwili.

Starał się nie myśleć o migdałach.

Musiał wyciągnąć z niej to, co wiedziała. I o to chodziło. Wiedziała, kto strzelał do jego ludzi. Kto kradł jego ładunki. Mogła potwierdzić tożsamość wroga. Zrobi, co trzeba, żeby z niej to wydobyć.

– Nie powiesz mi, że nie mam racji? – zapytała.

– Racji co do czego?

– Racji, że chcę to… – Zamilkła na chwilę, a Whita ogarnął blady strach, że ona znowu to powie. Kiedy ta kobieta to mówiła, mężczyzna miał ochotę wypełnić przestrzeń między maleńkimi dwiema literkami całym mnóstwem nieprzyzwoitych i podniecających rzeczy. – …Zbadać.

Dobry Boże. To było gorsze.

– Nie powiem ci, że nie masz racji.

– Dlaczego?

Nie miał pojęcia, dlaczego to powiedział. Nie należało tego mówić. Należało ją tu zostawić, pójść za nią do domu i poczekać, aż wyjawi prawdę. Bo ta kobieta nie potrafiła utrzymać niczego w sekrecie. Była na to o wiele za uczciwa. Była na tyle uczciwa, żeby sprawiać kłopoty.

Ale powiedział, tak czy inaczej.

– Ponieważ powinnaś to zbadać. Powinnaś zbadać i odkryć całą siebie i każdy cal rozkoszy, a potem ułożyć swoją przyszłość. – Rozchyliła usta, kiedy do niej podszedł, wypowiadając więcej słów niż przy jakiejkolwiek innej kobiecie w ciągu całego życia.

Sięgnął po nią. Podnosił ręce powoli, tak żeby widziała, co robi. Żeby miała czas go zatrzymać. Nie zrobiła tego, więc zdjął jej maskę, odsłaniając wielkie, przyciemnione kredką oczy.

– Ale nie powinnaś wynajmować Nelsona.

Co on robił?

To był jedyny sposób.

Kłamstwo.

Chwyciła maskę jedną ręką, opuszczając ją między nimi. Bawiła się nią, muskając jego dłoń. Jej palce paliły mu skórę.

– Trudno będzie znaleźć innego mężczyznę, który spełniłby moje życzenie bez kłopotliwych następstw.

– Zapewniam cię, że nie. – Pochylił się ku niej, zniżając głos.

Przełknęła ślinę.

– Zamierzasz znaleźć mi takiego mężczyznę?

Ściągnęła brwi, a on przesunął kciukiem po bruździe na jej czole. Raz i drugi, póki się nie wygładziła. Obrysował palcem jej twarz, policzki, miękką krzywiznę szczęk. Jej pełną dolną wargę, tak miękką, jak zapamiętał.

– Zamierzam nim być.

5

Przychodząc na Shelton 72 z zamiarem utraty dziewictwa, Hattie nie przyszło do głowy, że ten proces może być przyjemny.

Nigdy nie myślała o tym w ten sposób. W istocie sądziła, że rzecz cała nie będzie warta większej uwagi. Że to będzie coś jak odznaczenie punktu na liście. Coś, co będzie jedynie środkiem do celu.

Ale kiedy ten mężczyzna jej dotknął – tajemniczy, przystojny, niepokojący i bardziej pociągający, niż chciałaby to przyznać – nie była w stanie myśleć o niczym innym jak tylko o tym środku.

Bardzo przyjemnym środku.

Bardzo przyjemnym środku, który opanował jej myśli, odkąd zasugerował, że to on będzie mężczyzną, który pomoże spełnić jej życzenie.

Ale cichy pomruk, jaki wydał, w połączeniu z dotykiem jego kciuka na jej dolnej wardze, sprawił, że pomyślała, że może zrobi więcej niż tylko tyle. Pomyślała, że ją spali. Pomyślała, że na to pozwoli, choćby miała spłonąć żywcem.

A potem Hattie nie myślała już o niczym innym poza: tak.

Zjawiła się tu wcześniej, pewna, że zgodnie z obietnicą dostanie niezwykle rzetelnego asystenta, który pomoże jej wprowadzić plan w życie. Ten jednak mężczyzna o bursztynowych oczach, które widziały wszystko, o dłoniach, które rozumiały wszystko, z głosem, który docierał w najskrytsze zakamarki jej duszy, był kimś więcej niż tylko asystentem.

Ten mężczyzna był królem – wcześniej nie mogła sobie tego wyobrazić, a teraz nie rozumiała, że mogłoby być inaczej.

I obiecywał, że wszystko, o czym marzyła, stanie się rzeczywiste.

Tak.

Był tak blisko. Niemożliwie wielki – na tyle wielki, żeby Hattie czuła się przy nim mała – niemożliwie przystojny, na tyle że w inną, spokojniejszą noc Hattie czułaby się onieśmielona – i niemożliwie ciepły w zimnym pokoju.

I, niemożliwe, ale zamierzał ją pocałować.

Nie dlatego, że zapłaciła; dlatego, że chciał.

Niemożliwe.

Nikt nigdy…

Jego dłoń w jej włosach spłoszyła tę myśl, zanim nabrała kształtów.

– Czy…

Cisza.

– …pomożesz mi…

Zacisnął mocniej palce.

– …w… – Była zakładniczką jego dotyku i milczenia. Zmuszał ją, żeby skończyła myśl, niech to diabli. Całe zdanie. Co to była za myśl? – …tym?

Wydał głęboki pomruk, którego by nie zrozumiała, gdyby nie była jak urzeczona. Gdyby nie była taka chętna.

– We wszystkim.

Zamknęła oczy. Jak to jest, że mężczyzna potrafił sprawić tyle przyjemności paroma słowami? Z pewnością teraz ją pocałuje. Tak to się zaczynało, prawda? Ale nie poruszył się. Dlaczego trwał nieruchomo? Przecież miał się poruszyć, czyż nie?

Otworzyła oczy; stał przy niej, tak blisko, przyglądając się jej. Patrzył na nią. Widział ją. Kiedy to ostatni raz ktoś widział Hattie? Przez całe życie doskonaliła się w ukrywaniu tak, że nikt nie powinien jej dostrzec.

Ale ten mężczyzna – on ją zobaczył.

Stwierdziła, że równie mocno tego nienawidzi jak pragnie.

Nie, nienawidziła mocniej. Nie chciała, żeby ją widział. Nie chciała, żeby odnotował wszystkie, niezliczone, usterki jej urody. Pełne policzki, za szerokie czoło, za duży nos. Usta, które inny mężczyzna porównał kiedyś do końskich, jakby uznawał to za komplement. Jeśli dostrzeże to wszystko, zmieni zdanie.

Ta myśl ośmieliła ją do tego, żeby powiedzieć:

– Czy możemy już zacząć?

Cichy pomruk poprzedził pocałunek, dźwięk równie cudowny jak dotyk jego ust na jej wargach; dał jej to, czego chciała. Więcej. To nie mogła być dla niej niespodzianka – pocałowała go całkiem śmiało w powozie, zanim go z niego wyrzuciła – ale to była jej pieszczota.

Ta była ich.

Poczuła głód.

Właśnie tak. Jakby nigdy przedtem nie jadła i oto dostała pożywienie, wspaniałe, upragnione i całe dla niej.

Dotyk jego języka przyprawiał ją o szaleństwo. Nie wiedziała, jak zdoła go znieść. Jak sobie z nim poradzić. Wiedziała tylko, że nie chce, żeby ustał.

Ścisnęła jego kubrak i przyciągnęła go do siebie, przyciskając tak, żeby czuć go każdym calem swojego ciała. Chciała się w niego wtulić. Sapnęła sfrustrowana; zrozumiał i objął ją ramionami jak stalową obręczą, podnosząc do góry; przesunęła dłońmi po jego masywnych ramionach i szyi. Był taki ciepły…

Westchnęła cicho, czując to ciepło. Odsunął się. Czy chciał przestać? Dlaczego przestawał?

– Nie!

Dobry Boże, czy ona zawołała to na głos?

– Ja… – Zalała się natychmiast rumieńcem. – To znaczy…

Uniósł brew w milczącym pytaniu.

– Wolałabym…

Wtedy ta milcząca bestia, milczący mężczyzna, odezwał się:

– Wiem, co byś wolała. I dam ci to. Ale najpierw…

Wstrzymała oddech. Najpierw co?

Chwycił jej rękę, ściskającą jego ramię. Zmusił, żeby się odsunęła, nie puszczając jej jednak.

Co on robił? Obrócił jej nadgarstek w dłoni i dotknął palcami rzędu guziczków po wewnętrznej stronie przedramienia. Przyglądała się przez chwilę, gdy je rozpinał.

– Świetnie sobie radzisz z guzikami. A nie masz nawet haczyka do guzików – dodała niemądrze, żałując, że nie połknęła tych słów, zanim wyszły z jej głupich ust.

Zdjął jej rękawiczkę, odsłaniając nadgarstek – poplamiony po wczorajszym popołudniu w biurze, które spędziła nad księgami załadunkowymi. Przekręciła rękę, żeby ukryć brzydkie ślady, ale nie pozwolił na to. Przyglądał im się przez chwilę, gładząc plamy kciukiem – płomieniem – po czym odłożył jej rękę na swoje ramię.

Jej nagie teraz palce sięgnęły do jego kołnierzyka; pragnęła uczciwego dotyku jego ciepłej skóry; zamruczał z zadowolenia. Atrament odszedł w zapomnienie.

– Najpierw to – powiedział.

Ktoś inny musiał odpowiedzieć, bo to chyba nie była Hattie, która wsunęła palce w jego czarne kręcone włosy i przyciągnęła go do siebie, mówiąc:

– Teraz dasz mi, czego chcę?

Ale to była Hattie, która to dostała; pocałował ją, podnosząc jedno jej udo na swoje biodro i przyciskając ją do hebanowej kolumienki łóżka.

Oddawała pocałunki z zapałem, ucząc się szybko. Chyba dobrze jej szło, bo znowu mruknął – to był dla niej dźwięk triumfu – wtulając się w nią mocno. Gdyby tylko…

Nie-Hattie przemówiła znowu:

– Zrób to.

Posłuchał bez wahania. Posadził ją na krawędzi łóżka i przesunął palce na brzeg dekoltu. Otworzyła oczy i spojrzała w dół, na jego silne ręce na lśniącym jedwabiu.

Wróciła jej trzeźwość umysłu. Nie był chyba na tyle silny, żeby…

Suknia pękła jak papier, owionęło ją zimne powietrze, a potem…

Ogień.

Usta. Język.

Rozkosz.

Nie mogła przestać patrzeć. Nigdy nie widziała czegoś takiego. Najpiękniejszy mężczyzna, jakiego w życiu spotkała, całkowicie oddany jej przyjemności. Zabrakło jej powietrza w płucach, kiedy patrzyła, niepewna, co ją bardziej zachwyca – jego widok czy dotyk…

Widok jej dłoni w jego włosach.

Jego pomruki, odgłos pożądania.

To przekraczało wszystko, co sobie wyobrażała. Ten mężczyzna wymykał się jej wyobraźni. Na tę myśl przyciągnęła go znowu do siebie, wsuwając mu palce we włosy, aż znowu się pocałowali. Tym razem jednak to ona dotykała jego warg językiem. To ona podbijała. A on się poddawał.

I to było wspaniałe.

Położył dłonie na jej piersiach, pieszcząc je, aż całkiem się zatraciła.

A nie znała nawet jego imienia.

Ta myśl była jak dotknięcie lodu.

Nie znała nawet jego imienia.

– Poczekaj. – Odepchnęła się od niego, natychmiast tego żałując, kiedy puścił ją bez wahania; straciła jego dotyk, jakby nigdy go nie czuła. Cofnął się o krok.

Zakryła nieszczęśliwe z tego powodu piersi i skrzyżowała ręce; jego brak był jak głód nie do zniesienia. Na ustach wciąż czuła jego pocałunek.

Oblizała je; skierował tam swoje bursztynowe spojrzenie.

On też wydawał się głodny.

– Nie znam twojego imienia.

Tym razem się nie wahał.

– Bestia.

Musiała się przesłyszeć.

– Słucham?

– Nazywają mnie Bestią.

Pokręciła głową.

– To jest… – szukała słowa – żałosne.

– Dlaczego?

– Ponieważ jesteś najpiękniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziałam. – Umilkła na chwilę. – Najpiękniejszym mężczyzną, jakiego ktokolwiek widział – dodała. – W prawdziwym świecie.

Uniósł brwi i przesunął ręką po włosach w geście jakby… Czy możliwe, żeby to było zmieszanie?

– Rzadko zdarza mi się słyszeć coś podobnego.

– Bo to oczywiste. Jak upał. Albo deszcz. Sądzę jednak, że ludzie zawsze zwracają na to uwagę, nazywając cię tym absurdalnym przezwiskiem. Wyobrażam sobie, że to ironia.

– Nie – powiedział, opuszczając rękę.

Zamrugała.

– Nie rozumiem.

– Zrozumiesz.

Poczuła się trochę niepewnie.

– Czy tak?

Wyciągnął rękę, obejmując jej policzek.

– Ci, którzy mnie okradają, którzy zagrażają temu, co do mnie należy. Oni rozumieją sens tego przezwiska.

Serce jej zabiło gwałtownie. Miał na myśli Augiego.

To nie był człowiek, który wymierzał łagodne kary.

Nie będzie litości, kiedy dopadnie jej brata.

Jej brat był skończonym durniem, ale nie chciała, żeby go zrujnowano. Albo gorzej. Nie, bez względu na to, co Augie zrobił, co ukradł. Hattie to zwróci. I wtedy sobie uświadomiła, że pocałunek, który przed chwilą wymienili i propozycja, którą jej złożył, nie wynikała z jego chęci.

Chciał zemsty.

Nie chodziło o nią.

Oczywiście, że nie.

Ostatecznie ten mężczyzna, tak opanowany w namiętności i chłodny w ocenach, nie należał do tych, których interesowałaby Henrietta Sedley, pulchna stara panna z plamami inkaustu na nadgarstkach,

Chyba żeby coś mu dała.

Nie chciał posagu, ale jednak czegoś chciał.

Zignorowała ukłucie smutku – udawała, że nie czuje kłucia pod powiekami i nieprzyjemnego pieczenia w gardle. Skrzyżowała mocniej ręce na piersi i podeszła do miejsca, gdzie przedtem zostawiła swój szal.

Owinęła się turkusową tkaniną i dopiero wtedy odwróciła do niego. Zerknął tam, gdzie szal zakrywał pęknięcie gorsetu, rozdartego na jej życzenie.

Wciągnęła powietrze. Jeśli mogła żądać jednego, może zażądać drugiego.

– Wydaje mi się, sir, że możemy dobić targu.

Uniósł pytająco czarną brew.

– Nie zaprzeczam, że wiem, kto przyłożył ręki do twojego… nieszczęścia… tego wieczoru. Jesteśmy oboje zbyt inteligentni, żeby bawić się w głupie gierki.

Mruknął z aprobatą.

– Dostarczę ci to, co straciłeś. Zwrócę wszystko. Za pewną cenę.

Przyglądał jej się długą chwilę.

– Twoje dziewictwo.

Skinęła głową.

– Ty chcesz zadośćuczynienia. Ja chcę przyszłości. Dwie godziny temu byłam gotowa na tego rodzaju transakcję, dlaczego więc to odkładać? – Nie odpowiedział, uniosła więc brodę, ukrywając starannie rozczarowanie. – Nie musisz udawać, że chciałeś to zrobić z dobrego serca. Nie jestem pustogłowym podlotkiem. Mam oczy i lupę.

Przez chwilę jednak była. Mało brakowało, a obsadziłby ją w tej roli.

– A ty nie jesteś rycerzem w lśniącej zbroi, który marzy, żeby zdobyć moje względy. – Cisza. Przeklęta cisza. – Jesteś?

Oparł się o kolumienkę, krzyżując ręce na piersi.

– Nie jestem.

Mógłby chociaż udawać.

Nie.

Nie chciała udawania. Wolała uczciwość.

– Więc?

Wpatrywał się w jej twarz przez dłuższą chwilę, nie odwracając od niej tych swoich piekielnych oczu.

– Kim ty jesteś?

Wzruszyła lekko ramionami.

– Hattie.

– Masz jakieś nazwisko?

Nie zamierzała mu go podawać.

– Wszyscy mamy nazwiska.

– Mmm. – Umilkł, a potem powiedział:

– A zatem dasz mi nazwisko mojego wroga – choć nie twoje – w zamian za pieprzenie.

– Jeśli sądzisz, że zaszokujesz mnie językiem, to się mylisz. – Machnęła ręką. – Wyrastałam w dokach. – Bawiła się w olinowaniu statków ojca.

Zmrużył oczy.

– Nie pochodzisz z nizin.

– A ty? – Kim jesteś? Nie zdziwiła się, że nie odpowiedział. – Nieważne. Istotne, że zjadłam zęby, słuchając języka marynarzy i robotników portowych, więc nie sposób mnie zaszokować. – Ściągnęła mocno szal, przyglądając się mężczyźnie, którego znalazła związanego w swoim powozie, który uważał jej brata za wroga i który sam siebie nazywał Bestią. Bez ironii.

Powinna odejść. Zakończyć tę noc, zanim coś się stanie. Wrócić innym razem i podjąć na nowo Rok Hattie z innym mężczyzną.

Nie pragnęła jednak innego mężczyzny – nie po tym, jak ten ją pocałował.

– Nie dam ci nazwiska. Ale zwrócę wszystko, co straciłeś. – Wróci do domu, ustali, jaki był udział Augiego w tej całej aferze, i dostarczy temu mężczyźnie to, co mu ukradziono.

– Tak chyba będzie najlepiej.

Ogarnęła ją ulga, potem niepewność.

– Dlaczego?

– Jeśli podasz mi nazwisko, będziesz odpowiedzialna za to, że go zniszczę.

Serce zabiło jej gwałtownie. Niszcząc Augiego, zniszczy firmę ojca. Zniszczy jej firmę.

Powinna to teraz zakończyć. I nigdy więcej nie spotkać się z tym człowiekiem. Stłumiła uczucie żalu.

– Jeśli nie interesuje cię moja propozycja, powinieneś odejść. Mam umówione spotkanie. – Może da się jeszcze uratować ten wieczór.

Chociaż na Nelsona nie miała najmniejszej ochoty.

To nie miało znaczenia. Środek do celu.

W jego doskonałej, kwadratowej szczęce zadrgał mięsień.

– Nie.

– Co zatem?

– Nie jesteś w takiej sytuacji, żeby składać mi propozycje. – Wyciągnął rękę, gładząc długimi, ciepłymi palcami jej kark, pozbawiając ją równowagi na tyle, żeby musiała wesprzeć się na jego piersi. – Biorę wszystko.

Pocałował jej usta, gdy wciągała powietrze, to był słodki, gorący pocałunek. Oderwał od niej wargi.

– Co do mnie należy – warknął.

Cokolwiek ukradł jej brat.

– Tak. – Ich usta znowu się zetknęły.

Odsunął się znowu.

– I co jest twoje.

Dziewictwo.

– Tak – szepnęła, podnosząc się na palcach do kolejnego pocałunku.

– I nazwisko.

Nigdy. Znalazłby się zbyt blisko wszystkiego, co liczyło się dla Hattie. Pokręciła głową.

– Nie.

Uniósł brew.

– Ja nie przegrywam, kochana.

Uśmiechnęła się, wsunęła mu palce we włosy, przyciągnęła mocno do siebie i pocałowała. Bawiła się znakomicie.

– Mam ci przypomnieć, że wcześniej wypchnęłam cię z powozu? Ja też nie przegrywam.

Nie była pewna, czy wyczuła, czy usłyszała przeciągły pomruk w jego piersi. Nie była też pewna, czy to śmiech, kiedy podniósł ją w powietrze i skierował do łóżka. Żeby dopełnić umowy. Posadził ją na materacu i znowu wziął jej usta. Westchnęła z przyjemności; całował jej policzek, dochodząc do ucha.

– Muszę ci przypomnieć, że cię tu znalazłem? – szepnął. Chwycił lekko zębami jej ucho; sapnęła zaskoczona. – Igłę w stogu siana Covent Garden.

– Ale mi igła. – Wystawała wszędzie, jak bolący kciuk. Zawsze tak było.

Zignorował tę uwagę.

– Czekałaś na mężczyznę, który spełniał twoje… Jak to nazwałaś? Oczekiwania?

Jej oczekiwania uległy zmianie. Choć on nie miał się o tym dowiedzieć.

– Mówiono mi, że jest niezwykle staranny.

– Mmm. Ja znalazłem cię pierwszy.

– No to możemy uznać to za remis. – Ledwie poznawała swój zduszony głos.

– Mmm. – Pocałował ją mocno i przeciągle, przesunął ręce na szal przykrywający zniszczoną suknię; wstrzymała oddech, wiedząc, co nastąpi. Pocałunki. Pieszczoty. I cała reszta. Wszystko.

Zanim jednak zdążył rozplątać węzeł, który ją przed nim skrywał, rozległo się wyraźne i głośne pukanie do drzwi.

Zamarli.

Drzwi uchyliły się – nie na tyle nawet, żeby wsunąć w nie głowę. Tyle tylko, żeby mogli usłyszeć słowa.

– Łaskawa pani, powóz wrócił.

Niech to diabli. Nora. Dwie godziny już minęły?

– Muszę iść. – Odepchnęła go.

Poruszył się natychmiast, odsuwając się i dając jej przestrzeń, której żądała, choć jej nie chciała. Wyciągnął z kieszeni zegarki i sprawdził godzinę na obu – tak płynnym, wdzięcznym ruchem, tak szybko, że Hattie nie była pewna, czy wiedział, że to robi.

– Śpieszysz się dokądś?

– Do domu.

– Szybko minęło – stwierdził.

– Nie spodziewałam się tak błyskotliwej konwersacji. – Pomilczała chwilę, po czym dodała: – Chociaż z tobą nieczęsto można odbyć

konwersację, nieprawdaż? – Po długiej chwili ciszy uśmiechnęła się mimo woli. – No właśnie.

Przeszła przez pokój, podniosła pelerynę, a potem odwróciła się do niego.

– Jak cię znajdę? Żeby…? – Dokończyć. O mało nie powiedziała: dokończyć. Jej policzki zapłonęły.

Kącik jego pięknych ust lekko drgnął. Wiedział dokładnie, o czym myślała.

– To ja cię znajdę.

To niemożliwe. W Mayfair nigdy jej nie znajdzie. Ale ona może wrócić do Garden. Zrobi to. Złożyli sobie obietnice, ostatecznie, i Hattie chciała, żeby zostały dotrzymane.

Teraz jednak nie miała czasu. Nora czekała na dole w powozie, a Covent Garden nie było miejscem, gdzie należało zatrzymywać się dłużej w nocy. Augie będzie wiedział, jak go znaleźć. Uśmiechnęła się znowu.

– A zatem kolejne wyzwanie?

W jego oczach błysnęło coś jakby zdziwienie, które ustąpiło czemuś innemu – podziwowi? Odwróciła się od niego, położyła rękę na klamce. Czuła przyjemne podniecenie…

Znowu spojrzała na niego.

– Przykro mi, że wyrzuciłam cię z powozu.

– A mnie nie – padła natychmiastowa odpowiedź.

Uśmiechała się wciąż, idąc mrocznymi korytarzami Shelton 72, miejsca, gdzie zamierzała zacząć nowe życie. Stać się panią siebie i zdobyć świat, który słusznie jej się należał.

I może jej się udało. Choć nie w taki sposób, jak się spodziewała.

Szumiało jej w głowie – wolność?

Hattie wyszła z budynku i zastała Norę opartą o powóz, z czapką nasuniętą na oczy i rękami w kieszeniach. Na widok Hattie błysnęła białymi zębami.

– Jak było? – uprzedziła Hattie przyjaciółkę.

Nora wzruszyła ramionami.

– Ograłam jednego bogatego paniczyka na wyścigach.

Hattie pokręciła głową, śmiejąc się cicho.

– Wiesz, że sama jesteś bogatą panną?

Przyjaciółka udała, że jest zaszokowana.

– Cofnij to. – Hattie śmiała się i Nora przechyliła głowę. – Nie trzymaj mnie w takim napięciu. Jak ci poszło?

– Inaczej, niż myślałam – odparła Hattie ostrożnie.

Nora uniosła brwi, otwierając drzwi powozu i opuszczając stopnie.

– To wyjątkowa pochwała. Czy spełnił twoje oczekiwania?

Hattie zamarła z jedną stopą na stopniu. Oczekiwania. Poklepała kieszenie wszyte w sukni.

– Och, nie.

– Co? – Nora pochyliła się i szepnęła teatralnie: – Hattie, użyłaś prezerwatywy, czyż nie? Zapewniono mnie, że zostaną dostarczone.

– Nora! – Hattie nie bardzo była w stanie się oburzyć. Wpadała w panikę. Nie miała swojej listy. Trzymała ją w ręku. A potem…

Mężczyzna zwany Bestią ją pocałował.

I lista zniknęła.

Odwróciła się i spojrzała na wesoło oświetlone okna Shelton 72. Stał tam, w pięknym, szerokim oknie na trzecim piętrze – już bez zasłony. Otworzyło się na świat, tak żeby wszyscy mogli go zobaczyć – cień oświetlony od tyłu, zjawa w ciemności.

Podniósł rękę i przycisnął coś do szyby. Prostokąt, który rozpoznała natychmiast.

Zaiste Bestia.

Zmrużyła gniewnie oczy. Wygrał tę potyczkę, ale Hattie nie dbała o to.

– Zawieź mnie do brata – zwróciła się do Nory.

– Teraz? Jest środek nocy.

– No, to miejmy nadzieję, że nie przerwiemy mu słodkich snów.

6

Lord August Sedley, najmłodsze dziecko i jedyny syn hrabiego Cheadle, nie spał, kiedy Hattie i Nora weszły do kuchni w domu Sedleyów pół godziny później. Całkowicie przytomny, leżał na stole, krwawiąc.

– Gdzie wy byłyście – jęknął Augie, kiedy kobiety weszły do kuchni; do nagiego uda przyciskał zakrwawioną szmatę. – Potrzebowałem was.

– O, mój Boże! – zawołała Nora, zatrzymując się nagle niedaleko od progu kuchni. – Augie nie ma spodni.

– To źle wróży – stwierdziła Hattie.

– Masz świętą rację, że to źle wróży – parsknął gniewnie Augie. – Dźgnięto mnie nożem, a was tu nie było i nikt nie wiedział, gdzie was znaleźć, a ja krwawię godzinami.

Hattie zacisnęła zęby.

– Dlaczego nie kazałeś Russellowi się tym zająć? – Brat pociągnął whiskey z butelki, którą trzymał wolną ręką. – Gdzie on jest?

– Wyszedł.

– Oczywiście. – Hattie nie kryła niechęci, idąc po miskę z wodą i szmaty. Russell – niekiedy kamerdyner Augiego, niekiedy przyjaciel albo najemny zabijaka, a cały czas kula u nogi – w najlepszym wypadku był całkowicie bezużyteczny. – Dlaczego miałby tu siedzieć, skoro tylko zakrwawiasz całą kuchnię.

– Ale ciągle oddycha – zauważyła radośnie Nora, wyjmując z kredensu małe drewniane pudełeczko i stawiając je obok Augiego.

– Ledwie – jęknął żałośnie Augie. – Musiałem wyciągnąć z siebie to paskudztwo.

Oczy Hattie zabłysły na widok niezwykłego noża na dębowym blacie. Ostrze długości ośmiu cali, z zakrzywionym brzegiem, lśniłoby w ciemności, gdyby nie pokrywająca je krew.

Gdyby nie ta krew, byłby piękny.

Wiedziała, że to niestosowna myśl w tej chwili, ale jednak przyszła jej do głowy; miała ochotę podnieść nóż i ocenić jego ciężar; nigdy nie widziała czegoś tak groźnego. Niebezpiecznego i tchnącego siłą.

Poza mężczyzną, do którego należał.

Ponieważ domyśliła się natychmiast, bez cienia wątpliwości, że ten nóż należy do mężczyzny, który nazywa siebie Bestią.

– Co się stało? – zapytała, stawiając miskę na stole i przyglądając się wciąż krwawiącej nodze Augiego. – Nie należało wyjmować noża…

– Russell mówił…

Hattie pokręciła głową i zabrała się do czyszczenia rany; sycz̨ące przekleństwo brata sprawiło jej większą przyjemność, niż powinno.

– Nieważne. Russell jest głupcem, a ty powinieneś zostawić nóż w ranie. – Postukała w blat. – Kładź się.

Augie jęknął.

– Ja krwawię.

– Tak. Widzę. Ale ponieważ jesteś przytomny, bardzo mi ułatwisz pracę, jeśli położysz się na wznak.

Augie położył się na plecach.

– Załatw to szybko.

– Nikt nie będzie mieć pretensji, jeśli zrobisz to powoli i starannie – oznajmiła Nora, zbliżając się z puszką herbatników w ręce.

– Idź do domu, Noro – warknął Augie.

– Po co, skoro tutaj tak się świetnie bawię? – Podsunęła puszkę Hattie. – Masz ochotę na jednego?

Pokręciła głową, skupiając się na ranie, teraz już czystej.

– Masz szczęście, że nóż jest taki ostry. Rana powinna się dobrze zaszyć. – Wyciągnęła igłę i nici z pudełka. – Nie ruszaj się.

– Czy to będzie bolało?

– Nie bardziej niż rana od noża.

Nora zachichotała i Augie skrzywił się.

– To podłe. – Zasyczał, kiedy Hattie zaczęła zaszywać ranę. – Nie mogę uwierzyć, że na nas trafił.

Hattie straciła oddech. Bestia.

– Kto?

Pokręcił głową.

– Nikt.

– To nie może być nikt, Augie – zauważyła Nora, z ustami pełnymi herbatnika. – Masz dziurę w nodze.

– Owszem. Zwróciłem na to uwagę. – Syknął, kiedy Hattie ponownie wbiła igłę.

– W co się wpakowałeś, Augie?

– W nic. – Nacisnęła igłę mocniej przy kolejnym ściegu. – Niech to diabli!

Spojrzała w bladoniebieskie oczy brata.

– W co ty nas wszystkich wpakowałeś?

Odwrócił wzrok. Poczucie winy. Ponieważ cokolwiek zrobił, cokolwiek to było, co naraziło go tamtej nocy na niebezpieczeństwo – zagrażało im wszystkim. Nie tylko Augiemu. Ich ojcu. Firmie.

Hattie. Wszystkie jej plany i działania związane z Rokiem Hattie. Firma. Dom. Majątek. Przyszłość. Jeśli człowiek, z którym zawarła układ, był w to zamieszany, zagrożona była cała reszta – ciało.

Miała ochotę krzyczeć ze złości. Potrząsać nim, aż wyzna całą prawdę o tym, kto zadał mu cios nożem. W jaki sposób nieprzytomny mężczyzna trafił do jej powozu. I Bóg wie, co jeszcze.

Kolejny ścieg.

I kolejny.

Zachowała spokój, gotując się w środku z gniewu.

Niecałe sześć miesięcy wcześniej ojciec wezwał do siebie Hattie i Augiego, żeby im oznajmić, że nie jest w stanie dłużej zarządzać firmą, z której uczynił całe imperium. Hrabia zestarzał się na tyle, że nie był w stanie nadzorować statków ani kierować ludźmi. Pilnować dochodów i wydatków firmy. Tak więc przedstawił im jedyne rozwiązanie dostępne dla człowieka z jego pozycją i majątkiem – dziedzictwo.

Oboje wyrośli, bawiąc się na statkach kompanii Sedleya; oboje spędzili najmłodsze lata – zanim ojciec zyskał tytuł szlachecki – u jego boku, uczyli się, jak prowadzić firmę przewoźniczą. Oboje nauczyli się stawiać żagle. Wiązać węzły.

Ale tylko jedno opanowało dobrze to rzemiosło.

Na nieszczęście była to dziewczyna.

Ojciec zatem dał Augiemu szansę, żeby się wykazał, i przez ostatnie sześć miesięcy Hattie pracowała tak ciężko jak nigdy w tym samym celu – żeby wykazać, że jest warta przekazania jej kontroli nad firmą, podczas gdy Augie spoczywał na laurach, spędzając leniwie czas, póki ojciec nie postanowił przekazać mu firmy tylko z tego powodu, że był mężczyzną i jako taki mógł dziedziczyć.

Hrabia zapewne rozumował w taki sposób:

Mężczyźni w dokach potrzebują silnej ręki.

Jakby Hattie nie miała siły, żeby nimi kierować.

Przeładunek wymaga siły fizycznej.

Jakby Hattie była za delikatna, żeby pracować.

Jesteś dobra, dziewczyno i masz do tego głowę…

Nigdy nie usłyszała tego w formie komplementu.

…ale co, jeśli pojawi się jakiś mężczyzna?

Ten argument był najbardziej podstępny. Bo mogła zostać starą panną. Bo kobiety nie mogą mieć własnego życia, skoro mają służyć mężczyźnie.

Co gorsza, ojciec dawał jej w ten sposób do zrozumienia, że w nią nie wierzy.

I tak, oczywiście, było. Wiele razy powtarzała mu, że chce przeżyć życie samodzielnie, a nie w małżeństwie. Hrabia kwitował to niezmiennie: „To nie w porządku, dziewczyno".

Postanowiła mu udowodnić, że się myli. Opracowywała strategie zwiększenia dochodów: prowadziła księgi, spędzała czas z robotnikami w dokach, tak żeby nauczyli się jej ufać. Żeby za nią poszli.

Tego wieczoru zaczął się Rok Hattie. Rok, który miał jej zapewnić triumf, na który ciężko pracowała. Potrzebowała tylko odrobinę pomocy, żeby go urzeczywistnić – pomocy, o którą, jak się wydawało, nie powinno być tak trudno.

Powzięła mocne postanowienie, żeby wrócić do domu i oznajmić ojcu, że małżeństwo nie leży więcej w jej planach. Że się zhańbiła. Nie była szczęśliwa, że wraca nadal w stanie dziewictwa, ale zachwycało ją, że znalazła odpowiedniego dżentelmena gotowego poradzić sobie z tą sytuacją.

Cóż. Może nie dżentelmena.

Bestię.

To imię wywołało falę przyjemności, absolutnie niewłaściwej, ale trudnej do zignorowania. Starała się, jak mogła.

Nawet on był środkiem do celu.

A Augie w jakiś sposób zdołał narazić się temu samemu człowiekowi i zasłużyć na cios nożem z jego ręki.

Dokończyła szycia i zabandażowała ranę… Wszystko poszłoby o wiele szybciej, gdyby leżał spokojnie i przestał lamentować.

Umyła ręce i wysłała służącego do aptekarza po zioła na zbicie gorączki.

Nie odzywała się, wracając do stołu, ujęła nóż: miał czarną, lśniącą rękojeść, z inkrustowanym srebrem wzorem, jak plaster miodu.

Podniosła nóż, ważąc go w dłoni, i spojrzała bratu w oczy.

– Powiesz mi, w co się wpakowałeś.

Augie przybrał minę pewnego siebie fanfarona.

– A to dlaczego?

– Bo go znalazłam.

Otworzył szeroko oczy, szukając słów.

– Kogo?

– Obrażasz nas oboje tym pytaniem. Puściłam go wolno.

Augie zerwał się na równe nogi, krzywiąc się z bólu.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Był w moim powozie, a ja się dokądś wybierałam.

Augie obrzucił ją i Norę ponurym spojrzeniem.

– Masz chyba na myśli mój powóz.

Hattie parsknęła gniewnie.

– Skoro czepiamy się słówek, to ten powóz również do ciebie nie należy. Jest ojca.

– W końcu będzie należeć do mnie – stwierdził Augie, jakby to było oczywiste.

Hattie przełknęła urazę. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że Hattie mogłaby lepiej prowadzić firmę od niego. Że lepiej od niego znała się na interesach. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że mógłby nie dostać tego, czego chciał, dokładnie w tym momencie, kiedy uznał, że mu się to należy.

– Ale na razie jest własnością ojca.

– A on nie pozwolił ci z niego korzystać, kiedy chcesz.

Pozwolił, w istocie, ale Hattie nie chciała się kłócić z tego powodu.

– Och, ale tobie za to pozwolił porywać ludzi i zostawiać ich związanych w powozie?

Oboje spojrzeli na Norę.

Norę, która ruszyła, żeby napełnić czajnik z herbatą.

– Mną się nie przejmujcie, prawie nie słucham.

– Nie zamierzałem go tam zostawić.

Hattie odwróciła się do niego gwałtownie.

– Co zamierzałeś z nim zrobić?

– Nie wiem.

Zatkało ją, kiedy usłyszała wahanie w jego głosie.

– Zamierzałeś go zabić?

– Nie wiem!

O jej bracie wiele by można powiedzieć, ale nie był mistrzem zbrodni.

– Dobry Boże, Augie – coś ty zrobił? Myślisz, że taki człowiek jak on, po prostu zniknie – może umrze – i nikt po ciebie nie przyjdzie? – nie ustępowała Hattie. – Miałeś piekielne szczęście, że tylko pozbawiłeś go przytomności! Coś ty sobie myślał?

– Myślałem o nożu, który we mnie wbił! – Machnął ręką w stronę zabandażowanego uda. – Tym, który trzymasz w ręce!

Zacisnęła palce na rękojeści i pokręciła głową.

– Zrobił to, kiedy go zaatakowałeś. – Nie zaprzeczył. – Dlaczego? – Nie odpowiedział. Boże, chroń ją przed mężczyznami, którzy posługują się milczeniem jak bronią. Sapnęła gniewnie. – Wydaje mi się, że na to zasłużyłeś, Augie. On nie wygląda na kogoś, kto sztyletuje ludzi, którzy sobie na to nie zasłużą.

Wszystko w pokoju zamarło; słychać było jedynie trzask ognia pod czajnikiem Nory.

– Hattie… – Zamknęła oczy, odwracając się od brata. – Skąd wiesz, jaki z niego mężczyzna?

– Rozmawiałam z nim.

Żeby tylko.

Całowałam go.

– Co? – Augie poruszył się gwałtownie i skrzywił z bólu. – Dlaczego?!

Bo chciałam.

– Cóż, poczułam raczej ulgę, stwierdzając, że żyje, Auguście.

Augie zignorował ostrzeżenie w jej głosie.

– Nie powinnaś była tego robić.

– Kim on jest? – Czekała.

Zaczął chodzić po kuchni tam i z powrotem.

– Nie powinnaś była tego robić.

– Augie! – zawołała stanowczo, chcąc skupić jego uwagę. – Kim on jest?

– Nie wiesz?

Pokręciła głową.

– Wiem, że nazywa siebie Bestią.

– Tak wszyscy go nazywają. I ma brata. Diabła.

Nora zakasłała.

Hattie posłała jej spojrzenie z ukosa.

– Myślałam, że nie słuchasz.

– Oczywiście, że słucham. Co za dziwaczne przezwiska.

Hattie skinęła głową.

– Zgadzam się. Nikt się nie nazywa Bestia albo Diabeł, chyba że w gotyckich powieściach. A nawet wtedy…

Augie nie miał cierpliwości na jej wywody.

– Ci dwaj tak się nazywają. To bracia, kryminaliści. Chociaż chyba nie muszę ci tego mówić, skoro potraktował mnie nożem.

Przechyliła głowę.

– Jakiego rodzaju przestępcy?

– Jakiego rodzaju… – Augie podniósł oczy do sufitu. – Chryste, Hattie. Czy to ważne?

– Jakkolwiek jest, chciałabym znać odpowiedź – odezwała się Nora ze swojego miejsca przy piecu.

– Przemytnicy. Bitni Bękarci.

Hattie wciągnęła powietrze. Mogła nie znać przezwisk obu mężczyzn, ale o Bitnych Bękartach słyszała – najpotężniejszych ludziach we wschodnim Londynie, a może i w całym mieście. Szeptano o nich w dokach; swoje towary rozładowywali tylko pod osłoną nocy, płacąc premię najsilniejszym i najzręczniejszym robotnikom.

– Też dziwaczna nazwa – stwierdziła Nora, nalewając sobie herbatę. – Kim oni są?

Hattie spojrzała na brata.

– Handlarze lodu.

– Przemytnicy lodu – sprostował. – Brandy, burbona i innych rzeczy też. Jedwab, karty, kości. Na co tylko Brytania nakłada podatki, szmuglują na szkodę Korony. I zdobyli przydomki, które obie uważacie za głupie. Diabeł jest tym czarującym, ale pozbawi cię głowy bez wahania, jeśli uzna, że szkodzisz jego interesom w Covent Garden. A Bestia… – Hattie podeszła bliżej. – Mówią, że Bestia jest…

Urwał; wydawał się zdenerwowany.

Wydawał się przerażony.

– Co mówią? – ponagliła go Hattie, pragnąca rozpaczliwie, żeby skończył. Nie odpowiedział. – Że jest królem dżungli? – parsknęła gniewnie.

Spojrzał jej w oczy.

– Mówią, że jak raz się na ciebie uweźmie, nie spocznie, póki cię nie znajdzie.

Zadrżała. Wiedziała, że to prawda.

„Znajdę cię”.

Te słowa były cudowną obietnicą i straszliwą groźbą.

– Augie, jeśli to, co mówisz, jest prawdą…

– Jest.

– To jak mogło ci przyjść do głowy, żeby wystąpić przeciwko takim ludziom? Że możesz ich okradać? Ranić ich?

Przez chwilę sądziła, że te pytania go oburzą. Że wpadnie w złość, bo jej zdaniem on nie dorównuje tamtym. Nie dorównywał. Bardzo niewielu znalazłoby się takich mężczyzn, których można by uznać za równie groźnych, jak człowiek, którego poznała wcześniej tego wieczoru. I to bez jego noża w udzie.

Augie wydawał się to wiedzieć. Ponieważ zamiast unosić się męską dumą, zniżył głos, mówiąc:

– Potrzebuję pomocy.

– Oczywiście, że jej potrzebuje – padła ironiczna uwaga od strony pieca.

– Cicho siedź, Noro – warknął Augie. – Nie twój interes.

– To także nie powinien być interes Hattie – odparowała Nora. – A jednak tu jesteśmy.

Hattie podniosła rękę.

– Przestańcie. Oboje.

Cudownym sposobem posłuchali.

– Mów – zwróciła się do Augiego.

– Straciłem ładunek.

Zmarszczyła brwi, przypominając sobie księgi rachunkowe, które studiowała wcześniej w ciągu dnia. Nie figurował w nich żaden stracony ładunek.

– Co masz na myśli, mówiąc, że go straciłeś?

– Pamiętasz tulipany? – Pokręciła przecząco głową. Nie było ładunków tulipanów odkąd… – To było latem – dodał.

Przypłynął statek pełen bulw tulipanów, prosto z Antwerpii, przeznaczonych dla różnych majątków w całej Brytanii. Augie nadzorował ładunek i dostawę. Pierwsze zadanie po tym, jak ojciec obwieścił, że chce przekazać firmę. Pierwsza transakcja, którą, na polecenie ojca, Augie miał przeprowadzić od początku do końca – żeby pokazać, że się nadaje do tego fachu.

– Straciłem je.

To się nie trzymało kupy. Dostawę oznaczono w księgach jako dokonaną.

– Gdzie go straciłeś?

– Myślałem… – Pokręcił głową. – Nie wiedziałem, że trzeba je dostarczyć natychmiast. Odłożyłem to. Nie mogłem znaleźć ludzi do pracy, kiedy przyszedł towar. Pracowali przy innym rozładunku, więc tego nie ruszałem.

– W magazynie – powiedziała.

Kiwnął głową.

– W środku londyńskiego lata. – Deszczowego londyńskiego lata.

Kolejne kiwnięcie.

Westchnęła.

– Jak długo?

– Nie wiem. Na Boga, Hattie, to nie była wołowina. To były cholerne tulipany. Skąd mogłem wiedzieć, że zgniją?

Hattie uznała, że okazałaby wyjątkową wstrzemięźliwość, gdyby powiedziała: „Wiedziałbyś, że zgniją, gdybyś choć trochę przyłożył się do pracy”.

– I co potem?

– Wiedziałem, że będziemy musieli zwrócić pieniądze klientom. Wiedziałem, że ojciec będzie wściekły. – Ojciec byłby wściekły i miałby rację. Pełny ładunek dobrych holenderskich tulipanów był wart co najmniej dziesięć tysięcy funtów. Stratę odczuliby niezwykle boleśnie.

Ale go nie stracili. Augiemu w jakiś sposób udało się to ukryć. Zrobiło jej się zimno ze strachu.

– Augie… coś ty zrobił?

Pokręcił głową, wpatrując się w swoje stopy.

– To miało być tylko raz.

Hattie spojrzała na Norę, która przestała udawać, że nie słucha. Przyjaciółka wzruszyła tylko ramionami.

– Co miało być tylko raz? – zwróciła się do brata.

– Musiałem spłacić dług wobec klientów. Tak żeby ojciec tego nie odkrył. I znalazłem sposób. – Podniósł głowę, napotykając wzrok siostry. – Wpadłem na ich trasę przewozową.

„Wziął coś, co należy do mnie”. Tak powiedział wcześniej Bestia.

Nora zaklęła cicho.

Hattie wciągnęła powietrze.

– Okradłeś go.

– To było tylko…

– Ile razy? – przerwała mu.

Zawahał się.

– Spłaciłem dług zaraz po pierwszym.

– Ale nie przestałeś. – Augie otworzył usta. Zamknął je. Oczywiście, że nie przestał. Teraz z kolei zaklęła Hattie.

– Ile razy?

Spojrzał na nią; widziała strach w jego oczach.

– Dziś wieczorem po raz czwarty.

– Cztery razy. – Zaśmiała się niewesoło. – Obrabowałeś ich cztery razy… To cud, że cię nie zabili.

– Zaraz – wtrąciła się Nora. – W jaki sposób zdołałeś pokonać tego człowieka?

Skrzywił się.

– Co to ma znaczyć?

Łypnęła na niego z ukosa.

– Augie, ten mężczyzna jest dwa razy taki szeroki jak ty w twój najlepszy dzień. I miałeś nóż w udzie.

Wyglądało na to, że chce się kłócić, ale w końcu przyznał:

– Russell go uderzył tak, że tamten stracił przytomność.

Jasne, że ta dwójka narobiła bałaganu. A teraz Hattie, jak zwykle, musiała go posprzątać.

– Wam dwóm powinno się prawnie zabronić rozmawiać ze sobą. Wzajemnie się ogłupiacie. – Spojrzała w sufit, w głowie miała zamęt. – Wpakowałeś nas w straszne bagno – powiedziała w końcu, wzdychając.

– Wiem – odparł brat; Hattie zastanawiała się, czy tak rzeczywiście było.

– Co mu o mnie powiedziałaś? Bestii? – Augie spojrzał jej w oczy z niepokojem.

– On cię szuka, Augie. Cud, że jeszcze cię nie znalazł. Ale to, co zrobiłeś tej nocy, to było przeraźliwie głupie. Co ci strzeliło do głowy, żeby go związać? W powozie?

– Nie myślałem. Byłem ranny. A Russell…

– Ach, tak. Russell – przerwała mu. – Jego też dość. A z tym wszystkim koniec. Nie sprzedamy niczego z ich ładunku. Gdzie jest ładunek, który zagarnąłeś dzisiaj?

– Russell zabrał go do naszego pośrednika.

Uniosła brew.

– Bez wątpienia kolejny genialny strateg. Co to za jeden?

Jeśli to w ogóle możliwe, Augie zbladł jeszcze bardziej.

– Nie chcę cię w to mieszać.

– Czyż już nie wpakowałeś mnie po uszy?

Augie pokręcił głową.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo można się pogrążyć. Ten człowiek nie ma wszystkich klepek w porządku.

– Teraz zacząłeś się martwić o rodzinę? – Hattie ledwie powstrzymała się, żeby nie krzyknąć. – Przypuszczam, że powinnam się cieszyć, że nasz największy wróg jest tylko mściwy, a nie szalony.

– Przykro mi – powiedział Augie.

– Nie, wcale nie jest – zaprzeczyła Hattie. – Niech zgadnę, pewnie jesteś uszczęśliwiony, że chcę to ponaprawiać. I potrafię to zrobić.

Augie znieruchomiał.

– Potrafisz?

– Potrafię. – Plan się krystalizował. Droga naprzód. A potem – jej droga. – Potrafię.

– Jak? – To nie było najgłupsze pytanie na świecie. Zerknęła na Norę, której brwi podniosły się niemal do linii włosów w milczącym pytaniu.

Hattie wyprostowała się, bardziej pewna siebie niż kiedykolwiek.

– Zawrzemy układ. Będziemy się dzielić zyskami z naszych ładunków, póki go nie spłacimy.

– To nie wystarczy.

– Wystarczy. – Sprawi, że tak będzie. Zapewni go, że nie będzie więcej napadów. I zyska na tym. Jeśli ma głowę do interesów, zrozumie korzyść. Zabicie Augiego nie zwróci mu ładunku, a ściągnie mu na głowę Koronę – szmuglerzy tego nie lubią.

Co innego pieniądze; – pieniądze są prawdziwe. Przekona go.

Spojrzała w niebieskie oczy brata.

– Trzymaj się od tego z daleka.

– Nie znasz go, Hattie.

– Wiem, że zawarłam z nim porozumienie.

Augie zamarł.

– Jakie porozumienie?

– Tak, jakie porozumienie? – zapytała Nora, unosząc z rozbawienia kąciki ust.

– Nic takiego.

„Nie jesteś w takiej sytuacji, żeby składać mi propozycje.

„Biorę wszystko”.

Co do mnie należy. I co jest twoje. I nazwisko”.

Hattie przebiegł przyjemny dreszcz na wspomnienie tego, co wziął wtedy, kiedy jej to obiecywał. Na wspomnienie ciepła jego pocałunku. Jego dotyku.

Augie wyrwał ją z zamyślenia.

– Hattie – jeśli zgodził się z tobą spotkać – cokolwiek powiedział – musisz wiedzieć – jemu nie chodzi o ciebie.

Przełknęła rozczarowanie, jakie te słowa wywołały. Augie się nie mylił. Mężczyzna, którego spotkała tego wieczoru – mężczyźni tacy, jak Bestia – nie byli przeznaczeni dla kobiet pokroju Hattie. Na takie kobiety jak Hattie nie zwracali uwagi. Zauważali piękne kobiety o wiotkich kształtach. Wiedziała o tym.

Wiedziała o tym, ale… szczerość co do tego, jaka jest nieatrakcyjna, bolała.

Pokryła urazę śmiechem, tak jak zwykle.

– Wiem, Augie. Teraz wiem także, o co mu chodzi. O mojego niespełna rozumu brata. – Gorący rumieniec, jaki oblał twarz Augiego, sprawił jej perwersyjną przyjemność. – Ale chcę, żeby dotrzymał umowy. A w tym celu będzie musiał przyjąć naszą ofertę.

– Pójdę z tobą.

– Nie. – Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, był Augie u boku, który usiłowałby wszystko popsuć.

– Ktoś musi ci towarzyszyć. On nie opuszcza Covent Garden.

– A zatem udam się do Covent Garden.

– To nie miejsce dla damy – oznajmił Augie.

Nie mógł lepiej dobrać słów, żeby skłonić ją do działania.

– Czy muszę ci przypominać, że dorastałam na statkach handlowych?

Augie zmienił podejście.

– On zrobi wszystko, żeby mnie ukarać. A ty jesteś moją siostrą.

– On tego nie wie. I się nie dowie – odparła. – Pod tym względem mam nad nim przewagę.

Czyż nie rozstali się, rzucając sobie wyzwanie? Że jedno znajdzie drugie? A teraz… wiedziała, jak go znaleźć. Ogarnęło ją uczucie triumfu. Coś niebezpiecznie bliskiego zachwytowi.

– A jeśli Bestia cię skrzywdzi?

– Nie zrobi tego. – Tego była pewna. Może ją drażnić, kusić, wyzywać. Ale nie skrzywdziłby jej.

Widziała, że Augie uspokaja się, zaczyna odczuwać tchórzliwą ulgę. Oczywiście, że czuł ulgę. Miała uprzątnąć po nim bałagan. Jak zwykle.

Wypuścił ze świstem powietrze.

– W porządku.

– Ale, Augie? – Brat podniósł wzrok; dodała z bijącym mocno sercem: – Jeśli mi się uda… – Na jego twarzy pojawił się wyraz podejrzliwości, ale milczał. – Jeśli ocalę twoją skórę… coś dla mnie zrobisz.

Zmarszczył brwi.

– Czego chcesz?

– Nie, czego chcę, August. Co mi z radością dasz.

– Mów.

Teraz albo nigdy.

Bierz to.

Powiedziałaś Bestii, że ty też nie przegrywasz.

Dotrzymaj słowa.

– Powiesz ojcu, że nie chcesz prowadzić firmy. – Oczy Augiego zaokrągliły się, a Nora wydała przeciągły gwizd; Hattie zignorowała to, przejęta, zdecydowana i pełna triumfu jednocześnie. – Powiesz ojcu, żeby przekazał ją mnie.

Wydawało się, że Rok Hattie jednak się dzisiaj zaczął.

7

Następnego popołudnia, kiedy słońce chowało się powoli na zachodzie, Whit stał w małej cichej infirmerii w Covent Garden, czuwając nad chłopcem, którego przyniesiono tutaj po napadzie na jeden z transportów.

Izba, wypełniona złotym światłem, była nienagannie czysta, w przeciwieństwie do świata na zewnątrz – gdzie panował brud – i to powinno działać na Whita uspokajająco.

Ale nie działało.

Poszedł tam natychmiast po tym, jak opuścił Shelton 72 – żeby sprawdzić, jak się mają jego ludzie, ci, którzy byli z nim poprzedniego dnia. Żeby sprawdzić, jak się ma Jaimie, który leżał na ziemi w momencie, kiedy Whit stracił przytomność, a ulica zaczerwieniła się od krwi. Nawet kiedy tracił przytomność, czuł wściekłość. Nikt nie zadał takiego ciosu Bitnym Bękartom i żył dalej.

Whitowi serce wciąż biło gwałtownie, kiedy o tym myślał. Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł młody doktor w okularach, wycierając dłonie w ściereczkę.

– Dałem mu środek uspokajający – oznajmił doktor. – Będzie spał parę godzin. Niepotrzebnie tu siedzisz.

Whit musiał przy nim czuwać. Chronił swoich ludzi.

Bitni Bękarci królowali w krętych labiryntach Covent Garden, poza tawernami i teatrami, w których zapewniono bezpieczeństwo londyńskiej arystokracji; nigdzie indziej przybysze z zewnątrz nie mogli czuć się

bezpiecznie. Ale Whit dał sobie radę w tej trudnej dzielnicy, razem z przyrodnim bratem i dziewczyną, którą nazywali swoją siostrą – nauczyli się walczyć jak psy o każdy ochłap. Walka stała się ich drugą naturą; pazurami wywalczyli sobie pozycję, zakładając własny biznes i pociągając innych za sobą; wynajmowali ludzi z sąsiedztwa do pracy w swoich rozlicznych przedsięwzięciach – w tawernach, przy zakładach na ringach bokserskich, przy produkcji mięsa i garbowaniu skór i przy rozprowadzaniu towarów, które przywoziły statki dwa razy w miesiącu.

Gdyby nie zapewnili sobie lojalności Garden wcześniej, dokonałyby tego pieniądze. W Londynie panowało przekonanie, że w dzielnicy Bękartów można znaleźć uczciwą pracę za godziwe pieniądze, w bezpiecznych warunkach, i to dzięki trójce, która wychowała się w brudzie londyńskiej ulicy.

Tutaj Bękarci byli królami. Uznanymi i czczonymi przez wszystkich poza samym monarchą. Pozostałe dzielnice miasta dla tych, którzy wyrośli w bandyckiej dzielnicy Covent Garden, mogły równie dobrze znajdować się na drugim końcu świata.

Ale nawet król był bezradny wobec śmierci.

Nieprzytomny młody człowiek, nieledwie dziecko, przyjął za nich wszystkich kulę. I dlatego leżał w oślepiająco białym pokoju, w oślepiająco białej pościeli, na łasce losu, bo Whit przybył za późno, żeby go obronić.

Zawsze za późno.

Wsunął rękę do kieszeni, gładząc palcami ciepły metal jednego, a potem drugiego zegarka.

– Będzie żył?

Doktor podniósł głowę znad stolika w kącie, przy którym mieszał tonik.

– Być może.

Whit wydał z siebie głęboki pomruk – warknięcie i zacisnął pięść przy boku… Swędziła go, żeby przyłożyć w czyjąś twarz. Żeby sięgnąć po

czyjeś życie. Był tak blisko poprzedniej nocy – gdyby się ocknął przed wrogiem, mógłby dokonać zemsty.

Zamiast tego ocknął się przy kobiecie. Hattie, chętnej do igraszek w burdelu, podczas gdy jego ludzie walczyli ze śmiercią w rękach doktora. I jeszcze odmówiła mu podania nazwiska.

Przyglądał się śpiącemu mężczyźnie; w łóżku Jamie wydawał się jakiś mniejszy i drobniejszy niż wtedy, kiedy był zdrowy, śmiał się ze swoimi towarzyszami walki i puszczał oko do przechodzących obok ładnych dziewczyn.

Hattie zdradzi Whitowi nazwisko człowieka, którego chroniła – który go okradł – który zagrażał temu, co do niego należało. Tego, który pracował z prawdziwym wrogiem – i który zaprowadzi do niego Bestię, kiedy już doświadczy na sobie jego gniewu.

Zemści się za Jamiego i za wszystkich tych, którzy są pod jego opieką w Garden, gdzie, niecałe ćwierć mili od najbogatszych domów w Anglii, panowała bieda. Zemści się za siedmiu innych, którzy byli przed nim. Za trzech, którzy opuścili tę izbę – prosto do ziemi.

Jęknął.

– Rozumiem, że ci się to nie podoba, Bestio, ale taka jest prawda. Medycyna nie jest doskonała. Ale ta rana jest najczystsza, jak to tylko możliwe – dodał doktor. – Kula weszła i wyszła; powstrzymaliśmy krwawienie. Rana jest opatrzona i zabezpieczona. – Wzruszył ramionami. – Może przeżyć. – Podszedł bliżej. Wyciągnął rękę ze szklanką w stronę Whita. – Pij.

Whit pokręcił głową.

– Nie spałeś od wielu godzin, a Mary mówi, że nic nie jadłeś i nie piłeś, odkąd przyszedłeś.

– Twoja żona nie musi mnie pilnować.

Doktor posłał mu ukośne spojrzenie.

– Jako że siedzisz w tym pokoju od dwunastu godzin, raczej nie miała wyboru. – Znowu wyciągnął rękę. – Pij. Na wściekły ból głowy, do którego się nie przyznasz.

Whit wziął szklankę, wypił do dna, ignorując pulsujący ból w tyle czaszki, po czym zaklął paskudnie – napój smakował wstrętnie.

– Co to jest, do diabła?

Doktor wziął szklankę i wrócił do biurka.

– Czy to ważne?

Nie było. Doktor był niezwyczajny i rzadko stosował powszechnie stosowane medykamenty, kiedy mógł przygotować jakąś maść albo miksturę o ohydnym smaku i miał obsesję na punkcie czystości, jakiej w Covent Garden dotąd nie widziano. Whit i Diabeł zwabili go tutaj dwa lata wcześniej z małej północnej wioski; podobno uratował życie postrzelonej na gościńcu młodej markizie – za pomocą własnych maści i toników.

Człowiek potrafiący leczyć rany od kul był w przekonaniu Whita na wagę złota – i doktor dowiódł jego racji; odkąd przybył do dzielnicy nędzy, uratował więcej rannych, niż stracił.

Dzisiaj mógł uratować kolejnego.

Whit odwrócił się ponownie do Jamiego. Przyglądał mu się w panującej ciszy.

– Wyślę kogoś po ciebie, kiedy się obudzi – zapewnił doktor. – Jak tylko się obudzi.

– A jeśli się nie obudzi?

Chwila milczenia.

– No, to poślę kogoś, jeśli się nie obudzi.

Whit mruknął pod nosem; logika podpowiadała, że nie ma tu nic do roboty. Los zdecyduje, czy chłopak będzie żył, czy umrze.

– Nienawidzę tego miejsca. – Whit, tak czy inaczej, nie był już w stanie tu usiedzieć. Przeszedł przez pokój – do zewnętrznej ściany, postawionej

przez najlepszych murarzy, jakich pieniądze Bękartów mogły kupić i bez wahania rąbnął w nią pięścią.

Ból przeszył jego dłoń i ramię; przyjął go chętnie – to była kara.

Krzesło doktora zaskrzypiało, kiedy odwrócił się do Whita.

– Krwawisz?

Spojrzał na kostki dłoni. Bywało gorzej. Mruknął przecząco, machając ręką. Doktor skinął głową i wrócił do pracy.

Dobrze. Whit nie miał ochoty na rozmowę; fakt ten stał się zupełnie obojętny, kiedy drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł jego brat z żoną, a za nimi Annika, Norweżka, znakomity oficer Bękartów, która potrafiła przewieźć cały transport kontrabandy w biały dzień, niczym czarownica.

– Przyszliśmy, jak tylko się dowiedzieliśmy. – Diabeł podszedł prosto do łóżka i spojrzał na Jamiego. – Niech to. – Podniósł wzrok; sześciocalowa blizna na jego lewym policzku zbielała z gniewu.

– Szukamy jego siostry – powiedziała Nik, podchodząc z drugiej strony łóżka i kładąc delikatnie rękę na dłoni Jamiego. – Wkrótce tu będzie, Jamie. – Serce Whita ścisnęło się boleśnie, Nik kochała mężczyzn i kobiety, którzy dla nich pracowali, jakby miała parę dziesiątków lat więcej niż dwadzieścia trzy, a to były jej dzieci.

A on nie potrafił zapewnić im bezpieczeństwa.

Diabeł odchrząknął.

– A kula?

– Z boku. Przeszła na wylot – odparł doktor.

– Prawie go miałem – odezwał się Whit. – Wpakowałem mu nóż. Był obok.

– Dobrze – powiedział Diabeł. – Miejmy nadzieję, że obciąłeś mu jaja. – Zastukał dwa razy w podłogę laską o srebrnym zakończeniu, znak, że chciałby wydobyć ukryte ostrze i kogoś nim przebić.

– Zaraz. – Felicity, bratowa Whita, podeszła do niego, zmuszając go, żeby na nią spojrzał. – Prawie go miałeś?

Whita ogarnął palący wstyd, przed którym nie było ucieczki.

– Ktoś pozbawił mnie przytomności, zanim dokończyłem dzieła.

Nik zaklęła cicho, a Felicity ujęła dłonie Whita w swoje, ściskając je lekko.

– Nic ci nie jest? – Zwróciła się do doktora: – Rzeczywiście nic mu nie jest?

– Tak mi się wydaje.

Felicity zmrużyła ironicznie oczy.

– Twoje żywe zainteresowanie medycyną, doktorze, nigdy nie przestaje zadziwiać.

Doktor zdjął okulary i zaczął je czyścić.

– Człowiek przed tobą stoi na własnych nogach, czyż nie?

Westchnęła.

– Na to wygląda.

– No, właśnie – powiedział doktor i wyszedł z pokoju.

– Co za dziwny człowiek. – Felicity odwróciła się z powrotem do Whita. – Co się stało?

Whit zignorował pytanie, zamiast tego chwytając spojrzenie Nik w drugim końcu pokoju.

– A Dinuka? – Drugi ze strażników. Whit przeznaczył młodzieńca do służby na koniu. – Jest bezpieczny?

Nik kiwnęła głową.

– Strzelił, ale nie sądzi, żeby trafił. Zrobił, co mu kazano. Pobiegł po kawalerię.

– Dobry chłopak – powiedział Whit. – A ładunek?

Nik pokręciła głową.

– Stracony, nie zdążyliśmy go namierzyć.

Whit przesunął ręką po piersi, gdzie brakowało pasa na noże.

– Wraz z moimi nożami.

– Kto? – zapytał Diabeł.

Whit spojrzał bratu w oczy.

– Nie mam pewności.

Diabeł nie wahał się.

– Ale masz podejrzenia.

– Wszystko wskazuje na Ewana.

Nie używał już tego imienia. Ewan był teraz Robertem, księciem Marwick; był ich bratem przyrodnim i dawnym narzeczonym Felicity. Trzy miesiące wcześniej zostawił Diabła, żeby się wykrwawił, a Grace zmusił do ukrywania się. Sam zniknął. Rabunki ustały od tamtego czasu, ale Whit nie mógł się oprzeć wrażeniu, że wrócił. I był odpowiedzialny za Jamiego.

Tylko…

– Ewan nie zostawiłby cię nieprzytomnego – stwierdził Diabeł. – Zrobiłby coś o wiele gorszego.

Bestia pokręcił głową.

– Pracuje dla niego dwóch ludzi. Co najmniej dwóch.

– Kto?

– Wkrótce się dowiem. – Ona mi powie.

– Czy ma to coś wspólnego z kobietą z Shelton?

Whit, zaskoczony, spojrzał na Nik.

– Co?

– Ach. Tak. Kobieta. O tym też słyszeliśmy – powiedział Diabeł. – Podobno wyrzucono cię z powozu w grupę pijaków, a potem poszedłeś za, jak to Brixton nazwał… – Uśmiechnął się do żony. – Co to było, kochana?

Felicity uśmiechnęła się kpiąco.

– Bogatą paniusią.

– Och, tak. Słyszałem, że podążyłeś za bogatą paniusią do burdelu Grace.

Whit nie odpowiedział.

– I zostałeś tam dłużej – dodała Nik.

Niech to diabli.

Whit spojrzał Norweżce w oczy.

– Nie masz nic do roboty? Prowadzimy ciągle jakieś interesy, czyż nie?

Nik wzruszyła ramionami.

– Chłopcy wszystko mi powtórzą.

Whit skrzywił się, udając, że nie widzi, jak Nik pogładziła czoło Jamiego, szepcąc chłopcu parę dodających otuchy słów do ucha, zanim wyszła.

Po długiej chwili milczenia Felicity powiedziała:

– Czy my także mamy dowiadywać się wszystkiego od chłopaków?

– Mam już jedną wścibską siostrę.

Felicity uśmiechnęła się.

– Tak, ale jej tu nie ma, więc muszę występować w imieniu nas obu.

– Obudziłem się w powozie, przy obcej kobiecie – odparł niechętnie.

Diabeł ściągnął brwi.

– Rozumiem, że sprawy nie potoczyły się w taki sposób, jaki ten początek mógłby wskazywać?

To był najbardziej namiętny pocałunek, jaki Whit dostał w życiu, ale brat nie musiał o tym wiedzieć.

– Kiedy wyszedłem z powozu…

– Słyszeliśmy, że cię wyrzucono – wtrąciła Felicity.

Jęknął cicho.

– To było wzajemne.

– Wzajemne – powtórzyła Felicity. – Wyrzucanie z powozu.

Boże, chroń go przed ciekawskimi siostrami.

– Kiedy ja wyszedłem z powozu, ona udała się w głąb dzielnicy. Poszedłem za nią.

Diabeł skinął głową.

– Kim ona jest?

Milczał.

– Chryste, Whit, znasz chyba imię tej paniusi, co?

Zwrócił się do Felicity.

– Hattie.

Bratowa, która kiedyś należała do arystokracji, okazywała się niekiedy niezwykle przydatna, zwłaszcza w dziedzinie nazwisk ludzi z wyższych sfer.

– Stara panna?

Nie było to pierwsze określenie, jakie przyszłoby mu do głowy, gdyby chciał ją opisać.

– Wysoka? Jasnowłosa? – nalegała Felicity.

Kiwnął głową.

– Pulchna?

Przypomniał sobie różne wypukłości, dołeczki i wałeczki jej ciała. Mruknął potakująco.

– Wiesz, kim jest ta kobieta? – zapytał Diabeł.

– Hattie to dość pospolite imię.

– Ale?

Spojrzała na Whita, potem na męża.

– Henrietta Sedley jest córką hrabiego Cheadle.

Whita ogarnęło uczucie triumfu, kiedy dowiedział się, kim jest Hattie. Cheadle zdobył dla siebie hrabstwo – otrzymał je od króla za zasługi na morzu. „Wyrastałam w dokach” – powiedziała, kiedy próbował ją przestraszyć plugawym językiem.

– To ona.

– Zatem Ewan pracuje razem z hrabią Cheadle? – Diabeł pokręcił głową. – Dlaczego hrabia miałby się zwracać przeciwko nam? To nie ma sensu.

Rzeczywiście nie miało. Andrew Sedley, hrabia Cheadle, cieszył się miłością pracowników doków i marynarzy. Jego kompania dawała uczciwą pracę i dobre zarobki i ludzie, którzy pracowali na Tamizie, wiedzieli, że hrabia chętnie zatrudni każdego zdatnego do ciężkiej pracy, niezależnie od tego, jak się nazywa i skąd pochodzi.

Bękarci nigdy nie mieli okazji, żeby zetrzeć się z Sedleyem, bo ten prowadził wyłącznie legalne interesy i płacił wszelkie podatki. Żadnej broni. Zabronionych używek. Ludzi. Bękarci trzymali się tych samych zasad, ale pracowali w mroku, przemycali trunki, papier, kryształy i peruki i inne towary, na które Korona nakładała przesadne podatki. I nie wahali się bronić swoich interesów siłą.

To, że Cheadle miałby ich zaatakować, było zupełnie niezrozumiałe. Ale Cheadle i jego córeczka nie byli sami.

– Syn – powiedział Whit. August Sedley był bezużytecznym głupcem, nierespektującym zasad ojca i niebudzącym niczyjego szacunku.

– Możliwe – zgodziła się Felicity. – Nikt nie ma o nim dobrego zdania. Jest czarujący, ale niezbyt inteligentny.

A to oznaczało, że młodemu Sedleyowi brakowało rozsądku, żeby pojąć, że zwracanie się przeciwko najbardziej znanym i kochanym w Covent Garden przestępcom, nie może nikomu ujść na sucho. Jeśli brat Hattie stał za tymi napadami, to mogło znaczyć tylko jedno.

Diabeł też to rozumiał.

– Brat pracuje dla Ewana, a dziewczyna chroni rodzinę.

Whit wiedział, jaką się za to płaci cenę.

– Przegrała. – Diabeł znowu postukał laską w podłogę, spoglądając w stronę Jamiego. – Koniec z tym. Weźmiemy syna, ojca, całą cholerną rodzinkę, jeśli trzeba będzie. A oni zaprowadzą nas do Ewana. I tamto też się skończy. – Walczyli z Ewanem od dwudziestu lat. Ukrywali się przed nim. Chronili przed nim Grace.

– Grace to się nie spodoba – zauważyła cicho Felicity. Dawno, dawno temu Diabeł i Whit złożyli siostrze szczególną obietnicę – że nie skrzywdzą Ewana. Nie miało znaczenia, że był czwarty w ich gromadce i że ich zdradził podstępnie. Grace go kochała. I kazała im przyrzec, że nigdy go nie tkną.

Ale Grace była poza tym wszystkim. Whit pokręcił głową.

– Grace będzie musiała to znieść. On sięga nie tylko po nas. Sięga po więcej niż przeszłość. Teraz zabija naszych ludzi.

Chce zniszczyć świat, który Bękarci gotowi byli chronić za wszelką cenę.

Nadszedł czas, żeby z tym skończyć.

Whit spojrzał bratu w oczy.

– Ja to zrobię.

Tym słowom towarzyszyło przytłumione pukanie do drzwi budynku. Zapewne kolejny pacjent. W Garden zawsze znalazł się ktoś, kto potrzebował pomocy – i niech go diabli, jeśli pozwoli utytułowanemu arystokracie powiększyć liczbę trupów.

Bracia długo patrzyli sobie w oczy.

– Wszystko?

– Firma, nazwisko, wszystko, co dla niego cenne. Zniszczę to. – Młody Sedley stanął Bękartom na drodze i w ten sposób sprowadził na siebie zgubę.

– A lady Henrietta? – zapytała Felicity, wprawiając Whita w złość tym tytułem. Nie lubił w niej arystokratki. Odpowiadała mu jako Hattie. – Sądzisz, że bierze w tym udział? Że pracuje dla Ewana?

– Nie. – Nie miał co do tego cienia wątpliwości.

Diabeł przyglądał mu się uważnie.

– Skąd wiesz?

Wiem.

Ale to nie mogło wystarczyć.

– Zdradzi brata.

Diabeł milczał chwilę.

– A ty zdradziłbyś swoich?

Whit zacisnął zęby.

– A jeśli tego nie zrobi? – zapytała Felicity. – Co wtedy?

– To będzie kolejna strata, skutek uboczny – stwierdził Diabeł. Whit stłumił niechęć, jaką te słowa w nim wzbudziły.

Felicity skierowała wzrok na męża.

– Czy ze mną kiedyś nie było podobnie?

Diabeł miał dość rozumu, żeby przybrać melancholijny wyraz twarzy.

– Przez ułamek chwili. Na tyle długo, żebym zdołał się opamiętać.

– Jeśli jest wrogiem, załatwię to – oświadczył Whit.

Diabeł uniósł brew.

– Jeśli?

„To jest Rok Hattie”.

Urywki rozmowy w powozie.

– Nawet jeśli ona sama nie jest wrogiem – zauważył Diabeł – chroni kogoś, kto nim jest. – Skrzyżował ręce na piersi i posłał bratu surowe spojrzenie. – A to sprawia, że jest cenna.

Sprawia, że może wpływać na sytuację.

– Nie masz wyjścia, bracie, tylko musisz jej uświadomić prawdę – powiedział Diabeł. – Niezależnie od tego, jak ci się podoba.

Prawdę o nich. Bitni Bękarci nie zostawiają wrogów przy życiu.

– Załatw to, zanim sprowadzimy kolejny ładunek – powiedział Diabeł. – Nowy towar będzie w porcie w przyszłym tygodniu.

Whit skinął głową; drzwi pokoju otworzyły się, stanął w nich doktor.

– Macie wiadomość. – Pchnął drzwi szerzej i jeden z najszybszych posłańców Bękartów wszedł do środka.

– Brixton – zwróciła się Felicity do chłopca, który rozpromienił się pod wpływem jej spojrzenia. Uwielbiali ją wszyscy chłopcy w Garden – genialna włamywaczka i uosobienie doskonałego macierzyństwa. – Myślałam, że jedziesz do domu?

– Żeby się nauczyć, mam nadzieję, jak trzymać gębę na kłódkę, chłopcze – powiedział Whit, dając jasno do zrozumienia, że wie, co Brixton naopowiadał Diabłu o Hattie.

– Nie zwracaj na niego uwagi – powiedziała Felicity. – O co chodzi?

Brixton uniósł brodę, zerkając na Whita.

– Raportują, że jest dziewczyna na targu. Szuka Bestii. – Po chwili dodał: – Nie dziewczyna właściwie. Kobieta. – Zniżył głos. – Chłopcy myślą, że to dama.

Whit jęknął w duchu.

Hattie.

– I wypytuje o różne rzeczy.

Felicity popatrzyła na Whita.

– Czy tak?

– Tak. Nie to, żebyśmy odpowiadali. – Oczywiście, że nie. Nikt w Covent Garden nie podałby lady Henrietcie Sedley żadnych informacji o Bękartach. To była główna, niepisana zasada. Bękarci należą wyłącznie do tej dzielnicy.

– Dobra robota, Brixton – odezwał się Diabeł, podrzucając monetę w powietrze, którą chłopiec złapał zręcznie, uśmiechając się, i wyszedł, zanim Diabeł zdążył dodać: – Wygląda na to, że jednak nie będziesz musiał jej szukać, Whit.

Whit był pełen niedowierzania. I nieufności. Chciał ją wytropić. Ale nie musiał jej szukać.

Ona znalazła go pierwsza.

8

Na całym świecie nie było niczego, co mogłoby się równać z targiem w Covent Garden.

Przez wielką, kamienną kolumnadę wchodziło się na ogromny plac, niekończący się labirynt sklepów i straganów, które sprzedawały wszystko, czego tylko dusza zapragnie – stosy warzyw i owoców, kwiaty i słodycze, paszteciki i porcelanę, antyki i materiały.

Hattie nie posiadała się z zachwytu, wędrując między handlarzami, kuszona barwami późnojesiennych zbiorów – czerwienią i pomarańczem kwiatów, kolorami wspaniałych dyń i buraków, stosami ziemniaków wciąż ciemnych od żyznej ziemi, w której wyrosły.

Dla wielu sam budynek był tym, co najświetniejsze – perłą architektury; masywny i imponujący, z wielkimi belkami pod sufitem, konstrukcja z kamienia i żelaza – największy i najdroższy targ w Londynie, przedmiot zazdrości całego świata.

Ale budynek nie liczył się dla Hattie. Hattie pociągali ludzie. A ludzi był tam ogromny tłum. Chłopi i handlarze, kwiaciarze i rzeźnicy, piekarze i sprzedawcy pasmanterii, kotlarze i krawcy, wszyscy zachwalający towary klientom, do których należały najbiedniejsze pokojówki i najwspanialsi przedstawiciele arystokracji. Jeśli ktoś tu trafił, nie miało znaczenia, skąd pochodził – targ w Covent Garden należał do tych nielicznych miejsc w mieście, gdzie nędzarskie pół pensa można było tak samo dobrze wydać jak

książęce pół pensa – może nawet lepiej, bo biedacy nie wahali się podnosić głosu w razie potrzeby… a na targu taka potrzeba zawsze zachodziła.

Poza barwami i zapachami był jeszcze dźwięk. Kakofonia krzyków i śmiechu chętnych kupujących i gorliwych handlarzy, szczekanie psów, gdakanie kurczaków, fujarki, skrzypki, dziecięcy chichot.

Wspaniałe, cudowne zamieszanie. Hattie je uwielbiała.

Uwielbiała od dziecka, kiedy ojciec pozwalał jej kręcić się na statkach, kiedy rozładowywano towary – to trwało godzinami, mimo wysiłków dziesiątków pracujących w pocie czoła mężczyzn. A po wszystkim pan Sedley (nie był jeszcze wówczas hrabią) obiecywał najstarszemu dziecku wyprawę na targ w Covent Garden, żeby mogło wybrać coś dla siebie.

Wspominała tamte dni, przechadzając się po targu, podczas gdy blask zachodu czynił z Londynu – nawet z jego najbardziej zapomnianych części – miejsce magiczne. Myślała o tamtych czasach, o tym, jak uwielbiała ojca, o tym, jak zakochała się w statkach, firmie, dokach. I o tym, jak kochała ten targ, hałaśliwy i pokryty trocinami, które miały pochłaniać smród i brud, które w tym miejscu wcale nie wydawały się takie odrażające.

I tak samo jak w dzieciństwie, Hattie nie spieszyła się. Tak jak kiedyś zatrzymywała się przy każdym straganie, uśmiechając się do kupców i gawędząc z gospodarzami, żeby znaleźć najlepszą cenę, tak teraz zastosowała tę samą taktykę. W poszukiwaniu innego smakołyka.

Bestii.

Szukała metodycznie, wybierając najżyczliwszych handlarzy. Gospodarza z jabłkami, kobietę z koszem kociaków na biodrze, krawcową haftującą na lnianej szmatce – jakimś cudem śnieżnobiałej w takim miejscu – maleńką różę. Rozmawiała z nimi, kupiła jabłko, pogłaskała kotki, zamówiła tuzin chusteczek.

Potem pytała o Bestię.

Czy go znają? Czy coś o nim wiedzą?

Czy mają pojęcie, gdzie go można znaleźć?

Ma coś, co do niego należy… i chciałaby to zwrócić.

Jednak jej przyjazny ton niewiele znaczył. Tak samo jak jej pańskie maniery. Kiedy tylko wymawiała jego imię – to głupie, bajkowe przezwisko – handlarze zamykali się przed nią.

„Proszę wybaczyć, łaskawa pani”, powiedział gospodarz, odwracając się do kolejnego klienta.

„Nie słyszałam o takim”, zapewniała kobieta z kociętami, „Ale kupi pani jednego?”

„Z pewnością zapamiętałabym takie imię”, ręce krawcowej nawet nie drgnęły.

Wydawało się, że całe Covent Garden zebrało się na targu, żeby bronić Bestii.

Hattie westchnęła i odgryzła kawałek jabłka; słodki smak rozlał się jej na języku, kiedy manewrowała między wozami, już nie tak zawalonymi towarem po całym dniu ciężkiej pracy. Zgiełk na targu przygasał w miarę, jak słońce schodziło niżej na horyzoncie – ludzie spieszyli do domów, do łóżek, żeby wstać wcześnie i wrócić tu następnego dnia.

– Kwiaty dla pani? – Na drodze, kiedy szła w kierunku kościoła St. Paul, stanęła dziewczynka, nie starsza niż siedem czy osiem lat, o ciemnej cerze i żywych oczach. Czarne włosy miała upięte pod czepkiem, parę kosmyków wymknęło się spod niego w ciągu dnia; jej sukienka i szal nosiły ślady wielokrotnych reperacji. Na ramieniu zawiesiła dziurawy, zniszczony koszyk z pięcioma przywiędłymi z braku wody daliami.

Hattie spojrzała w ciemnobrązowe oczy dziecka, dostrzegając w nich niepewność i rezygnację. Dziewczynka zdawała sobie sprawę, że kwiaty nie są już takie świeże jak parę godzin wcześniej. Wiedziała też, że nie wolno jej wrócić tam, skąd przyszła, jeśli ich nie sprzeda.

Hattie też wiedziała. Kupiła je więc, dwa pensy za kwiaty i jeszcze pensa dla małej handlarki, która chciała odejść, bez wątpienia bojąc się, że Hattie

zmieni zdanie. Kiedy jednak Hattie powiedziała: „Poczekaj”, zawahała się. Hattie pochyliła się nad nią.

– Szukam kogoś. Może będziesz mogła mi pomóc?

Ostrożność przeszła w nieufność.

– Ja nic nie wiem o niczym, psze pani.

– Szukam mężczyzny – naciskała Hattie. – Nazywa się Bestia.

Znała go. Hattie zobaczyła to w jej pięknych, brązowych oczach. A potem ich wyraz zmienił się. Dziewczynka rozejrzała się, patrząc na ludzi poruszających się po pustoszejącym placu. Szukała kogoś? Szpiegów?

– Nie chcę go skrzywdzić – dodała Hattie.

Dziecko uśmiechnęło się niespodziewanie, jakby Hattie powiedziała jakiś żart.

– Nikt nie skrzywdzi Bestii – oświadczyła mała, zanim zorientowała się, że przekazała informację, którą powinna zatrzymać dla siebie. Otworzyła szeroko oczy, ale zanim Hattie zdołała otworzyć usta, powiedziała:

– Nie, psze pani. Nie mogę pani pomóc. – I odbiegła z imponującą szybkością, jakby nigdy jej tam wcześniej nie było.

Hattie westchnęła, patrząc za dziewczynką i owijając się ciaśniej szalem, bo wrześniowe powietrze straciło o tej porze ciepło słońca. Czy ten człowiek trzymał w sakiewce całe Covent Garden?

Wkrótce będzie musiała wracać – o zmroku trudno będzie znaleźć powóz – taksówkę, ale musiała go znaleźć, do wszystkich diabłów. Stanowił klucz do wszystkiego – jej pragnień, planów, jej przyszłości. Jeśli zdoła go przekonać, żeby przerwał poszukiwania Augiego, jeśli uda jej się zawrzeć z nim układ, na mocy którego zwróci dobra, które zagarnął jej brat głupiec, jeśli uwierzy jej, że jest w stanie zakończyć te bezsensowne napady…

Jeśli po prostu znajdzie tego piekielnika, ma szansę na wszystko.

Nie wspominając już o tym, że złożył jej pewną obietnicę.

Ta myśl podziałała jak liźnięcie ognia; serce zabiło jej szybciej, mrowienie ust przypomniało jego pocałunek poprzedniej nocy. Obiecał, że

to nie będzie ostatni. Że dotrzyma słowa.

Zamierzała dopilnować, żeby tak się stało.

– Spróbuje pani szczęścia?

Odwróciła się, parę jardów dalej, przy prowizorycznym stole z beczki po ale i deski stał mężczyzna. Powoli, starannie, tasował talię kart, ledwie zwracając na to uwagę; niebieskie oczy błyszczały mu pod daszkiem czapki; uśmiechał się przyjaźnie.

– Słucham?

Cichy szelest kart kusił. Rozłożył karty na desce, po czym podniósł je jednym płynnym ruchem.

Pokręciła głową.

– Nie gram w karty.

– Ja też nie. – Mężczyzna puścił do niej oko. – Okropny nałóg.

Roześmiała się, podchodząc bliżej.

Przypominał jej lisa, chytrego i podstępnego, odmianę z Covent Garden. Był jak zielsko wyrosłe pomiędzy kamiennymi płytami targu, o silnych, wytrzymałych korzeniach, które niezawodnie odrastały, bez względu na to, jak często je wyrywano. Taki mężczyzna powinien znać króla dzielnicy. Podeszła jeszcze bliżej.

– W co zatem grasz?

Rozłożył karty.

– Proszę wybrać trzy, łaskawa pani.

Uniosła brew, a on rozłożył ręce ze śmiechem.

– Co za nieufność!

– Dlaczego przychodzi mi do głowy myśl, że chcesz mnie oskubać?

Położył rękę na piersi, udając oburzenie.

– To jak strzała w moje serce.

Oczywiście, że zamierzał ją oskubać, ale Hattie nie na darmo wyrosła wśród żeglarzy i miała własne plany. Pochyliła się i wyciągnęła trzy karty,

zostawiając je, odwrócone, na stole. Mężczyzna zebrał resztę talii, kładąc ją z boku i podnosząc kartę z góry.

– Nic w rękawie.

Wszystko w rękawie, ale Hattie chciała w to wejść.

Za pomocą karty, którą wziął jako narzędzie, odwrócił karty wybrane przez Hattie: trójka pik, ósemka trefl, a potem… królowa kier. Podniósł na nią szeroko otwarte oczy.

– Cóż, wydaje się, że dama cię wybrała.

Hattie skłoniła głowę.

– I co na tym zyskuję?

Uśmiechnął się znowu.

– Okazję, żeby znowu spróbować szczęścia, oczywiście.

– Ile?

– Sześć pensów. – Wygórowana cena – dość, żeby przekonać Hattie, że gracz uznał ją za łatwą zdobycz.

Pozwoliła na to; sięgnęła do kieszeni i wydobyła wzmiankowaną monetę. Położyła ją na stole.

– A jeśli znowu szczęście mi dopisze?

– Cóż, wtedy podwoję stawkę, rzecz jasna!

– Naturalnie – powiedziała. Ten mężczyzna nie przegrywał. Tutaj zarabiał na życie, na skraju targowiska, oskubując tych, którzy uważali, że są od niego lepsi. – Co teraz?

– Nic trudnego. – Uśmiechnął się, ponownie odwracając karty. Karta królowej była nieco wygięta. – Gdzie jest dama?

Hattie wskazała królową. Odwrócił kartę wierzchem do góry, a potem znowu spodem.

– Jakbyś się do tego urodziła. – Puścił do niej oko. – Tylko tyle potrzeba… Patrz na damę.

Zaczął tasować karty, najpierw powoli, tak żeby Hattie mogła śledzić królową. Potem coraz szybciej, aż karty zaczęły się zlewać. Nowicjusz

przyglądałby się kartom na stole, oczywiście, usiłując nie stracić z oczu królowej.

Hattie nie była nowicjuszką.

Kiedy mężczyzna skończył i na stole znowu pojawiły się trzy karty, podniósł głowę i powiedział:

– Niech dama znajdzie damę.

Hattie sięgnęła do kieszeni i wyjęła złotą koronę – więcej pieniędzy niż ten szulerzyna mógłby zarobić na targu w tydzień.

– Podbijemy stawkę?

W jego oczach błysnęła chciwość.

– Zamieniam się w słuch.

– Jeśli przegram, jest twoja.

Tym razem to był wyraz triumfu.

– Ale jeśli znajdę damę… powiesz mi, gdzie mogę znaleźć Bestię.

Zaskoczyła go; wydawał się walczyć z wątpliwościami, czy wchodzić w taki układ. Zwyciężyła arogancja, jak to często u mężczyzn. Odrzucając propozycję, przyznałby, że może przegrać.

Nie zdawał sobie sprawy, że Hattie prowadzi poważniejszą grę.

– W porządku, moja pani. Umiesz się targować. – Machnął ręką nad stołem. – Gdzie jest królowa?

Spodziewał się, że wybierze środkową kartę. Każdy bystry obserwator, przyglądający się kartom na stole, wybrałby tę właśnie kartę, również ze względu na wypukły środek. Ale Hattie nie patrzyła na karty na stole. Przyglądała się tym, które trzymał w dłoniach.

Dotknęła palcem karty z lewej strony.

Znowu błysnął szerokim uśmiechem.

– Sprawdźmy to, co? – Podniósł kartę z prawej strony i przewrócił kartę w środku – trójka pik – gdyby ją wybrała, pozwoliłby, żeby sama ją odwróciła.

Był przygotowany. Poprosi ją, żeby się odsunęła i pozwoliła odwrócić kartę, a potem wykona ruch ręki, dzięki któremu na początku położył na właściwym miejscu królową. Machnął ręką, żeby odeszła trochę dalej.

Zamiast to zrobić, sama odwróciła kartę, ukazując królową.

Podniósł wzrok.

– Wygląda na to, że dama mnie rzeczywiście wybrała – powiedziała. Zabrała koronę ze stołu i schowała ją do kieszeni. – Zgodnie z umową, jesteś mi winien sześć pensów i informację.

Zmrużył oczy w wąskie szparki, szacując ją na nowo, widząc coś poza czepkiem i szalem, które sprawiły, że uznał ją za nowicjuszkę.

– Jesteś graczem. I oszukujesz.

– Nonsens – odparła spokojnie Hattie. – Tylko wyrównałam szanse. A jeśli było w tym jakieś oszustwo, to takie, że zamierzałeś dokonać podmiany pirata i wymienić moją królową na ósemkę trefl, którą miałeś w ręku.

Mężczyzna skrzywił się i zebrał karty gładkim ruchem, zacierając zręcznie wszelkie ślady oszustwa.

– Nie zakładam się z szulerami.

– Proszę, nie bądź rozczarowany – powiedziała Hattie. – Nigdy nie widziałam nikogo, kto by lepiej tasował karty. Ale bądźmy sprawiedliwi, założyliśmy się.

– Tak, ale nie grałaś czysto. – Wsunął karty do kieszeni i podniósł się, ukazując drobną postać – był co najmniej sześć cali niższy od niej i chudy jak trzcina. Bez trudności jednak podniósł deskę i wsadził ją sobie pod pachę. – Nie było żadnego zakładu.

Sapnęła gniewnie, kiedy odchodził, kręcąc się pomiędzy tymi, którzy jeszcze zostali na placu.

– Grałam tak samo uczciwie jak ty! – Szła za nim. – Obiecałeś mi informację.

– Nie mam żadnych informacji. – Przyśpieszył kroku i skręcił w mały zaułek przy głównym placu, prowadzący głębiej w dzielnicę Garden.

Zniknął za rogiem i Hattie podbiegła za nim.

– Poczekaj! Proszę! – Ten mężczyzna wyrósł na ulicach Covent Garden. Wiedział o Bestii. Dostrzegła go przy końcu innego zaułka; właśnie skręcał.

Odwrócił się, kiedy wyłoniła się zza rogu.

– Odczep się! – Kontynuował rejteradę, w kolejny zaułek i jeszcze następny.

Hattie była coraz bardziej zdesperowana. Za chwilę miała go stracić.

– Powiedz mi tylko, gdzie go znaleźć! – zawołała za nim. Znowu skręcił. I znowu.

Zniknął. Rozpłynął się w labiryncie ulic.

– Niech to – szepnęła w mroku, z bijącym mocno sercem; dyszała z wysiłku, w pustej uliczce to był jedyny dźwięk. Ostatnia szansa przepadła. – Niech to.

– Wiem, gdzie go znaleźć, psze pani.

– Tak, ja też.

Obróciła się na pięcie.

Zbliżało się do niej dwóch mężczyzn. Większych niż ten, którego ścigała. Jednemu z nich czapka nasunięta nisko na czoło kryła twarz z wyjątkiem czubka nosa. Pomarańczowa, bujna czupryna drugiego wyróżniała się nawet w gęstniejącym mroku. Uśmiechnął się, odsłaniając popsute zęby. Ale to nie jego zęby sprawiły, że Hattie zadrżała. Tylko jego oczy. Pełne chciwości.

Cofnęła się o krok.

– Nie potrzebuję pomocy. Dziękuję.

– Och, oto dama – stwierdził Czapka. – Taka uprzejma.

– I ten akcent, jakby się urodziła na kupie pieniędzy – dodał Zęby. – Dość pieniędzy, żeby nam zapłacić tyle, ile dzisiaj przez nią straciliśmy.

Pokręciła głową.

– Ja nie… w życiu was nie widziałam.

Czapka wciągnął powietrze przez zęby.

– Tak, ale rozpracowałaś naszego człowieka. Mógł zarabiać jeszcze godzinę, gdyby nie ty.

Szuler. Nie pracował sam. Pracował dla tych dwóch. Dwóch mężczyzn, którzy chcieli dostać swoje pieniądze tu i teraz, w tym pustym zaułku, w który się, w głupocie swojej, zapędziła. Szukała rozpaczliwie jakiegoś wyjścia.

– Dam wam to, co proponowałam jemu. Koronę.

– Koronę, powiada – parsknął Zepsute Zęby.

– Ile nas kosztowała? Trzy razy tyle? – burknął drugi szyderczo. Niemożliwe. Szulerom zajęłoby parę dni, żeby tyle zarobić.

To nie miało znaczenia.

– Nie mam tyle. – Sięgnęła do kieszeni. Wyjęła resztę pieniędzy. – Mam sześć szylingów, dwa pensy.

Byli prawie przy niej.

– Aj… Ona nie ma tyle, Eddie. – Czapka cmoknął.

– To co zrobimy, psze pani? – zapytał Eddie. – Może ty coś wymyślisz? Mikey nie ma nic przeciwko dużym dziewczynom.

Uniosła brodę. Ściągnęła mocniej szal, wsuwając rękę w jego fałdy.

– Nie podchodźcie bliżej.

– Bo co?

– Może zacznie krzyczeć. – Mikey błysnął żółtymi zębami, jakby go to bawiło.

– A niech krzyczy – powiedział Eddie cicho. Był na tyle blisko, że mógł jej dotknąć, gdyby zechciał. – Ale nie znajdzie tutaj wybawcy.

Ogarnął ją strach i wściekłość. Wściekłość przeważyła.

– To będę musiała sama się wybawić.

9

Nie podobało mu się, że jest w Covent Garden.

Bestia ruszył w stronę targu, świadom, że słońce zachodzi – i tego, że plac w jednej chwili z przyjaznego miejsca może stać się niebezpieczny, zwłaszcza dla hrabiowskiej córki, po której widać było, że pochodzi z Mayfair, choćby nie wiadomo, jak dużo czasu spędziła w porcie. Mogłaby równie dobrze pochodzić z drugiego końca świata; tutaj, po zmroku, wszelkie zło stawało się możliwe.

A jeśli odejdzie, zanim on się tam zjawi?

Przyśpieszył kroku, żeby dotrzeć do niej, zanim zgasną ostatnie promienie słońca; skracał drogę, przechodząc przez budynki, lawirował z zaułku w zaułek, w końcu skręcił i zderzył się z maleńkim ciałem, które biegło w przeciwnym kierunku. Chwycił dziecko, żeby nie odbiło się od jego nóg, lądując w błocie; zauważył jej pusty koszyk i wytarty czepek.

– Bess – odezwał się z silnym ulicznym akcentem, kiedy mała odzyskała równowagę. – Co się stało, że tak pędzisz?

Otworzyła szeroko oczy.

– Bestia! Nic jej nie powiedziałam! Myślałam, że się przyczepiła, bo chciała kupić kwiaty.

Hattie.

Zerknął na pusty koszyk.

– Wydaje się, że o to jej chodziło.

Dziewczynka kiwnęła głową i czepek przekrzywił jej się jeszcze bardziej.

– Tak. Kupiła wszystko. Za trzy pensy!

Hojność Hattie go nie zdziwiła, ale starał się wyglądać na zaskoczonego.

– A teraz, dzieciaku? Gdzie jest dama?

Pokręciła głową.

– Nie powiedziałam jej, gdzie cię znaleźć. Nigdy bym tego nie zrobiła.

– Nie wątpię.

Wypięła dumnie pierś.

– Zostawiłam ją na placu, właśnie tak. Powiedziałam jej, że nikt ci nie da rady.

Wyobraził sobie, że Hattie się tym nie przejęła. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął torebkę ze słodyczami; poczęstował dziewczynkę. Kiedy wsunęła cukierka do ust, ujął ją pod brodę, mówiąc:

– Dobra robota, Bess. Już prawie ciemno. Lepiej wracaj do mamy. – Obie będą musiały wstać wcześnie rano – o świcie zerwą kwiaty, a potem pójdą na targ, żeby je sprzedać.

Gdyby to zależało od Bękartów, każde dziecko w dzielnicy wstawałoby wcześnie, żeby pójść do szkoły, ale rodziny musiały jeść i najlepsze, co Diabeł i Whit mogli im zapewnić, to czysta woda i względne bezpieczeństwo.

A to znaczyło, że nie miał czasu, żeby zapewniać ochronę damulkom z arystokracji, które szukają przygód; powiedział jej przecież wyraźnie, że ją znajdzie, a nie odwrotnie. Pożegnał Bess i pobiegł na plac; zastał Hattie w niebezpiecznej sytuacji z jednym z szulerów z targu, który wyraźnie chciał ją oskubać z gotówki.

Przypuszczał, że wybrała tę sukienkę, wyobrażając sobie, że się zleje z tłumem w Garden; sukienka miała jasnozieloną barwę mchu, do tego czepek w tym samym kolorze; dzianinowy szal na ramionach miał uczynić ją – bezkształtną? Whit sądził, że nie zwróciłby uwagi na ten cały strój,

gdyby nie kobieta w środku, której nie dało się nie zauważyć i o której dałoby się powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest „bezkształtna”. Zwłaszcza nie w oczach mężczyzny, który miał okazję bliżej się jej kształtom przyjrzeć poprzedniego wieczoru.

Przypomniał sobie nagle smak jej języka, ciepło jej szybkiego oddechu na ustach, dotyk jej palców we włosach.

Oparł się pokusie wyobrażania sobie tego, co mogłoby potem nastąpić; szedł ku niej bez wahania, przyśpieszył jeszcze, kiedy zdał sobie sprawę, że to nie ją skubią. To ona ogrywała tamtego.

Szuler, z gniewną miną zabrał stół i odszedł, kierując się ku najbliższemu zaułkowi. I Hattie podążyła za nim – nie wiedząc, że idzie prosto w łapy złodziei.

Whit puścił się biegiem.

Szedł ciemną, pustą uliczką, gdzie zniknęli, skręcając w jeden zaułek za drugim – każdy z nich był znakomitym miejscem, żeby okraść bogatą pannę, żeby zrobić coś gorszego. Zaklął; jego głos odbił się głośnym echem w ciemności.

– Nie podchodźcie bliżej!

Nie, nie podobało mu się, że Hattie jest w Garden. Nie podobało mu się, że nurza buty w błocie Garden, że jej głos odbija się od kamiennych ścian. Ale zdecydowanie najbardziej nie odpowiadał mu jej strach.

Zniszczy każdego, kto jej dotknie.

W tym momencie biegł, nie oglądając się na nic, byle do niej dotrzeć jak najszybciej. Wmawiał sobie, że robi to tylko dlatego, że Hattie jest kluczem do pokonania wroga.

Żeby ją chronić z tego powodu.

Za rogiem, w mroku, Whit dostrzegł plecy braci Doolan – rasowych bandziorów z Garden, wyrosłych na tutejszym błocku, których siła fizyczna znacznie przewyższała inteligencję.

Stali przed Hattie.

Whit nie widział twarzy Hattie za szerokimi ramionami bandytów, ale wyobrażał ją sobie i nie mógł tego znieść. Blada, z fiołkowymi oczami – co za niemożliwy kolor – szeroko otwartymi z przerażenia, z rozchylonymi pełnymi wargami, płytkim, urywanym oddechem.

Ogarnęła go wściekłość, serce łomotało mu w piersi.

Chronić ją.

Nie widział jej. Ale wiedział, że będzie się cofała przed smrodem ich zepsutych zębów, bliznami na twarzy, brudem na rękach.

Zaraz.

Nie cofała się.

– Z tego, co widzę, panowie – powiedziała głosem dźwięcznym i twardym jak stal – nie doceniliście moich umiejętności dawania sobie rady w takich sytuacjach. Nie sądzę, żebyście chcieli się przekonać, jak to robię.

Zeszłej nocy w powozie miała przy sobie mały nóż, wystarczający, żeby przeciąć więzy na jego rękach, ale za mały, żeby zasiać strach w sercach braci Doolan, którym grożono dużo bardziej imponującą bronią. A jednak…

Cofali się przed nią.

Co, u diabła? Whit, wciąż kryjąc się w cieniu, podszedł nieco bliżej.

– Skąd to masz, dziewczyno? – zapytał Eddie Doolan. Czyżby głos mu drżał?

– A więc go znacie? – Była zaskoczona.

– Wszyscy w dzielnicy go znają – odparł Mikey Doolan z niekłamaną paniką w głosie.

Stała się nagle widoczna, oświetlił ją snop odbitego słonecznego światła; Whit o mało nie zakołysał się na piętach ze zdumienia. Wysoka i silna, wyprostowana jak struna, ze szczękami zaciśniętymi jak u wojownika. A w jej dłoni… ostrze naprawdę zdolne zadawać śmiertelne ciosy.

Whit wiedział o tym doskonale, bo sto razy używał go do tego celu. Tysiąc razy.

Kobieta trzymała jeden z jego noży.

Kiedy pierwszy szok minął, Eddie zapytał głosem pełnym napięcia i piskliwym ze strachu:

– Czy należysz do Bestii?

Whit stłamsił swoją reakcję na to pytanie.

– Mam nóż, no nie?

Sprytna dziewczyna, długo by szukać drugiej tak odważnej.

– Cholera – parsknął Mikey. – Nie mam z tym nic wspólnego. – Uciekł, jak spłoszony uliczny szczur, jakim był w gruncie rzeczy.

Zwróciła zdziwione spojrzenie na Eddiego.

– To raczej nielojalne z jego strony, czyż nie?

Eddie przełknął ślinę.

– Nie powie pani Bestii, co?

Whit odpowiedział za nią, wychodząc z cienia.

– Nie będzie musiała.

Hattie sapnęła, kiedy Eddie odwrócił się do Whita z rękami w górze.

– Nic nie robiliśmy, Bestio. Trochę ją postraszyliśmy. Tyle tylko, żeby nie psuła szyków naszemu karciarzowi.

Podszedł bliżej.

– Jakie są zasady, Eddie?

Grdyka Eddiego poruszała się gwałtownie; szukał odpowiedzi, której nie był w stanie z siebie wydobyć.

– Nie krzywdzimy dziewczyn. Ale…

Whit nienawidził tego słowa. Reguła nie miała żadnych ograniczeń. Ta jedna sylaba sprawiła, że miał ochotę rozerwać mężczyznę na strzępy.

Oczy Eddiego o mało nie wyszły z orbit, kiedy Whit do niego podszedł. Zaczął paplać bez ładu i składu:

– Skąd mieliśmy wiedzieć, że wyciągnie nóż, Bestio. Jak się tak pomyśli, to właściwie ona zaczęła.

Co za piekielny dureń.

Whit pokiwał głową.

– Zaczęła, uciekając przed wami.

Malutki móżdżek Eddiego silił się na odpowiedź.

– Biegła za karciarzem. Szukała ciebie. – Sądząc, że potrącił właściwą nutę, uśmiechnął się. – Chroniliśmy ciebie, rozumiesz.

– Och, błagam – parsknęła Hattie nad ramieniem Eddiego, ale Whit nie spojrzał na nią, bojąc się, co by się stało, gdyby to zrobił.

Zamiast tego chwycił Eddiego za klapy i przyciągnął do siebie.

– Jeśli jeszcze kiedyś złapię cię na tym, że grozisz kobiecie, dam ci posmakować tego noża. Pamiętaj. Jestem wszędzie. Widzę wszystko.

Eddie przełknął ślinę; na czole perlił mu się pot. Skinął głową.

– Czy masz coś damie do powiedzenia?

– Prze-praszam – szepnął bandzior.

Nie wystarczyło.

– Głośniej.

– Przepraszam. Błagam o wybaczenie. Przepraszam, psze pani.

Wtedy Whit spojrzał na Hattie, której oczy zaokrągliły się ze zdumienia.

– Tak. W porządku. – Spojrzała mu w oczy; nie spodobała mu się jej niepewność. – Przyjmuję. Wydaje się, że dostał nauczkę.

– Wynoś się. – Pchnął Eddiego, nie patrząc. Mężczyzna padł na ziemię, zerwał się i uciekł, co sił w nogach. Whit podniósł głowę w stronę dachów i gwizdnął długo i przenikliwie. – Znajdź mi Mikeya Doolana. Powiedz mu, żeby mnie znalazł przy ringu. Jeśli nie przyjdzie, nie spodoba mu się, co się stanie, jak ja po niego przyjdę.

Zwrócił się ponownie do Hattie, której niepewność zmieniła się w ciekawość.

– Czy masz zwyczaj przemawiać do budynków?

– Skończę z tym, jak przestaną mnie słuchać.

– Kamienie sprowadzą go do ciebie? – Ponieważ milczał, dodała: – A więc to prawda, co mówią?

Kto z nią rozmawiał? Co powiedział?

Mruknął pod nosem, przejęty gniewem na samą myśl, że mogła ją spotkać jakaś krzywda tutaj, na jego terenie. Że nie zdołałby jej, być może, obronić, gdyby zjawił się parę minut później. Niezależnie od tego, czy miała nóż, czy nie.

Co do noża. Wyciągnął rękę.

– Oddaj mi broń.

Zacisnęła mocniej palce na onyksowym nożu; wyobraził sobie, jak ciepło jej dłoni ogrzewa ozdobny wzór na rękojeści, jak jej miękka rękawiczka poleruje stal niezawodnego noża, zawsze pewnie trafiającego w cel.

– Co się dzieje na ringu?

To moja jedyna pociecha.

– Nóż, Hattie – powiedział, ignorując pytanie.

Spojrzała na niego.

– Przestraszyli się go.

Nie odpowiedział, czekając, aż wyrazi to, co naprawdę miała na myśli.

– Bali się ciebie.

Próbował się doszukać niechęci w tych słowach. Była samą miękkością i światłem – bardziej świeża i czysta w wykrochmalonym czepku i białym szalu, niż tutaj widywano kiedykolwiek. Zupełnie tu nie pasowała i nie powinna tu przebywać. To, czego była świadkiem, powinno wzbudzić jej obrzydzenie. Pospolitość tego miejsca. Brud.

On sam powinien budzić jej obrzydzenie.

– Nie, nie ciebie – powiedziała, a przez jedną szaloną chwilę Whit przestraszył się, że słyszała jego myśli. Podniosła nóż, przyjrzała mu się w zanikającym świetle słońca i dodała szeptem: – Przestraszyli się wyobrażenia o tobie.

– Strach jest zawsze strachem przed tym, co sobie wyobrażamy – stwierdził. Wiedział o tym lepiej niż większość ludzi. Wychował się w

strachu i nauczył z nim żyć. To, co namacalne, daje się znieść. To, co nienamacalne, odbiera oddech, sen i nadzieję.

Przechyliła głowę, przyglądając mu się z uwagą.

– A jakie jest wyobrażenie o tobie?

Bestia. Nie powiedział tego głośno. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu nie chciał, żeby myślała o Bestii, patrząc na niego.

Nie chciał, żeby na niego patrzyła.

Kłamstwo.

– Gdzie jest twoja przyzwoitka?

– Co?

– Zrozumiałe, że wczoraj ci nie towarzyszyła; w burdelu przyzwoitka nie jest potrzebna, ale jesteś zamożną kobietą, Henrietto Sedley, a na tym placu jest wielu ludzi, którzy mogliby cię rozpoznać.

Jej wargi, szerokie i pełne, rozchyliły się ze zdumienia.

– Wiesz, kim jestem.

Nie odpowiedział, nie musiał.

– Skąd? – naciskała.

Nie odpowiadając na pytanie, powiedział:

– Ty wciąż nie masz pojęcia, kim ja jestem, skoro uznałaś, że szukanie mnie to dobry pomysł.

– Wiem, że nazywają cię Bestią. – Sam jej się tak przedstawił. – Wiem, że twój brat to Diabeł. – Poczuł lekką niepewność. Czego jeszcze się dowiedziała? – Zastanawiam się, według jakiego klucza nadaje się imiona w twojej rodzinie.

– To mój brat przyrodni. Sami nadaliśmy sobie takie imiona. – Nienawidził siebie za to, że tak szybko odpowiedział. Za to, że w ogóle odpowiedział.

Jej twarz złagodniała, i to także mu się nie spodobało, wbrew logice.

– Przykro mi, jeśli to był wasz wybór. Przypuszczam jednak, że Bitni Bękarci zasługują na imiona, które działają jak cios pięścią.

Podszedł do niej o krok bliżej.

– Jak na kogoś, kto twierdzi, że nie ma pojęcia, w jaki sposób nieprzytomny znalazłem się w jego powozie wczoraj wieczorem, wydajesz się wiedzieć niemało.

Wygięła w uśmiechu wargi, które kusiły do grzechu.

– Myślałeś, że po naszym spotkaniu nie będę zadawać pytań?

Powinien się skrzywić. Powinien uczepić się dowodu, że jest w bliskich stosunkach z jego wrogiem, który postrzelił jego człowieka, ukradł jego ładunek, a jego pozbawił przytomności. Powinien zagrozić, że zniszczy i wypali żywym ogniem jej rodzinę i firmę, jeśli ona nie da mu informacji, jakiej potrzebuje.

Powinien.

Zamiast tego powiedział:

– I co jeszcze odkryłaś, jeśli o mnie chodzi?

Po jakiego diabła z nią rozmawia?

Uśmiechnęła się tajemniczo.

– Powiedziano mi, że jak się na kogoś uweźmiesz, nie zatrzymasz się, póki go nie znajdziesz.

To akurat było prawdą.

– Ale nie byłam pewna, czy przyjdziesz po mnie.

Oczywiście, że tak. Znalazłby ją w jej wieży w Mayfair, nawet jeśli nie miałaby informacji, której pragnął.

Nie. Whit oparł się tej myśli – zadziwiający akt silnej woli – póki nie dodała, ukazując ów kuszący dołeczek w policzku:

– Więc ja przyszłam do ciebie.

Nigdy by nie przyznał, jaką przyjemność sprawiło mu to wyznanie. Ani też to, że wzięła jego dłoń w swoją.

– Co się stało z twoją ręką? – Skórkowe rękawiczki nie przeszkadzały mu odczuwać jej ciepła, kiedy pogładziła palcami kostki jego dłoni, czerwone i obolałe od wcześniejszego uderzenia w ścianę. – Jesteś ranny.

Wciągnął powietrze i wysunął rękę z jej dłoni; potrząsnął nią, chcąc zetrzeć jej dotyk.

– To nic.

Przyglądała mu się chwilę i wyobrażał sobie, że widzi więcej, niżby sobie życzył. A potem odezwała się cicho:

– Nikt mi nie chciał nic o tobie powiedzieć.

Mruknął cicho.

– Ale nie przestałaś pytać. I tu wracamy do kwestii przyzwoitki. Mnóstwo ludzi z twojej sfery mogło cię widzieć. I dziwić się, że wypytujesz o mnie bez żenady.

Uśmiechnęła się kpiąco.

– Nie słynę z tego, że jestem wstydliwa. – W jej głosie było jednak coś więcej niż kpina – coś, co mu się nie podobało.

Nie okazał tego jednak.

– Nie potrafię sobie wyobrazić dlaczego. Znam cię niespełna jeden dzień i w tym czasie – kiedy byłem przytomny – odwiedziłaś burdel, a potem groziłaś nożem dwóch kryminalistom z Garden.

– Ty też nie jesteś dżentelmenem z Mayfair – uśmiechnęła się. – A może zapomniałeś, jak to zawarłeś ze mną wczoraj niestosowną umowę?

Umowa. To słowo wywołało wspomnienie poprzedniej nocy. Jej smaku. Dotyku jej ciała w jego ramionach. Jej spojrzenia – to była uczta.

– Dlaczego nie zwrócisz się do jakiegoś paniczyka?

Miał wrażenie, że rozważa taką możliwość. Nie myśl o tym, zaklinał ją w duchu, zanim odpowiedziała:

– Cóż, nie mam takowego pod ręką, a już na pewno żadnego wyboru. – Bo arystokraci to skończeni durnie.

– A zatem nie ma wyjścia, trzeba skromnie.

Otworzyła szeroko oczy.

– Nie uważam… – Chryste, nie mogła tego powtórzyć. – Nie patrzę na to w ten sposób.

– A zatem?

– Nie dbam o to, czy jesteś dżentelmenem. Nie potrzebuję kogoś, kto umie się poruszać w Mayfair. Nie widzę powodu, dla którego nasza umowa miałaby mieć cokolwiek wspólnego z tym, że potrafisz tańczyć walca czy znasz hierarchię tytułów arystokracji.

Znał to wszystko. Wychowywano go na przyszłego para. Przez dwa lata poznawał zawiłości arystokratycznego świata. Przez krótką chwilę, dwadzieścia lat wcześniej, mógł się stać innym człowiekiem. Mógł ją spotkać w innych okolicznościach. Gdyby Ewan przegrał, a Whit wygrał – to Whit byłby księciem.

I szukałby jej zupełnie inaczej.

Nie to, żeby mu na tym zależało. Chciał tylko pozbyć się jej z Covent Garden.

O czym to rozmawiali?

– Przyzwoitka.

Podniosła ramię i opuściła je pod tym pięknie wydzierganym szalem, który, jak sądził, nigdy już nie odzyska swojej oryginalnej bieli po całym popołudniu na targowisku.

– Nie jest mi potrzebna.

Jego westchnienie u kogoś innego mogłoby świadczyć o szoku.

– Owszem, potrzebna.

– Wcale nie. I nie jestem dzieckiem. Dzisiaj kończę dwadzieścia dziewięć lat; tak przy okazji, zwykle składa się w takich okolicznościach gratulacje i życzenia.

Zamrugał.

– Wszystkiego najlepszego. – Dlaczego, do wszystkich diabłów, to powiedział?

Uśmiechnęła się, promienna jak wiosenne słoneczko, jakby byli na sali balowej, a nie w nędznym zaułku.

– Dziękuję.

– Nie potrzebujesz przyzwoitki. Potrzebujesz dozorcy.

– Nikogo nie obchodzi, dokąd chodzę.

– Mnie tak.

– Doskonale – odparła dumnie. – Bo właśnie przyszłam do ciebie.

Powiedziała to po raz drugi i po raz drugi mu się to spodobało, a nie chciał tego doświadczenia powtarzać.

– Dlaczego?

Wyciągnęła nóż w jego stronę, otwierając dłoń; ciemna rękojeść odbijała wyraźnie od jasnej skórki rękawiczki – wolałby, żeby tej rękawiczki nie było, widziałby wtedy plamy atramentu na jej nadgarstkach i przeczytałby na jej dłoni historię, którą opowiadały.

– To należy do ciebie – powiedziała po prostu. – Obiecałam, że ci to zwrócę.

Spojrzał na broń.

– Dlaczego go przyniosłaś?

Zawahała się – znienawidził to wahanie – myśl, że ta kobieta, tak uczciwa i prawdomówna mogłaby ukryć prawdę.

– Ponieważ obiecałam, że ci go zwrócę – powtórzyła. – Przepraszam.

Wziął nóż. Za co przepraszała? Czy to było takie proste jak nóż? Jak komplet, z którego pochodził? Czy chodziło o napad na jego ładunek poprzedniej nocy? A może poprzedni? Czy wie, jakie są rozmiary jego strat? Że narażono na niebezpieczeństwo życie jego ludzi?

Albo jeszcze coś innego?

Czy to był Ewan?

Odczuł wściekłość i niedowierzanie na tę myśl. I jeszcze coś. Coś, jakby panikę. Jeśli coś ją łączyło z Ewanem, Whit nie był w stanie jej chronić.

Odsunął tę myśl. Nie pracowała z Ewanem. Wiedziałby chyba, gdyby go zdradzała, czyż nie?

Walczył ze sobą, żeby oderwać od niej wzrok, zły, że narastający mrok kradnie mu jej widok. W wąskich uliczkach Garden słońce gubiło się

przedwcześnie; rozżalony chwycił ją za rękę i pociągnął przez labirynt uliczek z powrotem na plac targowy, gdzie biały kamień odbijał jeszcze resztki pomarańczowego światła.

Puścił ją, jak tylko stanęli na placu.

– Proszę. Z powrotem tu, gdzie zaczęłaś.

– To nie tylko nóż – powiedziała, podnosząc na niego wzrok.

– Nie – odparł. – Nie tylko. Odebrano mi dużo więcej niż ten nóż.

– Teraz to wiem. Zeszłej nocy nie wiedziałam.

Wierzył jej, ponieważ bardzo tego pragnął, nawet jeśli zdawał sobie sprawę, że nie powinien. Nawet jeśli nie miał żadnego powodu, żeby jej wierzyć.

– Chcę imienia, lady Henrietto.

Udowodnij, że nie należysz do tej zmowy.

Powiedz mi prawdę.

Pokręciła głową.

– Z pewnością rozumiesz, dlaczego może być dla mnie niemożliwe spełnienie twojego żądania.

– Niemożliwe? Czy też nie chcesz tego zrobić?

– Nie chcę. – Nie zawahała się.

Była uczciwsza niż każdy z ludzi, których znał. Dużo uczciwsza niż on sam.

– Zatem znaleźliśmy się w ślepej uliczce.

– Ależ nie. – Zwróciła ku niemu rozjaśnioną twarz, na której malowały się tylko szczerość i prostota; Whit wątpił, żeby jego twarz kiedykolwiek odzwierciedlała takie uczucia. – Mam rozwiązanie.

Nie powinien poświęcić jej słowom ani chwili uwagi. Powinien jej przerwać i powstrzymać szaleństwo, w jakie chciała go wplątać.

Zamiast tego zapytał:

– Jakie rozwiązanie?

– Odszkodowanie – rzuciła uszczęśliwiona, jakby to było wyjątkowo łatwe, i ruszyła w głąb targu; chcąc nie chcąc, poszedł za nią.

Poszedł jak pies, wiedząc doskonale, że szpiedzy na dachach nie zawahają się zdać sprawozdania z jego poczynań bratu, siostrze i Nik. Wiedział o tym, ale z jakiegoś powodu było mu to obojętne. Szedł za Hattie w stronę straganów, zawsze parę kroków za nią, rozglądając się, póki nie schyliła się, żeby zajrzeć do koszyka starej kobiety z dzielnicy nędzy. Hattie podniosła głowę z niemym pytaniem na otwartej, przyjaznej twarzy i dostała jedyną odpowiedź, do jakiej taki wyraz twarzy skłaniał. Tak.

Sięgnęła do koszyka, wyciągając maleńkie, wiercące się szczenię; podniosła się, tuląc czarną puchatą kulkę do piersi i przemawiając do niej pieszczotliwie. Whit zbliżył się do niej; coś ściskało go w piersi – nie chciał tego czuć i nie chciał o niczym pamiętać. Hattie nic nie zauważyła; uśmiechnęła się do niego promiennie.

– Podoba mi się tu – oznajmiła radośnie.

To był cios; ta kobieta była tutaj, na jego terenie, tak bardzo nie na miejscu, tak bardzo rzucająca się w oczy i mówiła z taką radością w głosie, której trudno było nie usłyszeć. Nie chciał, żeby jej się tu podobało. Chciał, żeby nienawidziła tego miejsca. Żeby odeszła.

Żeby zniknęła z Garden i zostawiła go w spokoju.

Ale nie zamierzała tego zrobić. Zamiast tego ciągnęła:

– Ojciec zabierał mnie na targ, kiedy byłam dzieckiem.

To go nie zdziwiło. Wyższe sfery Londynu bywały na targu – to był ich sposób, żeby pobawić się w błocie Garden, nie ryzykując pobrudzenia. Whit widział tu setki takich bogaczy. Tysiące. Jako chłopak skubał ich, okradał, wyprowadzał na manowce. Przyglądał się mężczyznom w nieskazitelnych, czarnych garniturach, kobietom w niemożliwie białych sukniach i dzieciom na obraz i podobieństwo rodziców.

I nienawidził ich.

Nienawidził, ale gdyby nie przypadkowe zrządzenie losu, byłby jednym z nich.

Oskubywanie bogaczy sprawiało mu wielką radość. Nie spał w nocy, wyobrażając sobie ich szok, gniew i złość, kiedy odkrywali przecięte kieszenie i portfele i brak pieniędzy. Ich pieniądze mogły rządzić światem, ale tutaj ustępowały przed sprytem Whita. Przed siłą Bitnych Bękartów.

– Zanim wszystko się zmieniło – zwróciła się do psa i do niego. Zanim Sedley został uszlachcony – pewnie to miała na myśli. Wiedział, na czym mogła polegać ta zmiana. Kiedyś marzył o takiej zmianie dla siebie. Nie jeden raz. Tysiąc razy. Nawet jeśli stał tutaj, na tym placu, i pluł na samą myśl o tym.

Ale teraz, patrząc na tę kobietę, tulącą w ramionach kulę czarnego futra, zastanawiał się, czy ją kiedyś wcześniej widział. Czy przyglądał jej się kiedyś z dachu, a może zza straganu. Czy kiedyś zdumiewał się jej niezwykłymi, fiołkowymi oczami. Czy zauważył kiedyś, z zazdrością, jej promienny, zwycięski uśmiech. Bywały dni, kiedy z kompletnie pustym żołądkiem żywił się zawiścią – zazdrościłby jej wtedy czystych ubrań, szczęśliwego uśmiechu, troskliwego ojca.

Zazdrościłby jej dobrego życia, równie mocno, jak sam chciał być jego częścią.

Już nie, rzecz jasna. Nie miał czasu dla hrabiowskiej córki, z jej wygodnym życiem w Mayfair, włóczącej się po Garden.

Hattie potarła policzkiem o gładką główkę szczeniaka, uśmiechając się łagodnie; stłumił pożądanie na myśl o jej miękkim dotyku na sobie.

– Był taki gospodarz ze starym straganem… na wiosnę sprzedawał najsłodszą, najbardziej chrupką fasolkę szparagową. – Roześmiała się. – Ojciec kupował mi całą torbę, a ja otwierałam ją, zanim doszłam do bramy i zajadałam się nią. – Przerwała zmieszana. – Wciąż nazywa mnie Fasolką.

Whit nie chciał słyszeć tej historii. Nie chciał, żeby go oczarowała. A już z pewnością nie chciał znać niemądrego przezwiska, jakie nadał jej ojciec.

Nie chciał myśleć o tej małej, jasnowłosej dziewczynce ze zbyt wielkimi oczami, uwielbiającej fasolkę szparagową, nie chciał czuć smaku tej fasolki na własnym języku.

Schyliła się, odkładając szczeniaka do koszyka.

Wyprostowała się i uśmiechnęła się szeroko do starszej kobiety.

– Dziękuję. To było takie słodkie.

Handlarka skinęła głową.

– Weźmie pani jednego? – Spojrzała na Whita wyczekująco, jakby kupienie psiaka było naturalnym impulsem.

– Och, chciałabym bardzo – odparła Hattie cicho, z tęsknotą, jak dziecko, które Whit przed chwilą sobie wyobrażał.

W odruchu szaleństwa Whit rozważał zakup całego miotu, niech to diabli.

– Ale nie dzisiaj. Dzisiaj chciałam go tylko pogłaskać.

Niemal się zakrztusił tymi słowami, takimi niewinnymi i słodkimi, które w jego uszach zabrzmiały jednak tak wściekle perwersyjnie.

Jęknął cicho, sięgnął do kieszeni i wyciągnął drobną monetę, którą podał starszej kobiecie.

– Dla ciebie, Rebecco. Za to, że sprawiłaś damie przyjemność.

Kobieta dygnęła.

– Dziękuję, Bestio.

Spojrzał jej w oczy.

– Oboje wiemy, że te szczeniaki są jeszcze za małe, żeby je odstawiać od matki. Jeśli jest wam z Sethem trudno, zwróćcie się do Diabła i do mnie.

– Nie potrzebujemy jałmużny, Bestio – powiedziała surowo, z dumą w głosie. Jedyny syn Rebeki stracił nogę w wypadku rok wcześniej, kobieta starzała się z dnia na dzień, ale przecież istniały sposoby, żeby zapewnić im obojgu miskę strawy.

– To nie jałmużna. Znajdziemy wam dobrą pracę.

Oczy starej kobiety zaszkliły się, zacisnęła usta, nie odpowiadając; w końcu kiwnęła głową i schyliła się po koszyk – postawiła go sobie na biodrze i ruszyła przez plac do domu. Whit patrzył za nią przez chwilę, zanim ponownie napotkał nieustępliwe, fiołkowe spojrzenie Hattie.

Oparł się odruchowi, żeby odwrócić wzrok – ukryć się przed tymi oczami, które wydawały się widzieć wszystko. Oparł się także chęci, żeby zapytać, co takiego zobaczyła.

Tego mu nie powiedziała. Oznajmiła natomiast:

– Jestem w stanie zwrócić ci wszystko.

Wierzył jej, ale wiedział, że pozostali nie uwierzą. Nie okłamywałaby go. Zapytał jednak:

– Skąd mam mieć pewność?

– Ja mam jej dosyć za nas oboje – oświadczyła, jakby odbywała tę rozmowę dziesiątki razy wcześniej. I może tak było. Ogarnęła go niepewność, kiedy mówiła dalej:

– Wiem, że skradziono ci cztery ładunki. Wiem, że były warte co najmniej czterdzieści tysięcy funtów. Wiem, że to była kontrabanda – trunki, materiały, papier i szkło przemycane Tamizą i wywożone z Covent Garden bez podatków i pod bokiem Korony. – Ukrył zaskoczenie, milcząc, kiedy dodała:

– Jestem gotowa zwrócić ci pieniądze.

Dlaczego?

Ugryzł się w język. Skrzyżował ręce na piersi i zakołysał się na piętach.

– A skąd weźmiesz czterdzieści tysięcy?

Zmrużyła oczy.

– Myślisz, że nie zdołam tego zrobić?

– Dokładnie tak właśnie myślę.

Skinęła głową i rozejrzała się – plac pogrążył się w końcu w mroku, dalej niż na parę stóp nie dało się nic zobaczyć. Podeszła bliżej – żeby mógł ją widzieć? Żeby inni nie widzieli?

– Znajdę je tam, gdzie znalazłam nóż, który ci oddałam.

Przeklęty nóż. Symbol. Przesłanie. Czy wyciągnęła go z uda, w które je wpakował? Umyła go? Jak głęboko tkwiła w tym, co robił jej brat? Na ile związana była z Ewanem? Pewnie bardziej, niż sądził, skoro zjawiła się tutaj bez żadnej ochrony i z jego nożem.

A jednak… kiedy jej dłonie sięgnęły do szala w miejscu, gdzie się rozchylał, pochylił się ku niej jak zauroczony, przyciągnięty zapachem migdałów. Czyżby zmarzła? Nie myśląc, sięgnął do własnego kubraka, żeby go ściągnąć i ją otulić.

Odezwała się wcześniej, cicho i z lekką kpiną i z nutką… czy to był triumf?

– I gdzie znalazłam pozostałe. – Rozsunęła szal, ukazując suknię pod spodem – w kolorze zielonego mchu, szarą o zmierzchu – spokojnym kolorze, odpowiednim dla starej panny robiącej zakupy.

Ale to nie suknia przykuła uwagę Whita, pozbawiając go tchu – tylko czarny skórzany pokrowiec, przymocowany na sukni szerokimi rzemieniami. Tę skórę znał jak własną, bo to była – jego – druga skóra.

Chryste.

Kobieta nosiła jego noże – pobłyskujące w mroku, jakby należały do niej – do wojowniczej królowej.

Jej widok – dumnej, silnej, niezwykłej – groził mu tym, że padnie na kolana.

10

Wyraz jego oczu, kiedy zobaczył noże, powinien wprawić ją w panikę. Powinna zadrżeć pod wpływem jego przenikliwego spojrzenia, bezruchu, w jakim zastygł, jak dzikie zwierzę, wszystkimi zmysłami szykujące się do skoku na przerażoną ofiarę.

Serce Hattie biło mocno. Ale nie ze strachu.

Z podniecenia.

Uniosła brwi i podniosła brodę, wiedząc, że kusi los.

– Wierzysz teraz, że posiadam władzę, żeby z tobą negocjować?

Bestia wydał cichy gardłowy dźwięk, zanim zapytał:

– Skąd je wzięłaś?

Naturalnie nie mogła mu tego powiedzieć.

– Przyszłam, żeby je oddać, tak jak oddam wszystko inne. Do ostatniego funta.

Podszedł bliżej i dotknął krawędzi szala, szorstkimi palcami muskając jej rękawiczki – pożałowała, że je ma. Oddychała płytko, kiedy ją nim opatulił, rozglądając się wokół tak jak ona przedtem, jakby szukał świadków.

Jakby mężczyzna zwany Bestią zamierzał właśnie pokazać, skąd wziął się ów przydomek.

– Nie masz pojęcia, w co grasz, lady Henrietto.

Poczuła dreszcz na plecach. Powinna być przerażona. Ale nie była. Wyprostowała się.

– Nie interesuje mnie gra. Przyszłam, żeby cię znaleźć i przedstawić swoje plany.

Rok Hattie.

Nie wahał się. Chwycił ją za rękę i pociągnął, prowadząc tą samą drogą, którą przyszli. Miała dziesiątki rzeczy do powiedzenia i jeszcze więcej pytań, ale nie odzywała się, kiedy szli brukowaną drogą odchodzącą od placu – w stronę jedynej latarni chyboczącej się nad malowanym szyldem. Śpiewający Wróbelek.

– Czy to na cześć Śpiewającego Wróbelka? – Londyńczycy uwielbiali znaną w świecie śpiewaczkę, która podobno urodziła się tutaj, w Covent Garden; nadal tu śpiewała, gdy wracała ze swoich legendarnych podróży.

Wydawszy pomruk, który można było odebrać jako potwierdzenie, Whit pchnął drzwi i zanurzył się w ciemnej tawernie, mijając paru mężczyzn, którzy w swobodnych pozach rozsiedli się na krzesłach. Hattie wyciągała szyję, żeby rozejrzeć się po izbie, szarpiąc Bestię za rękę, ten jednak nie zwolnił uścisku, mijając szybko ladę, za którą stał wysoki jasnowłosy mężczyzna, wycierając szklankę.

– W porządku, Bestio?

Kolejne mruknięcie.

Mężczyzna, który mówił z amerykańskim akcentem, zwrócił się teraz do Hattie.

– W porządku, panienko?

Uśmiechnęła się promiennie.

– On nie jest zbyt rozmowny.

Zaskoczony Amerykanin zamrugał.

– Co prawda, to prawda.

– Ja mówię dość za nas oboje.

– Nie ma żadnych „nas” – warknął Bestia, otwierając jakieś drzwi i wciągając ją do środka, gdzie nie słychać było śmiechu rozbawionych mężczyzn.

Objęła wzrokiem rozległy magazyn pełen skrzyń, oświetlony małą pochodnią w rogu pokoju.

– Czy masz zwyczaj rekwirować magazyny w tawernach?

– Czy masz zwyczaj rekwirować broń mężczyznom?

– Nie robiłam tego aż dotąd. Muszę jednak stwierdzić, że okazała się całkiem przydatna. – Spojrzał na nią przenikliwie. Podszedł bliżej; zastanawiała się, czy słyszy bicie jej serca. Wydawało jej się, że powinien. Że cały Londyn powinien je słyszeć – jak burzę z piorunami.

– Zdejmij je.

Oblało ją gorąco, przez chwilę podejrzewała, że miał na myśli coś innego niż noże. Jej ubranie.

Omal nie poddała się szaleństwu.

Na szczęście – na szczęście? – wrócił jej rozsądek. Czy rzeczywiście?

– Jeszcze nie. – Odpowiedź wydawała się nie mieć sensu. Nie wtedy, kiedy wypowiadała te słowa, i nie wtedy, kiedy podszedł bliżej, tak że owionęło ją jego ciepło. To była pierwsza rzecz, która przykuła w nim jej uwagę – to ciepło; teraz groziło jej, że się spali.

Rozsunęła szal, ukazując noże; żar tylko się wzmógł, zamiast złagodnieć. Przyglądał się rzemieniom, które ją oplatały.

Pochylił się i ślina napłynęła jej do ust na wspomnienie smaku jego cytrynowych cukierków. Jego smaku.

– Jeszcze nie?

Mogła bez przeszkód stanąć tuż obok niego. Wystarczyło się tylko trochę wyciągnąć – żeby przycisnąć usta do jego warg. Czy to by mu odpowiadało? Nie miała takiego wrażenia. Wydawał się… zirytowany.

Jak się powiedziało „a”…

– Nie, póki nie zgodzisz się na moją propozycję.

– Mylisz się, jeśli sądzisz, że możesz mi cokolwiek dyktować, Hattie.

Przełknęła ślinę.

– M-mój ojciec jest właścicielem firmy przewozowej. Wiesz o tym z pewnością.

Mruknął twierdząco.

– Mam ją odziedziczyć. – W jego oczach błysnęło zdumienie, zniknęło tak szybko, że ledwie je zauważyła. A zatem tak to miało być. Pierwsza umowa, jaką zawierała jako głowa kompanii. Początek Roku Hattie. Nieważne, że inauguracja następowała w magazynie tawerny w Covent Garden, przy mężczyźnie, który był nie tyle klientem, co przestępcą.

Liczyło się, że Hattie miała dobić targu, a potem dotrzymać umowy. Myśl o tym rozjaśniła jej umysł. Wyprostowała się. Podniosła brodę.

– Jestem gotowa dawać ci pięćdziesiąt procent naszych zysków, póki nie zwrócimy czterdziestu tysięcy. Plus dziesięć procent udziałów.

Ciemne brwi uniosły się w górę.

– Trzydzieści procent.

To było ogromnie dużo, ale Hattie nie okazała tego po sobie.

– Piętnaście.

– Trzydzieści.

– Miałeś negocjować – sapnęła z rozpaczą.

– Czy tak?

– Czy nie prowadzisz firmy?

– Swego rodzaju.

Uparciuch.

– A jako właściciel firmy nie prowadzisz negocjacji?

Skrzyżował ramiona na szerokiej piersi.

– Nieczęsto.

– Przypuszczam, że po prostu bierzesz, co chcesz.

W odpowiedzi ciemna brew znowu powędrowała w górę.

– Mógłbym przypomnieć, że to twoja skłonność do brania tego, co ci się podoba, sprawiła, że znaleźliśmy się w tym miejscu, lady Henrietto.

– Mówiłam ci, nie mam z tym nic wspólnego. Przyszłam, żeby naprawić szkody.

– Dlaczego?

Bo ta firma to jedyne, czego pragnę w życiu.

– Bo nie lubię złodziejstwa. – Patrzył na nią długą chwilę, na tyle długą, że poczuła się niepewnie. Poruszyła się niespokojnie. – A więc… dwadzieścia procent.

Ani drgnął.

– Jak dotąd nie oferowałaś mi niczego, czego nie mógłbym wziąć bez twojej oferty. W istocie oferujesz mniej, niż zamierzam dostać.

Zamrugała.

– Więcej niż dwadzieścia procent udziałów?

W tym zapchanym magazynie wydawał się ogromny.

– Więcej niż pieniądze, Hattie.

Odchrząknęła.

– Umowa dotyczy pieniędzy. Pieniędzy i twoich noży.

Wolałaby cofnąć te słowa; jego bursztynowe oczy patrzyły na rzemienie opasujące jej pierś, aż pożałowała, że zdjęła szal.

– A zatem to żadna umowa – stwierdził. – Umowa zakłada, że dostaję coś w zamian. Pytam więc jeszcze raz. Co mi ta umowa zapewnia poza zwykłym zwrotem pieniędzy i zrabowanych dóbr, bez gwarancji, że twoja firma nie będzie stawać na przeszkodzie moim interesom w przyszłości?

Twoja firma. Nie umknęły jej te słowa, które wypowiedział tak pewnie i gładko. Napawała się przyjemnością, jaką jej sprawiły. Była tak blisko. Przyszłości, o której marzyła. Nie pozwoli jej sobie odebrać.

– Masz moje zapewnienie.

– I mam uwierzyć, że twój ojciec nie wróci do tego procederu, kiedy uzna, że brakuje mu pieniędzy?

– To nie mój ojciec. – Nie zareagował. Zmrużyła oczy. – Ale ty o tym wiesz.

– Powiedz mi, dlaczego nie chcesz wyjawić prawdy.

Ponieważ on jest moją jedyną szansą, żeby przejąć firmę. Taką zawarła umowę z Augiem. Ona zapewni mu bezpieczeństwo, on namówi ojca, żeby przekazał jej firmę.

Wszystko szło zgodnie z jej życzeniem. A ten mężczyzna – jego zgoda na układ, jaki proponowała – stał na drodze do jej sukcesu. Jeśliby mu to powiedziała, zyskałby władzę. Nie mogła na to pozwolić.

Więc zachowała milczenie.

Zbliżył się do niej z wdziękiem drapieżnika, który niejednego mężczyznę przyprawiłby o dreszcz przerażenia. Ona też poczuła się niepewnie, kiedy podniósł rękę. Wstrzymała oddech. Co zamierzał zrobić? Dotknie jej?

Nie dotknął. Przesunął palcem po grubym rzemieniu przepasującym jej ramię, nie wywierając nacisku.

– Powiedz mi, dlaczego dał ci moje noże i wysłał cię do mojego świata.

Palec wędrował niżej i niżej, sunąc po nożach tkwiących głęboko w skórzanych pokrowcach. Oddychała ciężko, kiedy przeszedł na drugi rzemień, biegnący pod jej biustem, przez klamrę łączącą obie części kabury.

– Powiedz mi, dlaczego cię przysłał, niczym ofiarę.

Gładził palcami mosiądz, za trzecim razem rozpostarł palce na jej ciele; jednocześnie pragnęła i obawiała się pieszczoty mogącej przynieść ogromną przyjemność i palący wstyd. Ostatecznie, Hattie nie była raczej zwiewna i tam, gdzie przechodził rzemień, zaznaczyła się wypukłość ciała, na którą nie chciała zwracać jego uwagi.

Cofnęła się, nieszczęśliwa, że traci jego dotyk, choć odzyskała swobodę oddechu. Chłód dębowych drzwi za plecami dodawał jej sił. Zmusiła się, żeby mówić silnym głosem.

– Nikt mnie nigdzie nie posyła. Sama prowadzę tę grę, sir.

– Mmm. Prawdziwa wojowniczka. – Zbliżył się, zmuszając, żeby wcisnęła się jeszcze mocniej w drzwi. – A zatem to ty oferujesz mi te marne

warunki. Pieniądze, które należą do mnie tak czy inaczej i żadnego zadośćuczynienia, które mi się należy.

– Zadośćuczynienie to niemądry cel – powiedziała. – Jest nieuchwytne. Jak powietrze.

– Mmm. – Miała wrażenie, że czuje jego oddech na skórze. – Jak powietrze. Niezbędne. Dające życie.

Odchyliła się, usiłując spojrzeć mu w oczy, przeklinając mrok w marnie oświetlonym pomieszczeniu.

– Wierzysz w to?

Milczał na tyle długo, że sądziła, że nie odpowie. Ale odpowiedź padła, cicha i zdecydowana:

– Wierzę, że całe życie walczymy o to, żeby dostać to, co nam się należy. Czy to jest powietrze, czy co innego.

To brzmiało prawdziwie. Bogu wiadomo, że Hattie poświęciła mnóstwo czasu właśnie na to. Walcząc o niezależność, przyszłość, aprobatę ojca i o rodzinną firmę. Urodziła się kobietą w męskim świecie i całe życie walczyła, żeby zdobyć w nim miejsce. Robiła wszystko, żeby okazać się tego godna.

Jednak ten człowiek – mówiący o walce o powietrze – zdaniem Hattie nie używał metafory.

Nie mogąc się powstrzymać, podniosła rękę i bardzo wolno, tak żeby mógł ją powstrzymać, gdyby zechciał, położyła dłoń na jego policzku; jego ciepło paliło ją poprzez skórę rękawiczki.

– Przykro mi – szepnęła.

Nie należało tego mówić. Mięśnie jego szczęk zacisnęły się, całe ciało stężało jak stal. Opuściła rękę, jak tylko ich spojrzenia się spotkały.

– Sugerujesz, żebym czekał na zwrot moich pieniędzy, tak jak teraz czekam na swoje noże. Tak jak czekałem zeszłej nocy na spełnienie naszej umowy.

Umowy, na mocy której miał odebrać jej dziewictwo. Zrujnować ją w oczach innych. Już tego nie potrzebowała. Nie, jeśli Augie poprze jej żądanie, żeby przejąć firmę ojca. Nie potrzebowała jego ani kompromitacji z jego ręki.

Ale chciała. Pragnęła jego zręcznych dłoni na sobie.

Zerknęła na owe dłonie; ich palce były lekko zgięte, jakby w każdej chwili mógł rzucić się do walki. Pamiętała ich dotyk. Szorstkie odciski na jego dłoniach. To, jak paliły żywym ogniem.

Chciała to znowu przeżywać.

– Nie mam ochoty czekać, lady Henrietto. – Ciche słowa, wypowiedziane tuż przy jej uchu, przyprawiły ją o drżenie. – Pozwól więc, że zapytam jeszcze raz. Co zyskam na tej umowie?

Zeszłej nocy wszystko wydawało się takie proste. Zgodził się – choć pod pewnym przymusem – pozbawić ją dziewictwa w zamian za ukradzione dobra. Jednak zeszłej nocy Hattie nie zdawała sobie sprawy, że owa kradzież stanowiła równowartość czterdziestu tysięcy funtów.

Niech cię diabli, Augie.

A teraz zrozumiała, że nie ma żadnych możliwości nacisku ani siły. Mężczyzna zwany Bestią w pewnym sensie nie potrzebował pieniędzy, które jej brat mu ukradł, i nie żądał zwrotu dóbr, które rozesłano na wszystkie strony. Chodziło nie tyle o zwrot zagarniętych towarów czy ich równowartości, ale o zadośćuczynienie w bardziej ogólnym sensie. I dlatego nie był partnerem w interesach.

A to z kolei znaczyło, że Hattie nie miała innego wyboru, jak tylko przystać na wszystko dla dobra firmy. Dla dobra rodziny. Wciągnęła głęboko powietrze i patrząc mu w oczy, poświęciła własne pragnienia, o których do zeszłej nocy nie miała pojęcia.

– Zwalniam cię z wczorajszej umowy.

Milczał, nie zdradzając, co myśli.

Czy ją w ogóle zrozumiał?

– Moje… – Hattie machnęła ręką. – Mój kłopot.

Uniósł ciemne brwi.

– Moje dziewictwo.

Nadal brak odpowiedzi.

Zamierzał zmusić ją, żeby to powiedziała. Bogu wiadomo, że Hattie już to wcześniej mówiła. Ale czy musiała to zrobić? Wobec człowieka, który ją pocałował, sprawiając wrażenie, że tego chce?

– Rozumiem, że… coś takiego… ze mną… nie jest, ściśle mówiąc… – Uff. Okropne. – Wiem, że byłeś miły. Chciałeś coś dla mnie zrobić. Ale nie musisz – to jest – wiem, jaką jestem kobietą. Jak również, jakiego rodzaju kobietą nie jestem. A taki mężczyzna, jak ty… cóż, woli ten rodzaj kobiety, jaką ja nie jestem.

Zamknęła mocno oczy, marząc, żeby zniknął. Kiedy je otworzyła, na nieszczęście, wciąż tkwił w tym samym miejscu. Jak kamień, co było nie do zniesienia.

– A co to za rodzaj kobiety?

Jak dotąd, jego obecność była znośna, ponieważ to pytanie określiło na nowo, czym jest to, co nieznośne. Na to pytanie nie zamierzała odpowiedzieć w żadnym wypadku. Wymówić słów, które cisnęły się na usta. Za wielka. Niezbyt pociągająca.

– Nieważne.

Cudownym sposobem, nie naciskał.

– Nie ma umowy.

Była rozżalona. Rozżalona i zła, i w dużym stopniu rozczarowana. Pracowała na tę firmę całe życie, a oto znalazła się teraz na skraju przepaści, ryzykując, że straci wszystko.

– Trzydzieści procent.

Bez odpowiedzi.

Hattie straciła cierpliwość.

– Pięćdziesiąt dwa tysiące funtów i obietnica, że Korona nigdy się nie dowie o twoim gangu z głupią nazwą, a na pewno chętnie by się dowiedziała.

– Czy to groźba, lady Henrietto?

Westchnęła.

– Oczywiście, że nie. Ale czego więcej chciałbyś ode mnie? Oddałam ci noże, zaproponowałam pieniądze i możliwość pozbycia się mnie raz na zawsze.

– Wciąż nosisz moje noże.

Sięgnęła do klamry, rozpięła ją szybkim ruchem i zsunęła rzemienie z ramion, doznając niepokojącego poczucia straty, kiedy przestały ją obejmować. Rzuciła mu noże pod nogi, bezceremonialnie, powstrzymując grymas niechęci z powodu własnego zachowania.

– Proszę. Czego jeszcze chcesz?

– Już powiedziałem: chcę zadośćuczynienia.

– Kręcimy się zatem w kółko, sir. Jak powiedziałam: nie pozwolę ci go ukarać.

– To twój kochanek?

Hattie o mało się nie zakrztusiła.

– Nie.

Milczał długo, po czym skinął głową i odwrócił się, ruszając przez labirynt skrzyń.

– Dlaczego cię to obchodzi? – I dlaczego zadała to pytanie?

Przyjrzał się jednej ze skrzyń, oznaczonej amerykańską flagą.

– Nie zwykłem pieprzyć kobiet należących do innych mężczyzn.

Jej serce zabiło na dźwięk tego słowa i cudownych, nieprzyzwoitych obrazów, jakie wywołało w jej umyśle. Choć, rzecz jasna, nie zamierzała tego okazać.

– Czy mam uważać za szlachetne z twojej strony, że hołdujesz jakiemuś głupiemu wyobrażeniu na temat kobiet, przedmiotów domowego użytku o

mdlejącym spojrzeniu, które nie są w stanie same sobie wybrać partnerów do łóżka?

To ponownie zwróciło na nią jego uwagę.

– Pozwól, że postawię sprawę jasno, mój panie. – Odeszła od drzwi i szła w jego stronę, nie zastanawiając się i nie mogąc powstrzymać irytacji w głosie. – Gdybym była tutaj z ramienia kochanka, to musiałbyś zdać sobie jasno sprawę, kto kogo posiada w takim związku.

Szczęka lekko mu opadła, ale Hattie nie miała czasu napawać się jego zaskoczeniem. Sama była zbyt zaskoczona tym, co powiedziała. Znieruchomiała między ciężkimi skrzyniami ale.

– A poza tym zwolniłam cię z niemiłego zadania pozbawienia mnie dziewictwa, więc możesz być całkiem spokojny i powiedzieć mi, czego chcesz, tak żebym mogła odejść i zająć się swoimi planami.

Znowu zerknął na skrzynię. Jego ramiona podnosiły się i opadały powoli i Hattie pomyślała, że może odejść.

Myliła się. Ponieważ, kiedy na nią spojrzał i zaczął mówić, w jego głosie zabrzmiała obietnica czegoś niezwykłego. I zapewne wspaniałego.

– Wiedz, Henrietto Sedley, że pozbawienie cię dziewictwa nie będzie niemiłym zadaniem. – Zbliżał się do niej powoli; odsuwała się, mimo że jego bliskość budziła w niej podniecenie. – A jeśli chcesz się wycofać z tej części naszej umowy, to nie wiesz jeszcze, co to znaczy prowadzić interesy z Bitnymi Bękartami.

Zabrakło jej tchu, a on wciąż szedł ku niej.

Tak, proszę. Podejdź do mnie.

Wciąż mówił, więcej niż wcześniej, odkąd go poznała.

– Mogłaś nie znać rabusiów. Mogłaś nie widzieć ani grosza z pieniędzy, które ludzie chronieni przez ciebie mi ukradli, ale teraz ty tu jesteś, nie oni; stanęłaś na mojej drodze, a ja nie przegrywam.

Uniosła brodę zawadiacko.

– Ja też nie.

– Widziałem, jak posługujesz się moim nożem, wojowniczko. – Uśmiechnął się leciutko, wystarczająco, żeby olśnić. A może to było to słowo, którego użył po raz drugi? Wojowniczka. Chciałaby nią być. Chciałaby mu dorównać pod tym względem.

Odezwał się cicho, jakby słyszał jej myśli.

– Dobrze do siebie pasujemy. To jest umowa – jedyna, jaką przyjmę.

Hattie chciała zarazem uciec stąd i zaszyć się w swoim bezpiecznym domu – i zostać z tym człowiekiem, który obiecał jej wszystko, o co nie mogła prosić.

– Biorę wszystko. Wszystko, co ofiarowałaś. Wszystko, czego żądam. Włącznie z tobą. – Gorąco oblało jej policzki. Oddychała z trudem, jakby pokój napełnił się nagle dymem.

– Myślałaś, że pozwolę ci odejść? W żadnym razie, Hattie. Jesteś mi coś winna. Jesteś mi coś winna w jego zastępstwie.

Tak. Tak. Cokolwiek zechcesz.

Położył jej dłoń na karku, drugą objął w pasie i przyciągnął do siebie. Kciukiem uniósł jej brodę.

– Jesteś mi coś winna i zamierzam to sobie wziąć. Na tysiąc sposobów.

To był triumf. Będzie miała wszystko. On przyjmie pieniądze, jakie mu ofiarowała, noże, zapewnienie bezpieczeństwa dla jego interesów, a Augie powie ojcu, że to Hattie powinna prowadzić firmę. Hattie urządzi sobie życie tak, jak chciała. I w jakiś sposób będzie także miała tego mężczyznę. A przynajmniej jego smak. Jego pocałunki i dotyk i całą resztę, którą jej obiecał poprzedniej nocy.

Rok Hattie właśnie się zaczął i dobrze się zapowiadał.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Podoba ci się to?

Skinęła głową.

– Nie wiesz, na co się ważysz.

Z bijącym sercem podniosła się na palcach. Odsunął się, zanim ich wargi się zetknęły.

– Nie tutaj.

– Dlaczego nie? – Słowa padły, zanim zdążyła się ugryźć w język; zmieszała się.

– Tu jest za mało intymnie.

Rozejrzała się.

– Drzwi są zamknięte, światło przygaszone, cisza jak w grobie. – Urwała, po czym wyrzuciła z siebie: – Pocałuj mnie, do diabła.

– To jedna z najbardziej hałaśliwych tawern w Covent Garden, wkrótce będzie tu tłum ludzi, szukających wieczornej rozrywki. Calhoun musi mieć dostęp do magazynu, kiedy goście piją. Tu nie będziemy mieli żadnej prywatności.

– Więc gdzie? – Hattie, wbrew rozsądkowi, tupnęła nogą.

– Znajdę cię we właściwym czasie.

Zamrugała.

– Odsyłasz mnie do domu?

– Tak jest.

Hattie nie była głupią gęsią. Przeżyła pełne dwadzieścia dziewięć lat i posiadła sporą życiową wiedzę na temat… życia. A w tym wiedzę, że jeśli mężczyzna chce posiąść kobietę w tawernie w Covent Garden, to zrobi to – bez większych ceregieli. Chyba że, w gruncie rzeczy, wcale nie był tym zainteresowany.

– Rozumiem.

– Czy tak?

– Bardzo dobrze. – Odchrząknęła. Nie pozwoli sobie na rozczarowanie. A już z pewnością nie na smutek. Zamiast tego będzie zirytowana. Irytacja wydawała się możliwa.

– Nie wyciągniesz ode mnie imienia, jeśli takie są twoje zamiary. Wyobrażanie sobie takiej możliwości obraża nas oboje. Dostaniesz przekaz

bankowy, jak tylko spieniężymy kolejny transport. – Podniosła szal z pokrytej wiórkami podłogi, otrzepała go, obróciła się na pięcie i ruszyła w stronę drzwi.

– Henrietta – odezwał się, kiedy jej dłoń spoczęła na klamce.

Znieruchomiała.

– Nikt mnie tak nie nazywa.

Cisza. A potem: „Hmm”. Blisko. Zbyt blisko. Szedł za nią. A potem jej dotknął, przesuwając palcem wzdłuż jej kręgosłupa i wywołując dreszcze w jej ciele. Ale nie dreszcze podniecenia. Wcale nie. Nie czuła podniecenia.

Zesztywniała i objęła się ramionami. Zamknęła się na przyjemność płynącą z jego dotyku.

– Nie musisz się zmuszać, żeby mnie dotykać.

– Myślisz, że nie pragnę cię dotykać? – Słowa parzyły jej skórę na karku.

– Myślę, że mężczyźni, którzy mają ochotę pozbawić kobietę dziewictwa – dwakroć – nie odsyłają jej do domu – dwakroć – nie pozbawiając jej przedtem dziewictwa. – Odwróciła głowę. – Byłoby inaczej, gdybyś był dżentelmenem z Mayfair. Ale oboje wiemy, że nie jesteś.

Znienawidziła te słowa, jak tylko wybrzmiały. Nie obchodziło jej, że jego stopa nigdy nie postała w Mayfair. Bogu wiadomo, że większość dżentelmenów, jakich znała, było dżentelmenami tylko z nazwy. Zwłaszcza kiedy nikt nie widział.

– Przepraszam.

– Nie ma za co.

– Nie miałam na myśli…

– Wychowałem się w rynsztoku.

Spojrzała mu w oczy.

– To nic nie znaczy. – Nie odpowiedział, więc odwróciła się znowu do drzwi, mocno zmieszana.

– Nie jestem dżentelmenem – szepnął jej do ucha. – Nigdy nie udawałem, że jestem. – Wolno przesunął ręką wzdłuż jej kręgosłupa w

górę, zatrzymując się dłużej na odsłoniętej skórze szyi. – A kiedy pozbawię cię dziewictwa, to w sposób dalece nieprzystojny.

I tak, w jednej chwili, wydawała się stanąć w płomieniach. A jednak nie pozbyła się wątpliwości.

– Ale nie dzisiaj. – Mówiła nadąsanym głosem. Wiedziała, że tak to brzmi. Ale wiązała z tym wieczorem wiele nadziei i to były, ostatecznie, jej urodziny. I teraz miała wrócić do domu i kto wie, kiedy on się znowu pojawi. Pewnie nigdy.

Znów ta niekończąca się cisza.

A potem:

– Hattie? – odezwał się w końcu.

Nie spojrzała na niego.

– Co?

– Mam ci powiedzieć, jakie myśli przechodzą mi teraz przez głowę?

Wzruszyła ramieniem. Chciała, żeby uznał, że jej to nie obchodzi. Chciała, żeby opowiedział jej wszystkie swoje myśli.

– Myślę, że twoja skóra jest najmiększa, jakiej dotykałem – oznajmił, kreśląc tym piekielnym palcem doskonałe kółka na jej plecach. – Myślę, że kiedy będziesz ze mną sama – zupełnie sama – rozbiorę cię do naga i przekonam się, czy wszędzie jesteś taka miękka.

Wciągnęła ostro powietrze, podczas gdy jego palec powędrował wzdłuż krawędzi sukni na jej ramionach.

– Myślę o tym, jaka jesteś miękka tutaj – jak jedwab, a jeszcze miększa gdzie indziej. Myślę o dotyku twoich piersi… Jeszcze miększych, o czubkach… – Jęknęła, czując ból w piersiach. – O tym, jak smakują, słodyczą i grzechem. – Mówił jej do ucha. Zachwiała się na nogach. – O tym, jak poddałaś się mojemu dotykowi wczoraj. Pamiętasz?

Zamknęła oczy. Kiwnęła głową.

– Powiedz to.

– Pamiętam.

– Mmm. – Każde mruknięcie tego mężczyzny wywoływało mrowienie na jej skórze. – I chcesz tego znowu.

Kiwnęła głową.

– Głośno.

– Tak.

Uklęknął.

– Teraz myślę, że powinnaś unieść spódnicę.

Opuścił ją wszelki rozsądek; uniosła spódnicę jakby rzucił na nią zaklęcie.

Jego język był cudownym darem; pieszczoty odbierały jej przytomność.

Ściana za nią poruszyła się. Nie. Nie ściana. Drzwi.

Pisnęła, opuszczając rękę i uderzając w drzwi. Wciąż pieścił ją językiem, a ona wiła się z rozkoszy…

Rozległo się pukanie.

Znieruchomiała.

– Przestań.

– Nie. – Zabrał się do dzieła z podwójnym zapałem.

Sapnęła wniebowzięta.

– Tak – szepnęła. – Tam. – Mruczała z rozkoszy. Wsunęła palce w jego włosy. – Tak. Och… och. Och, mój… tak.

– Hej! Bestio! – zawołał Amerykanin w odległości zaledwie paru cali, zza drzwi.

Odsunął się od niej, mrucząc niecierpliwie.

– Nie teraz, Amerykaninie!

– Masz własne pokoje niecałe sto jardów stąd – powiedział barman.

– Musiałem coś przedyskutować. – Odpowiadając, spojrzał Hattie w oczy.

No cóż.

Chwila ciszy, a potem znów zagrzmiał głos:

– Wydaje się, że jednak jest jakieś „my”. Stary draniu, pośpiesz się i przynieś potem skrzynkę burbona.

Hattie otworzyła szeroko oczy.

– On wie, co my robimy.

– Mmm. – Pochylił się znowu i pocałował ją, aż westchnęła. – Obchodzi cię to?

– Nie… zupełnie. – Zakołysała się. – Jeszcze.

Jęknął, poruszając językiem, kreśląc nim koła; stała na palcach, drżała z rozkoszy, jakiej dotąd nie zaznała. Pożerał ją żywcem i to było w porządku, póki dawał jej to czego…

Rozpłynęła się z rękami w jego włosach, wbijając w niego biodra i szepcząc dziko, nieskładnie. Klęczał przed nią, delikatny i stanowczy, aż westchnęła przeciągle, rozluźniając uścisk palców; kolana się pod nią ugięły.

Chwycił ją w ramiona, podnosząc się; jedną mocną dłonią podniósł jej twarz, tak żeby móc ją pocałować.

– W najbardziej szalonych marzeniach nie wyobrażałem sobie, że będziesz smakować w ten sposób – powiedział, odsuwając od niej usta.

Pochyliła głowę, mocno zmieszana. Nie mogła się jednak powstrzymać, żeby nie zapytać.

– W jaki?

Pocałował ją znowu.

– Cudowny. – Chciała powiedzieć, że to on jest cudowny, ale znowu ją pocałował, nie pozwalając zebrać myśli. – Grzeszny. – Była grzeszna. Co jeszcze jej pokaże?

O wiele więcej, jeśli ten pocałunek stanowił wskazówkę – tak przeciągły, że obojgu zabrakło powietrza.

Patrzył na nią, oddychając ciężko, z ręką w jej włosach.

– Piekielnie niebezpieczny.

Ogarnęło ją przyjemne podniecenie i jeszcze jakieś uczucie, przyprawiające o zawrót głowy. To w ten sposób ludzie rozmawiają, mówiąc o fizycznej rozkoszy? Czy to zawsze dawało takie poczucie… siły?

Chciała więcej. Natychmiast.

Zanim jednak zdążyła to powiedzieć, schylił się po szal, który rzuciła na podłogę. Podał go jej i odwrócił się, żeby założyć pochwę z nożami. Marynarkę rzucił na jedną ze skrzyń i zaczął mocować rzemienie z taką zręcznością, jakby robił to w każdym dniu życia.

I pewnie tak było. Dlaczego? Co groziło mężczyźnie, który nosił osiem zabójczych noży w sposób tak naturalny jak buty czy spodnie? Jak często ich używał? Ile razy nie zdołały go obronić?

Nie podobała jej się myśl, że mógł być ranny.

Nie podobała jej się myśl, że mógł zostać zraniony, a ona mogła tego nie wiedzieć.

Nie powiedziała tego jednak. Nie wtedy, gdy zakładał sobie rzemienie, jakby to była jego druga skóra. Nie wtedy, gdy zarzucał na siebie ciężki płaszcz, ukrywając je przed wzrokiem innych – ale nie wyglądając dzięki temu ani trochę mniej groźnie.

„Piekielnie niebezpieczny”.

Jego słowa znów zabrzmiały jej w uszach. Był niebezpieczny. Bardziej niebezpieczny, niż sobie kiedykolwiek wyobrażała.

Była ciekawa, czy niebezpieczeństwo daje mu poczucie siły.

Ale o to też nie zapytała.

Nie wtedy, kiedy podniósł skrzynię – tę z amerykańską flagą – jedną ręką, jakby była z gęsiego puchu – i przeszedł obok niej, żeby otworzyć drzwi tawerny. Zatrzymał się, żeby ją przepuścić – jedyna wskazówka, że pamiętał o jej obecności.

Mężczyzna, którym był przed chwilą – ten, który dał jej tyle rozkoszy – zniknął. Wrócił milczący Bestia.

Bestia.

– Wciąż nie znam twojego imienia – powiedziała cicho.

Wydawał się jej nie słyszeć. W każdym razie przyjęła, że nie słyszał, gdy pośpiesznie wyprowadzał ją z tawerny. Ledwie przystanął, żeby postawić skrzynię na barze i skinąć głową Amerykaninowi. W pełnej ludzi tawernie panował gwar, ulica zaś sprawiała wrażenie przeraźliwie cichej.

Cisza na ulicy i milczenie mężczyzny sprawiały, że Hattie miała ochotę krzyczeć.

Nie krzyknęła jednak; Bestia zatrzymał powóz i otworzył drzwi, nie dotykając jej ani razu, nawet żeby pomóc jej wsiąść.

Nie dotykał jej i nie odzywał się.

To jest do chwili, kiedy drzwi prawie się zamknęły. Wtedy wymówił jedno słowo, nie była pewna, czy się nie przesłyszała, bo brzmiało tak, jakby powiedział je na głos po raz pierwszy w życiu.

– Whit.

11

Cichy, wyrażający zaskoczenie gwizd rozległ się za plecami Whita, kiedy stał w ciemnych ogrodach Berkeley Square, patrząc na rezydencję Warnick o jasno oświetlonych oknach.

Whit sięgnął do kieszeni i wyciągnął zegarki. Wpół do dziewiątej. Włożył je z powrotem, kiedy zbliżył się niechciany gość.

– Słyszałem, że tu jesteś, ale musiałem zobaczyć na własne oczy, żeby uwierzyć.

Whit nie zareagował na suche powitanie, ale to nie powstrzymało elokwencji brata.

– Sarita powiedziała, że jesteś elegancko ubrany; biedna dziewczyna była uszczęśliwiona nad miarę. – Diabeł podniósł głos, przedrzeźniając jednego z ich szpiegów na dachu. – Nie uwierzycie! Bestia włożył krawat!

Irytujące akcesorium wydawało się zaciskać na jego szyi; ledwie zapanował nad sobą, żeby nie szarpnąć gwałtownie, niszcząc wymyślny węzeł.

Diabeł zagwizdał ponownie.

– Nie wierzyłem, a jednak jesteś. Dobry Boże. Kiedy to ostatnim razem zawiązałeś krawat?

Bestia wpatrywał się zmrużonymi oczami w dom naprzeciwko, obserwując, jak strumień arystokratów udaje się na bal.

– Miałem krawat na twoim ślubie. Z kobietą, na którą nie zasługujesz, pozwolę sobie zauważyć.

– Bóg jeden wie, że to prawda – odparł radośnie Diabeł, obracając laską, której srebrna gałka, w kształcie głowy lwa, lśniła w świetle latarni wokół placu. – Kto ci pomógł? Węzeł jest taki… wypracowany.

– Nikt mi nie pomagał. Pamiętam lekcje.

Minęło dwadzieścia lat, a on wciąż je pamiętał. Wyobrażał sobie, że Diabeł też pamięta. Ich łajdacki ojciec wpoił im je bezwzględnie, przygotowując ich do wejścia w szeregi arystokracji, jak tylko zdecyduje, który z trzech bękartów – zrodzonych z różnych kobiet tego samego dnia – dostanie jego nazwisko i majątek po nim. A pozostali?

Umiejętność wiązania krawata nie przydawała się na ulicach Londynu. Tańczenie walca nie zapełniało żołądka. Wiedza, którym widelcem je się rybę, nie zapewniała miejsca do spania. A jednak Whit pamiętał lekcje.

Pamiętał też, jak bardzo pragnął życia, jakim łudził ich ojciec, zmuszając, żeby walczyli między sobą. Jak bardzo chciał panowania nad swoim losem, jakie to życie dawało. Bezpieczeństwa, jakie mogło zapewnić ludziom, których kochał.

Ale współzawodnictwo nie było dla Whita. Nagroda nigdy nie mogła mu przypaść, najmniejszemu i najspokojniejszemu z braci. Diabeł miał ostry język, Ewan był chytry i pełen złości i ich ojcu te cechy podobały się bardziej niż te, które posiadał Whit chcący tylko chronić tych, których kochał.

Był skazany na porażkę.

Ale lekcje pamiętał.

Tak więc stał w mroku, z ciasno zawiązanym krawatem, patrząc, jak jaśniepaństwo wysiadają z karoc i wchodzą na bal. Gdyby nie zrządzenie losu sprzed dwudziestu lat, sam mógłby w nim uczestniczyć jako jeden z nich.

– Czy masz jakieś inne plany na wieczór poza staniem tutaj, na Berkeley, w doskonale zawiązanym krawacie? – Diabeł przerwał. – Gdzieś ty wytrzasnął krawat?

– Odczep się od krawata albo cię nim uduszę.

Diabeł błysnął zębami w uśmiechu.

– A zatem czekamy na kogoś?

– Ja na kogoś czekam. Nie wiem, co ty tu w ogóle robisz.

Diabeł kiwnął głową; przyglądał się domowi dłuższą chwilę, po czym przeszedł pod pobliską lipę. Oparł się o pień, krzyżując nogi w czarnych butach. Whit starał się go ignorować.

Diabeł nie należał do takich, którzy się dają ignorować.

– Domyślam się, że czekamy na lady Henriettę?

Oczywiście, że tak. Whit nie raczył odpowiedzieć.

– Pytam, bo wystroiłeś się jak fircyk.

– Wcale nie. – Whit miał na sobie czarny strój, z wyjątkiem koszuli i krawata.

– Sarita mówiła, że twój płaszcz jest haftowany złotem.

Whit, przerażony, spojrzał na Diabła.

– Nie jest.

Diabeł uśmiechnął się.

– Ale nosisz płaszcz, który nie pasuje do Garden, więc usiłujemy wywrzeć na kimś wrażenie.

– Miałbym ochotę wywrzeć pięścią wrażenie na twojej facjacie. – Whit odwrócił się znowu w stronę budynku. Właśnie zajechał nowy powóz i lokaj wyskoczył na ziemię z podnóżkiem, który miał ułatwić pasażerom wyjście na zewnątrz. Wysiadł starszy mężczyzna, który natychmiast nasunął na głowę kapelusz.

– Cheadle – zauważył Diabeł takim tonem, jakby coś zrozumiał.

Nie rozumiał.

Whit sam nie bardzo rozumiał, co robi w Mayfair, w formalnym stroju, patrząc na ojca Hattie. Nie miał zamiaru się do tego przyznawać.

– Powiedziałem ci, że się wszystkim zajmę, prawda?

– Owszem. Przyszedłeś ze względu na ojca czy syna? Wiesz chyba, że nie możesz ich zasztyletować na sali balowej?

– Nie rozumiem dlaczego – odparł Whit.

Diabeł uśmiechnął się szeroko i postukał laską o but.

– Trzeba było mi powiedzieć, że planujesz występ. Też bym się wystroił.

– Nie. Ktoś musi dbać o pozory. – Lokaj przed rezydencją pomagał właśnie wysiąść z powozu ciemnowłosej kobiecie we wspaniałej pomarańczowej sukni, która odwróciła się, żeby spojrzeć na innych gości; jej uśmiech zdradzał pewność siebie i poczucie bezpieczeństwa.

– Lady Henrietta, jak przypuszczam?

Whit ściągnął brwi.

– To nie ona. – Zrobił krok w stronę ulicy. Gdzie ona się podziewała?

– Dawno temu po raz ostatni oglądałem wnętrze sali balowej, ale nie możesz po prostu przejść przez ulicę i zaatakować wroga, Bestio.

Przydomek wyrwał Whita z zamyślenia.

– To nie Hattie – zwrócił się do Diabła.

Brat uniósł ciemną brew.

– Ach. Zatem czekamy na Hattie.

To, że użył zdrobnienia, zirytowało Whita.

– Tego nie powiedziałem.

– Nie musiałeś – stwierdził Diabeł, wybijając rytm jakiejś melodii na bucie. – Brixton powiedział, że przyprowadziłeś bogatą paniusię do Wróbelka…

– Jeśli twoi szpiedzy na dachu nie mają co robić, chętnie znajdę im zajęcie.

– Mają mnóstwo pracy.

– Szpiegowanie mnie nie jest jej częścią.

Diabeł nie odpowiedział.

– Mógłbym zauważyć, że ostatnim razem, kiedy cię nie śledzili, pozbawiono cię przytomności, a potem zniknąłeś.

– Nie zniknąłem – odburknął.

– Nie, sądzę, że nie. Dzięki niech będą bogatej paniusi. – Whit zacisnął zęby. Czy Diabeł zawsze był takim dupkiem? – Calhoun mówił, że oboje zagubiliście się w magazynie – który z nas nie stracił głowy dla kobiety we Wróbelku… – choć magazyn nie wydaje się stworzony do uwodzenia…

Niech to wszyscy diabli, jego brat potrafił gadać.

– Nie straciłem głowy.

– Nie?

– Nie, oczywiście, że nie. – Zagrażała ich interesom i przez nią można było dotrzeć do Ewana. Nie szukał jej nawet aż do dzisiejszego wieczora. Znalazła go nieprzytomnego w swoim powozie. Zjawiła się na jego terenie. Na Shelton Street. Na placu targowym. Ścigając przestępców, zanurzyła się w jego mrocznym świecie.

A on tylko poszedł za nią. Żeby dowiedzieć się więcej o wrogu.

Żeby zapewnić jej bezpieczeństwo.

Odsunął tę myśl od siebie. Nie było w tym żadnego sensu. To, że nie potrafił utrzymać rąk przy sobie, kiedy się przy niej znalazł, nie miało znaczenia. Tak samo jak to, że nie mógł przestać myśleć o dotyku jej skóry, jej wargach na swoich, jej dłoniach w swoich włosach, jej jękach. O jej smaku. Chryste. Jej smak.

– A więc stoisz w nocy dla…

Dla niej.

– Firma jej ojca zaproponowała, że spłaci nasz dług.

Diabeł uniósł brwi.

– Dlaczego?

– Pewnie dlatego, że syn nas okradł, i boją się, że kara będzie dotkliwa.

– A będzie?

– To zależy od hrabiego.

– Jaki jest plan?

– Powie mi, gdzie jest Ewan albo odbiorę mu firmę. Syna też.

– A co z córką? – Przez chwilę Whit wyobrażał sobie, co by się stało, gdyby zabrał także Hattie. Jeśli uczyniłby z niej swoją królową wojowniczkę. Gdyby oboje panowali w Garden i w porcie. Stłumił tę przyjemną myśl i pokręcił głową.

– Ona nie ma z tym nic wspólnego.

– Nie dość sprytna, żeby brać w tym udział?

Była piekielnie mądra.

– Nie dość zła.

Laska Diabła uderzyła dwa razy o jego but, przerażający sygnał dla tych, którzy go nie rozumieli, i denerwujący dla tych, którzy rozumieli; oznaczał, że jest coś, czego Diabeł nie mówi.

– Dobrze zatem. Załatwisz to, jak rozumiem?

Whit mruknął cicho.

– A więc?

Co to miało znaczyć? Czy razem nie podnieśli się z rynsztoka, nie zbudowali interesu z niczego i nie zostali królami? Czy Whit nigdy nie stawiał ich wspólnej historii ponad wszystko inne?

– Tak.

– Szybko? Przyjedzie kolejny ładunek.

– Wiem, kiedy ma się pojawić następny ładunek – warknął Whit, nie wiadomo, dlaczego zdenerwowany tym przypomnieniem.

– To mój interes tak samo jak twój. Nie musisz mnie zadręczać w ten sposób.

Długa chwila ciszy. A potem swobodnym tonem:

– A więc spotkasz się z nim tutaj, ubrany do tańca, zamiast w jego biurze, ubrany jak król Garden. Dlaczego? Tak kochasz Mayfair?

Whit nie odpowiedział. Nienawidził Mayfair. Nienawidził jego ostentacji i doskonałości. Nienawidził ludzi z dzielnicy, która mogła być jego, gdyby jego ojciec nie był potworem.

Diabeł pochylił się ku niemu blisko, szepcząc:

– Twoja dama przyjechała.

Whit obrócił się w stronę domu. Powóz Cheadle’a już odjechał. Kobieta w pomarańczowej sukni wciąż tam stała, z Hattie u boku. Hattie – wysoka, jasnowłosa, o błyszczących oczach; jej wysoko upięte włosy odsłaniały długą szyję i ramiona, nagie ponad linią sukni w kolorze wina, której jedwab światło padające z budynku zamieniało w żar ogniska. W jednej ręce trzymała szal, ale nie wydawało się jej przeszkadzać, że stoi wobec całego Londynu, nie owijając się nim starannie, z artyzmem. Nigdy nie starała się o artyzm. Może dlatego, jak sądził, sama sprawiała wrażenie dzieła sztuki. Niczym barwna mozaika na dziedzińcu, w której każdy fragment wart jest uwagi. Jak muzyka wypełniająca całą salę do najdalszych zakamarków. Coś, czego nie da się nie zauważyć.

Zachwycająca.

Wygładziła spódnice. Pochyliła się, powodując napięcie stanika sukni i jej piersi bardziej się uwidoczniły. Wypukłości przykuły wzrok Whita, nagle zaschło mu w gardle. Był ciekaw, czy jej skóra zaróżowiła się od chłodu, tak łatwo się czerwieniła, więc nie mógł sobie wyobrazić, że tak się nie stało. Przemknęło mu przez myśl – zobaczył to oczami wyobraźni – że mógłby zdjąć płaszcz i przejść przez ulicę, żeby ją nim opatulić. Że mógłby ją porwać. Ogrzać.

Przewyższała wzrostem ojca, który jej towarzyszył, i innych gości przed domem. Większa, owszem, ale i bardziej otwarta. Uczciwsza. Zbyt prawdziwa na Mayfair. Pamiętał ją w Garden, jak rzuca wyzwanie szulerowi, wymachuje nożem, pieści szczeniaka – w doskonałej zgodzie ze światem.

Tutaj jednak nie było harmonii. Wyróżniała się.

Skupiła uwagę na przyjaciółce – założyłby się, że to najlepsze przyjaciółki, sądząc po swobodzie, jaka między nimi panowała, i szczerym uśmiechu, z jakim ciemnowłosa kobieta słuchała Hattie.

A Hattie, rzecz jasna, mówiła. Whit zapatrzył się na jej usta, jej piękne wargi poruszały się z fascynującą szybkością. Ciekaw, co mówi, był wściekły na to, że dzieli ich odległość, która nie pozwala jej słyszeć.

Przyjaciółka roześmiała się hałaśliwie i Hattie uśmiechnęła się szeroko, ukazując dołeczek na prawym policzku. Poczuł zazdrość. Pragnął jej słów. Uśmiechu. Spojrzenia jej fiołkowych oczu.

Pragnął jej.

Znieruchomiał na tę myśl. Oczywiście, że jej chciał. Jaki mężczyzna by jej nie pragnął, spędziwszy z nią choć trochę czasu? Jaki mężczyzna nie chciałby jeszcze raz spróbować jej smaku? Poczuć dotyku? Usłyszeć jęku rozkoszy?

I tyle. Chciał jej ciała i firmy ojca.

Nie – jej.

– To nie jest moja dama – powiedział.

– Czy wiesz, co robisz?

Nie.

– Mam plan. – Wyprostował się i poprawił płaszcz. – I zaproszenie na bal księżnej Warnick.

– Jak je zdobyłeś? – Diabeł był zdumiony.

– Warnick był uszczęśliwiony, mogąc oddać mi przysługę. – Książę Warnick posiadał destylarnię w Szkocji i zarabiał krocie, leżakował whiskey w beczkach po amerykańskim burbonie, dostarczanych przez Bitnych Bękartów. Oczywiście, sprowadzanie burbona ze Stanów, unikając lichwiarskich podatków Korony, nie było łatwym zadaniem, a przewożenie pustych beczek zwiększało ryzyko – z czego Warnick zdawał sobie sprawę.

Ogromny Szkot dostarczył Whitowi żądane zaproszenie bez wahania, z jednym zastrzeżeniem: „Jeśli postawisz moją żonę w kłopotliwej sytuacji, zniszczę cię”.

Whit powstrzymał się od uwagi, że hrabina Warnick należała do największych skandalistek Londynu – obraz przedstawiający jej nagą

postać objeżdżał właśnie Europę – w dobrym towarzystwie nie wspominano o tym jednak, nie chcąc się narazić na gniew jej wielkiego męża.

Whit nie zamierzał sprawiać księżnej przykrości. Miał zupełnie inne plany.

„Nie dbam o to, że nie jesteś dżentelmenem”.

W ciągu ostatnich dwudziestu lat Whit nie starał się za takowego uchodzić. Bronił się przed tym. Stał się Bestią i tak chciał być postrzegany, spędzając dnie w dzielnicy nędzy, a noce przy ringu. Szczycił się swoją zręcznością przemytnika, a jeszcze bardziej tym, że potrafił ukarać każdego, kto wszedł w drogę Bitnym Bękartom czy ich ludziom.

W brudzie Covent Garden nie było miejsca na subtelne maniery, a on sam podniósł się z błota, żeby zostać Bestią.

I dlatego stał w ciemności, patrząc na nią z daleka. Ponieważ wszystko, co zamierzał zrobić tego wieczoru, było sprzeczne z tym, kim był. A jednak włożył elegancki strój. Krawat. Akcesoria dżentelmena.

I przyglądał się jej, przejęty pożądaniem. Miała rację. Nie był dżentelmenem i nigdy nim nie będzie.

Ale mógł odegrać swoją rolę.

– Żadna przysługa dla nas – powiedział Diabeł nieco szyderczym tonem. – Nigdy nie zamierzałem wchodzić do gniazda arystokratycznych żmij.

– Poślubiłeś arystokratkę.

– Nie – odparł Diabeł. – Poślubiłem królową.

Whit stłumił chęć, żeby przewrócić oczami. Kiedy Diabeł spotkał lady Felicity Faircloth przy okazji balu takiego jak ten po drugiej stronie ulicy, była królową wyrzutków – zepchnięta w cień. Wyrzucona poza nawias, skazana na zapomnienie. Diabeł jednak nie widział wyrzutka; zobaczył kobietę, którą miał kochać, poślubić i czcić do końca życia.

Wzięli ślub, szokując dobre towarzystwo, co nie obchodziło Felicity w najmniejszym stopniu. Z zachwytem porzuciła świat, w którym się

urodziła, z każdym dniem stając się coraz bardziej dziewczyną z Covent Garden.

– W jaki sposób ci się to udało, przekracza moje możliwości zrozumienia – stwierdził Whit.

W głosie Diabła ledwie było słychać rozbawienie.

– Sam się nad tym co dzień zastanawiam. – Powiał wiatr i Diabeł wtulił głowę w kołnierz płaszcza, kołysząc się na piętach. – Skłamałbym, twierdząc, że nie chciałbym się z nią znaleźć w ciepłym łóżku, zamiast tutaj sterczeć.

Whit mruknął niechętnie.

– Nie musisz mi opowiadać takich rzeczy. Idź do niej, do domu.

– I nie widzieć, jak wchodzisz w gromadę dobrze urodzonych niczym pocisk?

Spojrzał na brata.

– Ty chcesz zemsty. I tak będzie.

Tylko że wcale nie miało być. To był tylko sposób, żeby do niej dotrzeć. Żeby jej udowodnić, że nie jest jedyną osobą, która potrafi znaleźć igłę w stogu siana. Wyobrażał sobie jej zdumienie, kiedy podejdzie do niej na sali balowej. Wyobrażał sobie jej zdumienie, gdy zobaczy go w swoim świecie. Wyobrażał sobie, jak jej świat wywraca się do góry nogami; jej pojawienie się w Covent Garden groziło tym samym jego światu.

– Zawsze pragnę zemsty. Ale ja chcę ją wykrajać ostrzem noża. A nie… – Machnął ręką na strój Whita. – Cokolwiek zamierzasz.

– Nie wyciąłeś jej ostrzem noża, jeśli chodzi o twoją żonę. – Felicity była aktem zemsty, zanim stała się aktem miłości.

Diabeł spojrzał na niego znacząco.

– Czy to podobna sytuacja?

Niech to.

– Nie.

– Whit, nie byłeś na balu, odkąd skończyłeś dwanaście lat.

Wtedy to nie była sala balowa, tylko izba tortur. Człowiek, który go spłodził, przy każdym potknięciu przypominał mu, że stawką jest przyszłość jego i jego matki.

Przejmowały go gniew, strach i panika.

Whit wsunął rękę do kieszeni i powiódł kciukiem po ciepłej, metalowej kopercie jednego z zegarków.

Po chwili milczenia powiedział cicho:

– To był prawdziwy potwór.

Ich ojciec. Trwonił nasienie po całej Anglii, nie zdając sobie sprawy, że trzej synowie, których spłodził z różnymi kobietami, mogą być jego jedyną szansą na dziedzica tytułu. A potem jego żona sprawiła, że spłodzenie legalnego potomka stało się niemożliwe, pakując mu kulę w genitalia, jak na to zasługiwał. Wtedy książę Marwick zaczął ich szukać, nie przejmując się, że niskie urodzenie powinno im oszczędzić straszliwego testu, jakiemu chciał ich poddać. Liczyły się tylko nazwisko i ród.

Myślał tylko o sobie, a nie o bliznach, jakimi naznaczy trzech chłopców i dziewczynkę, która pojawiła się przed nimi.

Wróciło wspomnienie. Ostatniej nocy w rezydencji Burghsey, wiejskiej siedzibie księstwa Marwick. Grace, dziewczyny, którą ochrzczono jako chłopca, żeby cała Anglia myślała, że książę ma prawnego dziedzica – z rozczochranymi rudymi włosami, drżącej, kiedy usłyszała od potwora, którego uważała za ojca, prawdę, że można ją zastąpić.

Diabłu i Bestii powiedział potem to samo. Nie byli dość dobrzy. Nie zasługiwali na księstwo. Ich także można było zastąpić.

Nic jednak nie bolało bardziej jak to, że stary łajdak zwrócił całą uwagę na Ewana, trzeciego brata, zrodzonego z czwartej kobiety. Ewana – silnego, bystrego, z pięściami jak z żelaza. Ewana, który postanowił zmienić swoją przyszłość. Ewana, który kiedyś obiecał, że będzie ich wszystkich chronić.

Póki ojciec nie kazał mu postępować inaczej.

I potem musieli sami o siebie zadbać.

Whit zerknął na brata; paskudna blizna na jego prawym policzku – pamiątka z przeszłości – połyskiwała bielą w mroku.

Chronili się nawzajem tamtej nocy i każdej następnej.

Whit nie powiedział tego głośno. Nie chciał wracać do wspomnień. Brat się tego nie domagał. Diabeł skupił uwagę na Hattie i Bestia poszedł jego śladem. Właśnie wchodziła do rezydencji; jej spódnica w kolorze czerwonego wina kołysała się kusząco.

– Oto moje pytanie – odezwał się cicho Diabeł. – Jak sobie wyobrażasz, że to się skończy? Ta kobieta chroni rodzinę i firmę, która weszła ci w szkodę, więc jest w najgorszym wypadku wrogiem, a w najlepszym – osłania Ewana.

Whit nie odpowiedział. Diabeł nie musiał mówić tego, co obaj uważali za prawdę. Jeśli coś zagrażało Bękartom, zagrażało całej dzielnicy. Całemu Covent Garden. Wszystkim ludziom, którzy na nich polegali.

Których poprzysięgli bronić.

– Jak to się skończy? – powtórzył cicho Diabeł.

Zniknęła im z oczu, zasłoniła ją gromada następnych gości, chętnych, żeby wejść do środka. Cierpiał, nie widząc jej, choć jej zniknięcie sprawiło, że łatwiej mu było za nią ruszyć. Wyprostować się, obciągnąć rękawy i powiedzieć:

– Zemsta.

Prawie dotarł do ulicy, kiedy Diabeł zawołał za nim cicho:

– Whit!

Zatrzymał się, ale nie odwrócił.

Nawet wtedy, gdy Diabeł powiedział z akcentem z Garden:

– Zapominasz, braciszku… Ja też stałem w ciemności, patrząc na światła.

12

*P*rzypomnij mi, co my tu robimy?

Hattie mówiła ponad głowami tłumu, przenikającego powoli przez drzwi rezydencji Warnick. Razem z Norą straciły z oczu hrabiego Cheadle i jak ryby pchane prądem rzeki, posuwały się w górę schodów.

– Bale to rozrywka – stwierdziła Nora, uśmiechając się do kogoś w oddali. – A księżnę Warnick lubię bardziej niż większość ludzi.

– Nie wiedziałam, że znasz księżnę Warnick.

– Jest wiele rzeczy, których o mnie nie wiesz – odparła Nora, udając tajemniczość.

Hattie parsknęła śmiechem.

– Nie ma niczego, czego bym o tobie nie wiedziała.

– Myślę o tym, żeby paru rzeczy się dowiedzieć – powiedziała Nora, przekazując szal lokajowi. – Nie podoba mi się, że trzymasz swojego *paramour* w tajemnicy. – Wymówiła to słowo po cichu, przesadnie poruszając ustami, tak że każdy, kto na nią spojrzał, wiedział, o co chodzi.

Hattie nawet nie mrugnęła. Nikt nie patrzył. Nikt nie przyglądał się dwudziestodziewięcioletnim starym pannom, z których jednej brakowało urody, a drugiej taktu.

– Nie jest nikim takim.

Nora uśmiechnęła się kpiąco.

– Och, nie. Oczywiście, że nie. On tylko… – otworzyła szeroko oczy i zniżyła głos – w tawernie…

– Och, na Boga. – Hattie spojrzała w sufit i też zniżyła głos. – Czy możemy o tym pomówić w jakimś innym miejscu?

– Naturalnie – odparła Nora, jakby rozmawiały o pogodzie. – Ale nikt nie słucha. Myślę tylko, że powinnaś mieć na uwadze, że znaleźć mężczyznę, który naprawdę docenia twoje ciało, nie jest takie łatwe. Tak słyszałam.

– Nora! – Policzki Hattie pokryły się szkarłatem, a jej piskliwy okrzyk zwrócił na nie spojrzenia pełne dezaprobaty.

– W każdym razie znam księżnę. Ponieważ książę lubi wyścigi powozów, a tak się składa, że ja też. – Nora przyjęła dwie karteczki od pobliskiego lokaja, śmiejąc się z zadowoleniem. – Popatrz, jakie to zmyślne. Maleńkie palety z farbami. Powinnyśmy chyba wpisać nazwisko partnera do tańca na kolorach. – Wyciągnęła jedną do Hattie, ale ta pokręciła głową.

– Nie jest mi potrzebna.

– Weź – ponagliła ją Nora z westchnieniem.

Hattie posłuchała, choć zaraz dodała:

– Ja nie tańczę. Od lat nie tańczyłam. – Z pewnością z nikim, kto nie został do tego zmuszony, z litości. – Nawet nie lubię tańczyć – oznajmiła, podczas gdy Nora, machnąwszy ręką, przepchała się do drzwi sali balowej. Na sali było dużo cieplej niż na korytarzach, powietrze wpadające przez szereg szeroko otwartych drzwi nie wnosiło chłodu do zapchanego ludźmi pomieszczenia. Kandelabry w górze rzucały na gości ciepłe, cudowne światło, które migotało, kiedy do pokoju wpadał powiew wiatru, zdolnego strącać na podłogę krople gorącego wosku. Nikt nie zwracał na to uwagi. Orkiestra grała głośno, podawano mnóstwo napoi, a potężny książę i zachwycająca księżna tańczyli już na parkiecie, zbyt mocno przytuleni, jak na wymogi przyzwoitości. Widać było, że bardzo się kochają, i to przyciągało powszechną uwagę.

Hattie przyglądała im się przez chwilę, patrzyła, jak książę, Szkot, który musiał się mocno schylać w drzwiach i górował nad wszystkimi na sali, tulił żonę w ramionach, jakby chciał jej zapewnić bezpieczeństwo. Księżna, płomiennowłosa i piękna – kiedyś uznana za najpiękniejszą kobietę w Londynie – podniosła głowę i spojrzała mężowi w oczy z radosnym, pełnym miłości uśmiechem; surowa twarz mężczyzny złagodniała. Jego twarz wyrażała szczerą miłość.

Hattie zastanawiała się, jakie to uczucie, dostać takie spojrzenie.

Być tuloną w ramionach mężczyzny.

Być tak mocno kochaną.

Przełknęła z trudem ślinę, podnosząc rękę do piersi, kiedy stanęła na szczycie schodów prowadzących do sali balowej. Nora zamieniła parę słów z majordomusem, który obwieścił:

– Lady Eleanora Madewell. Lady Henrietta Sedley.

Jak można się było spodziewać, nikt na nie nie spojrzał; zeszły powoli po schodach na salę.

– Dobry Boże, ale książę Warnick jest wielki – zauważyła obojętnym tonem Nora. – Gdyby mnie takie rzeczy interesowały, znalazłabym jakiś sposób, szczerze mówiąc, żeby zainteresować się nimi bliżej.

Hattie roześmiała się. To, że Nora nie interesowała się „takimi rzeczami”, sprawiało, że była idealną towarzyszką na takie noce – nigdy nie namawiałaby Hattie, żeby tańczyła z jakimś fircykiem, łowcą posagów – i doskonałą przyjaciółką, która nie sądziła, że Hattie jest pozbawiona rozumu, odrzucając małżeństwo bez miłości, byle tylko mieć jakiegoś, obojętne jakiego, męża.

To nie znaczyło, że Nora nie pragnęła związku, ale miał to być związek z kobietą, oparty na miłości – spore wyzwanie dla książęcej córki z ogromnym posagiem, na którą polowały wszystkie matki, chcące dobrze ożenić syna. Ta akurat książęca córka była bogata, dzielna i piękna i połowa Londynu pozostawała pod urokiem jej uśmiechu i czaru, więc Hattie nie

wątpiła, że zdobędzie to, na czym jej zależy – życie z partnerem, który będzie kochał przygodę i Norę w równym stopniu.

Hattie jednak nie miała takiej pewności co do swojego losu.

W istocie z upływem czasu, gdy Hattie coraz bardziej odwracała się od socjety, zagłębiając w interesy ojca, brak urody stawał się coraz większym obciążeniem i wszelkie marzenia o miłości i trwałym związku ustępowały bardziej osiągalnym celom.

Firma ojca.

Żadnego małżeństwa. Żadnych dzieci. Powiodła wzrokiem po tancerzach, zatrzymując się dłużej na szerokich ramionach i ciemnej głowie księcia Warnick. Żaden mężczyzna nie będzie na nią patrzył z takim oddaniem.

Tłumiła w sobie tego rodzaju pragnienia.

Póki nie spotkała Bestii.

Ledwie o nim pomyślała, a już jej policzki oblały się rumieńcem, jakby temperatura w pomieszczeniu nagle się podniosła. Wspomnienie jego dotyku. Jego pocałunku. Jego smaku, słodkiego i cierpkiego, jak cukierki, które wszędzie ze sobą nosił. Jego głosu, niskiego, chrapliwego, cudownego – przy jej uchu, ustach, piersi. Niżej.

Chciała, żeby jej pokazał to, czego nie znała. Żeby dał jej rozkosz, którą zapamięta, nawet jeśli nigdy w życiu już jej nie zazna. I właśnie to zrobił.

A obiecał jeszcze więcej.

Oczywiście, odesłał ją do domu, zamiast dochować obietnicy. I od trzech dni nie miała od niego żadnej wiadomości. Wiedział, jak się nazywa, ale czy zdoła ją odnaleźć? Czy w ogóle będzie się o to starał?

A to słowo, które wyszeptał, kiedy odsyłał ją powozem – co znaczyło?

Whit.

Pokręciła głową, nie chcąc zagłębiać się w rozważania nad pojedynczą, szorstką sylabą, która nie dawała jej spokoju, odkąd ją usłyszała. Czy dobrze usłyszała? Co to miało znaczyć? Kiedy podzieliła się myślami z

Norą, ta stwierdziła, że może tamten mężczyzna wyrażał po prostu podziw dla poczucia humoru Hattie.

Biorąc pod uwagę wcześniejsze wydarzenia, Hattie raczej w to wątpiła. Tak czy inaczej, to nie miało znaczenia, nie tutaj, w miejscu, gdzie on na pewno się nie pojawi.

Zerknęła na przyjaciółkę, która wciąż nie odrywała wzroku od gospodarza balu.

– Gdybyś była zainteresowana, Noro, on i tak by cię nie chciał. Za bardzo jest zakochany w swojej żonie.

– I nikt nie ma do niego o to pretensji – odparła radośnie Nora. – Szampana?

– Owszem – zgodziła się Hattie. – Trzeba szukać przyjemności, gdzie się da.

Ledwie to powiedziała, kiedy majordomus obwieścił ze schodów:

– Pan Saviour Whittington.

Nie było powodu, żeby Hattie usłyszała to imię. Mężczyzna w liberii obwieszczał przybycie tuzina osób, odkąd Nora i Hattie zaczęły kręcić się po sali. Dwóch tuzinów. I Hattie nie zwracała na to najmniejszej uwagi.

Tylko że tym razem po sali jakby przeszła fala.

Tego była pewna.

Wokół niej goście odwrócili się, żeby spojrzeć w stronę drzwi. Nie tylko kobiety – najpierw zainteresowane, potem przejęte fascynacją, urywające rozmowę w pół słowa – także mężczyźni, którzy milkli nagle, spoglądając na schody za jej plecami. W tłumie dostrzegła księcia Warnick, którego wzrok się rozjaśnił na widok przybyłego, oraz rude włosy księżnej, które unosiły się i opadały, jakby podnosiła się na palcach.

Hattie nie musiała stawać na palcach. Na karku poczuła leciutkie tchnienie wiatru, który musiał wpaść przez otwarte drzwi – nic więcej. Odwróciła się jednak powoli, wiedząc, kogo zobaczy, choć nie powinna

mieć o tym pojęcia. Choć nie mogła sobie wyobrazić, jak król londyńskiego mrocznego półświatka trafił tutaj, w jasne światła Mayfair.

Przez chwilę wydawało się, że to król, nienagannie ubrany, niemożliwie przystojny, jakby stał tam, na szczycie schodów, z boskiego nadania.

Ale jego królewska wysokość nie interesowałby się całkiem zwyczajną, za wielką i za starą samotną panną, zagubioną w tłumie. A ten mężczyzna patrzył prosto na nią.

Hattie najpierw poczuła zimno, potem gorąco, chciała, żeby odwrócił od niej wzrok, bo nie miała siły, żeby sama to zrobić. W jaki sposób zdołał ją odnaleźć w tym ścisku? Prawda, że przewyższała większość gości o parę cali – nie znikała łatwo w tłumie. Ale to wcale nie znaczyło, że odnalezienie jej powinno mu przyjść bez żadnego trudu.

I nie znaczyło, że mógł sobie pozwolić, żeby patrzeć na nią w ten sposób – taki, jaki przypominał jej, jak na nią patrzył, kiedy byli sami, z daleka od ludzkich oczu. W tawernie. W burdelu.

Policzki jej płonęły, gdy goście odwracali głowy, chcąc dociec, gdzie kieruje się wzrok przybysza.

Wielu gości patrzyło ponad głową Hattie, obok niej. Ale nie Nora. Nora uśmiechała się kpiąco, w pełni świadoma, na kogo patrzy Bestia.

Nie Bestia.

Saviour Whittington.

Whit. To imię.

Prosiła, żeby podał jej swoje imię i zrobił to. Whit. A teraz jeszcze więcej. Teraz znała całe. Saviour Whittington. Bez tytułu, ale wyglądał tak, jakby go zostawił w domu, w kieszeni innej marynarki, zamienionej na tę, którą nosił dzisiejszego wieczoru – czarną, świetnie skrojoną, ze śnieżnobiałym krawatem i piękną twarzą i w jakiś sposób – z zaproszeniem na książęcy bal – na który nikt o przydomku Bestia nie powinien mieć wstępu.

– Kim on jest? – zapytała, zanim zdążyła połknąć te słowa.

– Nie pamiętasz? – zapytała Nora. Whit zszedł po schodach i goście znowu się ożywili. Hattie obróciła się na pięcie i zanurzyła głębiej w tłum. Nora za nią, nie sposób było się jej pozbyć.

– Z Covent Garden? – Nora Chwilę milczała. – Z tawerny?

Hattie wydobyła z siebie jedynie zduszone:

– Zamknij się, Noro.

Nora nie zamknęła się.

– W tym świetle wygląda nawet lepiej, Hat.

Wyglądał pięknie w świetle. Wyglądał pięknie cały czas. Hattie nie powiedziała tego jednak na głos.

– Mówiłam ci, że księżna zawsze ma interesujących gości – powiedziała Nora z zadowoleniem.

Hattie schyliła głowę i szła dalej, przedzierając się między gośćmi, chcąc dotrzeć do przeciwległego końca pokoju; wypicie szampana stało nagle bardzo pilne. Kiedy dotarła do stołu z napojami, wzięła kieliszek i wypiła niemal wszystko od razu.

Nora, która obserwowała ją uważnie, powiedziała:

– Kulisz się.

– Jestem za wysoka.

– Co za głupstwo – stwierdziła Nora. – twój wzrost jest doskonały. – Wszyscy kochają Amazonki.

Hattie posłała jej ukośne spojrzenie.

– Nikt nie kocha Amazonek.

– Wydaje się, że pan Whittington nie czuje do nich awersji. – Nora uśmiechnęła się. – Zwłaszcza że przyszedł tutaj dla ciebie.

Nazwał mnie wojowniczką. Cóż. Nie zamierzała tego Norze powiedzieć, bo ta nie przestałaby jej dręczyć. Poprzestała na zaprzeczeniu:

– Nie przyszedł tu dla mnie.

– Hattie. Jego stopa nie postała przedtem na żadnej sali balowej w Mayfair.

– Tego nie wiesz.

– Naprawdę sądzisz, że taki człowiek mógłby ot, tak sobie, wpadać przy podobnych okazjach do Mayfair i tutejsze matrony nie uznałyby tego za smakowitą plotkę? Wspaniałą plotkę? Mój Boże, Hattie, musiałyśmy sześć godzin słuchać lady Beaufetheringstone, raczącej nas opowieściami o tym, jakiego koloru kamizelki nosili nieżonaci dżentelmeni w zeszłym sezonie.

– To nie trwało sześć godzin.

– Nie? Miałam wrażenie, że sześćdziesiąt. – Nora napiła się szampana. – Rzecz w tym, Hattie, że ten człowiek nie bywał w towarzystwie i aż do zeszłego tygodnia ani razu cię nie pocałował.

Hattie otworzyła szeroko oczy.

– Jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

Nora uniosła jedną ciemną brew.

– Oczywiście, że nie.

Hattie wyprostowała się, mówiąc sobie, że tylko zerknie – rzuci jedno szybkie spojrzenie – żeby sprawdzić, czy zobaczy go w tłumie. Jak tylko się wyprostowała na pełną wysokość, ich oczy się spotkały. Nie wydawało się nawet, że jej szukał. Po prostu podniosła głowę i oto był. Jak za sprawą czarów.

Natychmiast skuliła się ponownie.

Niech to diabli.

– Zdajesz sobie sprawę, że się przed nim nie ukryjesz? – zapytała kpiąco Nora.

– Dlaczego nie? Ty z powodzeniem ukrywałaś się przed markizem Bayswaterem przez cały sezon.

– To dlatego, że Bayswater nie znalazłby słonia schowanego w domu dla lalek. Twój dżentelmen raczej bardziej do ciebie pasuje.

Pasował doskonale. To się w nim Hattie najbardziej podobało – że w każdej chwili mogli się zetrzeć i nie było jasne, które będzie górą. To dlatego serce biło jej żywiej. To dało jej siłę, żeby pójść do Covent Garden i

go szukać. Dlatego nie spała w nocy, przewracając się w łóżku i zastanawiając, co miał na myśli mówiąc o „walkach” i w jakie tarapaty mogłaby się wpakować, gdyby wymknęła się z domu, żeby go znowu odnaleźć.

Wyobrażać sobie, jak się odnajduje w jego świecie, to jedno; to, że zjawił się we własnej osobie w jej świecie, to było zupełnie co innego.

Chwyciła Norę za rękę i pociągnęła wzdłuż stołów z napojami, aż wyprowadziła ją przez szerokie, otwarte drzwi na balkon. Odeszły dalej od jakiejś szczególnie głośnej grupki gości i stanęły przy kamiennej balustradzie ponad ogrodami Warnicka.

– Nie powinnyśmy tu przychodzić – powiedziała Hattie.

– Nie wiem, dlaczego nie. Świetnie się bawię. – Na jęk Hattie dodała:

– Poza tym, Hattie, czy celem twojej wizyty… – powiodła wzrokiem dokoła, żeby się upewnić, że nikt ich nie podsłuchuje – …w burdelu nie było to, żeby zacząć Rok Hattie od własnej kompromitacji? Czy nie chodziło o to, żeby uniknąć małżeństwa? – Urwała, po czym odezwała się znowu:

– To twoja szansa! Podejdź do niego i spraw, że nikt nie poprosi o twoją rękę!

Była w tym jakaś racja. Z pewnością taki cel jej przyświecał na początku – szybka kompromitacja i koniec na tym. Tyle żeby ojciec wiedział, że nie może jej wydać za mąż. Że poślubi ich firmę i nie rozstanie się z nią, póki ich śmierć nie rozłączy.

Pokręciła głową.

– Nie mogę. Muszę wpierw zrozumieć, co on tutaj robi. Jaką grę prowadzi. – Umilkła. Była tak blisko celu. Dlaczego ten człowiek musiał stawać okoniem? – Niech to – szepnęła. – Co on tutaj robi?

– Gdyby tak istniał sposób, żeby zdobyć odpowiedź na o pytanie. Może, na przykład, zapytasz go o to?

– Jeśli powtórzy wszystko mojemu ojcu, rola Augiego wyjdzie na jaw. A ja nie dostanę firmy.

Nora parsknęła gniewnie.

– Augie zasługuje, żeby dostać po tyłku. Sam powinien sprzątać po sobie bałagan. Ty powinnaś o wszystkim powiedzieć ojcu. Temu całemu Bestii też. Niech sobie radzą z Augiem.

– To mój brat.

Nora zmrużyła oczy i Hattie poczuła się niepewnie. Znała to spojrzenie. Oceniające. Zanim zdołała zmienić temat, Nora powiedziała:

– Ale to nie wszystko, prawda?

– Co masz na myśli? Oczywiście, że nie. Nie chcę, żeby Augiemu stała się krzywda.

Nora pokręciła głową.

– Nie. Ty chcesz rozwiązać ten problem. Chcesz udowodnić, że potrafisz go rozwiązać. Pokazać, że zdołasz sama radzić sobie z trudnościami. Chcesz udowodnić, że jesteś warta tej firmy. Żeby ojciec dał ci pieniądze. Bo chcesz jego aprobaty.

Hattie skinęła głową.

– Tak.

– I dlatego chcesz sama rozmawiać z tym człowiekiem.

Nora użyła słowa „sama” w podstawowym, zupełnie niewinnym sensie. W liczbie pojedynczej. Hattie miałaby prowadzić negocjacje i doprowadzić do spłaty ukradzionych dóbr Bitnym Bękartom samodzielnie, bez pomocy ojca. Kiedy jednak Hattie usłyszała „sama”, ujrzała owo słowo w liczbie mnogiej. Sama w powozie. Sama w sypialni. W magazynie tawerny. Sama z nim.

Tak czy inaczej, odpowiedź była jedna:

– Tak.

Spojrzała przez ramię w stronę drzwi. Bojąc się, że go tam znajdzie. Rozczarowana, że nie znalazła.

– Bez pomocy – uściśliła Nora.

– Bez wtrącania się. – A ojciec by się wtrącał. Ojciec powiedziałby, że świetnie prowadzi księgi i nikt nie nadzoruje rozprowadzania towarów lepiej od niej i, owszem, robotnicy portowi ją lubią, ale interesy powinna zostawić mężczyznom.

Hattie zazgrzytała zębami. Ile razy słyszała tę okropną odpowiedź? „Interesy zostawić mężczyznom”.

Nienawidziła tego. Nie chciała dłużej zostawiać interesów mężczyznom. Chciała, żeby należały do kobiet. Do jednej kobiety. Do niej.

W oczach ojca mogła być na szarym końcu jako kandydatka na przejęcie firmy, ale to ona była najlepsza. I nie pozwoli, żeby Saviour Whittington zjawiał się tutaj ot, tak sobie, i wszystko niszczył, niech to diabli. Nie wtedy, kiedy była tak blisko celu.

Spojrzała w ciemne, zaciekawione i rozbawione – tak, jak może być rozbawiona najbliższa przyjaciółka – oczy Nory.

– To nie jest zabawne.

Nora zachichotała.

– Obawiam się, że to ogromnie zabawne; mówiłaś, że obiecał ci lekcje, nieprawdaż? Że pomoże ci we wprowadzaniu w życie twoich celów w Roku Hattie?

Hattie cieszyła się, że w półmroku nie widać jej rumieńca.

– Owszem.

I nazwał mnie wściekle niebezpieczną.

Poczuła dreszcz podniecenia na tę myśl. Jak cudownie, że ktoś myśli o niej w ten sposób.

– To może dlatego tu przyszedł.

– Na pewno nie.

– A powinien – stwierdziła Nora. – Z tego, co mówiłaś, pominął kwestie dość istotne.

– Noro!

– Ja tylko opowiadam się za równością! – Nora rozłożyła ręce ze śmiechem. – No dobrze, to co będzie dalej?

– Naprawdę nie mogę sobie wyobrazić, skąd mógłby wiedzieć, że tu dzisiaj będę. Ja nigdy… – Znieruchomiała. Zwróciła się do Nory, która wydawała się urzeczona widokiem gwiaździstego nieba. – Ty.

Nora odwzajemniła spojrzenie.

– Hm.

– Powiedziałaś, że powinnyśmy tu przyjść. Nalegałaś. Ja chciałam zostać w domu i porządkować księgi.

– Lubię bale – oznajmiła Nora.

– Nienawidzisz bali.

– Świetnie! Księżna Warnick przysłała liścik, prosząc, żebym przyszła z tobą i twoim ojcem. Nie zwykłam rozczarowywać księżniczek.

– Masz w nosie, czy księżniczka będzie rozczarowana, czy nie.

– To prawda. Ale tę dosyć lubię, a obiecała dobrą zabawę.

Hattie wycelowała w nią palec oskarżycielskim gestem.

– Zdrajczyni.

– Nieprawda! – sapnęła Nora.

– Prawda! Powinnaś mnie uprzedzić, że to pułapka!

– Myślałam, że chodzi o kolejnego mężczyznę, który pilnie potrzebuje posagu! Nie wiedziałam, że w tej pułapce będzie partner twoich erotycznych eskapad!

Teraz to Hattie sapnęła gniewnie.

– To nie znaczy, że nie popieram twoich eskapad – dodała Nora z uśmiechem.

– On nie jest moim partnerem w… – urwała – Noro. Tylko ten człowiek stoi między mną a marzeniem mojego całego życia.

– A te eskapady?

Hattie westchnęła cicho.

– Oczywiście, było całkiem przyjemnie. – Zanim Nora zdążyła się odezwać, dodała:

– Ale nie przyszedł tu z tego powodu. I bardzo mnie niepokoi myśl, że przyszedł z jakiegoś innego powodu.

– Na przykład, dla innej kobiety?

Nie pomyślała o tym, ale taka myśl wywołała nieprzyjemne ssanie w żołądku.

– Nie, sądzę raczej, że chodzi o coś związanego z negocjacjami. Nie wiem… informacje o Augiem albo… spotkanie z moim ojcem. Nie może do tego dojść. Muszę go przekonać, żeby natychmiast wyszedł.

– Hm – mruknęła Nora. Cichy dźwięk zwrócił uwagę Hattie.

– Co?

– Cóż, nie jestem pewna, czy to rozsądny plan?

– Dlaczego? – zapytała Hattie. – Wrócę na salę i… znajdę go pierwsza.

– To może być trudne – stwierdziła Nora.

Na balkonie powiało zimnym powietrzem.

Hattie spojrzała uważnie na przyjaciółkę.

– Bo?

Nora wskazała na jasno oświetloną salę balową ponad swoim ramieniem.

– Bo właśnie w tej chwili rozmawia z twoim ojcem.

Hattie odwróciła się gwałtownie.

Oczywiście, że rozmawiał.

Miała takie szalone, wspaniałe plany na Rok Hattie, kiedy się zaczynał. A teraz zamierzała podbić świat szturmem – przez swój dwudziesty dziewiąty rok porządkować przeszłość tak, żeby przyszłość stanęła otworem. Wydawało się, że Rok Hattie nie ma pojęcia, że powinien się do tychże planów dostosować.

A już z pewnością nikt nie uprzedził pana Savioura Whittingtona, że on ma się dostosować do tych planów.

– Niech to diabli – szepnęła.

– Kimkolwiek jest – zauważyła cicho Nora – dobry jest w tym, co robi.

Hattie zacisnęła palce na głupim kartoniku do zapisywania nazwisk partnerów do tańca, który kazała jej wziąć Nora. To było coś, czym przejmowały się kobiety, które nie zajmowały się interesami, nie martwiły o pieniądze, odwet, o to, czy mężczyzna, który parę dni wcześniej poranił ich brata nożem (który na to zasłużył), opowiada właśnie o wszystkim ich ojcu. Coś, czym Hattie nigdy się nie przejmowała. A jednak tak się stało, że teraz mogła jedynie patrzeć na przystojną twarz Bestii i ściskać kawałek pergaminu w dłoni.

W nadchodzącej bitwie nie mógł jej pomóc. Równie dobrze mogłaby trzymać skrzypce. W istocie skrzypce mogłyby się przydać bardziej, bo mogłaby mu je połamać na głowie – zrobiłaby scenę, ale przynajmniej przeszkodziłaby mężczyznom w rozmowie.

Jakby wyczuł groźbę, podniósł głowę, którą przedtem opuścił, żeby rozmawiać z jej ojcem w panującym na sali hałasie i jego niezwykłe bursztynowe spojrzenie natychmiast ją odnalazło. A potem, jakby spędził całe życie na balach w Mayfair, puścił do niej oko.

– Interesujące – powiedziała przeciągle Nora.

– Nie, wcale nie interesujące. W co on gra? – I dlaczego nie była na niego zła, że prowadzi tę grę tutaj, wobec całego świata? Powinna być przerażona. Wściekła. A zamiast tego czuła… podniecenie.

Wojowniczka.

– Powinnyśmy częściej chodzić na bale.

– Nigdy już nie pójdziemy na żaden bal – rzuciła Hattie przez ramię; szła już w stronę sali.

A potem dostrzegła błysk w jego oczach i wiedziała, że czuje to samo co ona. Podniecenie tym, co się zdarzy.

Podjął rozmowę z jej ojcem, kiedy przechodziła przez drzwi. W innych okolicznościach byłaby to scena komiczna: ogromnego wzrostu młody człowiek, pochylający się do ucha starego, drobniutkiego hrabiego. Ojciec

lubił powtarzać, że to jego drobna budowa czyniła z niego znakomitego żeglarza; to było częściowo prawdą – nie musiał się schylać, chodząc pod pokładem. Ale ten mężczyzna – którego nie nazywała już w myślach Bestią, tylko Whitem, choć było to najzupełniej niewłaściwe – przyćmiewał go jak słońce.

Nie. Nie jak słońce. Jak burza, która zrywa się nad małym statkiem na morzu i pochłania niebieskie niebo, przykrywając je ciemnymi chmurami.

Burza – wielka, piękna i nieprzewidywalna.

Co mówił jej ojcu?

To mogło być cokolwiek; rozmawiali tylko we dwójkę, obojętni na to, co działo się dookoła. Hattie szybko skalkulowała prawdopodobieństwo, że rozmawiają o rzeczach obojętnych – o pogodzie, napojach, temperaturze w pomieszczeniu czy liczbie lokajów.

To raczej nie wchodziło w grę.

Najprawdopodobniej rozmawiali o niej.

Hattie przyśpieszyła kroku, o mało nie przewracając markizy Eversley; rzuciła przez ramię zwięzłe przeprosiny. Gdyby to był ktokolwiek inny, to może – może – zatrzymałaby się, żeby przeprosić, ale markiza pochodziła z jednej najbardziej skandalizujących rodzin w Wielkiej Brytanii, więc jeśli ktoś mógłby zrozumieć potrzebę przerwania rozmowy między jej ojcem a mężczyzną, który wiedział zbyt wiele o tym, co robiła podczas ostatnich paru dni, to właśnie ona.

Hattie niemal dochodziła, kiedy hrabia kiwnął głową, jakby zatroskany. Wstrzymała oddech, nie była pewna wrażenia, ale czuła niepokój. A potem podeszła i wyrzuciła z siebie, nie myśląc długo:

– Dosyć tego.

Hrabia otworzył szeroko oczy, odwracając się do Hattie, a Whit wyprostował się i…

O mój Boże.

– Mamy problem – odezwała się Nora gdzieś za jej plecami.

Nikt nie powinien uśmiechać się tak zniewalająco. Hattie miała dziwaczny odruch, żeby podnieść ręce i zablokować siłę tego uśmiechu. Oprzeć się jego działaniu. Nie trać głowy, Hattie.

Przełknęła ślinę.

– Co ty tu robisz?

Przyjął niegrzeczne pytanie spokojnie, wyciągając rękę.

– Lady Henrietta. – Mówił cicho i uprzejmie, głosem stałego bywalca salonów.

Hattie ściągnęła brwi, unosząc głowę, zmieszana i niemal zaskakująco rozczarowana. Czy to był ten sam mężczyzna? Niemożliwe. Gdzie jego burkliwy głos? Akcent wyniesiony z Garden?

W bursztynowych oczach błysnął płomień, ożywiając w niej podobny.

Nie. Nie mógł zmusić jej do tego, żeby była potulna. Zerknęła nieufnie na jego wyciągniętą rękę. Nie chwyciła jej.

– Odpowiedz, proszę, na moje pytanie. – Ponieważ nie odpowiedział – to się, rzecz jasna, nie zmieniło – zwróciła się do ojca:

– O czym rozmawialiście?

Hrabia zacisnął wargi.

– Zmień ton, dziewczyno.

Przełknęła niechęć, ledwie zdolna zastanowić się nad odpowiedzią, ale Whit odezwał się pierwszy:

– Cheadle.

Ostrzeżenie – bardziej mroczne i surowsze niż reakcja ojca. Spojrzała zaskoczona na Whita, doskonale ubranego i pięknego jak grecki bóg, który nagle zmienił się w ulicznego zbira.

Przemiana powinna wytrącić ją z równowagi, ale tak się nie stało.

Podniosła ją na duchu.

I to jeszcze pogorszyło sytuację. Wyprostowała się na pełną wysokość i uniosła brodę.

– Nie rozmawiaj z nim.

Nora pisnęła ze zdumienia, gdy rozmowy wokół nich ucichły, śmietanka londyńskiej arystokracji starała się nie patrzeć w ich stronę, ale robiła wszystko, żeby nie uronić ani słowa. Odchrząknęła pod ciężkim spojrzeniem ojca i powiedziała:

– To jest, panie Whittington – jego wargi drgnęły z rozbawienia, kiedy użyła jego nazwiska – chcę, żebyś… – uniósł jedną ciemną brew w chwili ciszy, która nastąpiła po tych słowach i Hattie dokończyła pośpiesznie – … ze mną zatańczył.

Podniosła zmiętą karteczkę do góry.

– Jesteś na mojej liście tancerzy. – Zwróciła się do ojca. – On jest na mojej liście.

Zapadła niekończąca się cisza. Trwająca miesiące. Lata.

Hattie zwróciła się do Nory.

– Jest na mojej liście.

Nora, błogosławiona Nora, podjęła wątek.

– Tak. Dlatego tu jesteśmy. Oczywiście!

Hattie obyłaby się bez tego „oczywiście”, ale bierze się, co się ma.

– Masz tańczyć… z nim – powiedział ojciec Hattie.

Hattie pomachała karteczką przymocowaną do nadgarstka.

– Tak tu jest napisane!

– Czy tak! – Hrabia wydawał się mniej przekonany.

– Tak jest! – potwierdziła nieco piskliwym głosem, odwracając się do rzekomego partnera:

– Nieprawdaż?

Milczał, słychać było jedynie pierwsze dźwięki walca za ich plecami – w uszach Hattie jak dźwięk kurka odciąganego w pistolecie. Może on nie potrafi tańczyć. Nie, nie „może”. Z całą pewnością nie potrafi tańczyć. To był mężczyzna, który nosił noże do walki i nieprzytomny odnajdował się w cudzym powozie. Odwiedzał burdele i tawerny w Covent Garden i groził

bandziorom na ulicy… Sam był bandziorem. Mógł się ubierać jak arystokrata, ale nie umiał tańczyć.

Dlatego straciła dech, kiedy schylił głowę jak bywalec arystokratycznych salonów i powiedział spokojnie:

– W istocie, łaskawa pani.

Zaskakujące, że zgadzał się tańczyć. To nie miało nic wspólnego z tytułem grzecznościowym. Z faktem, że nigdy wcześniej tak się do niej nie zwrócił. Absolutnie nic wspólnego z tym, że nagle te dwa słowa – te, które słyszała całe życie – w jego ustach nabrały zupełnie nowego znaczenia.

A potem jej dłoń znalazła się w jego dłoni; prowadził ją w tłum tancerzy, trzymał w ramionach, a ona, kładąc ręce na jego ramionach, wyczuwała twarde jak stal mięśnie pod marynarką. Oczywiście, że nie potrafi tańczyć, przemknęło jej przez myśl. Jest ulepiony z dużo twardszej gliny.

Pochyliła się, żeby móc szepnąć mu do ucha – tak żeby nikt nie usłyszał:

– Jeśli chcesz, mogę skręcić kostkę.

Odsunął się, zaskoczony i jakby rozbawiony.

– Nie życzyłbym sobie tego w żadnym wypadku.

– Ale dzięki temu nie musiałbyś tańczyć.

Uniósł brwi.

– Jesteś pewna, że to by ci oszczędziło konieczności zatańczenia ze mną?

– Ja nie mam się czego obawiać. Tańczę doskonale – odparła. – Chciałam tylko pomóc tobie, jako że ty nie tańczysz.

– A ty o tym wiesz, ponieważ…

Przewróciła oczami.

– Ponieważ ty, oczywiście, nie tańczysz.

Kiwnął głową, ściskając ją mocniej; czuła jego siłę i cudowne ciepło i żałowała, że są tutaj, wśród ludzi. Ogarnęło ją pożądanie – pragnienie na tyle silne, że nie zwróciła uwagi, że się poruszają w rytm muzyki, póki nie szepnął jej do ucha:

– Myślę, że sobie jakoś poradzę.

I tak było. I wcale nie „jakoś”. Poruszał się z gracją, jakby tańczył walca co wieczór, zręcznie wymijając inne pary na parkiecie. Hattie tańczyła setki razy w życiu – w tych czasach, kiedy jej posag czynił ją jeszcze nieco pociągającą w oczach młodych arystokratów – ale nigdy nie czuła się tak jak teraz, w jego ramionach. Tak, jakby ona także była obdarzona wdziękiem.

Spojrzała mu w oczy, w płynny bursztyn.

– Potrafisz tańczyć.

Mruknął w odpowiedzi i Hattie poczuła się raźniej, słysząc ten dźwięk – wreszcie coś niezaskakującego. Rozsunęła palce na jego rękawie, czując ciepło przenikające przez materiał; westchnęła, zamykając oczy i poddając się muzyce.

Zapomniała na chwilę o wszystkim. O Augiem, firmie, swoich zmartwieniach – zapomniała o ich umowie, marzeniach na przyszłość i Roku Hattie. Świat skupił się w jednym miejscu, w ramionach tego mężczyzny, silnego, ciepłego, roztaczającego wokół niej lekką woń słodyczy i cytryny.

I, przez krótką chwilę, Hattie zapomniała także o sobie.

Ale chwile nie trwają długo. Otworzyła oczy, napotykając jego uważne spojrzenie, które ją natychmiast otrzeźwiło. Wiedziała doskonale, co widział – jej czerwonawą skórę, której kolor nie miał nic wspólnego z brzoskwinią, jagodami czy śmietaną, jej zbyt szeroki nos, zbyt pucułowate policzki, jej pełny podbródek – wszystkie aż nadto widoczne powody, dla których pozostawała w staropanieństwie.

Cisza nie była przyjazna dla mało atrakcyjnej kobiety; zostawiała zbyt wiele czasu dla analizy estetycznej. Kiedy wciągnął głęboko powietrze, nie mogła się powstrzymać, żeby nie wypełnić tej ciszy.

– Mogłeś mi powiedzieć, że umiesz tańczyć – powiedziała, odwracając głowę; po chwili uświadomiła sobie, że on teraz patrzy na jej ucho, a czy ucho nie jest najdziwniejszą częścią ludzkiego ciała? Wolałaby, żeby

patrzył na jej oczy. Jej oczy nie różniły się rozmiarem i miały dość rzadki kolor; były jej najlepszą cechą. Choć, rzecz jasna, wcale jej nie zależało, żeby zwracał uwagę na jej najlepsze cechy.

Och, kogo zamierzała oszukać? Oczywiście, że chciała, żeby zauważył jej najlepsze cechy. Żeby uznał je za najlepsze. Nie tylko w porównaniu z jej innymi cechami, ale rysami wszystkich innych ludzi. To niemożliwe, zdawała sobie z tego sprawę, ale jak nie przyznać się przed sobą do takich pragnień? Czy nie to było ważne w Roku Hattie? Przyznawanie się do swoich pragnień? Spełnianie ich, jeśli się da?

No, więc tak, chciała, żeby myślał, że jej oczy są ładne.

Czy ktoś użył kiedykolwiek słowa „ładna”, żeby ją opisać?

– Dlaczego miałbym to zrobić?

Zamrugała, w pierwszej chwili sądząc, że mówi o jej oczach, i poczuła zmieszanie; później przypomniała sobie, że pytała go o taniec.

– Ponieważ musiało cię urazić moje przekonanie, że nie umiesz tańczyć.

Pokręcił głową ledwie zauważalnie.

– Nie uraziłaś mnie.

Nie uwierzyła mu.

– Myślałam, że nie potrafisz tańczyć, a najwyraźniej potrafisz; myślałam, że nie rozumiesz arystokracji, a oto dostałeś zaproszenie na książęcy bal, więc to też nieprawda. Nie doceniałam cię.

Milczał długo, zanim ponownie spojrzał na nią.

– Powiedziałaś, że nie ma dla ciebie znaczenia, czy mam takie umiejętności, czy nie.

– Bo nie ma.

Zastanawiał się chwilę nad następnymi słowami.

– Nie przywiązywałaś do nich wagi.

– Nie przywiązuję.

Kiwnął głową.

– Więc może mnie przeceniłaś.

Zaśmiała się.

– Może i tak. – Po kolejnej przerwie:

– Jakim sposobem nauczyłeś się tak dobrze tańczyć?

Delikatna poufałość, jaka się między nimi zrodziła, zniknęła; zamknął się w sobie. Hattie zrobiło się przykro; czuła też zmieszanie: dlaczego takie proste pytanie mogło wywołać taką natychmiastową, nieprzyjemną reakcję?

Pod jej palcami jego mięśnie stężały jak żelazo, jakby był gotów do walki. Spojrzenie utkwił w jakimś punkcie ponad jej głową. Odwróciła się, spodziewając się zobaczyć wroga, który zmierzał w ich stronę. Ale nic takiego nie zobaczyła. Poza jedwabiami i satyną, i roześmianymi tancerzami.

Co się stało? Co poszło nie tak? Nie znała dobrze tego mężczyzny, ale znała go na tyle, żeby wiedzieć, że nie odpowie, kiedy go o to zapyta. Ani nie odpowie na inne pytania, które miała na końcu języka.

Jego twarz pobladła pod ciepłą oliwkową barwą, do której przywykła. Przestraszyła się. Ścisnęła ręką jego ramię, drugą rękę mocniej zacisnęła na jego dłoni.

Zniżając głos, zapytała:

– Panie Whittington? – Przełknął ślinę. Pokręcił głową, jakby chciał się pozbyć nieprzyjemnego smaku. – Whit? – szepnęła jeszcze ciszej. – Czy źle się czujesz?

Oddychał z większym trudem, krople potu zrosiły mu czoło, mięsień w szczęce drgał, jakby zaciskał zęby, usiłując się czemuś przeciwstawić.

Ścisnęła jeszcze mocniej jego dłoń. Na tyle mocno, żeby sprawić ból. Spojrzały na nią bursztynowe oczy. Odpowiedziały na pytanie zawarte w jej oczach.

Skinęła głową i przestali tańczyć, ale nie puściła jego ręki, przyciskając się do jego boku. Nie wahając się ani trochę, ruszyła w kierunku ściany – szła, mijając plotkarzy, prosto do drzwi i na zewnątrz, w ciemność.

13

Nie mógł puścić ręki Hattie.

Panował nad wszystkim. Odgrywał swoją rolę, wydawał odpowiednie dźwięki, skinieniem głowy witał się z dżentelmenami, posyłał uśmiechy damom, rozmawiał z hrabią, rzucając groźby na terytorium wroga, żeby wzbudzić strach. Przygotował grunt dla zemsty Bękartów.

Bez Hattie.

Hattie, która uciekała przed nim od chwili, gdy wszedł do sali. Jakby mógł jej nie zauważyć. Jakby jej ucieczka miała go skłonić do tego, żeby ją ścigać. Nie ścigał jej. Nie dosłownie. Zamiast tego trzymał się oryginalnego planu, przygotowując zemstę.

Ale w żadnym momencie nie tracił jej z oczu.

Widział, jak wypiła dwa kieliszki szampana jeden po drugim. Jak wyszła pośpiesznie na balkon z przyjaciółką – wiedział, że owa dama to lady Eleanora, córka księcia, kobieta śmiała, uwielbiająca wyścigi powozami. Nie spuścił jej z oczu, kiedy rozmawiał z jej ojcem, specjalnie ustawiając się tak, żeby ją widzieć, świadom, że może próbować ucieczki. Rozważając tysiące miejsc, gdzie ją przedtem spotykał, nie wykluczał możliwości, że mogłaby przejść przez mur, wezwać powóz i udać się do najbliższego kasyna, gdzie zapewne znalazłby ją w towarzystwie lady Eleanory, jako ochroniarza i przybocznej.

Gdyby to zrobiły, Whit poszedłby za nimi.

Całkowicie panował nad wszystkim.

Zachował kontrolę, kiedy wróciła do pokoju i ruszyła ku niemu, wysoka, silna i zdecydowana; wpatrywała się w niego, nie dbając o dziesiątki oczu, które patrzyły, rozważały, osądzały. Szła do niego, w czerwonej sukni barwy grzechu, którego zamierzał dać jej posmakować, jeśli tylko mu na to pozwoli.

A pozwoli. W to nie wątpił.

Whit skończył rozmowę z jej ojcem, wiedząc, że kiedy ona się przy nich zjawi, u hrabiego nic już nie ugra – i tak się stało; jej fiołkowe oczy płonęły równie mocno jak rumieniec na policzkach i nie mógł się do niej nie uśmiechnąć. Uśmiechnął się mimo woli, ale i wtedy nad wszystkim panował.

Ale kiedy zaczęli tańczyć, kontrola się skończyła. Poczuł to w chwili, gdy przypomniał sobie kroki, zapisane w jego mięśniach; po dwudziestu latach z łatwością wracał do tańca, który kiedyś ćwiczył – trzymając cień w ramionach i wyobrażając sobie piękną kobietę, która go wypełni, kiedy wygra i pewnego dnia zostanie księciem.

Nigdy nie wyobrażał sobie kogoś takiego jak Hattie.

Hattie, która w jakiś sposób stała się portem na burzliwym oceanie jego myśli – wspomnień ojca łajdaka, współzawodnictwa, do jakiego ich zmusił, bólu, jaki wywoływało uderzenie rózgi ojca na tyle jego ud, kiedy pomylił krok. Bólu żołądka, kiedy kładł się spać bez jedzenia. „Pusty żołądek sprawi, że wzrośnie twój głód zwycięstwa”, jak z upodobaniem powtarzał potwór. Ile nocy głodowali na jego rozkaz? I ile jeszcze po tym, jak uciekli?

Wspomnienie było żywe i wyraźne, serce biło mu mocno, jakby znowu miał dwanaście lat i musiał znosić lekcję tańca. Zaczynał tracić kontrolę. Usiłował do tego nie dopuścić. Skupił się na Hattie, przyglądając się jej twarzy, jasnym włosom, pełnym policzkom, zaróżowionym z podniecenia. Zauważył długi nos o zaokrąglonym czubku, pełne wargi – szerokie i piękne, i niemożliwie miękkie i ciepłe w jego wspomnieniu.

Zamknęła oczy; jej uniesiona ku niemu twarz była jak dzieło sztuki – i ten widok go uspokoił. Na jej prawej skroni trzy ciemne piegi tworzyły regularny trójkąt, a on niczego nie pragnął bardziej, niż dotknąć ich ustami i wycałować. Wciągnął głęboko powietrze; jej widok był dla niego prawdziwą pociechą.

Odwróciła głowę w pewnym momencie i Whita urzekła krzywizna jej ucha z jego miękką, pokrytą meszkiem muszlą, jej dołeczki i loki. Jego uwagę zwrócił kolejny pieg, za prawym uchem, tuż przy linii włosów. To był sekret, który dzieliła tylko z nim. Taki, o którym nawet ona sama nie wiedziała – nigdy nie zdoła go zobaczyć. Ta kobieta miała wspaniałe uszy.

W końcu znowu zwróciła się w jego stronę, pokazując to, co najlepsze – oczy. Dzikiego, niemożliwego koloru, niewystępującego u ludzi, ale on już wcześniej uznał, że Hattie przekracza to, co ludzkie. Czarodziejka. Wojowniczka. Taka piękna.

I te niezwykłe oczy – stanowiące dowód.

Mężczyzna mógł się zgubić w tych oczach.

Mógł się im poddać. Przekazać kontrolę. Tylko raz. Podczas tańca. Póki nie odzyska oddechu i nie otrząśnie ze wspomnień.

A potem zapytała, jak nauczył się tańczyć. I wszystko wróciło. Wspomnienie, uczucia.

Napiął się pod jej dotykiem, usiłując nad sobą zapanować.

Przegrywał.

Potrzebował chwili. Łyku powietrza. Świata poza salą balową. Przypomnienia, że przeszłość to nie teraźniejszość. Że nie jest mu potrzebne to miejsce, zatłoczone, duszne od perfum.

Potrzebował jednak Hattie.

Ponieważ w tej właśnie chwili uratowała go, chwytając jego dłoń i wyprowadzając go z sali na oczach całego Londynu, niczym psa na smyczy. Pozwolił jej na to. Chciał tego. A ona jakimś sposobem o tym wiedziała; wiedziała, że nie należy go wyprowadzić tylko na balkon, ale dalej, w dół

po kamiennych stopniach, poza światła sączące się z budynku. Do ogrodów. W ciemność.

Dopiero kiedy się tam znaleźli, ukryci pod wielkim dębem, puściła jego rękę.

Był nieszczęśliwy, że to zrobiła.

Nieszczęśliwy, że straciwszy jej dotyk, musiał walczyć o powietrze, wciągając je rozpaczliwie w płuca.

A jeszcze bardziej nieszczęśliwy z tego powodu, że ona wydawała się to wszystko rozumieć.

Stała tam cicha i nieruchoma, całą wieczność, czekając, aż on dojdzie do siebie. Nie zmuszała go do mówienia, rozumiejąc widocznie, że gdyby nawet chciał, nie wiedziałby, co powiedzieć. Przyglądała mu się tylko, czekając, aż wróci do rzeczywistości. Do tego miejsca. Do niej.

Hattie, która zwykła wypełniać każdą ciszę pytaniami, teraz ich nie zadawała. Nie pytała ani o rozmowę z ojcem, ani o walca. Albo skąd wiedział, jak nienagannie zawiązać krawat.

Zamiast tego kobieta, którą znał krótką chwilę i która już nawiedzała jego sny, powiedziała:

– Dziękuję.

To był szok. Czy to nie on powinien podziękować?

Zanim zdążył się odezwać, dodała:

– Nie tańczyłam walca od trzech lat. Ostatnim razem… nie poszło najlepiej. – Roześmiała się. Nie spodobała mu się nuta politowania dla siebie samej w tym dźwięku.

– To był baron, który miał na oku pieniądze mojego ojca, a ja miałam dwadzieścia sześć lat; dwadzieścia sześć może być równie dobre jak osiemdziesiąt sześć podczas sezonu w Londynie.

Nie poruszył się, bojąc, że zamilknie.

– Byłam mu wdzięczna, naprawdę. Był dość przystojny i młody – miał tylko trzydzieści lat. I uśmiechał się tak, że myślałam, że może naprawdę

chodzi mu o mnie. – Whit stwierdził, że nienawidzi tego młodego, przystojnego barona, jeszcze zanim Hattie dodała:

– Nie miałam pojęcia, że jest okropnym tancerzem.

Zmieszał się. Nie wydawała się kimś, dla kogo ważne są umiejętności taneczne. Czy nie powiedziała wcześniej, że nie są?

– Były plotki, że poważnie myśli o małżeństwie ze mną, co, rzecz jasna, cieszyło mojego ojca; jego tytuł jest dożywotni i Augie nie mógłby go przekazać nikomu, więc małżeństwo z baronem było dobrodziejstwem. Ojciec był uszczęśliwiony, kiedy baron zapisał się do walca. Walce są na wagę złota na salach balowych Mayfair.

Przerwała, wciągając głęboko powietrze i spoglądając w niebo.

– Księżyc jest jak rogalik.

Nie chciał patrzeć na żaden przeklęty księżyc. Chciał patrzeć na nią. Zrobił to jednak, podążając za jej wzrokiem ku lśniącemu półksiężycowi nisko nad dachami.

– Zachodzi – powiedziała po prostu.

– Tak. – Natychmiast zwróciła oczy na niego, otwierając śliczne usta, zaskoczona, że się odezwał. Poczuł rumieniec na policzkach, co było dla niego szokiem. Whit nigdy nie był bardziej wdzięczny, że panuje ciemność, a niejeden raz udało mu się dzięki niej ukryć przed żołnierzami Korony.

– Nadepnęłam mu na stopę – powiedziała cicho. – Nie był dobrym tancerzem, a ja nadepnęłam mu na stopę i on mnie nazwał… – Pokręciła głową i spojrzała znowu na księżyc, zanim odezwała się ponownie, tak cicho, że ledwie ją usłyszał.

– Cóż. To nie było grzeczne.

Ale usłyszał. Usłyszał jej zakłopotanie. Jej ból. Czuł go tak, jakby sam go doznawał. Znajdzie tego barona i go udusi. Przyniesie jej jego niegodną głowę.

Serce Whita, bijące w szalonym tempie, zaczęło się uspokajać.

– Więc… dziękuję ci za taniec dzisiejszego wieczoru. Dzięki temu czułam się… – Whit stwierdził, że oddałby złodziejom zawartość magazynów Bitnych Bękartów, byle usłyszeć zakończenie tego zdania.

Nie dokończyła go. Machnęła ręką z przywiązaną karteczką. Chwycił ją, przyciągając Hattie do siebie, leciuteńko szarpiąc za kruchy pergamin, już przedtem niedbale pomięty.

Odwrócił ją i spojrzał uważnie.

Usiłowała mu ją odebrać, ale nie pozwolił.

– Nic na niej nie ma, mówiłam. Nikt nigdy nie chce ze mną tańczyć.

Whit nie zwrócił na to uwagi, biorąc do ręki ołóweczek przymocowany do kartki.

– Ja chciałem.

– W istocie, to ja chciałam zatańczyć z tobą – powiedziała kpiąco. – Polizał koniuszek ołówka, po czym przyłożył go do owalnej karteczki. – Trochę za późno, żeby zapisać się do walca, nie sądzisz?

Ale on nie zapisywał się do walca. Wpisał swoje imię na całej kartce, żądając wszystkiego. Jednym, śmiałym podpisem – Bestia – domagał się jej całej, kobiety, która go uratowała.

Hattie zerknęła na przydomek i jej śliczne usta ułożyły się w doskonałe „och”. Nie odpowiedział, więc spojrzała na niego, mówiąc:

– A więc tak.

Mruknął tylko, bojąc się tego, co mógłby powiedzieć.

Jak zwykle wypełniła ciszę.

– Masz mnóstwo wdzięku. Jak sokół.

– Jak ptak? – powtórzył Whit, nie mogąc się powstrzymać. Gdyby Diabeł to usłyszał, nie przestałby o tym gadać.

Roześmiała się; Whit odebrał jej śmiech niczym uderzenie w żołądek.

– Nie. Jak drapieżnik. Piękny i pełen wdzięku, tak, ale także silny i pełen mocy. A taniec z tobą – to było coś zupełnie wyjątkowego. Sprawiłeś, że poczułam się tak, jakbym sama miała gracją i wdzięk. – Zachichotała i

znowu usłyszał tę samą nutkę politowania wobec siebie. – Dzięki tobie, oczywiście. Jakby moje ruchy były przedłużeniem twoich. Jakbym ja także była sokołem, tańczącym na wietrze. – Spojrzała na niego, w jej oczach odbijały się lekko światła sali balowej. – Nigdy się nie czułam w ten sposób. Nigdy tego nie miałam. Dałeś mi to dziś wieczorem. Więc dzię…

Ruszył się wreszcie i podszedł do niej z prędkością tego przeklętego ptaka, do którego go porównała. Zamknął ją w uścisku. Nie mógłby znieść jej podziękowań. Nie za to, co zdarzyło się wewnątrz. Nie za taniec, którego nie dokończył. Nie dał jej tańca, na który zasługiwała.

Jej wdzięczność rozpłynęła się z gwałtownym wydechem. Dobrze.

Nie zasługiwał na jej podziękowania. Nie był ich wart. Nie, wobec tego, co planował dla jej rodziny. Dla firmy jej ojca.

Dla niej.

Zatrzymał więc słowa pocałunkiem, gładząc jej śliczne, zaokrąglone policzki dłońmi. Scałowywał jej wdzięczność, zaskoczenie, potem przyjemność. Otworzyła usta, poddając się pocałunkom, jakby robił to już tysiące razy wcześniej. Przez chwilę miał wrażenie, że rzeczywiście tak było.

Whit mógłby przysiąc, że ledwie zaczęli, kiedy Hattie odsunęła się; oddychali ciężko, pocałunek musiał trwać dłużej, niż mu się wydawało, a i tak o wiele za krótko. Podniosła ręce, zaciskając je na jego dłoniach, obejmujących jej policzki. Pragnął usunąć rękawiczki, żeby poczuć jej ciepło.

Niemal poczuł. Mógłby poczuć, gdyby nie zaczęła szeptać przy jego ustach, wysuwając język, żeby polizać jego wargi, jakby nie mogła się powtrzymać, żeby jeszcze raz poczuć jego smak.

– Zawsze smakujesz cytryną, nawet jak nie widać cukierków.

Jęknął, tuląc ją do siebie, nienawidząc jej bujnych spódnic i gorsetu; gdyby to od niego zależało, nigdy już nie nosiłaby gorsetu. Nie nosiłaby

niczego, co stałoby między nim a jej miękkością, zaokrągleniami jej ciała. Zdesperowany podniósł ją na palce.

– Mylisz się, to ty smakujesz słodyczami.

Pocałował ją mocno. Przesunęła rękami po jego ramionach i piersi; przesunęła palcami po rzemieniach podtrzymujących noże i po nożach, a potem odsunęła się tylko na tyle, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Przyszedłeś uzbrojony.

Mruknął pod nosem.

– Atak może nastąpić z każdej strony.

Hattie uniosła jasną brew.

– Nawet na sali balowej w Mayfair?

Przyciągnął ją jeszcze bliżej, świadom, że to szaleństwo.

– Szczególnie na sali balowej w Mayfair. Twój widok w tej sukni to był napad. – Zacisnął palce na jej plecach, trzymając jedwab barwy czerwonego wina; przez jedną szaloną chwilę zastanowił się, co by było, gdyby zdarł z niej tę suknię, położył ją na łożu z liści na ziemi i dał jej wszystko, czego się od niego domagała.

– Podoba ci się? – zapytała niepewne.

Ty mi się podobasz.

Ta myśl nim wstrząsnęła, jak przedtem taniec; puścił ją, jakby się oparzył. W jej szeroko otwartych oczach dostrzegł zaskoczenie i przelotne rozczarowanie, kiedy oderwali się od siebie.

Patrzył, jak potrząsa spódnicami, udając, że nie dostrzega wypukłości jej piersi; czuł się jak skończony dureń.

Odezwał się po długiej chwili:

– Jestem ci winien jeszcze jednego walca.

Pokręciła głową.

– Myślę, że na razie mam dość walca. – Zamilkła na chwilę. – I wydaje się, że ty także.

To nie było pytanie. Nie spodziewała się odpowiedzi. On sam nie spodziewał się, że odpowie. A jednak z powodów, których nie był w stanie zrozumieć, odpowiedział:

– Mężczyzna, który mnie spłodził, nalegał, żebym nauczył się tańczyć walca.

Wyprostowała się powoli, ostrożnie, jakby właśnie odkryła, że ma obok siebie psa dotkniętego wścieklizną. I może tak było.

– Mężczyzna, który cię spłodził.

– Nie znałem go. – Wiedział, że nie może jej powiedzieć wszystkiego, ale bardzo chciał to zrobić. – Przez pierwszych dwanaście lat mojego życia.

Hattie kiwnęła głową, jakby rozumiała. Oczywiście, nie rozumiała. Nikt nie rozumiał. Nie był w stanie – poza pozostałymi dwoma chłopcami, którzy wiedli takie samo życie.

– Gdzie byłeś przedtem?

Przytłumione, ostrożne pytanie brzmiało tak, jakby chciała zadać ich tysiące, a to właśnie zdołało się przebić. Dziwne pytanie, jakiego Whit nie oczekiwał. Zawsze myślał, że jego życie jest pęknięte na pół – przed i po pojawieniu się ojca. Ale to nie był po prostu dzień, w którym poznał swojego ojca. I nie myślał o tym, co było przedtem. Nie chciał go pamiętać.

Nie rozumiał więc, dlaczego powiedział Hattie prawdę:

– Holborn.

Kolejne kiwnięcie głową. Jakby to wystarczało. Ale nagle poczuł, że nigdy nie będzie dość. Wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął jeden z zegarków, jego złota koperta grzała mu dłoń.

– Moja matka była krawcową – dodał. – Naprawiała ubrania żeglarzy, którzy przybywali do portu. – Kiedy były jakieś ubrania do naprawienia.

– A twój… – zawahała się; rozumiał dlaczego. Nie chciała użyć słowa: ojciec. – Czy był żeglarzem?

Czego Whit by nie dał, żeby jego ojciec był żeglarzem. Ile razy o tym marzył, że urodził się jako syn swojej matki i człowieka, który wyruszył w

świat, żeby zdobyć majątek, z wszytym w podszewkę kurtki obrazkiem przedstawiającym żonę i syna – wspomnienie domu, do którego miał wrócić, kiedy się wzbogaci.

Ile razy leżał w łóżku, obserwując matkę zgarbioną w nędznym świetle pojedynczej świeczki nad stosem brudnych ubrań, przynoszonych przez mężczyzn, którzy zawsze chcieli czegoś więcej niż szycia i cerowania, marząc, że za chwilę do drzwi zapuka jego ojciec, który wrócił, żeby ich uratować.

A potem nadszedł dzień, kiedy do drzwi rzeczywiście zapukał jego ojciec, wysoki i przystojny, o twarzy wyniosłego arystokraty i oczach jak z barwionego szkła. Człowiek obdarzony fortuną, o którą nie musiał się starać, bo się z nią urodził – to było widać w jego twarzy, w kroju ubrań, połysku butów.

Dwadzieścia lat minęło, a Whit ciągle pamiętał swój zachwyt i zdumienie na widok tych butów – lśniących jak samo słońce, jak najwspanialsze lustro w Holborn. Nigdy czegoś takiego nie widział; nie miały żadnej skazy i stanowiły większy dowód bogactwa i władzy, niż gdyby podał swoje imię i tytuł.

Podał je później. Książę Marwick. Tytuł, który otwierał każde drzwi, od urodzenia. Tytuł, który dawał niewyobrażalne przywileje. Tytuł, który mógł mu dać wszystko.

Wszystko, poza jedną rzeczą, której pragnął bardziej niż wszystkiego innego – dziedzica.

Dlatego potrzebował Whita.

– Nie był żeglarzem – powiedział w końcu Whit. – Był nikim, póki nie zjawił się u naszych drzwi w Holborn i nie obiecał nam cudów, o ile tylko z nim pójdę.

– A twoja matka? – W jego głosie brzmiał strach, jakby już znała odpowiedź.

Nie odpowiedział, zaciskając dłoń na zegarku. Spojrzał w kierunku sali balowej, symbolu uprzywilejowanego życia, które go kusiło tyle lat.

– Będą o tobie mówić dziś wieczorem, lady Henrietto. Wyprowadziłaś mężczyznę do ciemnego ogrodu.

Przyjęła bez wahania zmianę tematu. Poszła za jego spojrzeniem i uśmiechnęła się.

– Nie boisz się, że będą gadać o tobie, bo pozwoliłeś się wyprowadzić? A ja mówiłam przecież, że chcę zostać skompromitowana, czyż nie?

Pytanie mogłoby brzmieć kokieteryjnie w ustach kobiety, ale nie Hattie. W ustach Hattie było uczciwe i bezpośrednie. Krok w stronę, w którą postanowiła pójść.

– Powinnaś była to zrobić lata temu – powiedział pełen podziwu.

– Lata temu nie było nikogo, kto chciałby mi w tym pomóc.

Wsunął jej kosmyk włosów za ucho.

– Trudno mi w to uwierzyć. – Ta kobieta była w stanie wyprowadzić dobrego człowieka w ciemność, a Whit w żaden sposób nie był dobrym człowiekiem.

Uśmiechnęła się, odstępując od niego i prostując ramiona. Wyczuł zmianę. Zdecydowanie. Już to wcześniej widział. To wspomnienie i widok jej zaciśniętej szczęki oraz twardego błysku w oczach wzbudziły w nim podniecenie; wiedział, że czeka go kolejne starcie.

Wstrzymał oddech.

– O czym rozmawiałeś z moim ojcem?

Skrzyżował ręce na piersi, rzemienie przytrzymujące noże napięły się, przypominając jego rolę w tej grze – zadanie, które miał wykonać.

– Kto powiedział, że rozmawialiśmy o czymś innym poza wspaniałym balem?

Parsknęła śmiechem.

– Dla mojego ojca żaden bal nie jest wspaniały. Ty także nigdy nie wyrażałeś się w ten sposób.

– Może dzisiejszy wieczór zmienił moje wyobrażenie o balach?

– Jeśli tak, to stało się to po tym, jak wyprowadziłam cię z balu, mój panie.

To była prawda i teraz Whit zachichotał. Spojrzała zaskoczona. Przechylił głowę.

– O co chodzi?

– Ty… ty się nie śmiejesz.

– Śmieję się.

Rzuciła mu niedowierzające spojrzenie.

– Ty prawie się nie odzywasz. – Machnęła ręką, uprzedzając odpowiedź. – Nieważne. Nie zniechęcisz mnie. Co mu powiedziałeś?

Jej ojcu.

– Nic.

Nie mówił prawdy, wiedziała o tym.

– Mówiłam ci już. On nie ma nic wspólnego z napadami na twoje ładunki.

Whit wiedział, ale chciał od niej wydobyć informacje.

– I ja mam ci uwierzyć?

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo to byłoby wbrew rozumowi, gdybym cię okłamywała. – Uniósł brwi; prawda, ale większość biznesmenów nie przyznałaby tego. – Rozumiem, że działasz z pozycji siły, panie Whittington.

– Nie nazywaj mnie tak.

– Nie mogę zwracać się do ciebie „Bestio” wobec całego świata.

To go zirytowało.

– To nie jest cały świat, Hattie. To jego maleńka cząstka. Słaba cząstka. Bezużyteczna cząstka. Zupełnie inna niż reszta z nas, która pracuje, żeby jeść, tańczy, żeby się bawić, i żyje swoim życiem, nie bojąc się osądu.

Przyglądała mu się, kiedy mówił, aż pożałował, że wyrzuca z siebie przy niej tyle słów. Zwłaszcza kiedy stwierdziła:

– Nikt nie żyje, nie bojąc się osądu.

– Ja tak.

Kłamał i ona to usłyszała.

– Myślę, że boisz się go bardziej niż większość z nas. – Whit siłą woli nie wzdrygnął się na te słowa, kiedy rozmowa wróciła do punktu wyjścia. – Nie musisz wierzyć, że cię nie okłamię. Wierzyć, że historia nie kłamie. Mój ojciec stał na czele firmy Sedley, odkąd wrócił z wojen. Był niezrównanym żeglarzem – każdy znany biznesmen w Brytanii obiecywał mu góry złota, byle pływał dla niego. Podchodzili do niego najgorsi z najgorszych – ludzie, którzy chcieli przemycać broń, opium, ludzi. – Pokręciła głową, jakby spojrzała złu w twarz i wciąż nie mogła uwierzyć, że istnieje. Whit poznał zło. On i Diabeł otrzymywali te same propozycje, co jej ojciec. Odrzucali je bez wahania, tak jak jej ojciec. – Nasza kompania przeżywała wzloty i upadki, ale on nigdy nie zgodziłby się, żeby ciebie okraść. Nigdy.

Nasza kompania. Whit żył na tyle długo na świecie, żeby wiedzieć, że córki często były niezwykle przywiązane i lojalne wobec swoich ojców, ale w słowach Hattie wyczuł coś więcej. Ona nie tylko broniła uczciwości swojego ojca… Broniła uczciwości firmy, o której wiedziała bardzo dużo. Broniła siebie.

Whit już się nie wahał.

– Wiem.

– Nigdy – powtórzyła, zanim dotarło do niej, co powiedział. – Wiesz?

– Tak. Powiedzieć ci, co jeszcze wiem? – Nie odpowiedziała, więc dodał:

– Ktoś popełnił błąd, czyż nie tak, Hattie?

Przelotne wahanie.

– Tak.

– Wierzę, że to nie on. I wierzę, że to nie byłaś ty. I wierzę, że nie chcesz, żebym się dowiedział, kto za tym stoi, bo boisz się jeszcze czegoś innego.

Przegranej.

Pokręciła głową.

– Nie, ponieważ zawarliśmy umowę.

Umowę, która go zabije, jeśli jej dotrzyma – tę, która sprawi, że ona znajdzie się naga w jego łóżku.

– Zawarliśmy. I nadal obowiązuje. Ale mówiłem ci, że nie mogę pozwolić, żeby wszystko po prostu było tak jak przedtem. Za wiele się zdarzyło.

– Nic się nie stanie – powiedziała pewnym tonem. – Dostaniesz pieniądze z powrotem. Ojciec nigdy nie zaryzykowałby wchodzenia ci w drogę. A ja chcę tylko…

Był zły, że przerwała. Że mu nie zaufała. Mądra dziewczyna. Nie powinnaś mi wierzyć. Dobrze, że nie dokończyła zdania. Inaczej, może dałby jej to, cokolwiek by to było.

Powiedział jednak, wiedząc, że to zmieni wszystko:

– Twój ojciec nie podjąłby takiego ryzyka, Hattie. Ale twój brat to zrobił.

Zamarła; te słowa były jak cios; chciał go wymierzyć delikatnie, wiedząc, że zaboli. Ukryła zaskoczenie niemal natychmiast i nie mógł zaprzeczyć, że ogarnął go podziw.

– Jak długo o tym wiesz?

Nie chciał jej powiedzieć, że wiedział od początku.

– Czy to ważne?

– Chyba nie. Mówiłeś, że dowiesz się wszystkiego.

– I dowiedziałem się.

– Czy zamierzasz… – Zawahała się; w jej głosie wyczuł chwilową panikę, ale jednak nie było w nim strachu. Dlaczego tak usilnie chroniła brata?

„Moja Hattie ma umysł ostry jak bicz”, powiedział mu wcześniej hrabia z dumą w załzawionych oczach. „Zawsze sobie wyobrażała, że zostanie dziedziczką; mój błąd, bo tak bardzo lubiłem jej towarzystwo. Chłopak nigdy nie był taki bystry. Ale Hattie musi znaleźć sobie porządnego mężczyznę i mieć z nim zdrowego syna”.

Hattie była bystra, błyskotliwa i sprytna i znakomicie poprowadziłaby firmę ojca. Czy to możliwe, że to, że odkrył rolę jej brata w napadach, w jakiś sposób zagrażało jej planom?

Zanim poszedł za tą myślą, odezwała się rozżalonym tonem:

– Negocjowałeś w złej wierze. Bawiłeś się ze mną. Wiedziałeś cały czas.

– Nie było trudno na to wpaść, Hattie. Przypuszczam, że twojemu bratu wydawało się, że zarobi na nas jakieś szybkie pieniądze i będzie mógł pochwalić się ojcu.

– To nie było takie proste.

Wiedział, że coś ukrywa, i ta niezbyt zażarta obrona brata dała mu jeszcze do myślenia.

– Nie, nie było proste. Bo nie pracuje sam. – Znieruchomiała, wyraźnie zaskoczona. Zaskoczona, że Augie miał wspólnika? Że Whit o tym wiedział?

– Z kim pracuje? – zapytała.

Nie chciał, żeby miała coś wspólnego z Ewanem, który zraniłby ją bez wahania, gdyby wiedział, że w ten sposób zrani Whita. A zraniłby.

– Skąd wiesz? – nie ustępowała.

To było łatwiejsze pytanie.

– Zacząłem szukać informacji o twoim bracie, jak tylko dowiedziałem się, jak się nazywasz. Jakkolwiek by patrzyć, on nie jest zbyt mądry.

Nie odpowiedziała. Miał rację.

Whit naciskał dalej.

– Z tego, co słyszę, Augie Sedley nie ma połowy zmysłu do interesów swojego ojca i ćwierci inteligencji swojej siostry.

Kącik jej bujnych warg drgnął lekko. Sprawił jej przyjemność, a sprawianie jej przyjemności było dla niego przyjemnością. Ale to nie był czas na przyjemności.

– Z tego, co słyszę, ma kamerdynera, który jest równie nieinteligentny, ale ma ciężką pięść i chce być osobistym gorylem młodego Sedleya.

Skrzywiła się.

– Russell.

Zesztywniał, słysząc to imię. Widział, jak Hattie zadrżała z obrzydzenia, wymawiając je. Ogarnął go gniew, kiedy zastanowił się nad wszelkimi możliwymi powodami tego obrzydzenia. Nie gniew. Wściekłość. Furia.

– Czy on cię dotknął?

– Nie. – Pokręciła energicznie głową i odczuł ulgę, od której niemal zakręciło mu się w głowie. – Nie. To tylko brutal.

– W to wierzę. Ma piekielny cios. – Podniósł rękę do tyłu głowy, gdzie wciąż czuł leciutki ból, wspomnienie nocy, kiedy go porwano.

– Przykro mi – powiedziała, jakby to ona była odpowiedzialna za ten napad.

Ciche słowa sprawiły mu przyjemność, ale nie chciał się jej poddawać.

– Rok temu nie przejąłbym się tym w najmniejszym stopniu, bo Bękarci są mądrzejsi i sprytniejsi niż twój brat i jego bandzior w swojej najlepszej formie. Ale w ciągu ostatnich paru miesięcy zrabowano cztery transporty. Na trzech różnych szlakach. Wiem, kto za tym stoi, i zamierzam go zniszczyć. Ale w tym celu potrzebuję twojego brata.

Zapadła cisza; wyraził się jasno i logicznie. Skinęła głową, wydawało się, że zrozumiała, że nie prosi jej o pomoc. Rozumiejąc, że nie może ponownie dopuścić do takiej sytuacji. Że nie może zostawić tego, co się stało dotąd bez odpowiedzi, jeśli stał za tym prawdziwy wróg. Groźniejszy niż jej brat i jego przyboczny.

– Tak więc poszedłeś do mojego ojca – odezwała się cicho. Oczywiście, że poszedł do jej ojca. Jego interesy były zagrożone. Świat, który zbudował.

Ludzie, którzy w nim żyli. A Hattie nie wiedziała dosyć, żeby zapewnić mu bezpieczeństwo. – Powiedziałeś mu o Augiem.

Słyszał jej rozpacz. Poczucie zdrady. I niech go diabli, jeśli go to nie zabolało.

– Tak.

Kiwnęła głową, ale nie spojrzała na niego.

– Powinieneś mi powiedzieć, że zamierzasz to zrobić.

– Dlaczego?

– Bo tak byłoby uczciwie.

Żałował, że w mroku nie widzi jej oczu. Cieszył się, że ich nie widzi. Ponieważ nie miał wyboru, jak tylko ją rozczarować.

– Uczciwością nie wygrywa się wojen.

– A to jest wojna?

– Oczywiście. Musi być.

– Ze mną.

Nie, jeśli będziesz walczyć po naszej stronie. Skąd się wzięła ta myśl? Odsunął ją.

– Z naszymi wrogami.

– Augie jest moim bratem.

Nie odpowiedział. Co mógłby powiedzieć? On także miał brata. Siostrę. Setki ludzi, którzy na nim polegali. Ludzi, którym poprzysiągł zapewnić bezpieczeństwo. Zagrożonych przez Ewana. I przez brata Hattie. To była jedyna droga, żeby dokonać zemsty.

– Myślałam, że zawarliśmy umowę.

Celowo udał, że nie rozumie.

– Zostaniesz skompromitowana, tak jak chciałaś.

Sapnęła gwałtownie.

– Nie spodziewaj się, że on ci odda Augiego. Wbiłeś mu nóż w udo. Mój brat z radością przekaże ojcu tę informację, kiedy zaczną rozmawiać.

Nie zdawała sobie sprawy, że jej ojciec już o tym wie.

W innych ustach te słowa brzmiałyby kłótliwie. Ale u niej to było coś innego. Czuła gniew, owszem. Ale i ból. I niemal panikę.

Pozwolił ciszy trwać na tyle długo, że poczuła się niepewnie pod jego spojrzeniem. A potem powiedział:

– Czego się boisz, Hattie?

– Niczego.

Pokręcił głową.

– To nieprawda.

– Skąd mógłbyś wiedzieć, ty, który masz wszystko? Ty, ze swoim państewkiem i ludźmi, którzy cię podziwiają, ty, ze swoim sukcesem w interesach, dzięki którym masz pełne kieszenie? Człowiek, którego się boją i którego czczą jego konkurenci, w którego umiejętności nie wątpią w żadnym momencie. Jesteś królem. I jakby to nie wystarczyło, jesteś najprzystojniejszym mężczyzną, jaki chodził po ziemi – zabawne, swoją drogą. – Jej złość zabiła wszelką przyjemność, jaką mogły sprawić te słowa. Zmieszał się, kiedy dodała: – Wyobraź sobie, jak to jest być mną.

Co to, do diabła, miało znaczyć?

– Wyobraź sobie, że jesteś kimś, kto nigdy nie wygrywa. Przez całe życie byłam tylko bladym cieniem tego, czym powinnam być. Nikt nie tęskni za Hattie Sedley w salach balowych. – To nie była prawda. Nie mógł sobie wyobrazić, żeby ktoś nie chciał jej mieć wszędzie, przez cały czas. – Zapraszają mnie, bo jestem córką bogatego człowieka. Przyjaciółką pięknej kobiety. Hattie, dobrze się z nią pośmiać, ale jest trochę zbyt hałaśliwa, czyż nie? Za wysoka, nie sądzisz? Nie można ignorować, ale nie potrzeba brać poważnie. Poczciwa Hattie. Dosyć inteligentna, jak sądzę, ale nikt nie chce mieć w domu mądrej… jakiejś Hattie, która zawsze wlecze się w ogonie. Jak pies.

Whit zacisnął zęby. Jej ból, jej szaleństwo… Kobieta, której nie mógł zapomnieć od chwili, kiedy dotknął jej policzka w ciemnym powozie.

– Kto sprawił, że tak się poczułaś?

Pytanie brzmiało jak groźba i tak właśnie było. Whit domagał się imienia. Dała mu je, jakby był dzieckiem, a ona wyjaśniała mu coś tak oczywistego jak wschód słońca.

– Wszyscy.

Wiele razy w życiu Whit marzył, żeby zdziesiątkować mieszkańców Mayfair; nigdy bardziej niż w tej chwili. Nagle poczuł nieodparte pragnienie, żeby cały świat rzucić na pastwę płomieni, świat, który dał tej kobiecie do zrozumienia, że jest mniej niż doskonała. Przełknął ślinę.

– Mylą się.

Zamrugała, w jej oczach pojawiło się coś, jakby rozczarowanie.

– Przestań. Jeśli jest coś gorszego, niż wiedzieć, że gdzieś nie pasujesz, to wmawianie ci przez innych, że świetnie pasujesz. – Zaśmiała się, zaprzeczając słowom. – A poza tym, kiedy urodzisz się jako zaprzeczenie wszystkiego, co świat ceni, uczysz się dostosować. Uczysz się, jak być psem. Wszyscy lubią psy.

Pokręcił głową. Otworzył usta, żeby jej powiedzieć, jak bardzo się myli.

Ale ona wciąż mówiła. Wydawało się, że ta kobieta nigdy nie przestaje mówić. A on tak lubił jej słuchać.

– Nie wygram na sali balowej. Myślałam jednak, że mogę wygrać gdzie indziej. Że mogę wygrać firmę.

Jej ojciec mówił to samo, ale teraz, w jej ustach, te słowa go urzekły, zwłaszcza kiedy podeszła bliżej, unosząc palec jak szablę.

– Jestem w tym dobra.

– Wierzę – odparł bez wahania.

Nie zwróciła na to uwagi.

– I nie tylko w księgowaniu. Rozmowach z klientami. We wszystkim. Robotnicy w portach potrzebują kompanii Sedleya, żeby zarabiać na życie. Robotnicy, którzy przenoszą towary do magazynów. I ci, którzy przewożą ładunki. Zatrudniamy niewielką armię i ja znam ich wszystkich. Do

ostatniego. Znam ich żony. Ich dzieci. Ja – zawahała się – troszczę się o nich. O nich wszystkich. O wszystko.

Była coraz bardziej rozżalona i on to rozumiał – jej gniew, troskę i dumę. Czuł to samo, kiedy stał w dzielnicy nędzy, gdzie wraz z Diabłem i Grace stworzyli świat dla ludzi, których oddanie i wierność odpłaciły im za to po tysiąckroć. Ta kobieta kochała swoją firmę, tak jak Whit kochał swoją. Kochała port tak, jak Whit kochał Garden.

Pasowali do siebie.

– Jesteś w tym lepsza niż większość mężczyzn w Londynie. – Wiedział, że tak jest.

– Potrafię przymocować żagiel podczas wichury – dodała. – I opatrzyć ranę od noża; tak przy okazji, dzięki wielkie, że o mało nie zabiłeś mojego brata. Potrafię dawać sobie radę ze wszelkimi trudnościami, włącznie z tym, że mój głupi brat naraził się dwóm spośród najpotężniejszych mężczyzn w Londynie. Ale to wszystko za mało.

Teraz, kiedy już zaczęła, nie była w stanie przerwać; Whit nie chciał, żeby przestała mówić, pragnął, żeby mówiła bez końca. Mógłby słuchać jej gniewu jeszcze długo, mimo że jego umysł trudził się nad tym, żeby to zmienić. Żeby to naprawić. Dać jej to, czego pragnęła.

Niemożliwe, jeśli miał zrobić to, co konieczne.

Nie przestała mówić.

– Miała być moja. I to nie tylko dlatego, że tego chcę. Bogu wiadomo, że chcę – wszystkiego. Chcę mieć kałamarz i stare rozliczenia, olinowanie na statkach, żywicę w ładowniach i żagle. Chcę wolności. Ale najważniejsze, że… zapracowałam na to wszystko. – Przerwała, żeby nabrać oddechu i oczami wyobraźni zobaczył ją w burdelu z plamami atramentu na nadgarstkach. Dowodem jej pasji, jakby to, jak teraz drżała, stojąc przed nim, nie było dostatecznym dowodem. – Wiesz, co powiedział mój ojciec?

– Powiedział, że jesteś kobietą i nie możesz jej mieć. – To była bzdura.

– Powiedział, że jestem kobietą i nie mogę jej mieć – powtórzyła. – To, że jestem kobietą, nie powinno być przeszkodą.

– Nie. Nie powinno.

Znowu dała upust złości.

– Jestem zmęczona tym, że ciągle słyszę „powinno”. Że mówi mi się, że sama nie wiem, czego chcę. Że nie jestem dość silna. Dość mądra. Jestem.

– Jesteś. – Chryste, oczywiście, że była.

– Jestem silna – powtórzyła z mocą.

– Tak. – Silniejsza niż którykolwiek z bandytów w Garden.

– I jestem wyjątkowo mądra. Wiem, że kobieta nie powinna mówić takich rzeczy, ale, do diabła, taka jestem.

– Wiem.

– To, że mam inne części… – machnęła ręką, wskazując siebie – …ciała, nie powinno mieć znaczenia. – Zwłaszcza jeśli to ciało… – urwała. Pokręciła głową. – Nieważne.

Nie zamieniłby jej ciała na żadne inne.

– Zgadzam się.

Zamrugała.

– Tak?

Ach. Wróciła do niego.

– Tak.

Te słowa ją otrzeźwiły. Oddychała ciężko w ciemności.

– Och.

Powinien był to dostrzec wcześniej. Zrozumieć. Chciała dostać kompanię Sedleya. Chciała statków, portów i całego świata, i powinna je mieć.

– Nie jest mi trudno uwierzyć, że prowadziłabyś tę firmę lepiej od nich.

– Z pewnością lepiej od Augiego.

Usta drgnęły mu lekko.

– Słyszałem, że w porcie są bardzo inteligentne koty, które poradziłyby sobie lepiej niż twój brat. Mówiłem o twoim ojcu.

– Cóż, robił to tak dobrze, że dali mu szlachectwo.

– Szlachectwo nie robi na mnie wrażenia.

Spojrzała mu w oczy.

– Nie powinnam była powiedzieć o tobie tego, co powiedziałam. Przepraszam.

Nie zamierzał na to pozwolić.

– Nazwałaś mnie przystojnym. Nie możesz tego cofnąć.

– Po co? To fakt empiryczny.

Wiedział, że jest przystojny. Nie była pierwszą kobietą, od której to usłyszał. Ani nawet setną, a jednak usłyszeć to od niej było czymś innym niż dotąd. Jakby w jakiś sposób na to zasłużył. Zdumiewające, ale znowu się zarumienił i ucieszył, że w mroku tego nie widać. Gdyby chłopcy w Garden zwiedzieli się, że nieustraszony, niewzruszony Bestia zaczerwienił się dwakroć tego wieczoru, przestaliby go szanować. Odchrząknął.

– Dziękuję.

– Proszę bardzo.

Powinien odprowadzić ją do budynku, tę kobietę, która uratowała go, nie prosząc o wyjaśnienia. Nawet nie wspomniała, o tym, co się zdarzyło wewnątrz. Zamiast tego opowiedziała mu o swoim ostatnim, żałosnym, doświadczeniu z tańcem. A on nic nie powiedział.

Nie chciał jej w to wciągać. Ale chciał czymś się z nią podzielić.

– Myślę, że polubiłabyś moją siostrę.

Hattie zamarła.

– Nie wiedziałam, że masz siostrę.

– Jest wiele rzeczy, których o mnie nie wiesz.

– Gdyby tylko istniał jakiś sposób, żeby mi je przekazać. Mógłbyś spróbować jakichś form komunikacji werbalnej. Zamienić swoje pomruki i chrząknięcia w zrozumiałe słowa. Jakiś rodzaj języka mówionego i do tego znaczącego.

Mruknął, rozbawiony i Hattie uśmiechnęła się.

– Chcesz coś o niej usłyszeć, czy nie?

– Oczywiście – odparła Hattie, otwierając szeroko oczy.

– Moja siostra urodziła się jako kobieta w męskim świecie. Mój ojciec mawiał, że miała jeden cel i nie zdołała go osiągnąć.

– Rozczarowanie od pierwszego oddechu – stwierdziła Hattie, aż nadto dobrze zdając sobie sprawę z tego, co to znaczy.

– I z każdym następnym – zgodził się Whit, nie zdradzając całej prawdy. O tym, jak jego ojciec nigdy nie zamierzał pozwolić, żeby dziewczyna bękart, nie z jego krwi – przydatna jedynie do tego, żeby trzymać miejsce dla przyszłego dziedzica – przeżyła dłużej niż do czternastych urodzin. Zaczął w połowie tej historii. – Kiedy mieliśmy po czternaście lat, Grace, Diabeł i ja uciekliśmy, żeby uwolnić się od kurateli ojca. Przybyliśmy do miasta i trafiliśmy do Covent Garden. Myślę, że mogliśmy pójść do…

Do jego matki. Jedynej matki, która jeszcze w tym momencie żyła.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął drugi zegarek. Hattie śledziła jego ruchy wzrokiem i przez jedną szaloną chwilę zastanawiał się, czy nie powiedzieć jej wszystkiego. Ale wyznania zbyt by ją do niego zbliżyły. A on nie mógł sobie na to pozwolić.

Pokręcił głową i ponownie skupił na niej uwagę. Odchrząknął.

– Dość, że bez Grace byśmy nie przeżyli. Była silniejsza i mądrzejsza od nas obu, i to o wiele. Niezależnie od części ciała. – Z Grace mogły ich nie łączyć więzy krwi, ale z ducha była ich siostrą.

Uśmiechnęła się.

– Gdzie jest teraz?

Nie wiedział. Grace opuściła miasto po tym, jak Ewan powrócił, wiedząc, że jej szuka. Wiedząc, że ostatnim razem, kiedy spotkała Ewana, ten próbował ją zabić. Powiedzieli mu, że Grace nie żyje, i Ewan o mało nie zabił Diabła, który przyniósł mu tę wieść; potem wyjechał, jeszcze bardziej szalony niż przedtem. Jakimś sposobem nadzorowała swoje interesy z ukrycia, ale nie wróciła.

W ciszy, jaka zapadła, odezwała się Hattie:

– Cóż, gdziekolwiek jest, cieszę się, że mieliście siebie nawzajem.

Nie bądź dla mnie dobra, Henrietto Sedley. Nie zasługuję na to.

Zmusił się, żeby przestawić myśli na inne tory.

– Ciało. Firma. Dom. Majątek. Przyszłość. – Zaskoczył ją tym przypomnieniem pierwszej nocy, kiedy się spotkali. – Ciało łączy się z biznesem. Myślisz, że gdy cię skompromituję, zbliżysz się do objęcia firmy.

Obejrzała się na rezydencję, gdzie pewnie socjeta była podekscytowana, plotkując o tym, jak wyprowadziła go do ogrodów.

– To się wkrótce okaże. Po dzisiejszej nocy jestem całkowicie skompromitowana.

– Ale ani trochę w taki sposób, jak chciałaś – powiedział obojętnym tonem mimo podniecenia na myśl o tym, że mógłby zostać z nią sam i dopełnić umowy. – Dojdziemy do tego, ale najpierw – ciało prowadzi do firmy, firma do majątku, majątek do przyszłości. Przyjmując, że przejmiesz firmę.

– Dostanę ją – oznajmiła pewnym głosem.

Stłumił podziw i lekkie poczucie winy.

– A co z domem? Spodziewasz się, że ojciec da ci firmę, ale nie pozwoli zostać w rodzinnym domu?

– Oczywiście, że tak. Ale kobieta interesu potrzebuje własnego domu. Odpowiadającego życiu, jakie sobie stworzy. Jakie dla siebie wybierze.

– Czy tak?

– A ty nie potrzebujesz? – Nie czekając na odpowiedź, dodała: – Założę się, że tak. Jakąś kryjówkę głęboko w Covent Garden. Wypełnioną… – czekał w napięciu, żeby dokończyła – …roślinami czy czymś takim.

Zamrugał.

– Roślinami?

– Wydajesz się człowiekiem, który ma rośliny.

– Doniczkowe?

– Nie. – Pokręciła głową, jakby to było całkowicie normalne. – Egzotyczne. Których się nie znajdzie, nie przetrząsając innego kontynentu.

Roześmiał się, zaskoczony tym, jak bardzo poprawiała mu nastrój.

– Nigdy nie wyjeżdżałem z Brytanii.

– Naprawdę?

Wzruszył ramionami. Dokąd miałby się udać chłopak wychowany w rynsztoku?

– No, dobrze – powiedziała. – A zatem doniczkowe.

Pokręcił głową.

– Nie mam roślin.

– Och. Powinieneś się w jakieś zaopatrzyć.

Oparł się pokusie, żeby rozwijać jej szalone pomysły, i zapytał:

– A ty… masz na oku jakiś dom? W którym mogłabyś trzymać własne rośliny?

Uśmiechnęła się.

– W gruncie rzeczy tak.

– Gdzie? – Nie powinno go to obchodzić. Ale obchodziło; chciał poznać jej marzenie. Chciał, żeby się nim z nim podzieliła. Żeby wybrała jego, żeby się nim podzielić.

Przyjemność, kiedy zrobiła to właśnie, była ogromna; chwyciła go za rękę i poprowadziła w odległą część ogrodu.

Hattie pociągnęła go do małej kamiennej ławeczki parę jardów dalej, przy ceglanym murze oddzielającym ogrody Warnicka od sąsiadów. Wolną ręką uniosła spódnicę i stanęła na ławce. Pomógł jej stanąć pewnie, tak żeby nie straciła równowagi.

– Dziękuję. – Wysunęła dłoń z jego ręki, podając mu ją zaraz z powrotem. To było zaproszenie.

Nie przyjął ręki, ale stanął obok niej.

– Tego się nie spodziewałem.

Uśmiechnęła się; udzieliło mu się jej podniecenie.

– Nie spędzasz mnóstwa czasu na ławce w towarzystwie dam?

Mruknął cicho w odpowiedzi.

– Ale przełaziłeś kiedyś przez mury?

Uniósł brwi.

– Dzisiejszej nocy przechodzimy przez mur, łaskawa pani?

– Nie chciałabym, żebyś zniszczył swoje śliczne ubranko – oznajmiła kpiąco – ale możemy popatrzeć. – Wskazała ponad murem. – Patrz.

Spojrzał i zobaczył to, co zobaczyłby każdy w tej sytuacji. Ciemny ogród, a w głębi jeszcze ciemniejszy dom. Nie zrozumiał od razu – póki nie spojrzał na nią, na jej profil; jej cera wydawała się blada i świetlista w półmroku, wpatrywała się w posiadłość za murem, jakby widziała każdy szczegół, nie potrzebując światła.

Było w tym jednak coś więcej. Pragnienie.

– To jest ten dom – powiedział.

Odwróciła się do niego.

– Berkeley Square 46. Dawna rezydencja barona Claybourne’a.

– I ty go chcesz.

Kiwnęła głową.

– Tak.

– I chcesz mieć firmę.

Spojrzała mu w oczy. Nie mógł wątpić w jej szczerość.

– Chcę.

Dlaczego nie mogłaby jej mieć? Dlaczego nie powinna?

– Weź ją.

W jej oczach pojawiła się ironia.

– Taki miałam zamiar. Augie miał się usunąć i powiedzieć ojcu, żeby mnie ją przekazał. Jeśli zdołam go ochronić przed tobą. – Wzruszyła ramionami. – Wszystko poszło nie tak.

Whit zacisnął pięści. Nie mógł zaręczyć, że jeśli kiedyś spotka Augusta Sedleya, nie przyłoży mu pięścią w twarz. Co za mężczyzna posyłał

niewinną siostrę, żeby walczyła za niego? Ten sam, który występował bezmyślnie przeciwko Bękartom.

Nie. August Sedley nie wyszedł z tego bez szwanku. Nawet jeśli nie wszedł w spółkę z Ewanem, Augiemu nie można było powierzyć jednej z największych firm przewozowych i zaufać, że zapewni ludziom pracę i dobrobyt ich rodzinom.

Ale Hattie… Hattie, która lubiła fasolkę szparagową z Covent Garden i kupiła zwiędłe kwiaty za trzy pensy – jej można było zaufać.

Chciała tej firmy i Whit mógł ją jej dać.

– A jeśli bym ci pomógł?

– Dlaczego miałbyś to zrobić? – zapytała podejrzliwie.

Bo chcę, żebyś miała wszystko, czego pragniesz.

– Ponieważ powinnaś ją prowadzić. Ponieważ kompania Sedleya rozkwitnie z tobą u steru. Ponieważ w porcie potrzebni są przedsiębiorcy, którzy wiedzą, jak ważni są ludzie, którzy dla nich pracują. A ty jesteś na tyle silna, żeby być jednym z nich.

– Żeby być najlepszym z nich – powiedziała, patrząc mu w oczy.

Uniósł kącik ust w uśmiechu.

– Tak.

– Nie wiesz tego.

– Wiem.

– No, więc co dołożysz to do listy żądań wobec mojego ojca? Mój brat zdradza twojego prawdziwego wroga, ojciec czyni mnie swoją następczynią, a ty zostawiasz nas w spokoju?

Mądra dziewczyna. Zapadła cisza.

– Rozumiem… bo taki jesteś dobry.

Poczuł się odrobinę niepewnie.

– Na Boga, Hattie, kogo obchodzi, jak ją zdobędziesz?

Uśmiechnęła się niewesoło.

– Tak mówi człowiek, który nigdy nie musiał udowadniać, że zasłużył na to, co ma. – Milczała chwilę. – Chcę mieć firmę, bo na nią zasługuję, albo wcale.

– Wątpisz, że na nią zasługujesz?

– Nie.

– No to weź ją. I udowodnij swoją wartość, kierując nią.

Patrzyła na niego tak długo, że znowu poczuł się niepewnie. Oparł się jednak pokusie, żeby odwrócić wzrok. Na Boga, Bitni Bękarci nie odwracają wzroku pod spojrzeniem damy z Mayfair – nawet takiej, która miała kierować jedną z największych kompanii przewozowych w Londynie.

Jeśli jej ojciec wyrazi zgodę.

Zgodzi się. Whit nie da mu wyboru.

W końcu Hattie szepnęła:

– Możesz ją dla mnie zdobyć.

– Rok Hattie.

Uśmiechnęła się, rozpromieniona i piękna.

– I kim się dzięki temu staniemy? Znajomymi przedsiębiorcami?

Dlaczego ta myśl tak mu się spodobała? Zachichotał i przyciągnął ją do siebie.

– Zawarliśmy już umowę. – Sapnęła zaskoczona na to wspomnienie obietnicy, jaką jej złożył parę nocy wcześniej – że pozbawi ją dziewictwa. Dając panowanie nad własnym ciałem.

– Kiedy? – W pytaniu były słodycz, ciekawość i niecierpliwość.

Whit zapragnął jej tu i teraz.

– Nie w ogrodzie w Mayfair.

– Jeśli to nie nastąpi wkrótce, nie zostawisz mi wyboru, jak tylko znowu znaleźć cię w Garden. Igłę w stogu Covent Garden. – Zachwyciła go obietnica w tych słowach. Kiedy jakaś kobieta podobała mu się tak bardzo jak ta? Kiedy czuł, że jakaś tak bardzo do niego pasuje?

Schylił głowę i scałował uśmiech z jej pełnej dolnej wargi, aż westchnęła.

– Wkrótce – szepnął. Może dzisiejszej nocy. Jutro.

Nie wahała się.

– Proszę.

Co za wspaniałe słowo.

– Wracaj na bal, wojowniczko – powiedział cicho, całując ją ponownie. – Znajdę cię.

Patrzył, kiedy szła przez ogród, po schodach, z powrotem do sali balowej, nie odrywając wzroku od pięknej sukni barwy czerwonego wina. Przez chwilę myśli Whita błądziły w miejsca, w które nigdy nie pozwalał im się zapuszczać. Miejsca kuszące takimi pojęciami jak „szczęście”. I „przyjemność”.

I „żona”.

Znieruchomiał na to ostatnie, ale nie odsunął go od siebie, pozwolił myśli trwać, póki ślad jej jedwabnej sukni nie zniknął w tłumie i nie został sam, zastanawiając się nad szczególnym uczuciem, jakie go ogarnęło – jakiego nie doznał od wielu, wielu lat.

Nadzieja.

Obce słowo pozbawiło go na chwilę tchu, nieświadomie podniósł rękę, próbując pozbyć się dziwnego napięcia, które zagrażało jego poczuciu pewności siebie.

Nie było czasu na nadzieję. Nawet wtedy, kiedy pojawiała się pod postacią pięknej, śmiałej kobiety, pachnącej migdałami, z plamami atramentu na nadgarstkach i szerokim uśmiechem wywołującym dołeczki na policzkach. Tak sobie mówił, odwracając się od jasno oświetlonego budynku.

W ciemności stał Ewan.

14

Nie powinniśmy tu być.

Wspomnienia ożywiły się pod wpływem spojrzenia w oczach brata – lśniących bursztynowo, jak jego własne, Diabła i księcia, ich ojca. Natychmiast przeniósł się do owej chwili przed laty, kiedy go prowadzono – małego, przestraszonego, ale i pełnego nadziei – do salonu w wiejskiej rezydencji Marwick, gdzie czekali dwaj chłopcy, którzy mieli się stać, na najbliższe dwa lata, jego braćmi i sprzymierzeńcami. Pamiętał ich tak, jakby byli tu teraz, w tym ogrodzie w Mayfair: Diabeł, odważny i śmiały, ukrywający strach, i Ewan – nieruchomy jak kamień, szacujący wszystko wzrokiem, błyskotliwy, ulubieniec ojca od pierwszej chwili, ojca, który nigdy nie wydawał się świadomy zimnej furii, jaka w nim płonęła.

Ogień tej furii nie był już zimny. Dzisiejszej nocy byłby w stanie spalić cały świat.

Jakiś czas temu Ewan był największy z nich – najwyższy, najszerszy w ramionach, najsilniejszy. W pamięci Whita był podobny bogom. Zdrowy, pewny siebie. Niepodobny do człowieka, który stał teraz przed nim, bladego odbicia chłopca, którym był kiedyś. Szczupły – niemal wychudły, sądząc po tym, jak ubranie wisiało na jego długim ciele – o zapadłych policzkach, nieogolony, z dzikim spojrzeniem. Jak piekielna zjawa.

Jeśli dwadzieścia lat na ulicy czegoś Whita nauczyło, to tego, że ludzie, którzy nie mają po co żyć, są najbardziej niebezpiecznymi ze stworzeń. W poczuciu zagrożenia sięgnął pod marynarkę po nóż.

Chłodny ciężar w dłoni dodał mu otuchy; wiedział dokładnie, pod jakim kątem rzucić nóż, żeby posłać brata na ziemię. Przed laty Ewan był najlepszym wojownikiem wśród nich, jeśli podnosił pięść, to zawsze trafił w cel. A planując ucieczkę od ojca potwora, wierzyli, że im się uda – dzięki sile i umiejętnościom Ewana.

Dwadzieścia lat życia jako dziedzic księstwa powinno było wyrównać rachunki.

Ale tak się nie stało.

Ostatnim razem, kiedy zmierzyli się z Ewanem, rannego Diabła pozostawiono, żeby umarł. Gdyby nie Felicity, Whit byłby sam, żeby walczyć z księciem Marwick.

Tak jak może będzie musiał dzisiejszej nocy.

– Jeden z moich chłopaków walczy o życie w Garden z twojego powodu. – Whit opuścił pięść wzdłuż boku; w ręce miał nóż. – Podaj mi jeden powód, dla którego nie miałbym się zemścić w tej chwili.

– Powieszą cię za zabicie księcia.

– Obaj wiemy, że nie jesteś księciem – odparł Whit, ciesząc się z tego, jak Ewan zesztywniał na te słowa. – Augie Sedley nie będzie już wypełniał twoich rozkazów, bracie.

– Nie obchodzi mnie to; nigdy nie obchodziło – stwierdził Ewan, podchodząc bliżej. Whit zacisnął dłoń na rękojeści noża; słowa pozbawione emocji zaniepokoiły go. – Obchodziło mnie tylko, jak dosięgnąć ciebie. – Powiódł wzrokiem ponad ramieniem Whita, w stronę budynku. – Teraz wiem, jak to zrobić.

Hattie.

Przerażenie zmroziło Whita.

– Spójrz na mnie, Marwick. – Jeśli zbliży się do Hattie na dziesięć stóp, Whit go zniszczy. – Jestem tutaj i nie mogę się doczekać, żeby się z tobą bić; wiem, że chcesz tego.

Nadszedł czas, żeby go ukarać. Za to, co im zrobił, kiedy byli dziećmi. Za to, co zrobił Diabłu. I ich ludziom.

– Chcę tego. Chcę zobaczyć, jak krwawisz w tym przeklętym ogrodzie. Ale nie mogę. – Whit milczał. – Z jej powodu.

Grace. Dziewczyna, którą Ewan kochał i którą stracił.

Kiedy uciekli, zmusiła Diabła i Whita, żeby przysięgli, że nie skrzywdzą Ewana. Błagała ich o to. „Nie wiecie wszystkiego", przysięgała. Przez dwadzieścia lat dotrzymali słowa. Ale teraz? Kiedy Ewan wpatrywał się zimnym wzrokiem w miejsce, gdzie zniknęła Hattie?

Muszę ją chronić.

Jeśli miało dojść do walki, to dzisiaj.

– Grace tu nie ma, żeby pilnować naszych przyrzeczeń.

Twarz Ewana skamieniała.

– Nie wymawiaj jej imienia.

Whit nie odpowiedział; w oczach Ewana była groźba. Nie chciał, żeby coś się stało w pobliżu Hattie.

– Pozwoliliście jej umrzeć. Puściłem ją. Pozwoliłem, żeby uciekła z wami, a wy nie zapewniliście jej bezpieczeństwa.

To nie była prawda. Whit i Diabeł ukrywali Grace przed Ewanem, odkąd uciekli, wiedząc, że będzie jej szukać, że się nie powstrzyma. Grace, dziecko księżny Marwick, z ojca, który nie był księciem. Ochrzczona fałszywie jako chłopiec i dziedzic. Ogłoszona chłopcem i dziedzicem. Miała trzymać miejsce dla przyszłego dziedzica księstwa Marwick.

Gdyby to odkryto, księstwo by upadło, a Ewan razem z nim. Bezprawne przywłaszczanie sobie tytułu karano śmiercią.

Grace nigdy by tego nie zrobiła.

Ponieważ Grace i Ewan byli ulepieni z tej samej gliny. Tak samo kochali i tak samo nie zdradzali. Grace nigdy nie doprowadziłaby do śmierci chłopca, którego kiedyś kochała. Nawet po tym, jak Ewan zostawił pobitego Whita na ziemi i usiłował ją zabić na rozkaz ojca. Po tym, jak

podniósł nóż i niemal zabił. Nie po tym, jak byłby ją zabił, gdyby nie Diabeł, któremu została po tym starciu pamiątka w postaci brzydkiej blizny na policzku.

Grace, Whit i Diabeł uciekli tamtej nocy; zanim to się stało, Whit zobaczył bezgraniczną panikę w oczach Ewana – wściekłość i strach, które kazały mu zwrócić się przeciwko nim. Palącą żądzę, żeby zdobyć księstwo dla siebie. Zostać dziedzicem. I do diabła ze wszystkim innym.

Whit i Diabeł robili wszystko, żeby ukryć przed nim Grace; ukryć ją w Covent Garden przed bratem, który ścigał ich zażarcie, odkąd osiągnął dorosłość i stał się bogaty. Niezłomna wierność Garden pomogła im utrzymać tajemnicę, aż do chwili przed paroma miesiącami, kiedy Ewan wreszcie zdołał ich odnaleźć.

Okłamali go, kiedy zapytał o Grace.

Powiedzieli mu, że nie żyje.

Złamali go.

– Pozwoliliście jej umrzeć – powtórzył Ewan, rzucając się na Whita jak wściekły pies, chwytając go za klapy marynarki i popychając w ciemność. – Powinienem cię zabić, jak tylko cię znalazłem.

Whit zdołał odwrócić ich obu i pchnąć Ewana na pień drzewa.

– Nie jestem już chucherkiem, mości książę. – Podniósł nóż i przycisnął go Ewanowi do gardła na tyle mocno, żeby ten poczuł ukłucie ostrza. – Zabiłeś trzech ludzi. Niewinnych. Wykonujących swoją pracę. Po co? Żeby nas ukarać? Mieli imiona. Niall. Marco. David. To byli silni chłopcy i mieli przyszłość przed sobą. A ty ich unicestwiłeś.

Ewan szarpał się, ale po latach spędzonych w dzielnicy nędzy Whit stał się silniejszy i szybszy.

– Powiedz mi, dlaczego nie miałbym cię zniszczyć.

Mógł. Mógł bratu poderżnąć gardło teraz, w tej chwili.

Ewan zasłużył na to. Za zdradę przed laty i ostatnie ataki.

Ewan uniósł brodę.

– No, dalej, Saviour. – Wypluł z siebie to imię. – Zrób to.

Przez chwilę trwali bez ruchu. Minutę. Godzinę; oddychali ciężko, chrapliwie, w ciemności, na krawędzi świata, którego kiedyś pożądali tak bardzo, że pozwolili, aby ich zwrócono przeciwko sobie.

Ewan zmrużył bursztynowe oczy w bladym świetle z sali balowej. Oczy były jedynym zewnętrznym świadectwem ich pokrewieństwa. Whit odziedziczył ciemne włosy i oliwkową cerę po matce Hiszpance, podczas gdy Ewan stanowił kopię ojca – wysoki, jasnowłosy, o szerokich ramionach i szerokim podbródku.

Whit cofnął się. Puścił Ewana. Uderzył go. Mocniej niż poprzednio.

– Wyglądasz jak on.

– Myślisz, że o tym nie wiem? Co byś zrobił, żeby go wtedy zabić?

Nie zastanawiał się.

– Wszystko.

– Dlaczego nie mnie, teraz, w tej chwili? – zapytał Ewan.

Tuzin odpowiedzi, żadna niewystarczająca. Grace, która jako dziewczyna, błagała ich, żeby go nie skrzywdzili, a jako dorosła kobieta groziła. Groźba więzienia za zabicie przedstawiciela klasy wyższej. Zagrożenie dla Diabła i Whita. Dla Grace. I dzielnicy nędzy.

Whit przyglądał się przyrodniemu bratu przez dłuższą chwilę, zauważając zapadnięte policzki, ciemne kręgi pod rozgorączkowanymi oczami.

– To byłby dar – powiedział. – Gdybym ci je odebrał. Życie. Wspomnienia. Poczucie winy. – W oczach Ewana widać było udrękę. A potem, ni stąd, ni zowąd, Whit dodał:

– Czy pamiętasz noc na śniegu? – Ewan drgnął silnie. – Zaczęło się od wspaniałej kolacji, co? Ciasto nadziewane mięsem, dziczyzna, ziemniaki, buraki w miodzie, ser i ciemny chleb.

Ewan odwrócił wzrok.

– To było ostrzeżenie. Nic dobrego nigdy nie wynikało z takich wspaniałości w rezydencji Burghsey.

Po posiłku całą trójkę wyprowadzono na dwór, bez okryć wierzchnich – bez palt, czapek, szalików, rękawiczek. Był styczeń i panowało dotkliwe zimno. Od trzech dni padał śnieg i chłopcy drżeli na mrozie, ponieważ ojciec postanowił ich ukarać za nieuświadomione grzechy.

Nie. Grzech był oczywisty. Zbliżyli się do siebie. Sprzymierzyli przeciwko niemu. A książę Marwick się tego bał.

„Nie jesteście tutaj, żeby być braćmi”, parsknął, ciskając wzrokiem gromy. „Macie być Marwick”.

To nie było nic nowego. Z tuzin razy próbował ich wcześniej rozdzielić. Sto razy. Dość, żeby próbowali niejeden raz ucieczki, póki nie odkryli, że i tak zostaną złapani, a kary wymierzane przez ojca są coraz gorsze. Potem przestali uciekać, ale trzymali się razem, wiedząc, że dzięki temu są silniejsi.

Najpierw wygłosił wrzaskliwą mowę o tym, jak to wierność tytułowi jest ważniejsza niż nawet wierność Bogu, zostawił ich roztrzęsionych na zimnie z jasnymi instrukcjami. Wewnątrz na jednego z nich czekało łóżko. Ale tylko jednego. Pierwszy, który zdradzi, je dostanie. Pozostali – spędzą noc na śniegu. Bez dachu nad głową. Bez ognia. Jeśli umrą – niech tak będzie.

Whit wpatrywał się w twarz dawnego sojusznika.

– Kiedy nas zostawił, zwróciłeś się do mnie; pamiętasz, co powiedziałeś?

Oczywiście, że pamiętał. Ewan mógłby zostać, ale był złamany, tak jak oni. A też był księciem, miał jego twarz, tytuł i wstydliwe dziedzictwo.

– Nie powinno nas tam być.

Z księciem. W majątku. Nie powinni wierzyć pięknym obietnicom ojca – zdrowie, bogactwo, beztroska przyszłość. Bez żadnych zmartwień. Z przywilejami, władzą i wszystkim, co się łączyło z tym stanem.

Po przemowie ojca chłopcy zaczęli działać, wiedząc, że albo przeżyją, albo umrą razem. Szukali w śniegu wszystkiego, co było suche –

wszystkiego, co mogło dać ciepło.

Whit wciąż pamiętał zimno. Strach. Ciemność, w której tulili się do siebie. Przeświadczenie, że umrze i jego bracia razem z nim. Rozpaczliwe, żałosne próby ratowania życia. Dziecinną, bolesną tęsknotę za matką.

– Ale to nie była prawda, książę, czyż nie? Nie powinno mnie tam być. Ani Diabła. Ale ty, ty znalazłeś się na właściwym miejscu, co? Bo ty jesteś postacią z powieści. Chłopak urodzony w błocie Covent Garden, który zdobył księstwo. Prawdziwy bohater.

Ewan nie okazywał cienia wstydu, i to wystarczyło, żeby Whit mówił dalej.

– Ale to też kłamstwo. Nigdy nie byłeś bohaterem. I nie będziesz. Nie, z ukradzionym tytułem i nędznym księstwem, zbudowanym na plecach braci. – Przerwał, a potem zadał ostateczny cios. – I dziewczyny, którą podobno kochałeś. Która nas uratowała tamtej nocy.

Umarliby wtedy. Gdyby nie Grace.

Grace, która odnalazła ich na mrozie i wybawiła od śmierci, ryzykując własną skórę. Tamtej nocy banda trzech stała się bandą czworga.

– Czego wydajesz się nie pamiętać.

– Pamiętam – odparł Ewan chrypliwym, urywanym głosem. – Pamiętam każdy oddech, który wciągnęła w mojej obecności.

– Nawet ten, który wzięła, żeby krzyczeć, kiedy próbowałeś ją zabić? – Opanowanie Ewana prysnęło; Whit przeszedł na akcent Garden, mówił głosem pełnym nienawiści.

– Nie. Śmierć byłaby za dobra dla ciebie, brachu. Niezależnie od tego, jak bardzo na to zasługujesz. Nie będzie walki.

Na twarzy Ewana znów pojawiła się wściekłość, wściekłość i coś w rodzaju dziwnego zawodu.

– Nie mogę cię zabić – wyrzucił z siebie Ewan gorączkowo. – Nie mogę cię dopaść. – Dlaczego? Whit milczał. Nie musiał mówić. – Wy dwaj – to wszystko, co po niej zostało.

Grace. Martwa dziewczyna, która nie była martwa.

Whit spojrzał w jego oszalałe oczy – tak bardzo podobne do jego własnych.

– Nigdy nie była dla ciebie.

To nie miał być cios, ale te słowa sprawiły, że Ewan zamienił się w bryłę lodu. A potem stanął w płomieniach.

– Nie mogę cię zabić – powtórzył z furią. – Ale mogę cię zniszczyć.

Whit odwrócił się. Stał przed nim szaleniec, z którym nie było sensu dłużej rozmawiać.

– Lepiej pilnuj swojej damy, Saviour.

Whit zamarł; te słowa padły między nimi w ciemności jak kamienie, jakby wypowiedział je zupełnie inny człowiek. Nie było już w nich gniewu, tylko zimna groźba, bardziej niepokojąca niż poprzednia gadanina.

Whit odwrócił się z sercem w gardle i nożem w dłoni. Powstrzymał chęć posłania go w powietrze – i prosto w pierś człowieka, którego kiedyś uważał za brata. Spojrzał tylko na niego lodowatym wzrokiem.

– Coś ty powiedział?

– Z tego, co słyszałem, Henrietta Sedley spędza dużo czasu, lekceważąc ochronę Mayfair i przyzwoitki. – Zaśmiał się. – To wyjaśnia, w jaki sposób znalazła się tutaj z tobą, robiąc do ciebie słodkie oczy i knując.

Ciało Whita napięło się jak cięciwa łuku.

– Nie zbliżaj się do niej.

– Nie zmuszaj mnie do tego.

– Co to, do diabła, ma znaczyć? – Whit nie musiał pytać. Wiedział.

– Widziałem was razem. Widziałem, jak obiecywałeś jej cały świat. Gwiazdy w jej oczach. Gwiazdy w twoich oczach. Jakby była twoim szczęściem. Jakby była twoją nadzieją.

Znowu to słowo. Jak broń.

Jak prawda.

– Nigdy nie zdołasz jej ochronić. Nie przede mną.

Whit nie rzucił nożem. Stracił zdolność chłodnej kalkulacji, tak żeby ostrze wbiło się głęboko w lewą pierś Ewana, zatrzymując jego serce i jego szaleństwo. Rzucił się na niego jak niegdyś w dzieciństwie; strach i wściekłość kazały mu się bić tak, że rodziciel byłby z niego dumny.

Tylko że tym razem Whit nie był słabeuszem. Był Bestią.

Przewrócił dziedzica w ciemności na ziemię, turlając się z nim w opadłych liściach i trzymając go za ręce, podczas gdy sam, ręką z nożem, wymierzył mu cios w twarz. Raz Drugi. Krew trysnęła z nosa Ewana.

– Spróbuj tego. – Kolejne uderzenie; Ewan wił się jak robak. – Sprawdź mnie. Przez dwadzieścia lat stałem się ostry jak nóż. I będę jej bronił do ostatniego tchu. „Twojej” Grace.

To „twojej” zmieniło wszystko. Ewan oszalał do reszty. Szaleństwo dodało mu sił. Ogarnięty dziką furią zaatakował Whita jak byk na arenie.

– Nie wymawiaj jej imienia!

W ciągu paru sekund Whit znalazł się na ziemi; rękę z nożem Ewan chwycił w stalowym uścisku. Mocowali się, usiłując uzyskać przewagę, póki Ewan nie grzmotnął głową Whita o ziemię, o niewidoczny w ciemności kamień, pozbawiając go na chwilę przytomności.

Wypuścił nóż z dłoni.

A potem poczuł ostrze na gardle. Zamarł i otworzył oczy, napotykając bezrozumne spojrzenie Ewana.

– Wiedziałbyś, gdyby zginęła?

Whit zmarszczył brwi, zaskoczony pytaniem.

– Co?

– Odeszła – odparł Ewan, wciąż niezrozumiale. – Powierzyłem ją wam, ona umarła, a ja nie… – Pokręcił głową, zagubiony w myślach. – Wiedziałbym, gdyby umarła. I to powoduje…

Whit czekał, z własnym nożem na gardle.

Złamali Ewana, chcąc chronić Grace.

A teraz on groził Hattie.

Ewan spojrzał na niego, jakby usłyszał jego myśli.

– Jeśli ja nie mam miłości, ty też nie. Jeśli ja nie doznałem szczęścia, ty też nie. Jeśli ja nie mam nadziei, ty też nie.

Z sercem bijącym tak, że o mało nie wyskoczyło z piersi, Whit zmusił się, żeby mówić spokojnym głosem, nie zdradzając emocji.

– Jeśli ją zniszczysz, nic nie zyskasz. Jeśli chcesz się na kimś mścić, zacznij ode mnie.

– Byłeś tak pochłonięty nienawiścią do naszego ojca, że niczego się od niego nie nauczyłeś – stwierdził Ewan. – To w ten sposób dobiorę się do ciebie. Ona jest bronią, której nie zawaham się użyć. Zależy ci na niej.

Nie.

Tak.

– Zależy ci na niej i się jej wyrzekniesz. Tak jak ja. Albo ci ją odbiorę. Tak jak ty mnie.

Echo przeszłości. Zimny, wyrachowany Ewan, który zawsze wiedział, jak skutecznie walczyć. Jaki jest najlepszy sposób, żeby zatriumfować. Jak ich ojciec, który wiedział, jak najskuteczniej zadać ból.

W głowie Whita myśl goniła myśl, rozważał ponownie wcześniejsze plany, dostosowując je tak, żeby zapewnić Hattie bezpieczeństwo. Żeby trzymać ją z daleka od siebie. Od niebezpieczeństwa.

Pomyśli, że ją zdradziłeś.

Będzie miała rację.

To nie miało znaczenia. Whit wciąż miał nóż na gardle, raz jeszcze znalazł się na łasce niezdolnego do litości Ewana. Ale teraz nie chodziło o jego życie. Chodziło o coś dużo cenniejszego.

– Jeśli ją skrzywdzisz, przysięgam ci przed Bogiem – do diabła z księciem. Do diabła z Grace. Do diabła z przeszłością. Wyślę cię prosto do piekła.

Ewan przyglądał mu się przez chwilę, zanim powiedział:

– Już tam jestem.

Potem podniósł rękę i ogłuszył Whita.

15

*P*roszę, oto uśmiech zwycięzcy.

Hattie skończyła sprawdzać skrzynię jedwabiu, która właśnie przypłynęła na pokładzie statku z Francji, a która miała trafić na Bond Street, jak tylko zostanie zanotowana w rejestrze magazynów Sedley jako nieuszkodzona. Kiwnąwszy głową robotnikowi, odwróciła się ku Norze, która wchodziła po trapie w jaskrawej w promieniach słońca trawiastozielonej sukni.

Hattie uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Co ty tutaj robisz?

Nora wstąpiła na pokład.

– Czy kobieta nie może chcieć zobaczyć nowej szefowej kompanii Sedley w swoim żywiole?

Hattie roześmiała się. Słowa Nory dodały jej skrzydeł. Poczuła się jeszcze radośniej niż wcześniej tego dnia. I poprzedniego dnia. I jeszcze wcześniejszego – tego, który nadszedł po jej rozstaniu z Whitem w ciemnym ogrodzie Warnick, kiedy to obiecał jej pomoc w planach dotyczących ciała i firmy. Machnęła ręką w stronę młodego mężczyzny niosącego półotwartą skrzynię, przywołując go do siebie.

– Jeszcze nie szefowej.

Nora parsknęła lekceważąco.

– Jeśli czegoś się dowiedziałam o tym człowieku, to tego, że jeśli coś obieca, to dotrzyma słowa.

Hattie zajrzała do otwartej skrzyni, przeglądając paczki ze słodyczami. Spojrzała w oczy mężczyźnie, który ją trzymał.

– Powinno być dwanaście.

Kiwnęła głową.

– Trzynaście.

Zaznaczyła towar na liście.

– Do magazynu. – Sięgnęła do skrzyni i wyjęła paczkę malinowych cukierków. – Masz dziewczynki w domu, Miles?

Chłopak – nie więcej niż dwudziestotrzyletni – uśmiechnął się.

– Tak. Bliźniaczki. Isla i Clare.

Wyciągnęła jeszcze dwie paczuszki i wsunęła mu do kieszeni kurtki.

– Ucieszą się, jak zobaczą tatę dzisiaj wieczorem.

Chłopak uśmiechnął się radośnie.

– Dziękuję, lady Henrietto.

Minął Norę, lekko kiwnąwszy głową.

– Cóż, to było słodkie – stwierdziła przyjaciółka, kiedy chłopak odszedł. – Strategia sukcesu nowej szefowej firmy.

– Nie nazywaj mnie tak. Zapeszysz.

Nora machnęła lekceważąco ręką. Naturalnie. To była, ostatecznie, Nora.

– Jak myślisz, ile razy Augie rozdawał słodycze na pokładzie?

– Nie sądzę, żeby Augie kiedykolwiek uświadomił sobie, że statki trzeba rozładowywać – odparła Hattie suchym tonem, odwracając się od chichoczącej przyjaciółki i sprawdzając kolejną skrzynię – z belgijskim ale – którą właśnie wyniesiono z ładowni. – To można dostarczyć prosto do Jack and Jill – zwróciła się do robotnika, który ją niósł. Wskazała w głąb portu, w stronę owego pubu, za czterema pustymi statkami, potężnymi statkami towarowymi, które rozładowano w ciągu ostatnich paru dni, przenosząc ich zawartość do magazynów Sedleya.

Puste statki to był dziwny widok – właściciele zwykle nie pozwalali, żeby statki stały w porcie nieużywane – zwłaszcza tego typu statki, służące

do przewozu towarów, z potężnymi ładowniami, kursujące na dużych odległościach. Hattie zapamiętała, żeby porozmawiać o tym z właścicielami. Może kompania Sedley powinna rozwinąć interes eksportowy.

– Mogę? – Nora znowu zwróciła uwagę Hattie. – Nigdy nie widziałam cię tak spokojnej i zadowolonej. – Zniżyła głos. – Pan Whittington z pewnością potrafi znaleźć drogę do serca damy.

Hattie, zmieszana, radosna, pełna oczekiwania, nie zdołała stłumić uśmiechu.

– Ojciec się dzisiaj z nim spotyka.

Nora uśmiechnęła się kpiąco.

– Jakie to patriarchalne. Czy ma prosić o twoją rękę?

Przez ułamek sekundy Hattie pozwoliła sobie na fantazjowanie na ten temat – co by się stało, gdyby człowiek, znany całemu Londynowi jako Bestia, wmaszerował do biura jej ojca i poprosił o pozwolenie na ślub z jego córką.

Choć szybko przypomniała sobie, że małżeństwo uniemożliwiłoby jej prowadzenie firmy, Hattie kłamałaby, udając, że na tę fantazję nie zareagowała przyśpieszonym biciem serca oraz przelotną wizją ich obojga w porcie, stojących obok siebie.

– Zapewniam cię, że nie – odparła Hattie, szybko odsuwając podobne myśli na bok. – Nie widziałam go od tamtej nocy, kiedy obiecał mi pomóc.

– To jest, od tamtej nocy, kiedy nazwał cię wojowniczką i powiedział, że jesteś bystrzejsza niż wszyscy mężczyźni w Londynie.

Hattie zarumieniła się gwałtownie.

– Większość mężczyzn – sprostowała.

– Jestem pewna, że miał na myśli wszystkich.

– Rzecz w tym – powiedziała Hattie, spoglądając na paczuszkę z cukierkami w ręce i przesuwając kciukiem po ślicznych francuskich literach. – Obiecał, że mnie znajdzie. I nie znalazł.

Nora zamrugała.

– Minęły trzy dni. Zrealizowanie punktu: firma z listy z Roku Hattie zajmuje czas.

Hattie westchnęła cicho. Trzy dni z dala od niego wydawały się wiecznością. A wprowadzenie w życie kolejnego punktu z listy nie wymagało czasu. Punktu: ciało.

Ale dał jej przedsmak. I to była najcudowniejsza tortura, jaką mogła sobie wyobrazić. Jaka będzie reszta? A kiedy będzie po wszystkim, co zrobi, jeśli zabraknie jej pretekstów, żeby go widywać?

Może on będzie chciał się z nią widywać.

Ta słodka myśl przywołała wspomnienie jego pocałunków, dotyku, tych wszystkich cudownych rzeczy, które robił w ciemnym magazynie na tyłach Śpiewającego Wróbelka. Może zechce kontynuować ich wspólne lekcje.

Trzy tygodnie wcześniej Hattie planowała noc w burdelu, a teraz zastanawiała się, jak skusić mężczyznę, żeby uczynił ją swoją kochanką. Żeby pozwolił jej, żeby ona wzięła go sobie za kochanka.

– Cóż. Ten rumieniec jest wiele mówiący i bardzo bym chciała usłyszeć więcej o tym, co go wywołało – odezwała się Nora rzeczowo i spokojnie. – Ale w tej chwili nie ma na to czasu.

Zanim Hattie zdążyła pójść za wzrokiem Nory, usłyszała z daleka okrzyk ojca:

– Hattie, dziecko!

Pomachała hrabiemu, który zbliżał się z Augiem u boku. Widok nieogolonego, niechlujnie odzianego brata, po którym znać było hulaszczą noc, wzmocniło wolę Hattie, żeby wyjść zwycięsko z konfrontacji, która musiała nastąpić. Spodziewała się, że hrabia Cheadle zmyje najmłodszemu dziecku głowę i zażąda wyjaśnień, w jaki sposób wdał się w działalność przestępczą, wykorzystując kompanię Sedley.

Spodziewała się, że będzie nalegał na pełną współpracę Augiego z Whitem.

Z bijącym mocno sercem czekała, że oznajmi, że w istocie to ona przejmuje kompanię Sedley.

– Właśnie tak – szepnęła.

Rok Hattie miał się za chwilę rozpocząć.

– Będę tutaj, żeby wznieść toast, jak już się dokona – powiedziała Nora. – Odwagi.

Hattie zeszła ze statku, idąc na spotkanie ojcu, którego srebrne włosy lśniły w popołudniowym słońcu. Usiłowała – bez powodzenia – zachować spokój, nie mogąc się powstrzymać, żeby nie szepnąć:

– Teraz to się stanie.

Teraz miało się to stać.

Była gotowa.

Tyle że nie była gotowa na to, co powiedział ojciec, zanim jeszcze Hattie zdążyła się zatrzymać.

– Dokończ rozładunek i przyjdź do biura. Sprzedałem firmę.

Nie miało znaczenia, że Hattie patrzyła wprost na ojca, kiedy mówił. Nie miało znaczenia, że miała doskonały słuch, podobnie jak doskonałą znajomość języka angielskiego.

Po prostu nie zrozumiała, co powiedział.

Musiała źle usłyszeć.

Czy to możliwe, że mówił innym językiem?

Nie – to był angielski. Jasne, oczywiste słowa wypowiadane zdecydowanym, starczym głosem, którym ojciec posługiwał się, wydając polecenia robotnikom. Ich znaczenie nie pozostawiało wątpliwości – sprzedał jej firmę sprzed nosa.

– Co? – Hattie spojrzała na Augiego, którego wzrok natychmiast się rozjaśnił, ślady rozpusty z poprzedniej nocy ulotniły się w jednej chwili.

– Wiedziałeś o tym?

Augie pokręcił głową.

– Dlaczego?

Hrabia zmierzył Augiego chłodnym wzrokiem.

– Ponieważ, gdybyś ty ją przejął, doprowadziłbyś firmę do ruiny.

Augie ściągnął brwi, a serce Hattie zabiło gwałtownie.

– To nieprawda.

– Och – parsknął Cheadle, wracając do akcentu z czasów młodości, jaki nabył, żeglując po morzach. – Nigdy jej nie chciałeś. Nigdy o nią nie dbałeś. Tak, tak, chciałeś pieniędzy, jakie daje, i życia, jakie umożliwia. Ale firma… – Pokręcił głową. – Nigdy nie chciałeś firmy. I zmęczyłem się, czekając, żeby to się zmieniło. – Machnął ręką. – Sprzedałem.

– Nie możesz! – zawołał Augie.

– Mogę – odparł hrabia. – Zrobiłem to. Należała do mnie. Zbudowałem ją. Nie będę patrzył, jak ktoś ją roztrwania. Przejął ją człowiek, przy którym rozkwitnie.

Hattie nie wiedziała, co się z nią dzieje. Nic nie zgadzało się z planem.

Spojrzała na deski pod stopami; znad rzeki czuło się chłodny powiew. Ile razy tu była, w tym porcie, chowając się w cieniu wielkich statków transportowych, podczas gdy on kończył pracę?

– Ojcze…

Podniósł pomarszczoną dłoń, przerywając jej.

– Nie, Fasolko.

Zacisnęła wargi, słysząc przezwisko z dzieciństwa.

– Dobra z ciebie dziewczyna. Ale to nigdy nie miałaś być ty.

To rzeczowe stwierdzenie pozbawiło ją tchu w piersiach, wprawiając w zimną furię.

– Dlaczego nie?

Machnął ręką.

– Wiesz dlaczego.

– Nie wiem, w gruncie rzeczy. – Uniosła brodę, wściekła, że ojciec unika jej spojrzenia. – Powiedz mi.

Po chwili, która trwała całe wieki, spojrzał jej wreszcie w oczy.

– Wiesz dlaczego.

– Bo jestem kobietą.

Skinął głową.

– Nikt nie brałby cię poważnie.

To był cios.

– Nieprawda.

„Nie jest mi trudno uwierzyć, że poprowadziłabyś tę firmę lepiej, niż oni”. Wspomnienie pojawiło się ni stąd, ni zowąd. Słowa, które wypowiedział Whit w ciemności. Mówił szczerze.

Czy na pewno? Co do reszty najwyraźniej nie był szczery.

Nie taki był plan.

Co się stało? Gdzie był Whit? Ogarnął ją niepokój. Czy dotknęła go jakaś choroba? Czy coś mu się stało?

Nieświadom burzy w jej myślach, hrabia zatoczył ręką łuk w powietrzu.

– Tuzin robotników w porcie. Garstka klientów, których obsługujemy.

Poczuła w gardle gniew niczym żółć.

– Garstka? – powtórzyła. – Czy wiesz, ile koresponduję z naszymi klientami? Jak dobrze znam robotników w porcie? Jak dobrze znam ładunki, statki, tablice przypływów? To ja trzymałam tę firmę w garści, kiedy ty niedomagałeś. Kiedy on… – Wskazała Augiego. Spojrzała na niego, w jego przestraszone oczy. Podczas gdy on zagrażał temu wszystkiemu. – To nie ma znaczenia. Jestem dobra, ojcze. Znam tę firmę – wszystko, co się z nią wiąże – lepiej niż ktokolwiek.

Słowa uleciały z wiatrem wraz z jej przyszłością. Hattie oddychała ciężko; tak bardzo chciała udowodnić swoją wartość.

Ku swojemu przerażeniu czuła łzy pod powiekami.

Nie. Siłą woli powstrzymała łzy. Nie może sobie pozwolić na płacz. I nie będzie. Do diabła, dlaczego mężczyźni mogą się wściekać i rezonować bez końca, a kobiety, kiedy tylko wpadają w gniew, zalewają się łzami?

Westchnęła ciężko, chrapliwie.

– To wszystko, czego pragnęłam.

Hrabia przyglądał się jej uważnie.

– Fasolko.

– Nie nazywaj mnie tak.

Milczał. A potem odezwał się znowu.

– Znają cię. A nawet cię lubią. Dobrze do nich pasujesz ze swoim bystrym umysłem i ostrym językiem. Ale Hattie, oni by z tobą nie pracowali. Musiałby być jakiś mężczyzna, który dopilnowałby, żeby wszystko toczyło się gładko.

Łzy paliły ją w gardle.

– To bzdura.

Dawny kapitan nie mrugnął okiem na to przekleństwo.

– Może… – dodał. – Gdybyś miała męża.

Nie zdołała powstrzymać gorzkiego chichotu.

– Duch męża zawsze stanowił twoje zmartwienie, ojcze. Ile razy go przywoływałeś, podając za powód, dla którego nie mogę przejąć firmy?

– To nadal jest powód. Mówiłem wcześniej to, co myślałem. Może gdybyś zdołała znaleźć męża. Porządnego męża. Z głową na karku. Ale to się nie mogło zdarzyć, prawda?

Nie. Ponieważ nikt nie chciał poślubić Hattie. Żaden mężczyzna z głową na karku nie chciał ożenić się z niezbyt urodziwą kobietą o niewyparzonym języku i zmysłem do interesów.

Zbyt krzykliwą. Zbyt śmiałą. Zbyt wielką. Zbyt…

Za bardzo… a jednak, w jakiś sposób… wciąż nie dosyć.

Spojrzała w dół ponownie, na swoje brudne buty, które stały na deskach wyblakłych od nieustających deszczów. Wciąż trzymała torebkę słodyczy; w poplamionych atramentem palcach wciąż ściskała dokumenty statku. Kiedy ostatni raz widziała je bez plam?

Jak ciężko na to pracowała? Jak bardzo o tym marzyła?

Tyle jeśli chodzi o Rok Hattie.

Pojedyncza, duża łza spadła na deski.

Augie zaklął cicho i odezwał się, zaskakując wszystkich.

– Dlaczego teraz?

– Dostałem ofertę.

– Od kogo? – To był znowu Augie.

Ojciec przez chwilę wydawał się rozważać odpowiedź. Rozważać, czy w ogóle odpowie. I w tej krótkiej chwili Hattie zrozumiała prawdę. Odpowiedziała zamiast niego; wiatr rozwiewał jej włosy, wyrywając je z upięcia i targał spódnice w dzikim tańcu.

– Saviour Whittington.

Hrabia spojrzał gdzieś poza puste statki i jedyny pusty dok na samym końcu.

– Zawsze byłaś bystra.

– Nie dość bystra, żeby dać mi szansę – parsknęła Hattie.

– Kto to jest Saviour Whittington? – zapytał Augie.

Hrabia spojrzał zimno na syna.

– Powinieneś doprawdy znać nazwiska ludzi, których usiłujesz oskubać.

Augiego olśniło.

– Bękarci.

– Do wszystkich diabłów, Augie! – zagrzmiał hrabia, zwracając uwagę robotników w dokach. – Powinienem cię im wydać.

Nie musiał. Już wiedzieli o udziale Augiego w napadach. Whit już wiedział. Nie potrzebował nazwiska Augiego ani samego Augiego. Wiedza Augiego miała być zapłatą. To było pierwsze z dwóch żądań.

Sięgnęła ręką ku ojcu, kładąc mu dłoń na rękawie.

– Zaraz. On nie chce firmy. Chce, żeby Augie mu zdradził, jak dostać się do człowieka, który pociągał za sznurki przy tych rabunkach. – Spojrzała na brata. – Wiesz, gdzie go znaleźć?

Augie pokręcił głową.

– Ale Russell…

Hattie jęknęła.

– Dobrze zatem. Potrzebujemy Russella. Chociaż czuję obrzydzenie na samą myśl.

– Za późno – powiedział hrabia. – Bękart powiada, że już tego nie potrzebuje. Tak więc złożył mi hojną ofertę, dając do zrozumienia, że jeśli jej nie przyjmę i nie opuszczę doków, doprowadzi nas do ruiny.

Zmieszała się znowu. Nic takiego nie uzgadniali. Whit miał prosić, żeby hrabia przekazał kompanię Hattie. Czy nie chwalił jej umiejętności? Czy nie rozumiał jej pragnień? Czy nie obiecał, że jej pomoże?

– Nie – powiedziała. – Obiecał…

Ojciec i brat spojrzeli na nią jednocześnie.

– Ty też jesteś z nimi w zmowie? – Nie podobało jej się rozczarowanie w głosie ojca.

Augie był trochę milszy.

– Hattie. Jaką wartość ma obietnica szmuglera z Covent Garden?

Miała wartość.

Jego wiara. Jego obietnica.

To było cudowne. I okazało się kłamstwem.

Znowu ogarnął ją gniew. Inny rodzaj gniewu – taki, przy którym łatwiej było przejść do działania.

Zawarli umowę. A on się jej wyparł.

Zacisnęła zęby.

– Na Boga. Nie wiem, które z was jest gorsze – powiedział hrabia, patrząc na Hattie. – Ty, bo zaufałaś słowu Bitnego Bękarta, czy Augie, który nie miał pojęcia, kim oni są.

– Słyszałem o nich – bronił się Augie. – Oczywiście, że słyszałem.

– To jak mogłeś ich okradać, półgłówku? – warknął hrabia. – Najgorsze, że Whittington nie musiał mi mówić. Nie musiał. Mogę być stary, ale mam swój rozum i znam się na ładunkach; potrafię odróżnić ładownię pełną

tulipanów od ładowni pełnej trunków. – Wycelował palec w Augiego. – To wtedy uświadomiłem sobie, że nie nadajesz się do prowadzenia biznesu.

– Może – zgodził się Augie. – Ale Hattie się nadaje i wiesz o tym.

Innego dnia, w innych okolicznościach, Hattie byłaby zaskoczona i głęboko wdzięczna bratu za poparcie. Ale teraz była zbyt na niego wściekła. I na ojca. I na Savioura Whittingtona. Albo Bestię, jak on się tam, do diabła, nie nazywał.

Ci mężczyźni, których płeć, jak powszechnie uważano, kwalifikowała do prowadzenia interesów, nie potrafili zrobić nic, żeby je ochronić. Zacisnęła pięści z wściekłości, zgniatając torebkę ze słodyczami i papiery; nie była pewna, czy zniesie jeszcze choć chwilę w ich towarzystwie.

Niech sobie sami radzą. Niech się martwią. Ona nie zamierza i nie chce tej firmy.

Kłamczucha.

Oczywiście, że chciała. Tylko tego całe życie pragnęła.

Ale nie mogła jej mieć. Więc odejdzie. Była skończona.

Spojrzała na puste statki w dokach.

Statki.

Spojrzała na ojca.

– On nie kupił tylko firmy.

– Co? – zaniepokoił się ojciec.

– Statki są puste. – Machnęła ręką. – Statki też kupił. Żebyśmy nie mogli ich używać.

Hrabia pokiwał głową.

– Tak. Statki, które powinny żeglować wzdłuż wybrzeża, przewożąc nasze ładunki. I nagle żaden nie jest dostępny dla kompanii Sedley.

– Zawarliśmy kontrakty z właścicielami – zauważył Augie.

– Nie z nowymi – powiedziała cicho Hattie.

– I z żadnymi innymi – dodał hrabia. – Odcięli nas od wszystkiego. Nikt nie będzie prowadził z nami interesów. A tego ranka przedstawił swoją

ofertę.

– Żeby nas wykupić.

Hrabia przytaknął.

– Taka była jedyna możliwość. Sprzedać jemu albo stracić wszystko.

– Żadna oferta – stwierdził Augie.

Ponieważ to nie była żadna oferta.

– Nie ma w tym nic honorowego.

– To są Bitni Bękarci, Hat – zauważył Augie. – Raczej nie przestrzegają honorowych zasad.

Ale tak właśnie było. Widziała to w nim od początku. Whit jej nie okłamał. W istocie cenił sobie uczciwość między nimi. Nawet kiedy nie chciała mu podać imienia Augiego – zdradzić jego roli w całej tej grze – podziwiał jej lojalność.

Ale, co najważniejsze, on w nią wierzył. Kiedy wyjawiła mu swoje plany – nadzieje na przyszłość, marzenia związane z firmą, zamiary. Wierzył w nią wtedy. Ofiarował pomoc. Czy to wszystko było kłamstwem?

I skąd to palące poczucie zdrady?

Rozczarowanie i smutek wywołały gorzki smak w ustach.

– Obiecał, że tego nie zrobi.

– Ha – mruknął ojciec. – Ludzie tacy jak Bękarci zawsze szukają odwetu, Fasolko. Jak myślisz, dlaczego nigdy się z nimi nie zadawałem? A ciebie omotali.

Nie chciała w to wierzyć. Przyjąć do wiadomości. Popatrzyła znowu na wielki statek, jej spojrzenie złagodniało, spocząwszy na ciepłym drewnie kadłuba. W myślach przeżywała ponownie wydarzenia ostatnich paru dni – rozważając możliwości. Spędziła tu całe lata, pracowała, kochała tę pracę.

To było jej terytorium, nie jego.

Nie pozwoli sprzątnąć sobie tego sprzed nosa.

Bękart, w rzeczy samej.

W końcu podniosła wzrok na ojca.

– Nie powinieneś był sprzedawać. Ani jemu. Ani nikomu innemu. – Cisza przeciągała się w nieskończoność; mąciły ją tylko okrzyki mężczyzn na statku, rozładowujących być może ostatni z transportów kompanii Sedley, jeśli Bitni Bękarci mieli postawić na swoim.

– Tak bałeś się pozwolić mi spróbować. Bałeś się, że mi się nie uda i okryję cię wstydem, a i tak straciłeś wszystko. – W tej chwili Hattie uświadomiła sobie, że jej ojciec, dotąd taki wielki w jej umyśle, był w istocie dużo mniejszym człowiekiem, niż sądziła. Mniejszym, drobniejszym, siwowłosym starcem o pobrużdżonej twarzy… i tchórzliwym charakterze, który ukrywał przez lata, ale dłużej się nie dało.

Ten człowiek, który ciężkim wysiłkiem zbudował firmę dającą utrzymanie jego rodzinie i setkom innych ludzi, teraz był zmęczony i pokonany. Stał wobec niegodnej, tchórzliwej utraty swojego dziedzictwa, ponieważ nie był w stanie dostrzec, jak jego córka mogłaby pomóc je zachować.

Nadal mogła to zrobić.

Spojrzała na brata, potem na ojca.

– Ty mogłeś się zgodzić na sprzedaż, ale ja nie.

Augie uniósł brwi – zaskoczony i… pełen podziwu?

– To koniec, dziewczyno. Nie miałem wyboru.

– Zawsze jest wybór – odparła Hattie. – Zawsze można wybrać walkę.

Ojciec patrzył na nią w milczeniu długą chwilę, z błyskiem w oczach. Ten błysk wyrażał coś więcej niż wątpliwość.

– Nie zdarzyło się, żeby jakiś mężczyzna sprzeciwił się Bitnym Bękartom i przeżył.

Kiedyś przejęłaby się tym ostrzeżeniem. Ale Hattie nie miała już cierpliwości do ostrzeżeń.

Co miała do stracenia? Zabrał wszystko.

– Zatem nadszedł czas, żeby zrobiła to kobieta.

16

Tamtej nocy Nora i Hattie pojechały do Covent Garden w najszybszym powoziku Nory.

– Nie mam ochoty dziś umierać – powiedziała Hattie, przekrzykując turkot kół i trzymając się kurczowo krawędzi karykla, który minął Drury Lane i skręcał w zawrotnym tempie to w prawo, to w lewo. – Nora!

– Nikt nie umrze! – parsknęła Nora. – Błagam. Pędziłam w tej ślicznotce trasami nad Tamizą, a ty myślisz, że Garden da jej radę?

– Chcę tylko powiedzieć, że nie ma co kusić losu – powiedziała Hattie, przytrzymując kapelusz i wskazując krętą uliczkę po lewej stronie. – Tutaj.

Nie zwalniając, Nora skierowała dwa siwki w brukowaną uliczkę, gdzie było ciemniej niż na drogach, którymi się wcześniej poruszały.

– Jesteś pewna?

Hattie skinęła głową.

– Tędy. Prosto. Po prawej stronie.

Na ścianie budynku wisiała jasna latarnia, oświetlając szyld Śpiewającego Wróbelka. Nora powściągnęła konie.

– Nie wiedziałam, że spędzasz tyle czasu w Garden, że masz tutaj swój ulubiony pub.

Hattie zignorowała ironiczną uwagę.

– Zostań tu.

– Nic z tego. – Nora zeskoczyła z powozu, obciągając kurtkę na bryczesach z koźlej skóry, zanim Hattie zdążyła zareagować. – Czy on tam

jest?

– Nie wiem – powiedziała Hattie, wyskakując na ulicę; cieszyła się, że ma spodnie – włożyła je, żeby nie zwracać uwagi – które dawały taką swobodę ruchu. – Ale to najlepsze miejsce, żeby zacząć go szukać.

Nie opuści Garden, póki go nie znajdzie. Póki się z nim nie zmierzy.

– Myślisz, że ludzie nas rozpoznają? – zapytała Nora.

– Nie sądzę. – Choć, w istocie, kiedy Hattie odwiedziła pub ostatnim razem, interesował ją wyłącznie człowiek, który ją tam zaprowadził. Hattie zrobiło się gorąco na wspomnienie przyjemności, jakiej doznała, i na myśl, że może go zaraz spotka.

Nie. Nie zjawiła się tutaj dla przyjemności. Chciała wymierzyć karę.

Zetrzeć się z nim.

Nora uśmiechnęła się.

– Myślę zatem, że ci ludzie wewnątrz zobaczą to, co chcemy im pokazać: dwóch zamożnych, ale niekoniecznie arcybogatych, dżentelmenów spragnionych ale.

Hattie rzuciła jej spojrzenie z ukosa.

– Nie jesteśmy tu po to, żeby pić, Noro.

– Wiem. – Nora uśmiechnęła się znacząco. – Mamy znaleźć twojego Bękarta.

– Nie jest mój – sprzeciwiła się Hattie. – Choć to bękart.

W pubie kłębił się tłum ludzi, kobiet i mężczyzn z różnych sfer społecznych. Hattie rozpoznała natychmiast z pół tuzina robotników portowych, trzech z żonami u boku, wszyscy o rumianych policzkach, zadowoleni i szczęśliwi, że w ten wieczór nie muszą pracować.

Zakrywając twarz rondem kapelusza, Hattie przestudiowała tłum; wiele osób siedziało przodem do pustej sceny, oświetlonej dwoma dużymi kandelabrami. Whita ani śladu, ale Hattie nie mogła sobie wyobrazić, żeby był zainteresowany tym, co miało się tu wydarzyć.

Nora odwróciła się do niej plecami, podnosząc brodę i wpatrując w odległy kąt izby.

– Czy to Sesily Talbot?

Hattie poszła za jej wzrokiem; przy barze stała ciemnowłosa, ciemnooka kobieta w śmiałej, ametystowej sukni, przeznaczonej do wszystkiego, tylko nie do tego, żeby nie przyciągać uwagi.

– Wygląda na to, że arystokraci też tu bywają. – Uszczęśliwiona Nora ruszyła w stronę Sesily, która, pochylona nad mahoniowym kontuarem, uśmiechała się szeroko do Amerykanina, którego Hattie poznała, kiedy była tu z Whitem. Jednak Hattie zajęło chwilę, zanim go rozpoznała, ponieważ przyjazny wyraz twarzy zastąpił pełen irytacji, nieprzyjemny grymas.

Nora stanęła obok Sesily, która, przestraszona, odwróciła się i uspokoiła natychmiast, widząc Norę.

– Kogo my tu mamy! – zawołała wesoło Sesily, która dostrzegła po chwili również Hattie; jej oczy rozszerzyły się odrobinę na widok przebrań obu pań. – I ty także!

Nora pochyliła się ku niej.

– Jesteśmy w przebraniu.

– Oczywiście! – Sesily roześmiała się z zachwytem, jakby cała ta sytuacja była żartem. Sesily była ostatnią spośród skandalizujących sióstr Talbot, która pozostała niezamężna i wydawała się doskonale szczęśliwa w swoim staropanieństwie. – Wyglądasz wspaniale. – Prześliznęła się wzrokiem po kurtce i spodniach Hattie. – Zwłaszcza ty, Hattie. Choć nikt z odrobiną rozumu w głowie nie weźmie cię za mężczyznę.

To była prawda.

Hattie obwiązała piersi, zanim wyszła z domu wieczorem, ale niewiele można zrobić, mając taki biust jak ona. Wzruszyła lekko ramionami.

– Chciałabym tylko, żeby ludzie w ogóle nie zwracali na mnie uwagi.

Sesily odęła wargi.

– A to dlaczego?

– Oczywiście, ty nie możesz sobie wyobrazić, żeby nie zwracać uwagi. – Te słowa wypowiedział gniewnym tonem Amerykanin, któremu zajmowało zdumiewająco dużo czasu mycie kontuaru koło nich.

Sesily posłała mu promienny uśmiech.

– Zapewniłeś mi to doświadczenie, Caleb, w stopniu większym, niż to konieczne. Ostatecznie to ty robisz wszystko, żeby na mnie nie zwracać uwagi.

W szczęce mężczyzny drgnął mięsień.

– Coś do picia, dżentelmeni? – zwrócił się do Nory i Hattie. – Błysk w jego oczach świadczył o tym, że poznał Hattie. – Witaj ponownie.

W tych słowach nie było nic niewłaściwego, ale wzrok Hattie pod wpływem wspomnienia, jakie sprowadziły, powędrował w stronę zamkniętych drzwi magazynu na tyłach baru. W ustach jej zaschło, ale wtedy pojawiło się przed nią ale.

– Dziękuję – powiedziała, podnosząc szklankę. – Witaj.

– Znacie się? – zainteresowała się Sesily.

– Hattie już tu kiedyś była – wtrąciła Nora, zajęta obserwacją ludzi dookoła. – Czy ma być tu dzisiaj jakieś przedstawienie?

– Tak jest! – odparła radośnie Sesily. – Wróbelek dzisiaj występuje.

Nora obróciła się w jej stronę.

– Prawdziwy Wróbelek? Naprawdę? Myślałam, że odbywa tournée po Europie.

Sesily uśmiechnęła się.

– Wróciła do Londynu.

Oczy Nory rozjaśniły się z podniecenia.

– Znasz ją?

– Znam, w istocie. – Nie rozwijała tego skądinąd fascynującego tematu, zwracając błyszczące oczy na Hattie. – Dlaczego jesteś w przebraniu?

– Bez powodu – odparła Hattie.

– Hattie jest na polowaniu – odezwała się Nora jednocześnie.

Hattie przewróciła oczami, a usta Sesily ułożyły się w małe „o”.

– Cudownie. Na kogo?

Hattie udała niewiniątko.

– Kto mówi, że chodzi o „kogoś”?

– Zawsze chodzi o „kogoś” – stwierdziła Sesily, rzucając jej spojrzenie z ukosa.

Nora odciągnęła uwagę Sesily kolejnym pytaniem, a Hattie w tym czasie zwróciła się do Amerykanina, który wciąż kręcił się za barem.

– Chodzi o „kogoś”.

Spojrzał ze zrozumieniem dobrymi oczami, ale potem pojawiło się w nich coś, jakby litość. Pokiwał głową.

– Obawiam się, że nie mogę ci pomóc.

– Nie możesz, czy nie chcesz?

– Nie mogę. Nie widziałem go, odkąd… byłaś tu ostatnio.

Była wdzięczna, że w przyćmionym świetle w tawernie nie widać jej rumieńca. Nie dała się zniechęcić.

– Muszę go znaleźć. – Dziś wieczorem niepowodzenie nie wchodziło w grę. Miała dość, że wywraca jej życie do góry nogami. – To konieczne.

Caleb Calhoun przyjrzał się tłumowi za jej plecami. Poszła za jego spojrzeniem; patrzył na ludzi, których rozpoznała, wchodząc tutaj.

– Zbyt wielu osiłków w Garden, żeby był dzisiaj w dokach. – Uśmiechnęła się, widząc, że wywarła na Amerykaninie wrażenie. – Nie jestem głupia.

– Poszukiwanie Bękarta w Garden świadczyłoby raczej o czymś innym – powiedział, patrząc jej badawczo w oczy, jakby szukał… kłamstwa? Niemal roześmiała się na myśl, że ktoś może ją podejrzewać o nieuczciwość w walce z Bitnymi Bękartami. Czegokolwiek szukał, znalazł. – Jest środa wieczór. Pewnie jest na walkach.

Walki? Ożywiła się.

– Gdzie?

Pokręcił głową.

– Nie wiem. Ring się przenosi. Jeśli nie chcą, żebyś ich znalazła, nie znajdziesz.

Zniechęcona sięgnęła do kieszeni, wyjmując dwupensówkę i kładąc ją na barze. Calhoun machnął ręką.

– Na koszt firmy.

Dobroć w oczach Amerykanina dodawała jej otuchy.

– Dziękuję.

Sesily podniosła głowę, przerywając rozmowę z Norą.

– Caleb, dla mnie nigdy nie jesteś taki miły!

Barman burknął coś w odpowiedzi, odwracając się; gdyby Hattie nie znała Sesily tak dobrze, mogłaby pomyśleć, że widzi tęsknotę na twarzy siostry Talbot. Tęsknotę i coś w rodzaju rozpaczy.

Bogu wiadomo, że była w stanie to zrozumieć.

Nora kiwnęła głową w stronę Hattie.

– Gotowa?

W rzeczy samej. Musiały stoczyć walkę.

Uśmiechnęła się szeroko do Sesily, skłaniając głowę w pożegnalnym geście.

– Obowiązki wzywają.

Przepchnęły się przez tłum, teraz gęstszy i bardziej hałaśliwy niż jeszcze niedawno. Hattie nigdy tak się nie cieszyła chłodnym powietrzem na zewnątrz. Kiedy dotarły do karykla, zatrzymała się i wzięła głęboki oddech. Gdzie on jest?

Mężczyzna, którego nie znała, którego nie chciała znać, a który w jakiś sposób dokonał rewolucji w jej życiu – swoją obecnością, zemstą i swoimi przeklętymi pocałunkami. Hattie nie była nawet pewna, czy nie pragnie ich jeszcze więcej, i to wprawiało ją w rozpacz.

Gdzie on jest?

Miała mu do powiedzenia parę rzeczy.

– Hattie? – Podniosła głowę. Nora siedziała na koźle, gotowa, żeby ruszyć, i przyglądała jej się z góry. – Dokąd teraz?

Hattie pokręciła głową.

– Nie wiem. – A potem dodała, nie mogąc nad sobą zapanować: – Ten przeklęty człowiek wszystko niszczy.

Rozpaczliwy krzyk Hattie odbił się echem od okolicznych domów.

Kiedy znowu zapadła cisza, Nora oznajmiła:

– Znajdziemy go.

Pewność w tych słowach – to „my” – spowodowała, że Hattie o mało nie wybuchnęła płaczem. Tak by się pewnie stało, gdyby jakiś głos nie odezwał się w mroku za nimi:

– Czy potrzebujecie pomocy?

Hattie odwróciła się w stronę, skąd dobiegły te słowa; z ciemności wyłoniły się trzy kobiety w dopasowanych kurtkach, spodniach i wysokich butach; włosy miały upięte pod czapkami. Pod paskiem najwyższej – tej, która prawie dorównywała Hattie wzrostem i sprawiała na pierwszy rzut oko wrażenie przywódczyni – błysnął nóż.

Wsuwając dłoń do kieszeni i dotykając noża, Hattie cofnęła się o krok.

– Jakiej pomocy?

W uśmiechu kobiety nie było złośliwości.

– Lady Henrietto, będę szczęśliwa, mogąc skierować cię do Bestii.

Skąd wiedziała…

Hattie zmarszczyła brwi.

– Spotkałyśmy się?

– Nie.

– Skąd więc wiesz, jak się nazywam?

– Czy to ważne?

– Przypuszczam, że nie, ale i tak chciałabym wiedzieć.

Kobieta roześmiała się, cicho i zmysłowo.

– Stawiam sobie za punkt honoru wiedzieć, czego szukają kobiety i co przyniesie im satysfakcję.

– To przydatne – odezwała się Nora ze swojego miejsca w karyklu.

Tajemnicza kobieta nie odwróciła wzroku od Hattie, odpowiadając.

– Dzisiejsza noc należy do lady Henrietty, lady Eleanoro. Przyjdzie i twoja kolej.

– Znakomicie – stwierdziła Nora, jakby ta rozmowa była czymś zupełnie zwyczajnym.

W ogóle nie była zwyczajna. Ale czy coś było zwyczajne, odkąd poznała Whita? Odkąd trafiła do Covent Garden i ten świat się przed nią otworzył? Hattie nie mogła zaprzeczyć podnieceniu. Kobieta miała rację – nieważne, skąd znała Hattie. Liczyło się to, że chciała pomóc.

– Wiesz, gdzie on jest?

Kobieta skłoniła głowę.

– I zabierzesz nas tam?

– Nie. – Rozczarowanie było szokiem. – Ale powiem wam, dokąd się udać.

Co za ulga.

– Proszę.

Czerwone usta uśmiechnęły się kpiąco.

– Taka uprzejma. Wiesz, on na ciebie nie zasługuje.

Hattie odparła podobnym, suchym tonem:

– Zapewniam panią, że on zasługuje dokładnie na to, co zamierzam mu dać.

Kobieta roześmiała się głośno i szczerze i Hattie wyobraziła sobie, że mogłyby zostać najlepszymi przyjaciółkami, gdyby tamta nie była taka tajemnicza.

– W porządku. Znajdziecie Bestię przy spichlerzu. Kierujcie się wrzaskami tłumu. To Bestia będzie tym, który wygrywa.

Hattie kiwnęła głową, podniecona i zaintrygowana.

– Znajdziemy go – powiedziała Nora pewnym głosem.

Hattie wdrapała się na kozioł i obejrzała na kobietę.

– Czy mam mu przekazać pozdrowienia od ciebie?

– Dojdą razem z tobą – rozległ się głos z ciemności. Kobiet nie było już widać. Powozik ruszył w swoją drogę.

Dotarły do spichlerza w niecały kwadrans; pół tuzina silosów w nocy tworzyło złowieszczy widok nad brzegiem rzeki. Październikowy wiatr chłostał wody Tamizy i wił się pomiędzy niezamieszkanymi budynkami, przybierając na sile. Innej podobnej nocy – bez księżyca nie sposób było niczego zobaczyć – nie dałoby się tu przebywać. Teraz jednak, o parę jardów od drogi, migotała pochodnia umocowana do rogu budynku.

– Tam – powiedziała Hattie, wysiadając z powozu i opatulając się mocno kurtką, żeby chronić się przed dotkliwym zimnem. – Tędy.

– Wiesz, Hattie, że uwielbiam przygody – powiedziała Nora głośnym szeptem – ale jesteś całkiem pewna, że wiesz, co robisz?

– Niecałkiem – przyznała Hattie.

– Cóż, sądzę, że należy ci się uznanie za szczerość.

– Wściekłość zabija strach – oznajmiła Hattie, mijając pochodnię w rogu i kierując się do drugiej, przy pierwszym silosie.

Nora szła za nią.

– Chyba chciałaś powiedzieć, że zabija rozsądek. Myślę, że powinnyśmy zawrócić. Nikogo tu nie ma. Tak jakbyśmy same się pakowały w łapy mordercom.

– Sądziłam, że to ty jesteś ta odważna – odparła Hattie.

– Nonsens. Jestem trzpiotowata. A to zupełnie co innego.

Hattie roześmiała się – co innego mogła zrobić?

– To ja jaka jestem?

W oddali rozległ się ryk. „Kierujcie się wrzaskami tłumu”. Hattie obejrzała się na Norę.

– Odważna. – Nie było w tym stwierdzeniu rozbawienia. Tylko szczerość. Szczerość i ten rodzaj miłości, którym darzy cię najbliższy przyjaciel. – Ta, która wie, czego chce i zrobi wszystko, żeby to zdobyć. – Nora wyprostowała się. – Dobrze zatem, idziemy.

Mijając drugi silos, Hattie zauważyła pomarańczową poświatę przy trzecim. Nie zastanawiając się wiele – w tej szczególnej sytuacji nie było czasu na myślenie – przyśpieszyła kroku.

– Wiesz, że po tym kawałku Macduff zabija Makbeta, prawda?

– Nie mamy teraz czasu na literackie dywagacje, Hattie – zauważyła Nora. – Poza tym to nie ty jesteś mordercą, którego się dzisiaj obawiam. – Hattie zatrzymała się gwałtownie i Nora o mało na nią nie wpadła. – Dobry Boże.

To była stosowna ocena widoku, jaki się przed nimi rozpościerał.

Pod największym silosem, mającym około czterdziestu stóp średnicy i ustawionym na masywnych żelaznych nogach, gromada ludzi stała w ogromnym kręgu – z rękami w kieszeniach i podniesionymi, dla ochrony przed wiatrem, kołnierzami.

Rozległ się kolejny potężny ryk i dziesiątki rąk uniosły się w górę w geście triumfu. Hattie ruszyła szybciej; oddychała gorączkowo. Wiedziała doskonale, na czyją cześć wiwatują – jakby sam Wszechmogący zstąpił na ring.

Z kręgu wypadł mężczyzna – pokonany – z krwawiącym nosem i opuchniętym okiem. Nikt za nim nie poszedł, kiedy skierował się na ulicę, mijając Norę i Hattie, które starały się na niego nie gapić; uznał je najwyraźniej za dwóch mężczyzn, którzy przyszli oglądać spektakl.

Hattie poznała go jednak. Michael Doolan.

Tak jak mu kazano, stawił się na ringu i dostał nauczkę. Była dumna i szczęśliwa, choć wiedziała, że nie powinna. Whit przyrzekł karę. I dotrzymał słowa.

Czy jej także nie składał przyrzeczeń?

Stłumiła tę myśl. To było co innego. Pozwolił jej myśleć, że należą do tej samej drużyny.

W miarę jak się zbliżały, obraz stawał się wyraźniejszy. Wewnątrz zewnętrznego kręgu widzów płonął z tuzin baryłek, nie ogrzewając tej dziwnej przestrzeni, ale dostarczając dość światła dla wewnętrznego kręgu, gdzie toczyły się walki.

W środku tego kręgu, niczym Minotaur w labiryncie, stał mężczyzna ubrany jedynie w spodnie i buty; z rozcięcia na policzku ponad, jak się wydawało, starym siniakiem, ciekła krew, na jego boku wykwitł świeży siniak. Hattie wiedziała, że nie powinna patrzyć… ale kto by nie patrzył?

Był wspaniały.

Kiedy ledwie zaczęła nosić długie spódnice, oglądała wystawę w Muzeum Królewskim i zdumiewająco długo, studiowała pewną rzeźbę Apollina.

Zawsze sądziła, że tak piękne ciało jest zarezerwowane dla bogów. Musiała być w błędzie. Jak się wydawało, mógł mieć takie również zupełnie zwykły mężczyzna, niemający z bogami nic wspólnego.

Czy tak ma o nim myśleć? Jak o kimś zupełnie zwyczajnym?

Przełknęła ślinę, w gardle nagle jej zaschło.

Hattie podeszła bliżej, wzrost pozwalał jej swobodnie patrzeć ponad ramionami stojących przed nią mężczyzn, którzy krzyczeli jak pozostali, podczas gdy Whit odwrócił się, ukazując piękną muskulaturę pleców.

Nie, nie Whit. To nie był Whit. To był Bestia, ze spodniami zwisającymi nisko na biodrach, pięściami przy boku; dłonie miał owinięte płótnem, które kiedyś zapewne było białe. Jedna z tasiemek rozwiązała się i Hattie urzekł sposób, w jaki ignorował pasek materiału, zaciskając pięść, gotów do kolejnej walki.

– Bestia dzisiaj walczy! – zawołał chłopak nie więcej niż czternasto- czy piętnastoletni, wzbudzając hałaśliwy odzew. – Lepiej stawiajcie na niego, jak chcecie pić dzisiaj ale! – Chłopak uchylił daszek czapki. Nie chłopak.

Dziewczyna z błyszczącymi czarnymi oczami i promiennym uśmiechem, który sprawił, że Hattie sama chciała wyłożyć pieniądze. – Koniec zakładów za pięć, cztery, trzy…

Dziewczyna przerwała, przyjmując zakład.

– Dzięki, sir – powiedziała, skłaniając głowę. – I oto proszę – zaczyna się następna runda! Bestia przeciwko Trio O'Malley!

Hattie nie była w stanie oderwać wzroku od jego ramion, silnych i napiętych, jakby w każdej chwili mógł wysunąć rękę do ciosu. Podziwiała ich siłę, póki nie zwróciła uwagi na trzech mężczyzn wkraczających na ring. Każdy z nich był wyższy i szerszy od Whita, ze złamanymi nosami i szczękami jak z granitu.

– Rany – szepnęła Nora przy jej uchu. – Tylko popatrz. Jak jakiś piekielny Cerber.

– Nie można się spodziewać, że będzie walczyć ze wszystkimi trzema – powiedziała Hattie. – Ktoś mu z pewnością pomoże.

– Pobije wszystkich, i to im trzeba będzie poskładać kości! – odezwał się jeden z mężczyzn przed nimi. – Tylko patrzcie.

Jakby mogła przestać. Trójka mężczyzn ruszyła na niego, przykucając, i Hattie wstrzymała oddech. Kiedy skoczą? Czy nie zamierzał się zabezpieczyć? Tłum ucichł i Hattie położyła palce na ustach, tłumiąc krzyk. Nie chcąc krzyczeć, żeby uciekał.

Rzucili się na niego w parę sekund, ale on był szybki jak błyskawica. Sapnęła oszołomiona; nigdy nie widziała, żeby ktoś, jak on, prześliznął się pod masywną pięścią jednego z mężczyzn tak, że owa pięść wylądowała na nosie drugiego, podczas gdy Whit kopnął trzeciego w tors, posyłając go na ziemię ze złowieszczym łomotem.

– Tak, Bestio! Trzymaj tak! – wrzasnęła kobieta parę stóp dalej. – Tak kończą ci, którzy mu się postawią! – Zniżając głos, odwróciła się do sąsiadki.

– Chciałabym go nagrodzić za to zwycięstwo!

Jej towarzyszka roześmiała się ze zrozumieniem i Hattie oparła się palącej zazdrości, odrywając oczy od niego i przyglądając się tłumowi widzów. Było tam sporo pięknych kobiet, które wpatrywały się w niego z pożądaniem, śledząc jego ruchy. Każda z nich chętnie ofiarowałaby się jako łup w tej szczególnej wojnie. Oczywiście, że tak. Hattie także. Nie była z kamienia.

Wiedziała, jak to jest być jego łupem.

Mieć go dla siebie.

Choć nie to ją tutaj sprowadziło. Była na niego wściekła. Przyszła, żeby się z nim rozmówić.

Czy miał to w zwyczaju? Zabierał te kobiety do domu?

Pytanie rozmyło się w paskudnym trzasku łamanej kości, kiedy Bestia uderzył jednego z przeciwników w nos; mężczyzna zatoczył się do tyłu, po czym powoli opadł na kolana. Przewrócił się twarzą w piach, jak ścięte drzewo.

Tłum wył z zachwytu.

– Załatwiony! A co ci mówiłem? – rzucił przez ramię stojący przed Hattie mężczyzna i dodał głośno:

– Dawaj następnego, Bestio!

Hattie sądziła, że walka była najtrudniejsza, kiedy trzech przeciwników stało na nogach, ale szybko zmieniła zdanie, patrząc na ostatniego z mężczyzn, który się jeszcze ostał i teraz skupił całą uwagę na Whicie. Miał potężne ramiona i pięści jak kamienie.

– Chodź, Bestio! – wrzasnął.

To było szaleństwo.

Krążyli wokół siebie; Whit tańczył. Zobaczyła jego twarz i jego ciało – z nową plamą krwi pod lewym ramieniem. Oddychał ciężko, wciąż nie zwracając uwagi na płócienny pasek, który teraz rozwinął się, sięgając kolana.

Przeciwnik wymierzył groźny cios i Whit się uchylił.

Ale to był fałszywy ruch. Drugą pięścią mężczyzna trafił Whita w szczękę; jego głowa opadła do tyłu, jak jabłko strząśnięte z jabłoni. Whit wykręcił się i drugie uderzenie, mające trafić w głowę, trafiło w ramię, pozbawiając go równowagi i przewracając na ziemię.

Tłum zasyczał, rozczarowany, kiedy olbrzym kopnął Whita, tak że ten potoczył się po ziemi.

– Nie! – krzyknęła Hattie. Czy ktoś przerwie tę walkę?

Odpychała mężczyzn przed sobą; jeden z nich krzyknął:

– Wstawaj, Bestio! – Kiedy Hattie przepchnęła się, żeby lepiej widzieć, dodał:

– Hej, nie zasłaniaj, durniu!

Wdzięczna za przebranie, Hattie nie zwróciła na niego uwagi, wchodząc dalej na ring, w stronę Whita, który właśnie się podnosił. Jak za sprawą magii, odwrócił głowę i spojrzał jej w oczy. Serce jej zamarło na widok dzikiej zaciekłości w jego wzroku. Czy ją rozpoznał?

Poranią go. Może nawet zabiją, tego głupka. Czy przerwie to bezrozumne widowisko?

Nie miała czasu się przekonać, bo mężczyzna z tyłu chwycił ją za ramię i pociągnął do tyłu.

– Gdzie ty leziesz?

Próbowała się uwolnić, ale tamten trzymał ją mocno. Odrywając oczy od Whita, obejrzała się, dając upust gniewowi. Spojrzała wściekle na mężczyznę, nieco od niej niższego.

– Łapy przy sobie.

W oczach tamtego błysnął gniew, zacisnął mocniej palce.

– Będę cię trzymał, jeśli zechcę, chłopaczku. Albo wbiję cię w ziemię, jeśli nie zejdziesz mi z drogi.

– Oj! – krzyknęła Nora, widząc, co się dzieje na ringu. – Przerwijcie to!

Tłum wrzeszczał z podniecenia; Whit widocznie podniósł się z ziemi. Hattie poczuła pewną ulgę, ale nie mogła patrzeć. Wsunęła rękę do kieszeni

spodni, szukając noża.

– Powtarzam: zabierz łapę.

Mężczyzna – widząc go teraz z bliska, Hattie nabrała pewności, że jest pijany – popatrzył chwilę na ring pod silosem, a potem znowu na nią.

– Ani mi się śni.

Podniósł pięść, a Hattie szarpnęła się z całej siły, wyciągając nóż.

Nie słyszała krzyku Nory ani wściekłego wrzasku, który poprzedził cios. Padła na ziemię.

17

Walka dała mu poczucie wolności, jakiego nie doznawał od wielu dni.

Nie pamiętał, żeby na jakąś czekał tak niecierpliwie. Utarczki słowne z Hattie. Poczucie winy na myśl o tym, jak mu wyznała swoje pragnienie, żeby prowadzić firmę ojca. O tym, jak obiecał jej pomoc. Ewan i jego groźba. Strach. Nienawiść do samego siebie na wspomnienie tego, jak ją zdradził, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo.

Nie mógł sobie z tym poradzić i dlatego tęsknił za walką, zanim jeszcze rany zadane przez Ewana zdążyły się zagoić.

Whit chciał przyłożyć komuś pięścią w twarz, przypomnieć sobie, co to znaczy zwyciężać. Panować nad sytuacją. A ponieważ jego bratowa nie byłaby zachwycona, gdyby usiłował wyżyć się na Diable, zdecydował się na walkę do upadłego, to znaczy miał walczyć z każdym, kto się zgłosi, póki go nie wyniosą z ringu. Wieść rozniosła się po Garden jak pożar, jak zawsze, kiedy Bękarci zapowiadali podobny spektakl; trzy razy zmieniali miejsce, decydując się w końcu na spichlerze – na tyle daleko, żeby uniknąć najazdu policji; miejsce było też na tyle obszerne, żeby pomieścić tłum, który z pewnością miał się pojawić.

Pokonał z pół tuzina przeciwników, pijaków i chwalipiętów, a także dwóch młodzieńców około dwudziestoletnich, którzy albo przegrali zakład, albo chcieli wywrzeć wrażenie na damie swego serca. Po nich zjawił się Michael Doolan po należne cięgi i Whit ledwie zapanował nad furią, posyłając go na ziemię; zmusił się, żeby postawić drania na nogi i

przypomnieć mu, że jeśli jeszcze kiedyś zagrozi kobiecie w Garden, wrzuci go do Tamizy i nikt się nie pofatyguje, żeby go szukać.

Tak więc Whit był jeszcze w pełni sił, kiedy Trio O'Malley weszło na ring, wywołując w nim dreszcz podniecenia.

Ponieważ, podczas gdy Whit kochał walkę, to Bestia kochał bijatykę, a bracia O'Malley mogli mu dostarczyć okazji do takiej właśnie bijatyki, za jaką tęsknił, jako że nie mógł zrobić tego, czego pragnął naprawdę – pognać do Mayfair, znaleźć Hattie i zaszyć się z nią w łóżku do końca świata.

Żeby zapewnić jej bezpieczeństwo, już nigdy nie miał jej zobaczyć.

Tak więc, owszem, bracia O'Malley byli bardzo na miejscu.

Whit szybko pozbył się dwóch pierwszych, zwracając uwagę na trzeciego, z najcięższymi pięściami. Wszystko szło dobrze, Whit był gotów, żeby wygrać walkę i przejść do następnego starcia, kiedy coś przykuło jego wzrok w tłumie, ponad ramieniem Petera O'Malleya.

Oderwał na chwilę oczy od przeciwnika, niezdolny uświadomić sobie, co właściwie takiego zobaczył – zwyczajny tłum, morze twarzy przyglądających się walce, niektórzy z bardziej rumianymi policzkami niż inni, dzięki bimbrowi, który krążył wśród ludzi – żeby się ogrzać. Dalej w kręgu stali Felicity i Diabeł, ona – mocno zmartwiona, on – najwyraźniej znudzony spektaklem. Zastępczyni dowódcy Bękartów, Annika, stała obok – nic dziwnego; nigdy nie przepuściła żadnej walki, jeśli nie musiała.

Nic niezwykłego.

Nic, poza czymś, czego nie dostrzegał, wiedząc jednak, że jest.

Co to takiego?

W chwili, kiedy się nad tym zastanawiał, Peter O'Malley zaatakował, wymierzając cios, przed którym Whit uchylił się bez trudu – zagranie, które by przejrzał, gdyby się bardziej skupił. Sztuczka. Zanim zdążył się opamiętać, Peter uderzył naprawdę, hakiem; Whitowi głowa opadła do tyłu i zadzwoniły zęby. Przyjmował już wcześniej takie ciosy i gotów był na

odpowiedź, ale Peter uderzył znowu, tym razem w ciało i Whit nie miał szans.

Przewrócił się.

Padł dłońmi na zimną ziemię; klęczał przez chwilę. Sekundę, może dwie. Niezbyt długo, ale dość, żeby Peter wykorzystał okazję. Posłał Whita na ziemię kopnięciem, które wzbudziłoby w Whicie podziw, gdyby sam nie był celem ataku.

Wtedy usłyszał jej krzyk.

Najpierw pomyślał, że się myli, że może uderzenie w głowę pobudziło jego wyobraźnię. Wśród widowni były inne kobiety. To mogła być jedna z nich. Potem jednak zrozumiał, że to nie złudzenie. Ból w żebrach ustąpił natychmiast, odwrócił głowę, żeby ją odnaleźć.

Nie szukał długo.

Jak tu dotarła?

Nie może tu przebywać. Jeśli Ewan ją zobaczy…

Była wewnątrz kręgu, w spodniach, które zanadto podkreślały uroki jej ciała i w kurtce – nie dość ciepłej, żeby ją chronić przed wiatrem. Na pewno marzła. To wystarczyło, żeby chciał do niej podejść. Zabrać ją gdzieś daleko od tego miejsca i ogrzać.

Chronić ją.

Mężczyzna za nią dotknął jej, pijany i rozzłoszczony. Odwróciła się do niego; jego palce wbijały jej się w ramię; Whit patrzył z wściekłością na to wgniecenie w jej ciele.

Zerwał się, tłum zaryczał.

– Prosisz o więcej, Bestio?! – zawołał Peter O’Malley, rozkładając szeroko ramiona, popisując się. Tłum przyszedł na widowisko, a O’Malley był w tym świetny. Whit jednak nie miał czasu na przedstawienia. Wymierzył pojedynczy cios, prawie nie patrząc, kiedy O’Malley padł na ziemię, i zrywając się do biegu – do Hattie, która sięgała do kieszeni; miał nadzieję, że po broń.

Mężczyzna, który ją trzymał, znieruchomiał i nie trzeba było dwudziestu lat walk, żeby przejrzeć jego zamiary. Zacisnął dłoń w pięść.

Whitowi pociemniało w oczach z wściekłości.

Biegł, żeby dotrzeć do Hattie, zanim martwy człowiek ją uderzy. Umrze, jeśli to zrobi. Whit zabije go, zanim zdąży wziąć kolejny oddech.

Prawie u celu.

Z dzikim okrzykiem rzucił się na nią, pociągając w dół, żeby uchronić ją przed pięścią tamtego; upadając, odwrócił się, żeby uchronić ją przed uderzeniem o twardą ziemię.

Upadli; zaciskała mocno powieki i czas przestał płynąć, póki nie otworzyła oczu – tuż przy jego oczach. Ogarnęła go ulga – z siłą większą niż wcześniejsze uderzenie buta w jego ciało. Siłą woli powstrzymał się, żeby ją pocałować – tłum miał dość widowiska. Powiedział tylko cicho:

– Nie powinnaś tu być.

Nie wahała się ani chwili.

– Przyszłam w interesach.

To go podnieciło. Była fantastyczna.

A także cała i zdrowa. Przyjrzał jej się szybko dla wszelkiej pewności, położył na ziemi i podniósł się, ruszając natychmiast na człowieka, który chciał ją uderzyć.

Człowieka, którego złość zamieniła się w strach.

– Jeśli szukasz bitki, możesz ją mieć – warknął Whit; mężczyzna pobladł w świetle pobliskiej pochodni.

– Ja… – Mężczyzna pokręcił głową. – On mnie pierwszy popchnął!

Whit położył mu ręce na ramionach i pchnął, tłum rozstąpił się, pozwalając mu przewrócić się na siedzenie.

– Teraz ja cię popchnąłem. Chcesz się ze mną bić?

– N-nie. – Nieszczęśnik wiercił się na ziemi jak robak.

To nie wystarczyło. Zamiast Whita pojawił się Bestia. Zrobił krok w stronę wroga, chcąc go zniszczyć.

Poczuł rękę na ramieniu, ciężką i znajomą.

Jego brat.

Whit zamarł.

– Daj spokój – szepnął mu Diabeł przy uchu. – Zabierz swoją dziewczynę. I odejdź stąd, zanim ludzie pojmą, co się stało, i zaczną zadawać pytania.

Diabeł nazwał Hattie jego dziewczyną. Nie była nią, oczywiście. Nieważne, że nie potrafił przestać martwić się o jej bezpieczeństwo. To był nawyk. Który nie miał z nią nic wspólnego.

Ale nie potrafił jej uchronić przed samym sobą.

Hattie stała parę jardów dalej ze swoją przyjaciółką Norą, która była, jak się wydawało, równie zwariowana jak Hattie. Felicity strzepywała jej ziemię z rękawa i paplała, jakby nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Nora wpatrywała się jak urzeczona w Annikę, która stała nieopodal w zawadiackiej pozie, z długim nożem przy biodrze, lśniącym w świetle ognia.

Spojrzał na Hattie i znowu ogarnął go gniew. Przekrzywiony kapelusz, brudna twarz, kurtka podarta na ramieniu… Przyszła mu do głowy szalona myśl – czy mężczyznę, który jej dotknął, przysłał Ewan?

Wydał z gardła niski pomruk i zaczął się odwracać. Diabeł go zatrzymał, rozumiejąc widocznie, co się z nim działo.

– To tylko pijak. – A potem dodał jedno mocne słowo:

– Ona.

To ona się liczyła. Chryste. Miał ochotę ją porwać i wynieść stąd jak jakiś neandertalczyk.

– Nie mogą mnie z nią widzieć.

Diabeł spojrzał mu prosto w oczy.

– Jego tu nie ma.

– Mógłby być.

Brat kiwnął głową.

– Mógłby. Ale go nie ma.

Whit obrócił się na pięcie, idąc w stronę gromadki kobiet, świadom wzroku Hattie na sobie; jej oczy rozszerzały się, kiedy się zbliżał.

– Ty… – powiedziała i drżenie w jej głosie niemal wytrąciło go z równowagi. – Ty krwawisz.

Nie zwolnił kroku, nawet kiedy spojrzał w dół; na jego prawym boku widniała trzycalowa rana. Cięcie noża. Spojrzał na nią – w nieruchomej dłoni trzymała nóż.

– Raniłaś mnie.

Otworzyła usta.

– Nieprawda! – Zmrużyła gniewnie oczy. – Chociaż z pewnością na to zasługujesz, ty bękarcie.

Diabeł roześmiał się, mówiąc cicho, tak że tylko Whit mógł go usłyszeć:

– Teraz rozumiem, dlaczego ona tak ci się podoba. Zalazła ci za skórę.

Zanim Whit zdążył się sprzeciwić, że Hattie mu się podoba, i zapewnić, że mu nie zalazła ani nie zalezie za skórę, ponieważ nigdy już się nie spotkają po tym, jak dzisiaj odprowadzi ją do domu, Diabeł obejrzał się na Saritę, dziewczynę pilnującą zakładów – usiłowała uspokoić tłum, który argumentował, że incydent z Hattie wpłynął na wynik walki.

– Mówiliśmy wam, ludzie, że trzech O’Malleyów znajdzie się na ziemi i tak jest – przekonywała, wspierana przez dwóch młodych osiłków z gangu Bękartów. – Nikt nie stawiał, że jeden z widzów dźgnie Bestię nożem, więc odczepcie się. I tak bym nie zapłaciła, bo Bestia stoi na własnych nogach, zdrowy jak rydz.

Diabeł dał jej znak ręką i dziewczyna, z policzkami płonącymi z podniecenia, podbiegła z szybkością błyskawicy, żeby odebrać rozkazy.

Podczas gdy rozmawiali, Whit wytężał siłę woli, żeby nie zwrócić się do Hattie, nie zmyć jej głowy za to, że się tu zjawiła, gdzie wszystko mogło się stać. A gdyby go tu nie było? A gdyby nie był w stanie jej ochronić?

Ta myśl była nie do zniesienia.

Przesunął ręką po piersi, żeby złagodzić bolesne napięcie, kiedy Diabeł wcisnął mu do ręki płócienny woreczek z lodem.

– Zabierz dziewczynę do domu. Doprowadź się do porządku.

Zdejmując kurtkę, Diabeł podszedł do żony; wręczył jej kurtkę razem z laską. W oczach Felicity pojawiło się zmieszanie, a potem zachwyt i podniecenie.

– Będziesz walczyć? – zapytała cicho.

– Mogłabyś odrobinę mniej się podniecać tym, że wejdę na ring, żono.

– Zamierzasz przegrać?

– Nie zamierzam – obruszył się Diabeł.

Felicity rozpromieniła się.

– Zatem bądź pewien, że cię odpowiednio nagrodzę, kiedy wygrasz.

– Dzisiaj wymieniamy jednego Bękarta na drugiego, ludziska! – wrzasnęła Sarita ze środka ringu. – Kto wystąpi, żeby zmierzyć się z samym Diabłem?

Garstka głupków natychmiast ustawiła się w kolejce, najwyraźniej przekonanych, że z Diabłem – wysokim, szczupłym, rzadko bywającym na ringu – łatwiej będzie wygrać niż z Bestią. Mylili się.

Diabeł ściągnął koszulę przez głowę i kobiety po lewej stronie Whita wydały zbiorowe westchnienie. Brat nie zwracał na nie najmniejszej uwagi; przyciągnął żonę, podniósł ją do góry i pocałował mocno, zanim zwrócił się do tłumu, rozkładając ramiona, z uśmiechem na brutalnie pociętej bliznami twarzy.

– Mieliście Bestię, ludzie! Teraz zastąpi go Piękność!

Tłum oszalał, szturmując Saritę, żeby zapisać zakłady. W tym zamieszaniu Whit zdobył się wreszcie na to, żeby stanąć twarzą w twarz z Hattie. Hattie, która minęła Diabła i szła ku niemu ze zmartwioną miną, ze wzrokiem utkwionym w ranie w jego boku. Zatrzymała się, lekko dysząc, z rozchylonymi pełnymi wargami. Powiodła wzrokiem po jego twarzy.

– Jestem rozgniewana, ale nie życzę ci śmierci.

Pociągnął ją na obrzeża kręgu, dalej od oczu zgromadzonych. Tłum skierował uwagę gdzie indziej. Przełknęła ślinę, patrzył, jak porusza się jej gardło, w ustach mu zaschło, kiedy pomyślał, że mógłby się pochylić i dotknąć tego miejsca wargami. Językiem. Przesunąć zębami po miękkiej skórze.

Słyszał jej westchnienie. Krzyk, który przedtem wydała.

Nie może jej dotknąć.

Jest dla niej niebezpieczny.

Spojrzał jej w oczy; była w nich namiętność. Zrobiło mu się gorąco.

– Zabieram cię do domu.

Przełknęła znowu ślinę, wywołując u niego głuchy jęk. Spojrzała na ranę, którą mu zadała.

– Wydaje się jak najbardziej stosowne, żebym obandażowała tę ranę.

Wyobraził sobie, jak go dotyka miękkimi palcami. Jak go leczą. I dają przyjemność. Mruknął z aprobatą.

Odchrząknęła i odezwała się, zmuszając do lodowatego tonu.

– Jeśli myślisz, że odejdę, zanim porozmawiamy o twojej zdradzie, to się mylisz.

Nie powinien. Powinien przekazać ją Nik, stojącej parę stóp dalej, i odesłać do domu. Bezpieczną. Z dala od niego. Pokręcił głową.

– Nie ma o czym mówić.

Oczy Hattie rozbłysły.

– Chcę porozmawiać o tym, jaki z ciebie drań.

Nik chrząknęła z rozbawienia, a Nora uśmiechnęła się, mówiąc:

– Jeśli sądzisz, że ona pozwoli ci po prostu zniknąć, to jesteś w błędzie… – Zamilkła, po czym dodała:

– Jak mam cię nazywać?

– Bestia – odparł.

Nora przechyliła głowę.

– Chyba wolę „bękart” wobec tego, jak paskudnie potraktowałeś moją przyjaciółkę.

Tym razem Nik zwróciła na Norę rozbawione spojrzenie.

– Obie mi się podobacie.

Nora puściła oko do Norweżki.

– Poczekaj, aż nas lepiej poznasz.

To się nie powinno zdarzyć.

Czyżby Nik się zaczerwieniła?

Nie miał na to czasu. Skrzywił się i polecił swojej zastępczyni:

– Zabierz ją do domu.

Nik kiwnęła głową.

– Po pierwsze, jestem doskonale świadoma, gdzie znajduje się mój dom – oznajmiła Nora, i Whit zazgrzytał zębami. Boże, chroń go przed kobietami, które uważają, że świat do nich należy. – Po drugie, nie odejdę, póki ona nie wyrazi życzenia, żeby ją zostawić.

Oddanie Nory przyjaciółce sprawiło mu przyjemność, Hattie zasługiwała na to ze strony całego świata. A od niego nie mogła tego dostać.

– Spodziewam się, że przyjechałyście powozem? – warknął.

Nora, zaskoczona, przechyliła głowę.

– Owszem.

Spojrzał na Nik.

– Musisz znaleźć powóz.

– Ktoś ukradł mojego karykla? – oburzyła się Nora.

Nik spojrzała na nią, nie kryjąc wesołości.

– Zostawiłaś powóz w tej okolicy, w środku nocy. Tak jest. Ktoś go ukradł. – Nora jęknęła, ale Norweżka dodała:

– Nie martw się. Poślę chłopaków. Na pewno nie zabrali go nigdzie daleko.

– Może powinnam… – Hattie ruszyła, jakby chciała go zostawić i pójść z przyjaciółką; Whit zacisnął zęby, chcąc ją zatrzymać, przyciągnąć blisko.

Oparł się temu. Chciał, żeby odeszła. Żeby znalazła się gdzieś daleko stąd. Chciał, żeby była bezpieczna.

Chciał jej.

Nora pokręciła głową, zatrzymując Hattie gestem dłoni, nie odrywając oczu od Nik.

– Nic mi się nie stanie w towarzystwie… – Spojrzała pytająco na Nik.

– Anniki.

– Anniki – powtórzyła miękko Nora. – Miło mi cię poznać.

Jeśli przedtem to nie był rumieniec, to teraz nie mogło być wątpliwości.

Nora oderwała wzrok od Nik i zwróciła się do Hattie:

– Przyszłaś tu w określonym celu. – Uśmiechnęła się znacząco. – A teraz z nim odchodzisz.

Hattie spojrzała twardo w oczy Whita.

– Przyszłam, żeby mu powiedzieć, co może zrobić z próbą zastraszenia mojego ojca i złamaniem naszej umowy.

– Powinnaś mu to zatem powiedzieć. – Zniżyła głos. – Niczego nie pomijaj. Zasłużył na wszystko. – I jeszcze więcej. – Zobaczymy się rano.

Whit poczuł suchość w gardle. Jej słowa podziałały na jego wyobraźnię. I ten dar – cała noc do wschodu słońca. Nie powinien go przyjmować.

Ale jak mógł go odrzucić? Cała noc z nią.

Ich pierwsza noc.

I ostatnia.

Nie mógł. Po paru minutach siedzieli w jego powozie, Whit naprzeciwko niej, z lodem przyłożonym do oka, które będzie zasinione pewnie przez jakieś dwa, trzy dni po walce.

Odetchnął głęboko, kiedy drzwi się zamknęły, zasłaniając ich przed światem. Zasłaniając ją. Bezpieczną.

Bezpieczną przed wszystkimi, poza nim samym.

Przyglądała mu się w milczeniu, ciekaw był, o czym myśli. Sprawiała, że miał ochotę odrzeć ją z tych myśli, a także z ubrania – i zrobić to, czego

pragnęli oboje.

Bo to milczenie nie było zwykłym milczeniem.

Wypełniały je jej myśli na tyle szalone, żeby przyśpieszyć jej oddech; przysłuchiwał się mu, przypominając sobie, jakie wydawała dźwięki, kiedy dotykał jej dłońmi i ustami. Starał się jej nie przyglądać, usiłował nie patrzyć na piersi pod czymś, co wyglądało na starożytne narzędzie tortur – usiłowała je ukryć, jakby te wspaniałości dało się ukryć.

Starał się nie myśleć o usunięciu tego urządzenia razem z ubraniem – ubraniem, które nie umniejszało jego pożądania wobec pięknej, bujnej, pachnącej słodko migdałami kobiety po drugiej stronie małego powozu.

Starał się nie myśleć o jej dotyku, kiedy w połowie drogi usunął pasek materiału zwisający z prawej pięści. Starał się stłumić podniecenie, kiedy zębami ściągała męskie rękawiczki z dłoni.

Jej zęby.

Do czego jeszcze mogła ich użyć? Jak odczułby ich dotyk na swojej skórze? Na ramieniu, piersi? Chryste, ta kobieta odbierała mu rozum. Wiedziała o tym? Taki był jej plan?

Oddałby jej wszystko, gdyby dotknęła go ustami.

Nie zrobiła tego. Za to owinęła jego pięść paskiem materiału – starannie, jakby przygotowywała go do walki. Jakby był rycerzem, a ona damą jego serca, obdarzającą go swoją łaską.

Skończyła i zawiązała doskonały węzełek, wsuwając koniec paska pod zwoje płótna, po czym przesunęła kciukiem po kostkach jego dłoni, szepcząc cichuteńko:

– Proszę.

Usłyszał ją. To słowo pełne słodyczy.

Pełne satysfakcji.

Po wieczorze spędzonym na brutalnej walce nigdy tak silnie nie odczuł przyjemności – bał się, że nie zdoła tego znieść.

Hattie wciągnęła głęboko powietrze.

– Co do mojej firmy.

Oparł głowę o poduszkę z tyłu, pozwalając działać lodowemu opatrunkowi.

– Mojej firmy.

Patrzyła na niego w milczeniu, tak że przez jakiś czas słychać było jedynie stukot końskich kopyt na bruku.

– Co do twojej zdrady. – Nie mogła wiedzieć, jak te słowa bolały. – Co zrobisz z kompanią Sedley?

Zadbam o twoje bezpieczeństwo

– Co mi się spodoba.

– Dlaczego? – odezwała się po chwili milczenia.

To słowo niemal go powaliło, jakby walczył na ringu. Krótkie, pełne niepokoju i zabójcze jak cios pięścią. Usłyszał w nim ból. Zranił ją mocno.

A to było jedyne, co mógł zrobić.

Milczał, więc rzuciła przez zaciśnięte zęby.

– Rzeczywiście bękart z ciebie.

– Tak – odparł, starając się nie zauważać pogardy w jej głosie.

– Czego chcesz ode mnie?

– Niczego. – To była prawda. Chcę, żebyś była szczęśliwa. Żebyś była bezpieczna.

– Spójrz na mnie.

Posłuchał bez wahania. Chryste, była niesamowita; siedziała wyprostowana i pewna siebie, z ramionami cofniętymi do tyłu – niczym monarchini.

– Wszystko niszczysz.

– Wiem. – Ogarnęło go poczucie winy.

– Powiedziałeś mi… – Spojrzała przez okno na ciemne ulice. – Powiedziałeś, że we mnie wierzysz. – Znowu skupiła się na nim. – Wierzyłam ci.

Wolałby tysiąc razy zmierzyć się z braćmi O’Malley zamiast tego.

Wierzę w ciebie.

– Czy to… – Przerwała i podjęła na nowo. – Czy dlatego, że sądzisz, że ja nie dam sobie rady?

– Nie. – Chryste. Nie.

Patrzyła na niego z takim wyrazem twarzy, jakby chciała coś powiedzieć, jakby miała tysiąc rzeczy do powiedzenia. A on chciał ją chwycić, posadzić sobie na kolanach i opowiedzieć na wszelkie sposoby, jaka jest wyjątkowa.

Ale to było niemożliwe, jeśli chciał ją utrzymać z dala od siebie.

– Dlaczego? – zawahała się. – Dlaczego chciałeś nam odebrać firmę? Żeby ukarać Augiego? Był gotów podać ci nazwisko partnera, pewnie bardziej pracodawcy niż partnera.

– Jego partner nie ma już znaczenia – odparł nieco za szybko. Nie chciał, żeby Hattie w jakikolwiek sposób zbliżyła się do Ewana. Teraz, kiedy wiedział, jak daleko książę może się posunąć, żeby go zranić. Żeby zranić ją. – Może chcemy działać jawnie. Przestać łamać prawo.

Skrzywiła się.

– Nie kłam. To poniżej twojej godności.

Nie było. Ale nie chciał, żeby o tym wiedziała.

– Robisz to, żeby mnie ukarać. Nikt nie kupuje wszystkich statków, którymi przewozi towary.

– My tak. – Nieprawda.

– Bzdura – odparowała. – Nie możecie sobie pozwolić na posiadanie statków, bo Korona odkryje, że przewozicie kontrabandę co dwa tygodnie.

Uniósł brwi w wyrazie uznania.

Uśmiechnęła się szelmowsko.

– Zaskoczony moją inteligencją?

– Nie. – Nie zaskoczony. Urzeczony.

Chciał ją zabrać do łóżka i pozwolić zrobić sobie wykład na temat przewozu towarów. Rozliczeń, tabeli przypływów, czegokolwiek, na co by miała ochotę.

To było szaleństwo.

Zanim mu się poddał, wymierzyła brutalny cios.

– Ufałam ci. Wierzyłam. Myślałam, że jesteś lepszy niż to… – urwała. – Myślałam, że jesteśmy…

Nie kończ tego zdania.

Nie był pewien, czy to przeżyje. Niemal stracił oddech, słysząc to „my", które ich wiązało ze sobą. Tak bardzo tego chciał. Przez jedną chwilę prawie się poddał.

O mało jej wszystkiego nie oddał. Firmy, doków, swojej pomocy. Ale przypomniał sobie Ewana, oszalałego, w ciemności, grożącego, że dosięgnie go poprzez Hattie.

„Wyrzekniesz się jej. Albo ci ją odbiorę".

To wspomnienie podziałało jak lód.

To nie było możliwe. Nie mógł zawrzeć z nią umowy. Nie mogła prowadzić firmy i być bezpieczna. A on nie mógł jej mieć, póki Ewan chodzi po tej ziemi.

Powóz zatrzymał się. Sięgnął do drzwi i wyskoczył na ziemię, zanim powóz przestał się kołysać. Potem podał jej rękę. To był błąd. Jej ręce były teraz nagie, a skóra niemożliwie miękka pod jego palcami – tak miękka i delikatna, że bał się, żeby nie zrobić jej krzywdy swoim dotykiem.

Oczywiście, że się bał. Jego dotyk mógł ją tylko skrzywdzić.

I tak zacisnął rękę; niech go diabli, jeśli pozwoli jej odejść.

Nie dzisiejszej nocy.

Jedna noc.

Wciągnął ją do domu, ciesząc się, że jest ciemno i nie ma służby. Po tym jak Diabeł wyprowadził się, żeby założyć rodzinę z Felicity, Whit nie miał sumienia zwolnić nikogo ze służących. Miał więcej, niż potrzebował, i dom był starannie utrzymany; w holu czekała zapalona lampa; wziął ją, zadowolony, i poprowadził Hattie po schodach na górę, do swoich

apartamentów. To była wciąż jedyna część domu, którą uważał za wyłącznie swoją.

Szła za nim, wyraźnie zaciekawiona. Czuł to w sposobie, w jaki poruszała się długim, ciemnym korytarzem, zwalniając i rozglądając się.

W końcu gaduła musiała się odezwać.

– Dokąd mnie zabierasz?

Nie odpowiedział.

– Wiesz, że twoje milczenie doprowadza do obłędu, prawda?

Jakby dźwięk jej słodkiego głosu nie wywoływał tego samego efektu. Położył rękę na drzwiach swojego pokoju i obejrzał się przez ramię.

– Uznałem, że chcesz kontynuować naszą dyskusję.

– Powiedziałam, że wrócimy do tego, jak cię zabandażuję.

Wciąż krwawił przez koszulę. Whit nie lubił prosić o pomoc, ta myśl jednak znalazła jego uznanie; mruknął z aprobatą.

Spodziewał się, że okaże niepokój. Wahanie. Obawę. Ale zapomniał, że to Hattie – odważna i śmiała.

Jej fiołkowe oczy rozbłysły, gdy spojrzała na jego rękę na klamce, a jej pyszne wargi wygięły się w znaczącym uśmiechu.

– A w środku? – zapytała. – Twoja kryjówka?

Zachichotał cicho i skłonił głowę.

– Żadnych roślin.

– Zamierzasz zatrzymać firmę.

– Tak – odparł. Nie miał wyboru.

– Rozumiesz, że nie poddam się bez walki.

– Nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej. – Wyobrażał sobie, że ta walka będzie najlepsza w jego życiu. Nigdy go nie pokona. To był jego świat. Jego gra.

A nigdy nie pragnął zwycięstwa bardziej.

Jednak, kiedy uniosła kącik ust w kpiącym uśmiechu, ukazując dołeczek na policzku, poczuł, że kręci mu się w głowie, jakby dostał pięścią po

głowie.

Rozprostowała klapy śmiesznej kurteczki, którą miała na sobie i wygładziła ją na swoich okrągłościach, których ubranie w żaden sposób nie ukrywało.

– Zatem żadnej umowy. Jesteśmy rywalami.

To, w jaki sposób to powiedziała – jakby nie było między nimi żadnych gorzkich uczuć, jakby nikomu nie stała się krzywda – sprawiło, że zapragnął jej jeszcze bardziej.

– Został jeden punkt umowy. – Nie wiedział, dlaczego to powiedział. I bardzo dokładnie wiedział dlaczego.

Zrozumiała, o czym mówi, i jej oczy rozbłysły podnieceniem.

– Ciało.

Whit napiął się jak łuk. Mógł jej dać jedną noc. Zapewnić bezpieczeństwo przez jedną noc. Jedna noc i pozwoli jej odejść.

Jedna noc i będzie w stanie to zrobić.

– No, to dalej – szepnęła, kiwnąwszy głową w stronę drzwi. – Otwórz.

18

Targowanie się z nim nie powinno jej sprawiać przyjemności.

Nie powinna była zostać po tym, jak przyznał, że nie jest zainteresowany pomocą w jej planach. Powinna była zostawić tego mężczyznę, który w ciągu niecałego tygodnia z kuszącego partnera zamienił się w bezwzględnego rywala. Ale nie chciała. Nie skończyła z nim, ani w interesach, ani w przyjemnościach, a gdy przysięgła sobie, że odniesie sukces w jednym i w drugim, poczuła się uwolniona.

Wolność, w połączeniu ze szczerością między nimi, sprawiła, że liczyło się tylko pożądanie.

Weszła za próg jego pokojów, które pachniały miodem, cytryną i wawrzynem, przywodząc na myśl letnie słońce, i pozwoliła sobie upajać się chwilą – tą, która istniała tylko po to, by zaspokoić jej pożądanie.

I była to najwspanialsza wolność, jakiej Hattie zaznała.

Odsunął się od niej niemal natychmiast, pozwalając jej przyglądać się w milczeniu – co było rzeczą trudną, zważywszy na fakt, że jedynym światłem był migoczący pomarańczowy blask zza drzwi w odległym krańcu pokoju. Podeszła do niego, zanurzając stopy w miękkim dywanie – na tyle grubym, że wyjaśniał akustykę pokoju, cichą i bogatą w ciemności. Słyszała, że pokój jest pełny i zastanawiała się, co oddziela ją od zewnętrznego świata. Pokój, nawet w ciemności, sprawiał wrażenie kokonu zapewniającego ochronę ze wszystkich stron, przed wszelkim zagrożeniem. Przed wszystkim, co nie było obietnicą rozkoszy.

Powinien być zimny, z powodu ciemności i wiatru na zewnątrz, ale nie był. Uznała, że nie powinna być tym zaskoczona – czy on w jakimkolwiek aspekcie był zimny?

Hattie widziała jego postać w odległym krańcu pokoju, szerokie ramiona pozbywające się płaszcza, zanim rzucił go na poręcz fotela, ukazując wąskie biodra i długie nogi. Zaschło jej w ustach, kiedy ukucnął przy kominku, w którym lśniące węgle zamieniały się w popiół. Podsycił ogień, dorzucając drewna, a potem wstał i zapalił pół tuzina świec na gzymsie kominka. Zrobiło się jaśniej i Hattie odkryła, że jest w najbardziej dekadenckim pokoju, jaki w życiu widziała. Ściany pokrywał mięsisty jedwab w orientalne wzory w odcieniach błękitów i zieleni, a pokój wypełniony był kolekcją ekstrawagancko tapicerowanych mebli, większych i wygodniejszych niż wszystkie, jakie do tej pory widziała – burgundowa dwuosobowa sofka miała głębokość dwóch tych powszechnie spotykanych w Londynie, a kremowy fotel uszak, na którym pragnęła usiąść, wysłany był poduchą. Bogata szafirowa satyna pokrywała szezlong w odległym kącie, obłożony poduchami w niezliczonej ilości kolorów, które mogłyby rywalizować z kolekcją samego króla.

Kolejne poduszki leżały przed kominkiem, jakby zostawił je tam ktoś, kto chciał wygodnie przez długie godziny ogrzewać sobie stopy.

Kolory były krzykliwe – odcienie lata i jesieni – a ich intensywność rywalizowała jedynie z bogactwem samych tkanin. Hattie świerzbiło, żeby dotknąć każdego fragmentu pokoju i upajać się tą czystą dekadencją. Jeżeli nawet zauważył jej reakcję, zignorował ją. A może chciał jej więcej, przesuwając się od kominka z zapałką w ręce, żeby zapalić kolejny tuzin świec, których blask sprawiał, że tkaniny lśniły. W końcu wszedł na stołek i zapalił następny tuzin świec w zjawiskowym mosiężnym świeczniku, który piął się po ścianie niczym winorośl zasadzona przez bogów.

Zrobiła krok w jego stronę, a miękkość pod stopami przyciągnęła jej uwagę na podłogę z półtuzinem dywanów nałożonych na siebie w sposób,

jaki ktoś, kto nie znał Whita, uznałby za przypadkowy. Hattie ani przez chwilę nie sądziła, że zna Whita – w każdym razie, że zna go dobrze – ale wiedziała, że w tym pokoju nie ma nic przypadkowego.

Nie ulegało wątpliwości, że była to jego jaskinia.

Powiedział jej prawdę o tym miejscu. Nie było roślin, egzotycznych ani żadnych innych. Za to wszędzie były książki. Piętrzyły się na stołach i przy sofie; stos leżał przy kominku. W kącie najbliżej drzwi na masywnym kredensie stało ich co najmniej dwadzieścia, ułożonych jak ciasto przy karafce szkockiej czy burbona czy jakiegokolwiek innego bursztynowego płynu, który się w niej znajdował. Podeszła bliżej i sięgnęła na chybił trafił do jednego stosu, pozwalając palcom wodzić po grzbietach. *Filozoficzne i fizyczne opinie* Margaret Cavendish, *Emma* Jane Austin, biografia Zenobii, zbiór dzieł Lukrecji Marinelli i coś pod tytułem *Dell'Infinità d'Amore*. Stos wieńczył ładny egzemplarz *Księgi o mieście kobiet* Christine de Pisan razem z okularami.

To nie była biblioteka. Nie było tu ekstrawaganckiej stolarki ani półek, ani miejsca na ekspozycję książek. Te książki służyły do czytania. A ten mężczyzna tutaj je czytał. W okularach.

W całym swoim życiu Hattie nie przypuszczała, że okulary mogą być podniecające. A jednak stała tu i walczyła ze sobą, żeby go nie poprosić, by je założył.

– Ten pokój jest… idealny.

Jego już nie było – zniknął w odległym pokoju tej wspaniałej przestrzeni. Nie widziała go, a mimo to przyciągał ją do siebie, jakby znajdowała się na smyczy.

– Whit?! – krzyknęła, wchodząc do kolejnego pomieszczenia o dziwnym kształcie, dłuższego niż szerszego, z trzema olbrzymimi okrągłymi oknami na przeciwległej ścianie, z których każde zamieniło się w lustro w bezksiężycową noc za oknem i z rozpalonym kominkiem w środku.

W tym najodleglejszym po lewej stronie odbijała się masywna miedziana wanna, do połowy wypełniona wodą, stojąca przy kominku, i Hattie od razu skierowała uwagę na ten olbrzymi element – większa niż jakakolwiek wanna, jaką do tej pory widziała. Od wody rozchodziło się ciepło, zdradzając, że służba była tu zaledwie kilka minut wcześniej.

Nabrała gwałtownie powietrza, płonąc z pożądania, dręczona zdenerwowaniem. Wcześniej tak się szczyciła swoją odwagą, ale teraz, stojąc w intymnej atmosferze jego pokojów, przy wannie… traciła rezon. Chciała być silna.

– Zamierzasz wziąć kąpiel?

Stał przy umywalce z tyłu, odwijając pas tkaniny z lewej dłoni i Hattie przez chwilę była zahipnotyzowana tym ruchem.

– Tak. – Powtórzył czynność przy prawej dłoni, a potem oparł się o umywalkę i umył ręce, szorując je starannie.

Przełknęła z trudem ślinę. Siliła się na swobodę i obojętność.

– Och. – Jej głos nie był ani swobodny, ani obojętny i nigdy nie cieszyła się bardziej, że patrzy na czyjeś plecy. Odkaszlnęła. – To dobrze. Krwawisz.

Przypominała to sobie czy jemu?

Spojrzał na nią przez ramię. Czyżby w jego spojrzeniu było rozbawienie?

– Już nie. Powinnaś lepiej celować w czasie następnej walki.

Zmarszczyła brwi.

– Nie miałam zamiaru… – przerwała. Gdyby przyszło jej do głowy, że stanie mu się krzywda, nie wyjęłaby noża z kieszeni. – Myślałam, że muszę się bronić.

Zamarł, a ona zastanawiała się, o czym myśli, choć wiedziała, że nigdy tego nie wypowie.

Zmusiła się do lekkiego śmiechu.

– Nie spodziewałam się, że będziesz mnie chronił.

Spojrzał na nią wtedy przez ramię, oczami bursztynowymi jak ogień, a ona wyobraziła sobie, że mówi coś pięknego. Na przykład: zawsze będę cię

chronił.

Co, rzecz jasna, było szaleństwem. Przecież ukradł jej firmę. Zrobił z nich rywali. Odkaszlnęła.

– Ale rany powinny zostać przemyte i opatrzone.

Wytarł ręce w tkaninę i odsunął się od stołu, kierując się do gorącej wody w wannie.

– Napastniczka zostaje pielęgniarką.

Przełknęła ślinę na te słowa z powodu wizji, jaką niosły. Tego, jak obudziła w jej palcach pragnienie, żeby go dotknąć. Tego, jak ją zaniepokoiła – sprawiając, że sytuacja zaczęła ją przerastać. Kiedy zarządziła Rok Hattie, zamierzając przeprowadzić prosty plan, dzięki któremu krok po kroku miała wziąć swoje życie we własne ręce, była gotowa, żeby rzucić wyzwanie światu.

Ale teraz już nie. Przez niego ten plan wymknął się spod kontroli.

I teraz groził, że wszystko wymknie jej się spod kontroli.

Co gorsza… złapała się na tym, że tego pragnie.

– Zrobię, co mogę, żeby wypełnić moje zobowiązanie – powiedziała, a słowa zabrzmiały ciszej, niż zamierzała, bo wytłumił je pokój.

Usłyszał i zawahał się, sięgając po drugi kociołek – niemal niezauważalnie dla kogoś, kto nie przyglądał się uważnie. Ale Hattie przyglądała się bardziej uważnie niż kiedykolwiek wcześniej, więc gdy wydał z siebie cichy pomruk, który kiedyś mogłaby wziąć za odmowę, usłyszała coś jeszcze. Coś kategorycznego.

Pożądanie.

To chyba niemożliwe. Nie dotknął jej dziś wieczorem. Siedzieli w powozie całą wieczność. Sami, w ciemności. A ona marzyła, żeby jej dotknął. Była gotowa krzyknąć, żeby ją pocałował.

Jednak niczego takiego nie zrobił.

Ale teraz… Serce Hattie zaczęło łomotać jak szalone. Niemożliwe, ale jej pragnął.

Rzucił ubranie – niewiarygodnie ubrudzone po wszystkich wydarzeniach wieczoru – na podłogę i usiadł na pobliskim krześle z wysokim oparciem, żeby zdjąć buty.

Nie mogła przestać się nim zachwycać, tym, jak jego ciało zagłębiło się w siedzisku, uwydatniając mięśnie, których – była pewna – nie miał żaden pospolity, zwyczajny śmiertelnik. Stłumiła westchnienie, które by ją zawstydziło, gdyby je usłyszał.

Pochylił się, żeby zdjąć but, i się skrzywił. Grymas był prawie niewidoczny – zniknął, zanim ktoś mógłby zdążyć go zauważyć, ktoś, kto nie pożerał wzrokiem każdego jego ruchu.

Zrobiła krok naprzód, nie mogąc patrzeć na jego ból.

– Mogę pomóc?

Znieruchomiał, słysząc to pytanie, na tyle, że Hattie pomyślała, że być może popełniła poważny błąd. Nie patrzył na nią, ale pokręcił głową.

– Nie – powiedział niewiarygodnie cicho.

But zsunął się pośpiesznie, a on znów się skrzywił, ale zignorował ostrzeżenie wysyłane przez ciało. Znów zrobiła krok naprzód, a wtedy podniósł wzrok.

– Nie – powtórzył, tym razem głośniej.

Gdy pozbył się też drugiego buta, wstał, sięgnął do kieszeni i spojrzał na zegarek. Zegarki. Dwa. Zawsze.

Położył je na stoliku obok kosza pełnego bandaży i nici, pewnie dlatego, że po każdej bójce potrzebował opatrunków. Hattie była jak zahipnotyzowana dwiema metalowymi tarczami.

– Dlaczego nosisz dwa zegarki? – spytała, nie odrywając od nich wzroku.

Zapadła cisza na tyle długa, że zdawało jej się, że nie odpowie. Jego dłonie powędrowały do paska.

– Nie lubię się spóźniać.

Pokręciła głową.

– Ja nie…

Zamilkła, kiedy on zajmował się guzikami swoich spodni. Nie spuszczała wzroku z jego oczu, nie chcąc być niegrzeczna, ale była w stanie policzyć guziki dzięki ruchom ramion, gdy je rozpinał. Trzy. Cztery. Pięć. Nie była w stanie się powstrzymać. Spojrzała. Jakżeby inaczej. W mrocznym pokoju nie można było dostrzec nic poza ciemnym cieniem w kształcie litery V, okolonym jego silnymi dłońmi z kciukami zatkniętymi w tkaninę, jakby mógł tak stać, na jej oczach, w nieskończoność, gdyby tego pragnęła.

Pragnęła tego.

A pomiędzy kciukami skrawek czegoś innego. Skóry. Przełknęła ślinę, odrywając wzrok z płonącymi policzkami. Przyglądał jej się, a jego bursztynowe oczy lśniły w blasku ognia, i przez jedną szaloną chwilę Hattie zastanawiała się, co by zrobił, gdyby do niego podeszła i go dotknęła. Gdyby przyłączyła swoje dłonie do jego dłoni, tam, w ciemności.

Był jej winien zrujnowanie.

Zawsze kiedy byli razem, czas albo miejsce nie pozwalały na realizację ich umowy. Ale teraz, tutaj…

Mógł ją zrujnować należycie.

Pragnęła tego.

A poddanie się własnemu pragnieniu przyniosło jej cudowną wolność.

Choć nie powiedziałaby tego głośno. Wypełnił jej milczenie, głosem cichym i mrocznym, jakby słowa przedzierały się do jego warg przez żwir.

– Chciałaś o coś zapytać?

Pokręciła głową, nie mogąc znaleźć słów.

– Nie.

Na jego twarzy pojawił się wymowny uśmiech i Whit odwrócił się, jakby było to zupełnie normalne, zsunął spodnie z bioder i ruszył do wanny. Na widok jego pośladków odwróciła wzrok i spojrzała na okno, za wanną, zamienione teraz w lustro, ukazujące… Och, jej. W jednej chwili odwróciła się do tej sceny plecami.

– Tak zwykle prowadzisz interesy?

Na jej pytanie odpowiedziała cisza. Nie. Nie cisza. Zbyt dużo dźwięków. Odgłos jego, wchodzącego do wanny, plusk wody, przyjmującej jego ciało. Cichy pomruk, kiedy mościł się w przyjemnym cieple.

Pożądanie odezwało się w niej głęboko, zalewając ją ciepłem, jakby ona też znalazła się w kąpieli. Jakby była z nim w jego wannie.

A gdyby tak się stało?

Roześmiała się cicho na tę myśl, nie będąc w stanie wyobrazić sobie scenariusza, w którym znalazłaby dość odwagi, żeby rozebrać się bez wahania. Nie mieściło jej się w głowie, że miałaby być kobietą, która wprasza się do wanny mężczyzny. Kolejny plusk, ale powstrzymała chęć, żeby się odwrócić i sprawdzić, czym go spowodował. Skupiła się na jasnym świetle w pokoju za sobą z nachodzącymi na siebie krawędziami dywanów.

Gdy już usiadł, odezwał się.

– Nie obiecałaś mi przypadkiem walki?

Tak zaskoczyło ją to zaczepne pytanie, że odwróciła się do niego, nieprzygotowana na jego widok, rozluźnionego, z rękami opartymi o krawędzie miedzianej wanny, z odchyloną głową, zamkniętymi oczami, ciemnymi włosami mokrymi i odgarniętymi z pięknej twarzy, bez zaschniętej krwi na policzku, zamiast której została tylko mała ranka okolona szybko ciemniejącym siniakiem. Powinien go szpecić. Ale nie szpecił. Sprowadzał go na ziemię, do zwykłych śmiertelników. Sprawił, że Hattie chciała go dotknąć. Chciała go posiąść. Chciała…

– Dziś już stoczyłeś walkę – odpowiedziała łagodnie.

Jego oczy otworzyły się szeroko, natychmiast odnajdując jej wzrok.

– Więc? Co proponujesz?

– Ja tylko chcę… – Spojrzała na okno, lustro w ciemności. Ona w męskim stroju, z szeroko otwartymi oczami, a on postawny i śniady w wannie. Czego nie proponowała? Tyle od niego chciała. Dotyku. Słów. Rozkoszy. I czegoś jeszcze… czegoś, czego nie miała odwagi nazwać.

Czegoś, czego mieć nie mogła.

Oderwała wzrok od okna. Spojrzała na niego.

– Chcę się o ciebie zatroszczyć. – Jego rozluźnienie w jednej chwili znikło. Mięśnie twarzy i ramion naprężyły się. – Oczywiście, nie powinnam chcieć się o ciebie troszczyć – dodała szybko. – Jesteśmy wrogami.

– Tak?

Wyciągnął rękę po ściereczkę przewieszoną przez wannę i wsadził ją do wody z większą niż konieczna siłą.

– Zamierzam zmusić cię do walki o moje interesy.

– A ja się z tobą zmierzę – odpowiedział. – Jutro.

Dreszcz przebiegł ją na te słowa. Uwolniły ją. Uwolniły ich oboje. Jutro to nie dzisiejsza noc.

– Jutro nie będę cię lubiła. – Czuła, że musi to powiedzieć.

– Nie będę cię winił. – Kiwnął głową.

Tyle że obawiała się, że będzie go lubiła. Choć nie miała ku temu absolutnie żadnego powodu. Choć ją okłamał. I zranił. Ale teraz nie wydawał się tamtym mężczyzną. Wydawał się… Dobry.

Jego ruchy pod wodą były pośpieszne i niedbałe i Hattie niepokoiła się, że w ten sposób może pogorszyć urazy. Zrobiła krok naprzód, wyciągając dłoń, jakby mogła go powstrzymać. Spojrzał na nią z takim skupieniem, że zatrzymała się w jednej chwili.

– Więc jutro. – Nagle brakło jej tchu.

Jedynym odgłosem był lekki ruch wody, gdy kończył się kąpać. Aż w końcu spytał, z początku dość cicho, tak że nie uwierzyła, że powiedział to głośno.

– Jak byś się dziś o mnie zatroszczyła, wojowniczko?

– Powiedziałam ci. – Zarumieniła się.

– Tak?

– Opatrzyłabym cię.

– A potem?

Przełknęła ślinę.

– Ja… ja… nie wiem. Chybabym podziękowała. Za to, że mnie obroniłeś.

Pokręcił głową.

– Nie zasługuję na twoją wdzięczność. Nie chcę, żeby stało się dzisiaj cokolwiek z powodu twojej wdzięczności. Chcę, żeby działo się to dlatego, że tego pragniesz.

Pragnęła tego.

– Dobrze.

– Powiedz mi, o czym myślisz – poprosił.

– Myślę, że chciałabym porozmawiać o umowie.

Pochylił się, a łoskot wody zabrzmiał jak strzelanina.

– Powiedz to.

Kiwnęła głową.

– O rozkoszy.

– Nadal chcesz zostać zrujnowana.

Kiwnęła głową.

– Proszę.

Nie zawahał się.

– Dziś wieczorem.

Ogarnęła ją niecierpliwość. Nie mogła już dłużej spokojnie czekać, chciała, żeby jak najszybciej skończył kąpiel. Kiwnęła głową.

– Dziś wieczorem. Czy to też zamierzasz negocjować?

Jedna ciemna brew uniosła się, gdy usłyszał to pytanie, i z siniakiem na policzku wyglądał jak prawdziwy rzezimieszek. Naprawdę to powiedziała? Nie mogła uwierzyć, że rzuciła mu wyzwanie. Ale kości zostały rzucone i ogarnęło ją podniecenie, bezgraniczne, gdy usłyszała jego przeciągłe:

– Aaach – które zabrzmiało jak odgłos bólu i rozkoszy. – Nie, skarbie – warknął, znów kładąc dłonie na krawędziach wanny. – Nie negocjuję.

Wstał, a woda ściekała po jego tułowiu, po wzniesieniach i dolinach, do głębokiego trójkątnego miejsca pod brzuchem. Jej oczy otworzyły się

szeroko na widok jego dorodnej męskości, prostej, gładkiej i… już jej nie było.

Jej wzrok pomknął do jego oczu, gdy opasał się ręcznikiem na biodrach, osłaniając się przed jej spojrzeniem.

Uniósł brwi, a ona usłyszała w tym obcesowe pytanie.

Rozczarowana?

Tak. Była rozczarowana.

Przełknęła ślinę, a on wziął drugi ręcznik i wytarł resztę ciała pewnymi, swobodnymi ruchami, jakby to wszystko było całkiem normalne. I może było. Może wieczorami kąpał się w obecności niezliczonej ilości kobiet, chętnych, żeby popatrzeć.

– Chyba często to robisz. – Natychmiast pożałowała tych słów. Z pewnością taka uwaga nie była stosowna w tej sytuacji. Uniósł brwi.

– Co?

Pokręciła głową, ale słowa mimo to wydobyły się z jej ust.

– Kąpiesz się w obecności kobiet. Sprowadzasz je jak książę do pałacu.

Kącik jego warg się uniósł, a Hattie zawiodły nerwy.

– Nie waż się ze mnie śmiać. – Pogroziła mu palcem. – Nie masz pojęcia, jak to jest być niedoświadczoną. Być tą, która musi mieć świadomość, że robiłeś to setki razy z setką innych kobiet… pięknych i powabnych, w bieliźnie przeznaczonej do…

Zamilkła, a jej oczy otworzyły się szeroko na te słowa.

Rzucił ręcznik na podłogę, nie odrywając od niej wzroku.

– Mów dalej, Hattie. Opowiedz mi o tej bieliźnie.

Rzucał jej wyzwanie, ten mężczyzna, którego nienawidziłaby, gdyby tak bardzo go nie lubiła. Zmrużyła oczy.

– Na pewno pięknej. Zwiewnej i ozdobnej. Moja… taka nie jest.

Co ona wyprawia?

– Nie? – Odwrócił się po parę nowych spodni z niskiego krzesła obok.

Odwróciła wzrok, kiedy je wkładał, a słowa same wypłynęły z jej ust.

– Moja służy innym celom. To znaczy, kiedy ją noszę.

Spojrzał na nią przez ramię, znów z tym swoim półuśmiechem.

– Wiesz, co mam na myśli. – Zamknęła oczy.

– Przysięgam, że nie.

– To znaczy, że noszę ją, ale to zupełnie co innego, kiedy ma się na sobie… – Wskazała dłonią swoje ciało.

Podążył za ruchem i zamknął na chwilę powieki, jakby rozważał wszystkie rodzaje bielizny, jakie mogła mieć na sobie Hattie pod męskim strojem.

Dobry Boże. Męski strój nie dodawał jej uroku.

Odkaszlnęła.

– W każdym razie jestem pewna, że robisz to często z o wiele bardziej odpowiednimi osobami.

Ruszył do niej długimi krokami, doskonale umięśniony, w spodniach nie do końca zapiętych, zmuszając ją do cofania się, aż oprzytomniała i uzmysłowiła sobie, że wcale nie chce uciekać. Zatrzymała się. Na szczęście on nie.

Stanął dopiero, gdy znalazł się przy niej, zdjął czapkę z jej głowy, ujął twarz w dłonie i zaczął ją całować bez chwili wahania stanowczymi i niewiarygodnie miękkimi wargami, kradnąc jej westchnienie, gdy zadarł jej głowę i wziął wargi, językiem muskając górną, kusząc ją obietnicą, aż wspięła się na palce i odpowiedziała mu, domagając się go.

Gdy już wiedział, że ją ma – jak mógłby nie wiedzieć, skoro przywarła do jego ciepłych ramion, a jej dłonie przesuwały się po wydatnych mięśniach jego rąk – uśmiechnął się w jej usta, mrucząc lekko, gdy przyciągnął ją do siebie, dotknął jej warg i w końcu zanurzył się w nich głęboko, dając jej wszystko, czego pragnęła, na nowo i na nowo, aż oboje dyszeli od tej pieszczoty.

Uwolnił ich, żeby zaczerpnęli powietrza, a upojona pocałunkiem Hattie wysiliła się, żeby się na nim skupić.

– Cieszę się, że przygotowałaś wymagania – powiedział cichym i rozkosznym głosem.

– Tak?

– Uhm. – Wpatrywał się w jej oczy przez długą chwilę, jakby czegoś w nich szukał. – Bo obawiam się, że ich nie spełniam.

Co takiego?

Nim zdążyła zapytać, pochylał się nad nią. Szepcąc następne słowa, był tak blisko, że czuła je na swoich wargach.

– Przynieść listę? Nie mogę mieć średniego wzrostu ani średniej budowy, kochanie… ani jasnych włosów.

Rumieniec zalał jej policzki na wspomnienie listy, którą dostarczyła do burdelu, jak jej się wydawało, wieki temu, ale nie miała zamiaru pozwolić, żeby zawstydzenie odebrało jej rozkosz tej chwili.

Podniosła dłoń i położyła ją na jego ramieniu, nagim, gładkim i gorącym jak słońce. Oboje zaczerpnęli powietrza przy tym dotyku.

– Jesteś też zdecydowanie zbyt przystojny. Ale przypuszczam, że jakoś będę musiała to przeżyć.

Mruknął, jedną dłoń kładąc na jej policzku i głaszcząc jej rumieniec.

– Nie jestem też czarujący. Ani miły.

Nie przejmowała się tym. Zadarła głowę do jego twarzy, a on się cofnął, odmawiając jej pocałunku, którego tak bardzo pragnęła.

– Ale nie chcesz żadnej z tych rzeczy, prawda?

– Nie – odpowiedziała cicho, pragnąc, żeby ją pocałował.

Jego palce zacisnęły się w jej włosach.

– A czego chcesz?

Wspięła się na palce.

– Chcę ciebie – wyszeptała mu w usta odważniej niż kiedykolwiek w życiu.

– A ja chcę ciebie. – Odpowiedział na jej pocałunek, powolnie i namiętnie, kciukiem muskając delikatną skórę jej policzka, gdy lizał jej

wargi powolnymi muśnięciami – rozkosznie zwiastując to, co mogło nadejść.

– Mam ci powiedzieć, co mogę obiecać? – wyszeptał jej nagle w usta.

– Proszę.

– Będę bardzo skrupulatny.

Uśmiechnęła się na te słowa. Buzowało w niej pragnienie.

– Wręcz nadmiernie?

Mruknął na potwierdzenie i znów ją pocałował, słodkim i ostrym językiem muskając jej język.

Palce Hattie przesuwały się w dół po jego torsie, rozpostarta dłoń sunęła po wspaniałych wzniesieniach ciała, upajając się jego żarem, aż dotarła do siniaka na boku, a on wstrzymał oddech. Natychmiast się od niego odsunęła. Wyciągnął ręce i przyciągnął ją z powrotem do swojego ciepła.

– Nie przejmuj się tym.

Przycisnęła dłonie do jego piersi.

– Mam się nie przejmować, że jesteś poobijany? – zaprotestowała. – Dostałeś kopniaka w bok, do diabła. Nie wspominając o nożu. Będziesz musiał dać mi się obejrzeć.

Uśmiechnął się, widząc jej upór.

– Nie wiedziałem, że jesteś zawodową pielęgniarką.

– Chyba nie lubię, jak robisz się gadatliwy. – Posłała mu zirytowane spojrzenie.

Parsknął lekkim śmiechem i skradł lekki, rozkoszny pocałunek.

– Nie możesz mnie winić za to, że mniej interesują mnie moje siniaki niż twoje ciało, Hattie.

Zmiękła na te słowa.

– Naprawdę?

– To twoja wina… teraz jestem ciekawy twojej bielizny.

Oparła się podnieceniu i rozbawieniu wywołanemu przez te słowa i posłała mu poważne spojrzenie.

– A ja jestem ciekawa twoich siniaków.

Cisza, a po chwili ledwie słyszalny pomruk akceptacji.

– Jeżeli pozwolę ci opatrzyć moje rany, pozwolisz, żebym cię zrujnował?

Znów ta sama pokusa wolności. Nad odpowiedzią nie musiała się zastanawiać.

Spojrzała mu w oczy, zachwycona ogniem, jaki w nich ujrzała.

– Tak.

19

Wbrew temu, co sądziła Hattie, Whit nigdy nie gościł w swoich pokojach kobiet. Dom miał olbrzymi hol na parterze i gabinet dla niego i Diabła, więc nie było powodu, żeby podejmował u siebie Annikę czy inną kobietę z magazynu. Grace była w nich pół tuzina razy, ale jedynie na tyle długo, żeby wykpić jego ekstrawagancki styl i wyjść. Co do kobiet – Whit nigdy ich tu nie sprowadzał. Nie chciał odpowiadać na pytania o to miejsce. Nie chciał bronić poddasza o dziwacznych kształtach wypełnionego rzeczami, które kochał najbardziej na świecie. A już z pewnością nie chciał przyzwolić komuś innemu na taki dostęp do swoich osobistych rozkoszy. Jednak nie zawahał się przyprowadzić do środka Hattie, choć zaproszenie jej do miejsca, które nazywała jego jaskinią, odsłaniało go przed nią bardziej, niż gdy się przy niej kąpał.

Kąpiel w jej obecności sprawiła tylko, że chciał ją wciągnąć do siebie do wanny, zedrzeć z niej idiotyczne przebranie i myć ją, aż oboje dyszeliby z pożądania, i nie miałby wyjścia, tylko musiałby ją zaspokoić, aż zaczęłaby krzyczeć.

Whit uważał, że zachował się w sposób niezmiernie opanowany, że tego nie zrobił. Aż nagle zaczęła gadać o bieliźnie. Powinni ogłosić go świętym za to, że przerwał ich grzeszny pocałunek, pełen ognia, poznawania i obietnicy, i pozwolił, żeby opatrzyła go bandażami i maściami, kiedy tak naprawdę potrzebował jej warg i dłoni. Uważał, że wykazał się ogromną powściągliwością, gdy chciał tylko tego, by dowieść, że siniaki to nic

poważnego i że jest w stanie przerzucić ją sobie przez ramię i zanieść do łóżka.

A jednak tego nie zrobił. Siedział i patrzył, jak wybierała szeroki bandaż i słoiczek maści i usiadła obok niego.

– Odwróć się do światła – powiedziała, wpatrując się w jego nagi tors tak rutynowo jak jakiś lekarz.

Zrobił to, a ona wyciągnęła rękę, powoli i niepewnie.

– Zamierzam…

– Mnie dotknąć – warknął. Nie sądził, że jest w stanie wytrzymać dłużej bez jej delikatnych palców na sobie.

Zrobiła, o co poprosił, i oboje wstrzymali oddech. Jej wzrok poszybował do jego oczu, i uniosła dłoń, jakby się poparzyła.

– Przepraszam.

– Nie. – Chwycił jej palce i przyciągnął je z powrotem do swojej skóry. – Nie przestawaj.

Nigdy.

Nie przestała. Gładziła posiniaczoną skórę.

– Paskudny siniak.

Jęknął, starając się zignorować rozkosz, jaka przyszła z bólem.

– Powinien obejrzeć cię felczer. Masz jakiegoś felczera?

– Nie potrzebuję żadnego felczera.

Potrzebuję tego. Potrzebuję ciebie.

– Obawiam się, że mogłeś sobie złamać żebro.

Skinął głową.

– Nie byłby to pierwszy raz.

– Nie podoba mi się to. – Ściągnęła brwi.

Rozkosz nie była odpowiednim słowem, żeby opisać to, jak jej ostra odpowiedź przeszyła go, mocno i elektryzująco. Zaczerpnął powietrza pod wpływem tego doznania, chcąc złagodzić jej niepokój.

– Zagoi się.

Nie wyglądała na przekonaną, ale otworzyła słoiczek z maścią i podniosła ją pod nos.

– Wawrzyn – powiedziała łagodnie, a potem spojrzała mu w oczy. – Często go używasz.

– Często walczę.

Skrzywiła się na te słowa, a on żałował, że nie może ich cofnąć.

– Dlaczego?

Nie odpowiedział, a ona rozsmarowała mazidło na jego torsie płynnymi i pewnymi ruchami, na tyle łagodnymi, że wzbudziły w nim zupełnie inny ból. Kiedy ostatni raz ktoś się nim zajął?

Wieki temu.

Złapał się na tym, że nie chce się cofnąć, teraz, kiedy poznał dotyk jej dłoni. Kojący dotyk. To, jak budziła każdy skrawek jego ciała i otulała go cytryną i wawrzynem.

– Co zawiera? – spytała. – Jak działa?

– Korę wierzbową i liść laurowy. – Gdyby pytał kto inny, na tym zakończyłby odpowiedź. Ale to była Hattie, a przy niej wszystko było inne. – Moja matka używała czegoś podobnego. Nazywała to *suave de sauce*. Wcierała go w dłonie przed snem.

– Bolały ją od szycia.

Nie mógł znieść tego, z jaką łatwością rozumiała coś, co on zrozumiał dopiero po wielu latach. Nienawidził poczucia winy, które go przeszyło.

– Robiłem, co mogłem, żeby przynosić pieniądze, żeby nie musiała tak ciężko pracować, ale nie chciała, żebym włóczył się po ulicach. Płaciła, żebym uczył się na zapleczu pasmanterii przy Saint Clement’s Lane. Upierała się, żebym nauczył się czytać. Bywały tygodnie, że świece kosztowały więcej, niż udało jej się zarobić. – To była lekcja, której Whit nigdy nie zapomniał. Coś, o czym myślał za każdym razem, gdy zapalał świece w tym pokoju – częściej niż potrzebował, jakby mógł rozświetlić ten pokój dla matki, jeżeli bardzo się postara. – Zawsze, gdy jej mówiłem, że

chcę iść do pracy, ona przypominała mi, że lekcje są już opłacone. Mówiła, że jeżeli…

Zamilkł.

Dłonie Hattie nawet nie drgnęły. Skupił się na płynnych, cudownych ruchach.

– Mówiła, że jeżeli ją to zabije, to przynajmniej wyrosnę na dżentelmena.

To dlatego od niej odszedł. Tak ojciec zmuszał go do walki o księstwo, którego nigdy nie miał odziedziczyć.

I to ją zabiło.

Przełknął z trudem ślinę na tę myśl, pozwalając opaść goryczy.

– Co pomyślałaby o mnie teraz – dodał łagodnie.

Hattie milczała przez długą chwilę – długą na tyle, że Whit uznał, że może wcale nie odpowiedzieć. A jednak odpowiedziała, bo zawsze wiedziała, co powiedzieć.

– Chyba byłaby z ciebie dumna.

– Nie, nie byłaby – powiedział. Jego matka nienawidziłaby życia, jakie prowadził. Nienawidziłaby przemocy, z jaką obcował na co dzień, i jego brudnego świata. I dowiedziałaby się, jak nieświadomie zdradził Hattie. – Nienawidziłaby wszystkiego prócz książek.

Uśmiechnęła się na te słowa, ale dłonie jej nie drgnęły.

– Mnóstwo tu książek.

– Nie było nas na nie stać. – Nie chciał jej tego mówić. To nie była jej sprawa. A jednak jakoś nie mógł się powstrzymać, więc mówił. – Ona nie umiała czytać, ale darzyła je czcią. – Rozejrzał się po pokoju. – Nie było jej na nie stać, a ja nawet nie przechowuję ich w szafie. – Kolejna rzecz, którą zawiódł matkę.

Hattie nie oderwała wzroku od zajęcia.

– Mnie się zdaje, że najlepiej uszanujesz jej miłość do książek, jak będziesz je czytał. A te wszystkie wyglądają na często czytane.

Burknął.

Ona się uśmiechnęła.

– To znaczy, że chciałbyś zmienić temat. – Spojrzała na niego spod wachlarza rzęs, a jej słodki uśmiech był miłą rozrywką. – Uczę się twoich odgłosów. – Jej palce gładziły jego żebra, na których fioletowy siniak kwitł szybko i wściekle, a on wstrzymał oddech. – Nie trzeba być dobrą uczennicą, żeby wiedzieć, co to znaczyło. – Podniosła dłoń po skończonym zadaniu. – Mogę cię zabandażować? – Kolejne burknięcie, na które zareagowała uśmiechem i podniosła zwiniętą tkaninę, leżącą obok niej. – Rozumiem, że to zgoda.

– Tak – odpowiedział.

Zaczęła ostrożnie toczyć rolkę wokół jego ciała, a jej dotyk stanowił nieustającą pokusę. Przy trzecim okrążeniu jej wargi się rozchyliły, a oddech stał się szybszy. Odezwała się do bandaża.

– Dlaczego to robisz? Jesteś bezgranicznie bogaty i cieszysz się szacunkiem wszystkich mężczyzn od Tamizy po Oxford Street, i dalej. Dlaczego pozwalasz, żeby cię krzywdzili?

Bo na to zasługuję.

Nie powiedział jej tego. Zamiast tego wyznał:

– Dzięki temu przeżyliśmy.

Jej dłoń się zawahała.

– Twój brat i siostra? I ty?

Spojrzał w dół, przyglądając się jej smukłym palcom, rozwijającym bandaż. Zachwycił się nimi. Nią. Tym, jak wyzwalała z niego słowa.

– Uciekliśmy od naszego ojca. I od naszego… brata. – Z niechęcią wspominał przy niej o Ewanie, który krążył nad nimi jak duch.

– Dlaczego? – Ta wspaniała, wrażliwa kobieta, z bratem, którego chroniła, choć zniszczył jej wszystko.

Nie chciała przyjąć do wiadomości prawdy na temat jego przeszłości, ale on i tak o niej powiedział.

– Zagrażaliśmy wszystkiemu, co było sensem życia starego. Wszystkiemu, na co w młodości zapracował. A Ewan był skłonny zrobić wszystko dla miłości mojego ojca. – Wydał z siebie lekki, pozbawiony radości śmiech. – Nie, żeby ten bydlak miał jej wiele na zbyciu.

Zmarszczyła brwi.

– Chciał nawet patrzeć, jak uciekacie?

– On dopilnował, żebyśmy uciekli. – Jego wzrok powędrował do koszyka z bandażami i maściami. – Tamtej nocy przyszedł po Grace. Diabeł go powstrzymał – zabrał nóż im obu.

Westchnęła.

– Jego twarz. Blizna.

– Prezent od naszego brata. I ojca.

W jej pięknych oczach zagościł błysk pogardy.

– Chciałabym sobie z nimi porozmawiać.

– Mój ojciec nie żyje.

– I dobrze. – Podniosła nożyce krawieckie, a on uniósł brwi; wyglądała na gotową walczyć małymi ostrzami. Zważywszy na jej złość, Whit był właściwie tego pewien. – A brat?

Pokręcił głową.

– Żywy.

Aż za bardzo. I zbyt blisko.

Dokończyła bandażowanie, wiążąc końce w idealny węzeł.

– Więc w takim razie lepiej, żeby nie trafił na mnie w ciemnym zaułku.

Whit mógłby być nawet rozbawiony, gdyby nie to, że tak irracjonalnie zaniepokoiła go myśl o Hattie trafiającej na Ewana.

„Wyrzekniesz się jej. Albo ci ją odbiorę”.

Położył dłonie na jej ramionach, zmuszając, żeby na niego spojrzała.

– Posłuchaj. Gdybyś kiedykolwiek spotkała przypadkiem mojego brata, uciekaj w drugą stronę.

Jej oczy otworzyły się szeroko na te słowa i na ich powagę.

– A jak ty uciekłeś?

– Nie uciekłem. – Przed oczami przemknęło mu wspomnienie. Czarna noc i krzycząca Grace – on i Diabeł wyważający drzwi, za którymi zastali brata z wielkim nożem i ojca przyglądającego się z kąta. Z dumą i czymś jeszcze na twarzy – rozkoszą.

Cholerni mordercy. Whit rzucił się do walki, ale Ewan był zbyt silny. Zawsze był tym silnym. Doskonałe uosobienie książęcej krwi. Diabeł był zbyt narwany. Whit za mały. Ale Ewan był dość silny, żeby powalić Whita, z taką siłą, żeby już się nie podniósł. Diabeł doskoczył. Przyjął cios przeznaczony dla Grace. I to Grace powaliła Ewana.

– Diabeł i Grace mnie odciągnęli. W mrok. Bez nich nic by ze mnie nie zostało.

– Byliście dziećmi.

– Czternastolatkami. Wszyscy urodziliśmy się tego samego dnia. Ewan też.

Przechyliła głowę z oczywistym pytaniem w oczach.

– Różne matki. A Grace, największa szczęściara z całej gromady – także inny ojciec. Nigdy nie musiała cierpieć na myśl o jego krwi w swoich żyłach.

– Więc nie jest twoją siostrą.

– Jest, kiedy trzeba. – Przypomniał sobie rudowłosą dziewczynę o kwadratowej twarzy, która broniła go bez wahania, nawet gdy straciła więcej, niż oni kiedykolwiek mieli. – Biegliśmy. Biegliśmy bez ustanku, aż dotarliśmy do Londynu. Gdy już się w nim znaleźliśmy, nie mieliśmy wyjścia i musieliśmy spać na ulicy. Ale sen to za mało. Trzeba było też jeść.

Słuchała nieruchoma, i tylko dlatego mówił dalej.

– Diabeł ukradł dla nas chleb. Ja znalazłem pół tuzina ogryzków jabłek. Musieliśmy przeżyć, więc potrzebowaliśmy czegoś więcej. – Ciągle czuł przeszywający do kości ból wilgotnych ulic Rookery, który jako jedyny mógł konkurować z bólem po stracie matki. Ale tego jej nie powiedział.

Nie chciał jej tym przygnębiać. Nie rozumiał właściwie, dlaczego jej to wszystko opowiada. Nie chciał się do niej zbliżać. Kłamstwo. Nie mógł być blisko niej. Skierował rozmowę na temat bójek. – W trzecią noc pojawił się Digger. – Spojrzał jej w oczy. – Kolejny bydlak. Bezwzględny i skupiony tylko na sobie, ale zajmował się hazardem i organizował bójki uliczne, i potrzebował ludzi do walki.

Ściągnęła brwi.

– Byliście dziećmi.

Za każdym razem, gdy to mówiła, uświadamiał sobie, jak bardzo się różnili. Że mógł ją tylko skalać. Uchwycił się tej myśli. Nadziei, że powstrzyma go przed popełnieniem jakiegoś szaleństwa.

– Czternaście lat zupełnie wystarczy, żeby zadać cios, Hattie.

Jej uwagę przykuło rozcięcie na jego puchnącym policzku.

– A dostawać?

Kącik jego warg uniósł się w szelmowskim półuśmiechu.

– Nie trzeba, jeżeli jest się dość szybkim na unik.

Uśmiechnęła się, słysząc akcent Garden.

– A ty byłeś bardzo szybki?

– Musiałem. Nie byłem wcale silny. Najsłabszy z miotu.

Teatralnie zmierzyła wzrokiem jego atletyczną postać.

– Trudno w to uwierzyć.

Podniósł jedno ramię i je opuścił.

– Zmężniałem.

– Zauważyłam.

Poczuł wielką przyjemność, słysząc to słowo, i doświadczył erekcji z prędkością, która go zaskoczyła. Zanim zdążył coś z nią zrobić, poprosiła:

– Mów dalej. – I nie miał wyjścia, niż jej posłuchać.

– Diabeł i ja byliśmy przeciętni w walce. Umieliśmy balansować i robić uniki, a kiedy zadawaliśmy cios, wiedzieliśmy, jak nadać mu siłę. Nie zawsze wygrywaliśmy, ale zawsze zapewnialiśmy tłumowi widowisko. – Ta

historia powinna być smutna, opowieść o braciach, którzy nie mieli wyjścia i musieli walczyć, żeby zarobić na nocleg i strawę, ale nie była. Walki należały do jego najprzyjemniejszych wspomnień z tamtych lat. – A teraz jest mężem Felicity Faircloth.

Zaskoczenie rozbłysło i zgasło.

– Zapominam, że ona pochodzi z wyższych sfer.

Hattie się uśmiechnęła.

– Zawsze trochę mu zazdrościłem, że udało mu się to zostawić. I to z tak doskonałego powodu. – Chwila milczenia. – Masz te same oczy.

Oczy Marwicka.

– Chciałabym z nim porozmawiać.

– Z Diabłem? – Pokręcił głową. – On nie jest dla ciebie.

Poczuła się lekko urażona.

– Dlaczego?

– Nie jest dla ciebie wystarczająco dobry.

Jej wargi uniosły się w uśmiechu, który niemal skradł mu oddech.

– A ty?

– Ani trochę.

Uniosła jedną dłoń na te słowa, powoli, jakby się bała, że on może odfrunąć. Whit niemal zaśmiał się, gdy sobie to wyobraził. Nic nie było w stanie oderwać go od tej chwili. Nic, cokolwiek by zrobił, żeby ją tu zatrzymać. Żeby rozebrać ją do naga i posiąść. W końcu. A kiedy opuszki jej palców delikatnie musnęły jego skroń, tylko po to, żeby odgarnąć mu kosmyk włosów z twarzy, wstrzymał oddech, chcąc ją do siebie przyciągnąć. Pragnąc, żeby go pocałowała.

– Bitni Bękarci – powiedziała. – Stąd się wzięło przezwisko waszej dwójki.

– Naszej trójki.

Dopiero po chwili zrozumiała.

– Grace?

– Nie wyobrażasz sobie, jak waleczna jest Grace. Potrafiłaby powalić szpaler brutali bez kropli potu, a kiedy wychodziła na ring, jej przeciwnicy drżeli. Świat nas uważa za królów Covent Garden? Bzdury. Bylibyśmy nikim, gdyby nie Grace. Jest stworzona do tego, żeby nim rządzić. – Uśmiechnął się, lekko i poufale. – Podarowała mi mój pierwszy nóż. Nauczyła mnie nim rzucać; broń, dzięki której nie musiałem być największy czy najsilniejszy.

W jej fiołkowych oczach rozbłysnął podziw.

– Cofam moje wcześniejsze słowa o tym, że chciałabym poznać twojego brata. Wolę raczej poznać twoją siostrę.

– Diabeł byłby głęboko urażony, gdyby to usłyszał. – Spojrzał Hattie w oczy. – Ale Grace z przyjemnością by cię poznała. Nie mam co do tego wątpliwości.

Uśmiechnęła się i przez ułamek sekundy zastanawiał się, jak by to było, gdyby poznał tę kobietę w innym miejscu i w innym czasie. Gdyby chodził na lekcje, jak prosiła matka. Gdyby odmówił ojcu i nie wyjechał z nim walczyć o księstwo, którego nigdy nie miał szans posiąść. Zostałby kupcem? Sklepikarzem? Zająłby się czymś nieskomplikowanym, dzięki czemu zapewniłby im dach nad głową i pełny żołądek? Czy byłby w stanie przekonać tę kobietę, tak znacznie go przewyższającą, że jest jej godny?

Wracałby do domu co wieczór, zmęczony i szczęśliwy, i znajdował pociechę przy Hattie, czytał książkę przy kominku, jadł z nią słodycze, rozmawiał o pogodzie albo o hałasie z targowiska, albo o najnowszych wiadomościach, albo o tym, o czym rozmawiają zwykli ludzie w zwykły dzień.

Mogłoby tak być.

Ból zrodził się w jego sercu na tę myśl, ten, który towarzyszył pożądaniu czegoś tak niemożliwego, że powinien był w tamtej chwili zakończyć wieczór. Bo nagle dotarło do niego boleśnie, że może cierpieć już zawsze, jeżeli pozwoli, żeby Hattie Sedley się do niego zbliżyła.

Oczywiście, gdy sobie to uświadomił, był zbyt zdesperowany, żeby ją posiąść.

Więc zamiast odesłać ją do domu, zmierzył ją długim spojrzeniem – na tyle długim, że wywołał kolejny rumieniec na jej ładnych okrągłych policzkach – i zmusił ją, żeby odwróciła wzrok z zawstydzonym uśmiechem na swoich wydatnych, kuszących wargach.

Pragnął jej.

A ona pragnęła jego.

– Hattie – powiedział cicho, nie chcąc jej przestraszyć swoim podnieceniem.

Podniosła wzrok, a jej fiołkowe oczy były ogromne.

– Tak?

– Skończyłaś mnie opatrywać?

Jej uwaga skupiła się na bandażu na jego torsie.

– Tak.

Wyciągnął rękę i musnął palcami jej policzek, delikatny jak jedwab.

– Mamy umowę?

– Tak. – Kiwnęła głową.

Jego palce chwyciły luźny kosmyk jej włosów, jak złote nici w blasku kominka, i zatknęły go jej za ucho. Pochyliła się, a on ujął jej twarz, przysunął się i spuścił głowę, żeby poczuć jej zapach.

– Chryste, tak słodko pachniesz. Jesteś jak ciasteczka w sklepowej witrynie.

Zaśmiała się lekko.

– Dziękuję?

– Jak byłem mały, w Holborn był sklepik ze słodyczami, w którym mieli najlepszy biszkopt migdałowy; jadłem go tylko raz. Cukiernik był prawdziwym belgijskim łajdakiem i przeganiał nas miotłą, jak tylko stanęliśmy w progu, ale jak się stanęło w odpowiednim miejscu po drugiej stronie ulicy, trochę dalej, można było poczuć zapach tych ciast za każdym

razem, gdy drzwi się otwierały. – Pochylił się i musnął nosem jej skroń, ściszając głos do szeptu. – W całym moim życiu nigdy nie czułem takiej pokusy jak wtedy, przez te ciastka. Aż poznałem ciebie. – Przycisnął wargi do jej ciepłej skóry i wyznał jej prawdę. – Nigdy nie pragnąłem niczego tak, jak pragnę ciebie.

Położyła dłoń na jego ramieniu, podniosła długie palce i zacisnęła na jego szyi, a on przez ułamek sekundy panikował, przekonany, że może go odepchnąć. Ale tego nie zrobiła. Odwróciła za to głowę i go pocałowała, na własną zgubę.

I jego także.

– Whit – wyszeptała cichym, grzesznym tonem i nie było mowy, żeby się jej oparł. Wyciągnął rękę, rozpiął jej płaszcz, wsunął dłoń pod ciepłą wełnę, do niej – cieplejszej, gorętszej. Upajał się jej ciałem, zgrabną talią, krągłością bioder, silnymi udami, przyciągając ją bliżej, obracając, podnosząc tak, żeby na nim usiadła.

Westchnęła z rozkoszy, kiedy posadził ją sobie na udach, a sam się odchylił z jedną dłonią w jej włosach, na tyle daleko, żeby widzieć jej oczy, gdy wpatrywała się w niego z góry. Na jej czole pojawiły się zmarszczki, gdy wysilała się, żeby nie obciążyć go swoim ciężarem.

– Jestem za…

– Jesteś idealna, do pioruna. – Pochylił się, żeby dotknąć jej warg i jej to udowodnić.

Po długiej chwili uwolnił jej usta, a ona się uniosła i spojrzała na niego z rozwichrzonymi włosami i nabrzmiałymi od pocałunku wargami, a niepewność, jaką wcześniej miała w oczach, zupełnie zniknęła, a w jej miejsce pojawiło się podniecenie. I rozkosz. Uśmiechnęła się leciutko, nieśmiało, a w policzkach ukazały się dołki, gdy przygryzła nabrzmiałą dolną wargę.

Chryste, była piękna.

– Nie. – Pokręcił głową.

– Nie?

Rozpostarł jedną dłoń na jej krągłym pośladku i przyciągnął ją do siebie, sadzając pewniej, a drugą dłonią ścisnął ją za włosy i przyciągnął do siebie.

– Te wargi nie są dziś twoje, kochanie. Są moje.

Uniósł się, żeby je chwycić, skubnąć, a potem musnął je jednym długim pociągnięciem języka. Jej dłonie znalazły się na jego ramionach, a ona poddała się pieszczocie. Whit zareagował cichym jękiem, zanurzając się głęboko, ssąc powoli, upajając się jej smakiem, słodkim, rozkosznym, lepszym niż jakikolwiek cukierek, którego miał w ustach.

Jakże z niej zrezygnuje?

Zignorował tę myśl i skupił się na niej, na jej palcach tańczących w jego włosach, trzymających go mocno, gdy poddawała się pocałunkowi. Ocierała się o niego, a on upajał się jej niepohamowanym pożądaniem – zacisnął palce na jej biodrach, gdy kołysała się na nim tam, gdzie był już twardy, i sprawiała, że robił się coraz twardszy od słodkich dźwięków z jej gardła, cichego dźwięku ocierania się jej ud o jego uda, jej ciepła na jego członku.

Nigdy z tego nie zrezygnuje.

Mruknął i chwycił ją, unieruchomił i wyprostował, żeby móc się nią napawać, przyglądać się jej nad sobą niczym bogini. Nie był w stanie się powstrzymać i naparł biodrami na jej biodra, obserwując, jak przymyka powieki i wstrzymuje oddech.

Rozpostarł jej płaszcz, zdarł go z niej i rozkoszował się tym, jak jej ciało poruszało się, żeby mu pomóc: wiło się i wyciągało, ukazując krągłości, którymi kusiła go przez całą noc. Nie. Nie wszystkie. Przesunął jedną dłonią w górę od jej biodra, aż poczuł krawędzie tkaniny pod koszulą. Z prędkością błyskawicy wcisnął dłoń pod materiał na jej plecach i wyciągnął go zza paska spodni.

– Hattie…

Jej oczy otworzyły się szeroko, gdy powtórzył ten ruch z przodu, ukazując jej nagie ciało. Natychmiast chwyciła koszulę.

– Nie.

– Nie?

Pokręciła głową.

– Jest bardzo… jasno.

– Wiem – uśmiechnął się.

Pokręciła głową, a jej wzrok powędrował do drzwi prowadzących do drugiego pokoju.

– Masz gdzieś łóżko? W jakimś ciemnym miejscu?

Miał. Ale jej nie o to chodziło.

– Hattie. Pozwól mi patrzeć.

– Wolałabym nie. – Zamknęła oczy.

Oparł się na sofie, nie chcąc oderwać od niej dłoni, pozwolił swoim palcom przesunąć się po jej udach i bawić się rąbkiem jej skórzanych kozaków.

– Powiedzieć ci, czego pragnę?

Jej oczy w jednej chwili otworzyły się szeroko, a on omal się nie roześmiał – zwrócił jej uwagę. Jego ciekawska dziewczyna nie byłaby w stanie oprzeć się i nie posłuchać, co właściwie chce z nią zrobić. Ze wszystkimi szczegółami.

– Chciałbym dotknąć cię językiem tutaj. – Jego dłoń rozpostarła się na miękkiej wypukłości jej brzucha, a jego penis robił się coraz twardszy. Czy czuł kiedyś pod palcami coś równie miłego jak jej jedwabista skóra? Krągłości jej ciała?

Wyprostował się i ukrył nos w zagłębieniu jej szyi, obejmując ją.

– Pozwól mi – wyszeptał, a potem chwycił płatek jej ucha zębami. – Pozwól mi poczuć twój smak.

– Tak – westchnęła, jakby było to jedyne słowo, jakie była w stanie znaleźć.

– Te spodnie kusiły mnie przez całą noc, opinając każdy centymetr twojego ciała. Składając obietnice, których, mam nadzieję, zamierzasz dotrzymać. – Chwycił za pasek i pociągnął, a ona wspaniałomyślnie pozwoliła je z siebie zdjąć. Zaparło mu dech na jej widok, nagiej i pięknej, wzniesień i wąwozów jej ciała, łagodnych krągłości cudownych w blasku kominka i tego miejsca w zwieńczeniu jej pięknych ud z kępką loków, na widok których zaczął się ślinić.

– Jezu, Hattie. Jesteś najpiękniejszą istotą, jaką widziałem.

Uśmiechnęła się, słodko i nieśmiało, osłaniając się dłońmi.

– Przez ciebie prawie w to wierzę.

Przesunął dłonie po jej nogach, pochylił się, bo nie był w stanie się powstrzymać, żeby nie pocałować jej w grzbiet dłoni, która zasłaniała mu widok, a jej słodki zapach zamienił jego słowa w pomruk, kiedy przesuwał się w górę jej ciała.

– Nie wypuszczę cię, dopóki nie uwierzysz mi zupełnie.

– To może trochę potrwać – odpowiedziała cicho, niemal zbyt cicho, żeby mógł usłyszeć.

– Mam całe życie.

Jej głowa była zwrócona w stronę płomieni. Wpatrywała się w ogień. Gdzieś w tym wszystkim pogubiła spinki i jej piękne włosy opadały swobodnie na poduszki jak jedwabne nici. Whit chciał się zanurzyć w nich, w niej.

– Masz dzisiejszą noc.

Nienawidził tych słów, nie podobała mu się prawda o nich i świadomość, że po dzisiejszej nocy nic już nie będzie takie samo. Odcisnął pocałunek na miękkim wzgórku jej brzucha, a potem językiem powiódł po wypukłości jej piersi, smakując ją. Jedna noc nie wystarczy, żeby ją poznać.

– Więc będę musiał sprawić, żeby wydawała się jak całe życie.

Ujął sutek w wargi, zachwycony tym, jak stwardniał pod jego językiem, tym, jak westchnęła pod wpływem doznania, jej biodra poruszały się w

jedwabnych poduszkach.

– Whit – wyszeptała, jedną dłoń wsuwając w jego włosy. – Proszę.

Do usług. Dałby jej wszystko, o co by poprosiła.

Jego penis pulsował, dotykając guzików spodni, desperacko pragnąc uwolnienia. Desperacko pragnąc jej.

Powoli, pomyślał. To był jej pierwszy raz.

Jezu, jej pierwszy raz.

Inny mężczyzna, dżentelmen, ubrałby ją i odprawił w tym momencie do domu. Lepszy mężczyzna. Silniejszy. Nie miał żadnego interesu w tym, żeby się do tego przyczynić. Żeby ją skalać. Zasługiwała na kogoś lepszego niż chłopak z Holbron, który żywił się resztkami i walczył o wszystko, co miał.

Wiedział o tym… Ale nie zamierzał odesłać jej do domu.

Nie bez powodu nazywano go Bestią.

20

Przez cały czas, gdy przygotowywała się na tę chwilę, i za każdym razem, kiedy wyobrażała sobie, jak to może być, nigdy nie pomyślała, jak wiele będzie czuć.

Nie była idiotką, rzecz jasna, wiedziała, że należy się spodziewać pewnej dozy wrażeń. Wiedziała, na czym polega akt miłosny i słyszała, że może mu towarzyszyć odrobina rozkoszy i nieco bólu, ale, nie spodziewała się, że całe jej jestestwo będzie drżeć, rozbudzone. Nie spodziewała się, że będzie bombardowana doznaniami – miękkim jedwabiem poduszek za plecami, ciepłem ognia z jednej strony, i nim, gorącym jak słońce, z drugiej. Nie spodziewała się jego dłoni, ich szorstkiego dotyku na wszystkich swoich krągłościach i wypukłościach, które przez całe życie starała się maskować i pomniejszać. I nie spodziewała się jego warg podążających za tymi cudownymi dłońmi, idących ich śladem, jakby rzeczywiście była taka, jak mówił. Jakby była piękna.

Tak o niej powiedział.

Nie wierzyła mu – miała oczy i wiedziała, jak wyglądają piękne kobiety. Wiedziała, że nie jest do nich podobna. A jednak… teraz, gdy wodził jedną dużą ciepłą dłonią po jej skórze, ożyła.

– Whit – wyszeptała, przyciągając jego zdumiewająco bursztynowe oczy do swoich, zachwycona tym, jak wyostrzył mu się wzrok, gdy usiłował odczytać jej myśli.

– Powiedz mi, co czujesz – poprosił cichym i mrocznym głosem, pełnym obietnic.

– Czuję… – Zawiesiła głos, szukając odpowiedzi. – Czuję, że żyję. Nikt nigdy nie dotykał mnie w ten sposób.

Cichy jęk.

– To dobrze.

Uśmiechnęła się.

– To bardzo prymitywne z twojej strony, zważywszy, że poznaliśmy się w burdelu.

– Nic na to nie poradzę. Chcę być pierwszym, który cię dotyka. Tutaj. – Musnął jej brzuch, aż do piersi. – Tutaj. – Ujął jej pierś i pociągnął kciukiem po twardniejącym sutku, raz, dwa, aż się wygięła i przywarła mocniej do jego dłoni. Uwolnił ją niemal natychmiast, natychmiast ona westchnęła sfrustrowana, gdy skierował się w drugą stronę, schodząc w dół do jej dłoni, którą zakrywała najbardziej intymne miejsce. – Tutaj.

Nie powstrzymała go. Dlaczego miałaby powstrzymywać? Wszystko, co robił, wzniecało w niej płomień rozkoszy. Cofnęła swoją dłoń i poddała się jego dotykowi, ledwie wyczuwalnemu.

– Chcę być pierwszym, który dowie się, co lubisz. – Opuścił wargi w zagłębienie jej ramienia. – Chcę być pierwszym, który będzie się przyglądał, jak twoje ciało zalewa rozkosz. – Pocałował ją w pierś, ssąc jej koniuszek. – Chcę być pierwszym, któremu rozkażesz, żeby ci ją dał.

Jego palce dotknęły jej wnętrza, a ona uniosła biodra.

– Nie jestem pewna, czy umiałabym ci rozkazywać.

– Nie? – Kolejny pocałunek i kolejne muśnięcie, sięgające dalej.

Zamknęła oczy i pokręciła głową.

– Nie wiedziałabym, o co prosić.

Prawie się nie poruszał w jej cieple. Ocierała się o poduszki.

– Nie? Nie chcesz o nic poprosić?

Zagryzła dolną wargę.

– Nie – skłamała.

Liźnięcie po wypukłości jej piersi. Kolejna delikatna pieszczota dłoni, zbyt lekka. Zdecydowanie za lekka. Rozchyliła nogi.

– Whit. – Uniosła biodra, żeby poczuć jego dotyk.

– Hattie? – powiedział jej do ucha, wsuwając jeden palec, lekko, nie do końca do miejsca, w którym go pragnęła.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego.

– No, wiesz.

– Chcę to usłyszeć.

Zakołysała biodrami, słysząc te słowa, a on ugryzł ją lekko, sprawiając, że ból dopełnił łagodną pieszczotę tam, niżej. Wyszeptała jego imię.

– Proszę.

Podniósł głowę, odnalazł jej oczy i dotarł do miejsca, którego sama nigdy nie odkryła.

– Aaaa. Tutaj, prawda? – Jeden z jego długich palców zanurzył się głęboko w niej, a kciuk krążył wokół miejsca, w którym skupiała się jej rozkosz. – Taka ładna i wilgotna, moja cudowna dziewczyna – wyszeptał, a ona zatraciła się w jego cichych, pożądliwych słowach.

Jej palce objęły go mocno za nadgarstek.

– Nie przestawaj.

– W życiu, kochanie. – Pochylił się. – Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak czerpał rozkosz – wyszeptał. – Nadajesz rytm mojemu dotykowi. Potrafisz rzucić mężczyznę na kolana.

Zamknęła oczy, słysząc te słowa.

– Proszę – dyszała. Przywarła do niego. – Mocniej.

Wbił się mocniej, kreśląc zwarty krąg.

– Ustami…

– Szybciej… Więcej…

– A po ustach… Dojdziesz na moim członku.

– O Boże – westchnęła. Nie posiadała się z rozkoszy, jakiej do tej pory nie znała, niezwykłej, niewiarygodnej, odbierającej zdolność myślenia… Przywarła do niego, desperacko pragnąc, żeby trwało to wieczność, choć błagała, żeby przestał. Wiedział, co zrobić: zatrzymać się, ale z niej nie wychodzić, przyciskając nasadę dłoni do samego jądra jej rozkoszy, kiedy omdlała pod nim. Pocałował ją, przeciągle i powoli, aż wróciła na ziemię, i zakończył pieszczotę rozkosznym liźnięciem, a ona westchnęła.

– To była najpiękniejsza rzecz, jaką widziałem. – Pochylił się, żeby wziąć do ust jedną obolałą pierś.

Odwróciła się do niego, błądząc palcami w jego włosach.

– Dziękuję.

Roześmiał się w jej skórę, a jego oddech przyprawił ją o cudowny dreszcz.

– Nie dziękuj mi, skarbie. To był pieprzony prezent.

Nie miała czasu się zarumienić z powodu wulgarnego języka, bo on zaczął przesuwać się w dół jej ciała, składając pocałunki na jej skórze, aż umościł się pomiędzy jej udami. Otworzyła oczy.

– Nie możesz…

– Hm… – Zignorował jej słowa i rozchylił fałdki kobiecości, napotykając zamglony wzrok nad jej ciałem. Przywarł do niej wargami i przycisnął język do miękkiego wnętrza długimi, powolnymi liźnięciami. Jęknął, smakując ją, kochając się z nią niespiesznymi muśnięciami języka.

– Whit – wyszeptała, wijąc się pod nim, przyciągając go do siebie, nie będąc w stanie się powstrzymać, gdy odnalazł czułe miejsce długimi, powolnymi, delikatnymi muśnięciami języka, którymi ją rozpalił. – Więcej.

Położył jedną dużą, brązową od słońca dłoń na jej brzuchu, żeby ją przytrzymać, kiedy ją pieścił, pozbawiając tchu oszałamiającymi pocałunkami, raz po raz, znowu i znowu, coraz szybciej, aż… Eksplodowała, nie mogąc utrzymać powiek, pozwoliła im opaść, a on jęknął z niezadowolenia, ale nie przerwał. Cudowny, wspaniały

mężczyzna… Nie przestał. Przeprowadził ją przez dziki orgazm – niepodobny do niczego, czego w życiu doświadczyła.

W końcu sprowadził ją z powrotem na ziemię, jakby był tu tylko po to, żeby się o nią troszczyć. I przez chwilę wyobrażała sobie, jak by to było, gdyby ten mężczyzna się o nią troszczył. Już zawsze. Jakby chciał jej, już zawsze. Jakby ją kochał, zawsze.

Niemożliwe.

Łzy popłynęły jej po policzkach.

– Hattie? – Jej imię zabrzmiało oschle w jego ustach. Pochylił się nad nią i jedną dłonią ujął jej twarz. – Co się stało?

– Nic. – Pokręciła głową.

Przesunął dłoń w dół po jej ciele i z powrotem w górę.

– Boże. Skrzywdziłem cię?

Nie zdołała powstrzymać śmiechu.

– Nie. Nie – zapewniła. – Nie, mój Boże, sprawiłeś, że poczułam… – Nowe łzy. – Whit, sprawiłeś, że poczułam się cudownie. Tak cudownie, że chciałabym…

Wyglądał, jakby jej nie wierzył.

– Chciałabym… – spróbowała znowu.

– Powiedz – zachęcił ją łagodnie. – Powiedz, czego chcesz.

Chciałabym, żebyśmy mogli mieć coś więcej niż dzisiejsza noc.

Wyciągnęła do niego rękę, całując go w sposób, w jaki nigdy dotąd tego nie robiła. Zaangażowała w ten pocałunek całą siebie – Hattie, która odżegnywała się od przeszłości, Hattie, która marzyła o przyszłości, i Hattie, która chciała, żeby kochał ją właśnie taki mężczyzna, tak jak zawsze pragnęła, spokojnie, w ciemności, kiedy nikt nie patrzy. Całowała go, aż brakło im tchu, bo za bardzo bała się odezwać, za bardzo się bała, że powie mu, czego pragnie, choć tego nie mógł jej dać. Za bardzo się bała, że odejdzie od niej, zanim zdąży go zasmakować. Zanim posiądzie go całego.

– Chciałabym całej reszty – powiedziała, kiedy w końcu się rozdzielili.

Przesunęła dłoń po jego ciele, po bandażach, aż znalazła się na pasku spodni, których nie zapiął, gdy je wkładał. Zawahała się na skraju ciemnego, kuszącego trójkąta, świadoma, że inna kobieta postąpiłaby z większą pewnością.

Gdy się zawahała, Whit zamarł nad nią i wstrzymał oddech. Odnalazła wzrokiem jego oczy. W milczeniu zadała pytanie.

– Zrób to.

I zrobiła, wsunęła dłoń pod materiał, wyzwalając jego westchnienie, gdy go dotknęła.

– Czy to jest…

– Tak.

– Nie dokończyłam pytania. – Pokręciła głową.

– Jest jak w niebie, skarbie.

– Ale mogłoby być lepiej.

Zamknął oczy.

– Chyba nie zniósłbym, gdyby było lepiej.

– Pokaż mi.

Zrobił to; kładąc dłoń na jej dłoni, pokazał jej, jak lubi, żeby go dotykać, twarde ciepło przesuwało się w jej dłoni, gdy go gładziła.

– Jest taki delikatny – wyszeptała. – I twardy.

– Nigdy nie był twardszy – wyszeptał.

Spojrzała mu w oczy.

– Naprawdę?

– Tak.

Chciała go dotykać, nauczyć się go, dać mu całą tę rozkosz, jaką on dał jej.

– Pokaż mi jak. Naucz mnie.

Pozwolił jej zsunąć z siebie spodnie, odsłaniając go pełnego, grubego, silnego.

– Piękny.

Zaklął cicho i poprowadził jej dłoń, zaciskając ją na sobie, niemal zbyt mocno, aż niemal zawył. Uśmiechnęła się, przyglądając się ich złączonym dłoniom, niosącym mu rozkosz.

– Podoba ci się.

– Jeszcze jak – powiedział.

Pieściła go dalej. W dół, w górę. Aż w końcu przerwała i opuszkiem palca musnęła koniuszek penisa. On zamknął oczy i odchylił głowę.

– Kurwa, Hattie.

Uśmiechnęła się. Nie mogła się powstrzymać.

– Bardzo ci się podoba.

Po chwili odsunął ją od siebie.

– Dość.

– Ale… – przerwała. – Mnie się podobało.

Zaśmiał się cicho.

– Mnie też. Ale prosiłaś mnie o resztę, prawda?

– Obiecałeś mi tę resztę.

Znieruchomiał, a jego palce błądziły po jej skroniach, odgarniając włosy z twarzy, gdy szukał jej spojrzenia.

– Bądź pewna. Bądź pewna, że się na to decydujesz. Że wybierasz mnie. Bądź pewna, że chcesz to oddać mnie, bo jak już to wezmę i zatrzymam, nigdy tego nie odzyskasz.

I w tej chwili Hattie zrozumiała, że nigdy nie będzie chciała tego odzyskać. Że będzie pamiętać tę noc i tę chwilę na zawsze. Bo nigdy nikogo nie będzie pragnęła tak, jak pragnęła jego. Choć wiedziała, bez cienia wątpliwości, że nigdy nie będzie mogła go mieć.

Zamknęła oczy, gdy to do niej dotarło, i wzięła głęboki oddech.

– Jestem córką, siostrą i przyjaciółką. Zaznałam miłości i szacunku i miałam szczęśliwsze życie niż wielu… niż większość. – Zamilkła. – Ale nigdy nie byłam kimś równym. Nawet kiedy walczyłam o wszystko, co chciałam, nigdy nie miałam wyboru. Tak naprawdę. Ojciec, brat albo

przyjaciele zawsze mówili mi, jaką powinnam podjąć decyzję. Co mogę mieć. Kim jestem. – Spojrzała mu w oczy. – A potem poznałam ciebie. A ty od samego początku pozostawiałeś mi wybór. Nigdy mi nie mówiłeś, czego powinnam chcieć. Co mogę, a czego nie mogę mieć. Traktowałeś mnie jak równą sobie. – Uśmiechnęła się. – A jutro będziemy rywalami. Ale prawda jest taka, że nie mogłabym być twoją rywalką, gdybym nie stała się równą tobie. Gdybym nie stała się… – To nie miało znaczenia. – Nigdy w życiu niczego nie byłam bardziej pewna. – Pochyliła się do pocałunku, a on spotkał się z nią w połowie drogi. – Skalaj mnie.

Rozchyliła uda, a on umościł się pomiędzy nimi. Oboje westchnęli pod wpływem tego doznania. Kołysząc się, ocierał się o nią całą doskonale twardą długością, aż westchnęła.

– Chcę, żebyś to zapamiętała.

– Zapamiętam. – Jej dłonie powędrowały do jego bioder. – Jak mogłabym nie zapamiętać.

Jak mogłaby zapomnieć jego widok? Jego piękną twarz i oczy jak dwa płomienie, i cudownie wyrzeźbione ciało?

– Kochanie. Chcę, żebyś dobrze to zapamiętała.

– Zapamiętam. Jak mogłabym zapomnieć, jak na mnie patrzysz? Jakbym była…

Piękna.

Doskonała.

– Jakbym była cenna.

Zaklął i ją pocałował, a potem przycisnął czoło do jej czoła.

– Jesteś cenna, Hattie. Cenniejsza, niż ci się wydaje.

Nie mów tak. Nie w ten sposób. Bo sprawiasz, że pragnę czegoś, czego mieć nie mogę.

– Nie chcę być cenna – powiedziała cicho. Cennych rzeczy się nie kocha. Cenne rzeczy się chroni. Ona chciała być czymś, z czym on nie będzie w stanie się rozstać. Chciała być kochana.

– A jaka?

Przełknęła ślinę.

– Chcę, żeby ktoś mnie pragnął.

Przywarła do niego i oboje jęknęli, kiedy przesunął się po niej raz, drugi.

Patrzył w jej oczy, a między nimi leżała naga prawda, pozbawiając ją tchu.

– Nigdy nie pragnąłem niczego tak jak ciebie.

Pogładziła go po gładkiej skórze.

– Udowodnij mi to.

Zrobił to, wsuwając się w nią ostrożnie, zaledwie odrobinę, wypełniając ją swoim dużym, gorącym koniuszkiem, rozciągając ją w przedziwny, najrozkoszniejszy sposób. Oczy otworzyły jej się szeroko pod wpływem doznania i zaczęła się wić pod nim.

– Czy to jest… to jest…

Poruszyła się znowu, a on mruknął.

– Kurwa. Jak dobrze. Jesteś taka delikatna. Taka wilgotna. – Jego jedna dłoń powędrowała do jej biodra, a palce zacisnęły się na ciele, unosząc jej udo, żeby ułatwić mu poruszanie, ale się nie poruszył. Jego piękne oczy wpatrywały się w jej twarz, pełne troski. – Jak jest?

Uśmiechnęła się do niego.

– Myślałam, że powinno boleć?

– Nie powinno. – Roześmiał się lekko, pochylił i ją pocałował. – Nigdy nie powinno boleć, rozumiesz? Powinno być cudownie. – Znów zaczęła się wić. – Jezu, uwielbiam to – wycedził przez zęby.

– Jest coś więcej? – Hattie się uśmiechnęła.

Troska ustąpiła miejsca zaskoczeniu.

– Ja… co?

– Podobno jest coś więcej. To prawda?

Zaskoczenie ustąpiło zrozumieniu. Parsknął śmiechem.

– Tak, milady. Jest coś więcej.

Hattie przez chwilę bała się, że trochę się zagalopowała. Ostatecznie, stosunek był poważną rzeczą, jak jej się zawsze zdawało. Ale nie czuła, że musi być śmiertelnie poważna. Miała wrażenie, że powinien być rozrywką. Wydawało jej się, że należy czerpać z niego radość.

Ale czy on się z nią zgadzał?

Kącik jego pełnych warg uniósł się w zwycięskim uśmiechu.

– Więcej – powiedział i zanurzył się w niej, powoli i płynnie, całkowicie i oddychał, jakby właśnie skończył walkę.

Hattie syknęła pod wpływem doznania – napięta i pełna. Było jej niezupełnie przyjemnie, ale też niezupełnie nieprzyjemnie.

– Hattie. – Dyszał, szukając jej twarzy. – Mów do mnie, skarbie.

– Ja… – Zawahała się, zastanawiając się. – A jeżeli… – Uniosła biodra, nasuwając się jeszcze bardziej na niego, a potem się cofnęła. – Oooch.

– Hm – mruknął. – O tym samym pomyślałem.

Powtórzyła delikatne pchnięcie.

– To jest… – I znowu, a tym razem jej pomógł. – Och.

Zaklął.

– Podoba ci się to.

– Skąd wiesz? – uśmiechnęła się.

Spojrzał jej w oczy swoimi pełnymi grzechu oczami.

– W tym względzie nie ma tajemnic. Czuję to. – Kołysał na niej biodrami, pochylając się, żeby liznąć skórę szyi, aż westchnęła. – Lady lubi krótkie pchnięcia.

Lubiła. I to bardzo.

– A dżentelmen?

Skradł jej wargi w przelotnym pocałunku.

– Lubię to co ty.

Cóż za cudowne słowa.

– Lubię to, jaka jesteś ciasna, niemożliwie ciasna – powiedział niemal do siebie. – Lubię, jak przymykasz oczy, gdy to robię… – Pchnął, leciutko,

tyle, żeby ukoić jej nerwy. – Lubię, jak twoje wargi miękną pod moim pocałunkiem, jak twoje palce zaciskają się na moim ciele. – Kolejne pchnięcie, i kolejne, i nowe, aż jej westchnienia zamieniły się w krzyki i nie chciała, żeby to się kiedykolwiek skończyło.

I nie kończyło się, choć pchnięcia stały się pewniejsze, coraz głębsze, aż przywarła do niego spocona, gdy ich ciała odkrywały siebie nawzajem.

– Ale najbardziej lubię… – Zawiesił głos, podtrzymując się na jednej ręce, drugą wsuwając pomiędzy nich, nisko, coraz niżej, aż odnalazł wrażliwy pączek w jej wnętrzu. – …doprowadzać cię do orgazmu. – Zakreślił powolny, leniwy krąg na niej, dopełniając go płynnymi, krótkimi pchnięciami, a ona zaczęła się pod nim wić. – Ty też to lubisz – jęknął.

– I to bardzo – przyznała, zachwycona tym, jak bardzo zaskoczyło go jej wyznanie. Skradł jej wargi i poruszył się, wycofując niemal zupełnie, aż zdawało jej się, że się rozpłacze, ale nagle połączył się z nią znowu, powoli i pewnie. Jej oczy otworzyły się szeroko pod wpływem magicznego doznania. – Jeszcze raz. – Pieścił ją kciukiem. – Jeszcze raz.

Jęknął z aprobatą.

– Dam ci to, co chcesz.

Tak.

– Wszystko?

– Wszyściutko. – Poruszał się mocniej, głębiej, a jego palce nadal pieściły miejsce, które ich pragnęło, i już nic nie wydawało się dziwne. Teraz czuła, że jest idealnie. On był idealny.

– Nie ma nic piękniejszego od ciebie w ekstazie, kochanie, nic nie jest delikatniejsze, nic nie jest słodsze… nic nie jest bardziej…

Uciekło mu słowo z powodu doznań, ale ona i tak je usłyszała.

Doskonałe.

– Więcej. – Było to jedyne słowo, które potrafiła z siebie wydobyć.

– Wszystko – odpowiedział. Było im razem idealnie. I nagle był, ten ostry szczyt napięcia, zacieśniał się, mocniej, najmocniej, a Hattie zamknęła

oczy, unosząc plecy, gdy ją pieścił, spełniając swoją obietnicę, dając jej wszystko, czego pragnęła.

– Proszę! – krzyknęła, rozpaczliwie pragnąc spełnienia, które tylko on mógł jej dać.

– Dojdź dla mnie, skarbie – jęknął i wbił się w nią mocniej jednym długim, zaskakującym pchnięciem, pocierając ją kciukiem raz, dwa, a potem… – Teraz.

Zatraciła się w jego dotyku. Jego ruchach. W nim.

Wstrząsnęła nią rozkosz, z taką siłą, że doprowadziła ją na skraj przerażenia, i przywarła do niego. Wziął ją w ramiona i trzymał, gdy rozpadała się na milion kawałków.

– Weź to – szeptał jej do ucha. – To dla ciebie. Wszystko dla ciebie.

Zrobiła to, zaciskając się wokół niego w spazmach, zalewając go wilgocią na całej długości, aż skończyła, a on wziął ją w silne ramiona, żeby ją chronić. Gdy odzyskała zmysły, westchnęła, cudownie nasycona, jak nigdy wcześniej.

Może uda jej się przekonać go, żeby zrobili to jeszcze raz przed jutrem. Zanim znów staną się rywalami. A zaraz po tej, pojawiła się kolejna myśl. Może wcale nie muszą być rywalami. Przecież to, co właśnie się między nimi stało, chyba było niezwykłe. Bo jeżeli nie, to dlaczego ludzie chcieliby w ogóle wychodzić z sypialni?

Może mogliby się pokochać.

Uśmiechnęła się na tę myśl, wtuliła w niego i zarzuciła jedną nogę na jego nogę. Zamarła, bo coś do niej dotarło. On nie skończył. Chłodna niepewność zalała ją, gdy sięgała do niego, nadal twardego i gorącego na niej.

– Whit…

Chwycił jej dłoń, zanim zdążyła go dotknąć.

– Nie.

– Ale ty…

Uniósł jej dłoń do swoich ust i pocałował ją w palce.

– To było dla ciebie. Nie dla mnie.

Znieruchomiała, a w miejsce rozkoszy, która zniewoliła ją chwilę wcześniej, pojawiła się dezorientacja i jeszcze coś, o wiele groźniejszego.

– Ale dlaczego ty nie…

– U mnie liczy się ciało, Hattie. Nie przyszłość.

Ciało. Majątek. Dom. Firma. Przyszłość.

Jęknął.

– Żadnych jęków. Nie w tej chwili. – Narastała w niej irytacja. – Dlaczego ty nie…

O Boże. Czyżby jemu się to nie podobało?

Otworzyła szeroko oczy.

Zmusiła go, żeby zrobił coś, czego nie chciał?

Dopadła ją wątpliwość, a wraz z nią panika i przerażenie, aż usiadła, chcąc się zakryć. Jak mogła nie zauważyć, że jemu nie jest przyjemnie? Zakładając, że czerpie z tego radość tylko dlatego, że ona sama ją czerpała?

Bo tak zatraciła się w miłości z nim.

Nie. Nie z nim. On jej nie chciał.

Zamknęła oczy pod wpływem tej myśli, a wraz z nią przyszło upokorzenie.

– Muszę iść.

– Hattie. – On też usiadł.

Pokręciła głową, obawiając się łez. O, nie. Nie może pozwolić, żeby zobaczył, jak płacze. Chwyciła spodnie w jedną dłoń i obeszła sofę, żeby odnaleźć koszulę, na szczęście na tyle długą, że zakrywała wszystkie najbardziej newralgiczne miejsca, gdy sięgała po buty. Włożyła spodnie.

– Bardzo ci dziękuję za… usługę.

– Za co? – Zerwał się na równe nogi.

Hattie ubierała się coraz bardziej gorączkowo.

– Bo to była usługa, prawda? To znaczy, ty nawet nie… – Kiwnęła ręką w stronę jego erekcji, nadal wyraźnej.

– Hattie…

Ruszył w jej stronę, ale się zatrzymał. Opanował się.

– Nie chciałem, żebyś zaszła w ciążę.

Odwróciła się do niego, otwierając i zamykając buzię.

– Co takiego?

– Chciałaś zrujnowanej reputacji. Nie zrujnowanego życia – powiedział. – Nie chciałem, żebyś skończyła z dzieckiem.

Z dzieckiem.

Przed oczami przemknął jej obraz małego chłopczyka z ciemnymi włosami i bursztynowymi oczami. Małej dziewczynki z szerokim uśmiechem i z dołeczkiem w bródce.

– Dziecko nie zrujnowałoby mi życia – powiedziała. – Nigdy bym tak nie pomyślała. – Te słowa ją zaskoczyły, nigdy nieuświadomione, a jednak nagle wypowiedziane, jakby nosiła jej w sobie cały czas.

Jakby od urodzenia marzyła o życiu z tym mężczyzną.

Ale to nie miało znaczenia.

A nawet jeżeli miało, istniały inne możliwości zapobieżenia ciąży i mimo wszystko czerpania przyjemności. Prezerwatywy. Metoda, o której usłyszała w salonie dla dam w czasie jednego z bali, co wtedy wydało jej się dość kłopotliwe, ale dziś wieczorem było dość… podniecające.

Skoro ona słyszała o tymi rozwiązaniu, domyślała się, że Whit musiał z niego korzystać.

– Dziecko związałoby ciebie ze mną – odpowiedział. – A do tego nie mogę dopuścić.

Te słowa ją zabolały. O tym nawet nie pomyślała. Dziecko było związane z matką. A on tego nie chciał. Wszystko stało się jasne. Dlaczego miałoby być inaczej? Z kobietą, z którą nie łączyło go nic poza umową. Układem. Z kobietą, której nie chciał.

Nie chciał jej.

Właśnie to udowodnił.

– Wychowałem się bez ojca – dodał. – Wiem, jak trudno jest matce samej zarobić na życie. Nigdy bym ci tego nie zrobił. Ani dziecku.

Pokręciła głową.

– Nigdy nie brałam pod uwagę, żebyś mógł.

Zdawało się, że szuka odpowiednich słów.

– Dziewczyny takie jak ty nie wychodzą za chłopaków takich jak ja, Hattie. Chłopaków wychowanych w bagnie Rookery, noszących codziennie jego odór.

– Cóż za brednie. – Słowa wydobyły się z jej ust, zanim zdołała je powstrzymać. Przestraszyła ich oboje, ale była wściekła. – Istnieje tysiąc powodów, dla których nie powinnam za ciebie wychodzić, ale to, gdzie się wychowałeś, nie ma żadnego znaczenia. – Była to prawda. Poznała mężczyzn urodzonych o wiele wyżej od niego, ale niedorównujących mu charakterem. Wciągnęła jeden but. – Twoja przeszłość nie jest niczym złym.

– Wszystko w niej jest złe. Spójrz mi w twarz, Hattie. Siniak będzie większy jutro.

– Zarobiłeś go z wyboru, a nie przypadkowo. Ani trochę mi ciebie nie żal, wybawicielu Whittingtonie.

Zamarł.

– Nigdy więcej mnie tak nie nazywaj.

– Dlaczego? – warknęła, wkładając drugi but. – Boisz się, że będziesz musiał wyłonić się zza Bestii i stawić czoło światu jako mężczyzna?

Zmrużył oczy i spojrzał na nią. Dobrze, niech sobie patrzy. Nie miała zamiaru się go bać. Jak śmiał zrujnować ją, a potem zrujnować jej noc?

– Nie mogę zapewnić ci bezpieczeństwa – powiedział, a jego słowa brzmiały tak, jakby były dla niego torturą. – Nie mogę cię kochać.

Te słowa były jak policzek, potęgowały upokorzenie, które i tak czuła. Wiedziała to, rzecz jasna. Ona nie była po to, żeby ją kochać. Nie nadawała się nawet do seksu.

Stara dobra Hattie.

– Nigdy nie prosiłam, żebyś mnie chronił. – Musiała się stąd wydostać, zanim skona ze wstydu, albo znajdzie jeden z jego noży i go dźgnie. – Nigdy nie prosiłam cię o miłość. – Cieszyła się, że nie przejrzy kłamstwa. Wyciągnęła rękę, zanim zdążył się odezwać. – To i tak nie ma żadnego znaczenia. Zadbałeś, żeby tak się stało. Cieszę się, że jedno z nas było w stanie pozostać zdystansowane dzisiejszego wieczoru.

Przeczesał dłońmi włosy, wściekły i sfrustrowany, a Hattie bardzo mocno się wysilała, żeby nie zwracać uwagi na to, jak wszystkie jego mięśnie napinają się i falują przy ruchu. Prawie jej się udało.

– Nie byłem zdystansowany.

– Nie. Jasne. – Włożyła płaszcz zadowolona, że w końcu jest zakryta. – Powszechnie wiadomo, że mężczyźnie głęboko zaangażowanemu w stosunek często nie udaje się dokończyć zadania.

Złość i szok zagościły w jego zmrużonych oczach.

– Dokończyłem zadanie, lady Henrietto. I to trzy razy.

– Ale ja nie! – krzyknęła, odbierając to jako osobistą porażkę. Dobry Boże… dał jej tyle rozkoszy, a ona nie była w stanie odwzajemnić mu się tym samym? Aż tak była odpychająca, że dla niego nie miała znaczenia ta rozkosz, która niemal ją zniszczyła? Nigdy nie czuła się tak upokorzona.

Nie odpowiedział, a frustracja Hattie zamieniła się w złość. Zalała ją wściekłość, a ona cieszyła się, że niweczy upokorzenie.

– Wiesz, szkoda, że nie wiedziałam, że tak to będzie. Wróciłabym do burdelu.

Jęknął.

– Do cholery, co to ma znaczyć?

– Tam przynajmniej wiedziałabym dokładnie, co wchodzi w zakres umowy. – Przerwała. – Tam przynajmniej mogłabym zapłacić za przywilej, by nie czuć się jak zadanie do zaliczenia.

Mięśnie jego twarzy znów się naprężyły, a on znów się w nią wpatrywał.

– Dzisiejsza noc nie była zadaniem.

Nigdy w życiu w nic nie chciała wierzyć bardziej. Jej wargi zaczęły drżeć. Nie. Prędzej umrze, niż pozwoli mu zobaczyć, jaki zadał jej ból. Sięgnęła do kieszeni płaszcza i wyjęła paczkę słodyczy, którą wzięła wcześniej.

– Już po wszystkim. – Rzuciła woreczek na sofę. – Może będą ci smakować.

Nie spojrzał na nie.

– W porządku – powiedziała. Kolejny raz poczuła się zdradzona. Rozpalona. Zła. – Więc rywale.

Cisza.

Skinęła głową i skierowała się do drzwi.

21

Bestia.

Whit oderwał wzrok od obiektu swojej cichej obserwacji na dachu wysoko nad biurami Sedley Shipping i zobaczył stojącego kilka kroków dalej Diabła. Jego brat wypowiedział coś więcej niż jego imię i czekał na reakcję, ale Whit był zbyt skupiony na ulicy w dole, na której miarowy strumień pracowników portowych wchodził i wychodził z budynku – bez wątpienia po to, żeby otrzymać końcowe wynagrodzenie za pracę – a tuzin pracowników Sedley pośpiesznie wchodziło i wychodziło z magazynu z kartonami, koszami i dokumentami, przygotowując go dla nowego właściciela. Nie wiedzieli, że on stoi wysoko i obserwuje swój niedawny nabytek.

Nienawidził się za to, że go kupił.

– Jak mnie znalazłeś?

– Podałeś wszystkie punkty obserwacyjne, kiedy musieliśmy szukać Ewana. Myślisz, że miałbym nie wiedzieć, że tu jesteś? Że ją obserwujesz?

Hattie.

Minęły trzy dni, odkąd zostawiła go w jego domu po tym, jak zniszczyła go aurą swojej obecności. Nie był w stanie nic zrobić w domu – ani jeść, ani się wykąpać, ani nawet zapalić cholernej świeczki, nie myśląc o niej. Nie przeżywając wszystkiego raz jeszcze, jej zapachu migdałowego ciasta i grzesznego wyglądu.

Więc od trzech dni tam nie wracał.

Zamiast tego obserwował ją. Śledził z pewnej odległości od chwili, gdy wyszła od niego trzy wieczory wcześniej, do swojego domu w Mayfair, do Docklands, do magazynu, do kariolki Nory.

Patrzył, jak chodzi z wyprostowanymi plecami i wysoko uniesioną głową, jakby jej nie zranił. Jakby nie zrujnował niechcący Roku Hattie, nie z powodów, jakich mogła się domyślać, a tylko dlatego, że był potworem. Bo nie mógł powiedzieć jej prawdy. Gdyby to zrobił, był pewien, że jego dzielna wojowniczka sama odszukałaby Ewana. A nie mógł do tego dopuścić.

Więc obserwował ją, nieświadomą tego, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo.

Dopilnować, żeby Ewan nie mógł spełnić groźby. I była to przytłaczająca kara, bo wiedział, że ją zranił. A to było gorsze od tego, że ją stracił. Niemal gorsze niż wspomnienie jej jedwabistej skóry i cichego śmiechu, i jej smaku, i poczucia, że przeżywa pod nim ekstazę, i ogromnej siły woli, jakiej potrzebował, żeby odmówić sobie pozostania w niej i udziału w jej rozkoszy.

A jednak gdzieś w tym wszystkim – dając jej tylko to, czego pragnęła i nic poza tym – w tym wszystkim zadbał o to, żeby, zrujnowana, nie żałowała.

To jego dręczył żal.

Bo jak tylko zobaczył przed sobą nagą Hattie Sedley, chciał zatrzymać ją przy sobie na zawsze. Ale nie mógł. Nie był w stanie jej chronić.

Diabeł podszedł do niego i usiadł na skraju dachu.

– Jest tam?

Whit nie odpowiedział.

– Chłopaki mi powiedzieli, że siedzisz tu cały dzień.

– Ona też. – Przyszła wcześnie rano, promieniejąca jak słońce. Weszła do budynku i nie wychodziła, więc czekał, jak Orfeusz wychodzący z piekieł. – Znalazłeś go?

Diabeł pokręcił głową ze smutkiem w oczach.

– Nie. Ale dachy obserwują. Jeżeli pojawi się tutaj albo w dokach, dopadną go. – Wyprostował się. – A ty miej na oku swoją damę.

Nie moją.

– Nie może jej skrzywdzić.

To były puste słowa. Ewan szalał z żalu i złości, a każdym jego ruchem kierowała namiętność, a nie rozsądek. Whit zaczynał rozumieć.

– Nie, gdy go znajdziemy – powiedział. – Sam go zabiję.

– Mszcząc się za swoją damę?

Nie. Nie zniszczy Ewana za to, że groził Hattie. Ale to niczego nie zmieniało, zawsze będzie istniał wróg. Zawsze będzie zagrożenie. A on nigdy nie będzie w stanie zapewnić jej bezpieczeństwa. Spojrzał znów ulicę i obserwował dwóch robotników, wychodzących z magazynu z linami na plecach i uśmiechami na twarzach.

Przeszyła go zazdrość.

Widzieli ją?

Diabeł oparł się o niski murek na krawędzi dachu. Bracia siedzieli w milczeniu przez długie minuty i z daleka obserwator zachwycałby się ich siłą, jeden wysoki i śmiertelnie niebezpieczny, drugi krzepki osiłek.

– Nie możesz obserwować jej bez przerwy, Bestio.

Ależ mógł. Mógł ją obserwować, dopóki nie ułoży sobie nowego życia w Mayfair, z dala od niego. Mógł ją obserwować, dopóki nie znajdzie innej drogi do innej przyszłości. Z innym mężczyzną.

Zacisnął pięści na tę myśl, nienawidząc jej, choć wiedział, że tak będzie najlepiej.

Inny mężczyzna uchroniłby ją przed niebezpieczeństwem, które Whit mimowolnie by na nią ściągnął. Przełknął z trudem ślinę, obserwując dwóch mężczyzn wychodzących z budynku w dole, z kartonami w rękach, które nieśli do powozu ojca Hattie.

– Czego chcesz?

Diabeł uderzył laską o but.

– Jamie jest zdrowy. Lekarz pozwolił mu pracować. Chce na platformę.

– Nie. – Chłopak został postrzelony w bok i kiedy Whit widział go ostatnim razem, był o krok od śmierci; nie mógł być zupełnie zdrowy, choćby stwierdził to najlepszy lekarz. Pozwoli mu wrócić na platformę, jak sam się przekona, że jest w pełni sił. – Pracuje w magazynie, dopóki nie będzie gotowy na platformę.

Diabeł kiwnął głową.

– Tak mu powiedziałem. Nie był zachwycony.

– Powiedz, żeby przyszedł do mnie.

– Wieczny opiekun – rzucił z przekąsem Diabeł, stawiając kołnierz. – Jezu, jak zimno. – Gdy Whit nie zareagował, dodał: – Mają w porcie statek, wypełniony po brzegi lodem, alkoholem, kartami do gry i szkłem – wszystko czeka na wniesienie do magazynu, a potem zostanie rozesłane po całej Brytanii. Pół tuzina wozów będzie jeździć dziś w nocy do doków i z powrotem, żeby opróżnić statek.

– Lód na kiedy?

– Nik sprawdza topnienie, ale cieknie od dwóch dni, zarezerwowaliśmy wszystkie dostępne haki na wpół do dziewiątej. – Diabeł wskazał na drugą stronę rzeki, gdzie zbierały się szare, złowieszcze chmury. – Wygląda na to, że będziemy mieć osłonę z chmur. Przydałaby się na tydzień. – Przerwa. – Zakładając, że twoim zdaniem bezpiecznie to ruszać.

W jego słowach kryło się pytanie: czy Ewan po to przyjdzie?

– Nie interesuje go towar. Nigdy go nie interesował.

Diabeł milczał, stukał jedynie swoją piekielną laską. Whit spojrzał na niego.

– Powiedz, co masz do powiedzenia.

– Martwi mnie nie tylko Ewan.

Whit warknął.

– Co to znaczy?

– Gadają, że Bękarci zmiękli, bo Bestia znalazł sobie damę.

Rzeczywiście znalazłem damę. A potem ją straciłem.

– Jeżeli się martwią, że zmiękłem, to niech mnie znajdą. – Spojrzał znów na magazyn Sedleyów. – Zdywersyfikowałem nasze interesy.

– Z powodów biznesowych? Czy osobistych?

– Obu. – Whit wiedział, że jego słowa są kłamstwem. – Dzięki temu będzie bezpieczna. A teraz możemy przewozić…

– Niby co? – Diabeł uniósł brew.

– Nie wiem. Łososia w puszkach. Albo cebulki tulipanów.

– Co za brednie. Do licha, co ty wiesz o cebulkach tulipanów?

Oczy Whita zamieniły się w szparki.

– Zaczyna mnie trochę męczyć gadanie, że mówię brednie.

– Tak? A kto poza mną mówi ci prawdę? – Oczy mu błyszczały, a na długiej twarzy pojawił się uśmiech. – Powiem ci, brachu. Ona naprawdę mi się podoba.

– No to niech ci się nie podoba. – Whit zgromił go spojrzeniem. – Ona nie jest do podobania.

– Tylko do kochania?

Przemknęło mu nieprzyjemne wspomnienie. „Nie mogę cię kochać”, powiedział jej, kiedy ubierała się najszybciej, jak mogła, rozpaczliwie chcąc wyjść z jego domu po tym, jak zrujnował wspólnie spędzoną noc. Jaki imbecyl mówi takie rzeczy kobiecie, z którą się kochał? Na pewno był jakiś inny sposób, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo. Coś innego niż obrażanie jej. Jezu. Powinien dźgnąć się za karę. Nie miało znaczenia, że była to prawda.

– Jakiś inny szczęściarz ją pokocha.

– A dlaczego nie ty?

Zmierzył Diabła spojrzeniem.

– Ewan jej groził, Diable. Wprost.

Diabeł przyglądał mu się przez długą chwilę, uderzając tą piekielną laską o duży palec wyciągniętej nogi.

– Skoro dywersyfikujemy, będziemy musieli odbyć rozmowę na temat statków.

– Dlaczego?

– Po pierwsze, lepiej dowiedzmy się czegoś na temat łososia i tulipanów, a poza tym stoją puste na nabrzeżu, a to im nie służy.

– A skąd ty niby wiesz, co służy statkom?

– Nie mam pojęcia, ale teraz, kiedy mamy ich całą cholerną flotę, któryś z nas musi się tym chyba zainteresować, nie sądzisz? Zdaje się, że będziemy musieli poszukać fachowca od łodzi. – Cisza. – Znasz kogoś, kto kocha statki?

– Czego ode mnie chcesz? – Whit odwrócił się do brata.

– Schrzaniłeś sprawę – powiedział Diabeł.

– Myślisz, do cholery, że o tym nie wiem? – Whit powstrzymał się, żeby nie uderzyć brata pięścią w twarz bez wyraźnego powodu. – On groził, że ją zabije.

– A ty ukradłeś jej firmę. Ukarałeś ją za grzechy mężczyzn, skądś to znam. – Diabeł wdrożył ten plan, zanim zakochał się w Felicity. – Jezu, co my, mężczyźni, robimy kobietom.

– Brednie – skwitował Whit. – Co mogłem zrobić, żeby ją ochronić?

– Nic – odpowiedział Diabeł. – Żeby ją ochronić, musiałbyś ją uwięzić. A wiem jedno: kobiety nie lubią więzień.

– Jest niesamowita. I powinna prowadzić tę firmę. Powinna była prowadzić ją od samego początku, ale ojciec jej nie pozwalał.

Diabeł kiwnął głową.

– Więc niech pozwoli jej mąż.

Znaczenie tych słów oszołomiło go, jeszcze zanim jego brat dodał:

– Ożeń się z nią.

W tych słowach była ironia, jakby małżeństwo było najlepszym rozwiązaniem, którego Whit po prostu nie wziął pod uwagę. Jakby nie dręczyła go myśl o tym, żeby ją poślubić. Jakby nie wyobrażał sobie, że dzięki małżeństwu będzie miał ją blisko. Ale to nie zapewniłoby jej bezpieczeństwa.

– Chyba sobie przypominam, że sam niedawno podpowiadałem ci coś podobnego, a ty przyjąłeś tę moją sugestię… nie za dobrze.

Diabeł oparł się i założył sobie ręce na piersiach ze spokojem mężczyzny, który jest kochany.

– Jak już się do tego zabrałem, poszło mi bardzo dobrze.

Whit pokręcił głową.

– Ślub nie wchodzi w rachubę.

– Dlaczego? Równie dobrze możesz się z nią ożenić, jeżeli masz zamiar do końca życia chodzić za nią jak pies obronny. Chciałeś tej dziewczyny, Whit. Widziałem, jak się nią zainteresowałeś podczas walki tamtej nocy. Zauważyłem, jak się spiąłeś.

Pewnie, że jej pragnął. Jezu. Każdy mężczyzna przy zdrowych zmysłach by jej pragnął. Była cudowna, odważna, silna i piękna, a gdy się pojawiała, działała na mężczyznę jak grzech.

Ale jak mógł ją wciągnąć do tego świata? Narazić na niebezpieczeństwo?

Diabeł uniósł ciemną brew.

– Powiedzieć ci, co myślę?

– Nie.

– Ona cię chce?

Istnieje tysiąc powodów, dla których nie powinnam za ciebie wychodzić, ale to, gdzie się wychowałeś, nie ma żadnego znaczenia.

Ciągle słyszał złość Hattie w tych słowach.

– Nie. – Już nie.

Jego brat ściągnął brwi.

– Dlaczego? Jesteś obrzydliwie bogaty, silny jak byk i niemal tak przystojny jak ja.

– I to wystarczy? – Whit uniósł brwi.

– No, jeżeli jest bystra, jak mówisz, jest z całą pewnością dla ciebie za dobra, ale to nie powstrzymało Felicity przed tym, żeby za mnie wyszła.

– Popełniła błąd.

– Nigdy jej tego nie mów – poprosił Diabeł z głupim uśmiechem, ale po chwili znów spoważniał. – Odpowiedz mi: chce cię?

Cisza.

– Aha. Więc dlatego kupiłeś firmę i statki.

– Nie! – zaprotestował Whit, odpierając niepokojącą prawdę w głębi umysłu. – Kupiłem je, żeby ją ochronić. Jak rozmawialiśmy.

– Zaryzykuję i się powtórzę: brednie. – Diabeł uśmiechnął się szelmowsko. – Kupiłeś firmę i statki dla Henrietty Sedey. Jak wtedy, gdy byliśmy mali i próbowałeś zwrócić uwagę tamtej dziewczyny, kupując jej keks, na który zerkała całe popołudnie. – Przerwał, rozproszony wspomnieniem. – Jak ona się nazywała?

– Sally Sasser. – With natychmiast przyjął obronną strategię. – I dałem jej ten keks!

– Ale kupiłeś go, żeby zwrócić jej uwagę, zamiast zwyczajnie jej powiedzieć, że chcesz pójść z nią na spacer, czy coś innego. Jak idiota.

– Ty dla rozrywki omal nie zniszczyłeś reputacji żony – wytknął mu Whit.

– Aha! – Diabeł się uśmiechnął. – Więc przyznajesz, że chcesz się ożenić z tą dziewczyną.

„Nie mogę cię kochać”.

Byłaby kolejną osobą, o którą musiałby się troszczyć. Kolejną, którą musiałby chronić.

Kolejną, którą mógłby stracić.

– Nic takiego nie powiedziałem. – Whit był sfrustrowany. – Kupiłem je, żeby odciągnąć ją od Bękartów. Kupiłem je, bo chcę zapewnić jej bezpieczeństwo.

– W porządku. Dlaczego je zatrzymałeś?

– Bo mam je dopiero od tygodnia!

– Eee. Dlaczego je zatrzymałeś, brachu?

Whit milczał.

Dla niej.

Jezu. Przeciągnął dłonią po twarzy.

Zatrzymał je dla niej. Bo powiedziała mu, że chce zajmować się statkami. A on chciał jej dać to, czego chciała. Bo nadzieja była kapryśną suką.

– Zgadłem.

– Odwal się – powiedział Whit. – Dopiero kiedy byłeś o krok od śmierci w okopach, dotarło do ciebie, jak spieprzyłeś sprawę z Felicity.

– A ty sobie tu siedzisz cały i zdrowy. – Na twarzy Diabła zagościł uśmieszek. – A teraz opowiedz mi, jak ty spieprzyłeś sprawę, żebym mógł się z tobą podzielić mądrością starszego brata.

– Urodziliśmy się tego samego dnia.

– Zgadza się, ale wiadomo, że ja jestem mądrzejszy.

– Odwal się.

Diabeł się nie ruszył, pozwalając ciągnąć się ciszy, wiedząc, że w przypadku Whita cisza nie jest taką zwykłą ciszą. Cisza oznaczała myśli, tysiąc na minutę.

– Jest dla mnie za dobra – wyznał w końcu.

W oczach Diabła nie było niezgody. Ani wesołości.

– Daleko mi do kogoś, na kogo zasługuje. Jestem bękarcim synem najgorszego człowieka, wychowanym w norze w Holborn, odrodzonym w brudzie i walkach rynsztoku. – Przerwał. – I Ewan. Nie mogę jej prosić, żeby żyła w jego cieniu.

Diabeł uniósł jedną brew.

– Nie jestem pewien, czy Henrietta Sedley jest kobietą, która żyje w czymkolwiek cieniu. Słyszałem, że niemal zlikwidowała Michaela Doolana nożem, który ci wykradła.

– Była gotowa pokroić go na kawałki.

– Całe szczęście, że się zjawiłeś. – Diabeł uśmiechnął się szelmowsko.

– Nie żartuj sobie. Ona nie jest taka jak my. Nie walczy nieczysto. Jest tak czysta, że nie wyobrażam sobie, jak udałoby mi się nie wciągnąć ją do tego rynsztoku, gdybym ją tknął.

– Tak wysoko nad tobą, że ledwie ją widzisz – powiedział łagodnie Diabeł. Te słowa były pełne wspomnień.

– Tak. – Whit spojrzał w dół na pustą ulicę.

– A co mówi ta dama?

„Jak mogłabym to zapomnieć?” Zdawała sobie sprawę z tego, co przeżyli? Jak było to niespotykane? Ale to już nie miało znaczenia, bo on to zniszczył. Sprawił, że poczuła się jak zadanie do wykonania. Jakby on przez resztę dni swojego życia nie miał szukać tej rozkoszy, której zakosztował przy niej.

„Nie mogę cię kochać”.

„Nigdy nie prosiłam cię o miłość”.

– Powiedziałeś jej? – przerwał Diabeł. – O przeszłości?

– Nie jestem dla niej wystarczająco dobry. – Whit spojrzał bratu w oczy.

– Mylisz się. – Diabeł pokręcił głową. – Ale nigdy nie zdołałem cię o tym przekonać. Grace też nie. Ale posłuchaj mnie. Jesteś najlepszym człowiekiem z całej naszej zgrai.

Whit poczuł wstyd, słysząc te słowa, i odwrócił wzrok.

– To nieprawda. Nie zapewniłem ci bezpieczeństwa. – Zamilkł, myśląc o tej nocy, kiedy uciekli. – Nie ochroniłem matki. I nie ochronię Hattie.

Diabeł westchnął.

– Ewan to warchoł, ale jest najbystrzejszy z nas wszystkich. Zawsze wiedział, co jest naszą słabością. – Chwila przerwy. – Myślałem, że jestem jak książę.

Whit poderwał głowę, słysząc to wyznanie.

– Nie masz z nim nic wspólnego.

– Na ogół o tym wiem. I chciałbym, żebyś zrozumiał właśnie to. – Nieustępliwość i frustracja lśniły w jego bursztynowych oczach. – Chciałbym, żebyś zrozumiał, że Szalony Książę Marwick po raz drugi w życiu zagraża twojemu szczęściu, ale tym razem stawka jest o wiele większa.

Hattie.

– I chciałbym, żebyś zrozumiał, że przez ostatnie dni karzesz nie tylko siebie; ukarałeś też Hattie. A co gorsza, dokonałeś wyboru za nią. – Wyciągnął rękę do ramienia brata. – Jesteś kimś więcej niż naszym wybawcą.

Whit zamknął oczy, przypominając sobie noc ich ucieczki.

– Ledwie mogłem się ruszać. Powinniście byli mnie zostawić.

– Nie. – Diabeł się wyprostował. – Byłeś jednym z nas. Ewan tamtej nocy przyszedł po nas wszystkich. Ewan, który przepadł, i książę, który nie żyje, i pora, żebyś zrozumiał, że bez ciebie Grace i ja bylibyśmy nikim. Pora, żebyś zrozumiał, że bez ciebie Rookery byłoby niczym. Ludzie nie mieliby pracy, kobiety dumy, a dzieci nie jadłyby lodów cytrynowych za każdym razem, kiedy mamy statek w porcie. I to dzięki tobie. Ja tego nie stworzyłem. Byłem zbyt wściekły i żądny zemsty. To twoje dzieło. Bo zawsze się o nas troszczyłeś. I zawsze będziesz najlepszym z nas. – Te słowa zawisły między nimi, aż po chwili Diabeł dodał: – Henrietta Sedley może i jest najlepszą kobietą, jaką świat widział, ale ani przez chwilę nie wątp w to, że jesteś jej równy.

„Traktowałeś mnie jak równą sobie”.

Słowa Hattie, pełne podziwu.

I niedowierzania Whita.

– Nie jestem w stanie cię o tym przekonać – powiedział łagodnie Diabeł, obejmując dłonią głowę brata i przyciągając ją do siebie, aż ich czoła się dotknęły. – I, niestety, ona też nie.

– Nie mogę zapewnić jej bezpieczeństwa. – Whit wziął głęboki oddech.

– Nie. – Diabeł pokręcił głową. – To najgorsza prawda. Ale najlepszą prawdą jest miłość.

Miłość do Hattie.

– Przepraszam, że zakłócam, jak widać, piękną chwilę, ale mamy problem.

Bracia podnieśli wzrok i ujrzeli idącą przez dach Annikę, wysoką, jasnowłosą, w powiewającym na wietrze płaszczu i skrzywioną, jakby znalazła się w środku zimy w Oslo.

– Nik! – powiedział Diabeł, uwalniając Whita z uścisku, i odwrócił się z szerokim uśmiechem na twarzy. – Nie uwierzysz, jakie doszły mnie plotki.

– Nie obchodzi mnie to. – Nik nie patrzyła na niego.

– Słyszałem, że masz nową przyjaciółkę.

Norweżka zamarła i spojrzała na Whita z błaganiem w oczach.

– Każ mu się zamknąć.

Whit nie był w stanie ukryć własnego uśmiechu, tak miłego po wydarzeniach ostatnich dni.

– Gdzie byłaś dwadzieścia minut temu, kiedy on tu wszedł? Szkoda, że nie zrobił tego samego.

– Jeden z chłopaków powiedział mi, że przyprowadziłaś na dach pewną szaloną panią woźnicę, żeby oglądać z nią gwiazdy zeszłej nocy – powiedział Diabeł.

Nik odkaszlnęła.

– Chciałam jej wynagrodzić to, że twoi przestępcy ukradli jej powóz.

Olśniło go. Nik i Nora. Ale Whit nie dziwił się stojącej przed nim kobiecie, jeżeli Nora była jak jej przyjaciółka. Nie można było jej się

oprzeć. Ale po kolei.

– Powiedz tej damie, że usunę koła z wszystkich jej powozów, jeżeli nie nauczy się jeździć ostrożniej.

Nik przewróciła oczami i zgromiła Diabła wzrokiem.

– To Brixton? Musi się nauczyć trzymać język za zębami.

– To nie był Brixton – powiedział Diabeł, od niechcenia uderzając czubkiem laski w but. – I nie musisz czuć się zawstydzona. Wspomniałem o tym tylko dlatego, że Felicity i ja nieraz siedzieliśmy tu, na tym dachu. – Spojrzał na Whita. – Może powinieneś przyprowadzić tu pannę Henriettę.

Myśl o przyprowadzeniu Heattie na dach i o niej leżącej nagiej pod gwiazdami była przytłaczająca.

Whit spojrzał groźnie na brata.

– Jesteś dupkiem. – Zerknął na ich towarzyszkę i powstrzymał się, żeby nie gapić się na jej różowe policzki. – Co się stało?

W jej oczach pojawiła się wdzięczność.

– Potrzebujemy czterdziestu krzepkich mężczyzn dziś wieczorem w porcie, żeby pomogli w rozładunku.

Whit kiwnął głową.

– Ale nie mamy czterdziestu – powiedziała. – Nie mamy nawet czterech.

Whit się nie przejął. Na razie. Ale był zaintrygowany.

– Co to znaczy?

Machnęła długą ręką w kierunku statków w oddali.

– W dokach jest cicho.

– Bo Whit wykupił wszystkie statki – wyjaśnił Diabeł. – Już sobie z nim o tym porozmawiałem. Załatwiamy to. Co wiesz o łososiu w puszkach?

Nik zmarszczyła czoło zdezorientowana, a po chwili pokręciła głową i wróciła do swojej sprawy.

– Nie o to chodzi. Nie ma kto pracować.

Diabeł parsknął cichym śmiechem.

– Niemożliwe.

– Przysięgam – zapewniła Nik. – Nikt nie pracuje w dokach. Nikogo nie złapiemy, a topnieje nam dziewięćdziesiąt ton lodu, kiedy się tu zastanawiamy, co jest, a co nie jest możliwe.

– Widziałem robotników przez cały dzień – powiedział Whit, unosząc brodę w stronę magazynu po przeciwnej stronie ulicy. – Wychodzili z Sedley i wchodzili, odbierali wypłatę.

– W każdym razie… – Sięgnęła do płaszcza, wyciągnęła kartkę i podała ją Whitowi. – Nie ma ludzi do rozładunku w dokach. I jeśli mam się domyślać, powiedziałabym, że to przez ciebie.

Wziął list.

Bestio, gratulacje z powodu nowego interesu.
Powodzenia w znalezieniu ludzi, którzy będą chcieli dla ciebie pracować.
Czekam na odpowiedź.
Twoja, i tak dalej
Lady Henrietta Sedley
Przyszła właścicielka Sedley Shipping

Zaśmiał się lekko, nerwowo i spojrzał na Nik.

– Skąd to masz?

– Sarita mówi, że przybiła to do masztu „Syreny” niecałą godzinę temu.

– Co to jest: „Syrena”? – Zmarszczył brwi.

– Jeden z naszych nowych holowników.

– Niemożliwe. Od przyjścia nie wychodziła z magazynu.

– Chyba jednak wychodziła. – Uniosła brew, wskazując liścik. – Znaleźliśmy go, łopoczącego na wietrze, dosłownie jedyny odgłos w dokach.

Te doki były zawsze pełne, zawsze, kiedy w porcie stał statek, mężczyźni się kręcili, wiedząc, że znajdą się tu pieniądze dla każdego z mocnymi plecami i silnymi rękami. Spojrzał w dół na liścik.

– Nie ma kogo zaczepić?

– Nigdzie. – Nik pokręciła głową. – Mamy naszych ludzi, ale stanowczo za mało, żeby opróżnić ten statek tak szybko, jak musimy.

Jak ona to zrobiła?

Diabeł zagwizdał, przeciągle i cicho.

– Zdawało mi się, że mówiłeś, że ona nie gra nieczysto.

Serce Whita zaczęło łomotać. Powiedział tak. Ale to było nieczyste zagranie. Cudownie, szelmowsko nieczyste. Podniósł papier do nosa i poczuł delikatny zapach migdałów.

– Jej nie trzeba chronić – powiedział Diabeł, a jego słowa były pełne czarnego humoru. – Jezu, to raczej nas wszystkich trzeba chronić przed nią. Wytacza ci wojenkę przed samym nosem. Musisz załatwić to ze swoją dziewczyną, Bestio. Naraża na niebezpieczeństwo cały transport, chyba nie muszę ci mówić, ile miesięcy będziemy potrzebować, żeby zdobyć takie ilości szampana, który jest zablokowany, jeżeli go ukradną.

Whit powinien być wściekły. I był. Naraziła się na niebezpieczeństwo, żeby mu się postawić. Ale rozpierało go też podniecenie. Nie stracił jej. To był strzał kulą w płot.

– Obiecała mi rywalizację.

Kolejne długie, ciche gwizdnięcie Diabła.

– To dowód na to, że obserwacja nie wystarczy, bracie. Jeżeli chcesz, żeby była bezpieczna, powinieneś stać obok niej.

22

Potrzebowała trzech dni, sporej ilości pieniędzy i odebrania wszelkich przysług, jakie wyświadczyła, pracując dla Sedley Shipping, i każdego przejawu dobrej woli mężczyzn i kobiet tu, w dokach, ale wykluczyła wszystkich dostępnych ludzi na dzisiejszy wieczór i wiedziała, że Whit nie będzie miał wyjścia i będzie musiał do niej przyjść.

Wiedziała, że to głupie, ale chciała, żeby do niej przyszedł. Bo trzy dni temu, choć opuszczała jego pokoje zawstydzona i upokorzona, nadal chciała mu udowodnić, że jest silnym przeciwnikiem.

I rywalką, z którą trzeba się liczyć.

Kłamstwo.

Chciała, żeby zobaczył, że idealnie do siebie pasują.

„Nie mogę cię kochać”.

Na szczęście nie musiała mierzyć się ze wspomnieniami jego słów, bo się zjawił. Wyczuła go, zanim się odezwał, jego obecność odmieniła atmosferę – sprawiła, że poczuła się speszona i silna jednocześnie.

Odwróciła się do niego, z płynącym w żyłach podnieceniem, zadarła głowę, a chłodna bryza znad Tamizy kłębiła spódnice wokół jej nóg. Chciała wyglądać na taką silną, jak czuła się w tej chwili. A była silna. Coraz silniejsza, gdy się zbliżał.

Jej rywal.

Jej dopełnienie.

Coś więcej. Czy on tego nie czuje?

Jego długie kroki pokonywały pokład, jego wzrok był nieruchomy.

Nie poruszyła się i na jedną krótką, cudowną chwilę cały odpłynął, a ona była pełna triumfu, jakby jej plany na Rok Hattie wcale nie legły w gruzach. Bo przecież przyciągnęła go do siebie.

Przystanął u dołu prowadzących do niej schodów.

– Wtargnąłeś tu.

Uniósł brew.

– Przyszedłeś, żeby mnie jak najszybciej odprawić?

– To moja łódka, lady Henrietto.

Te słowa były pewne i niewzruszone, wypowiedziane tonem, który z całą pewnością był w stanie onieśmielić całe rzesze mężczyzn. Ale Hattie nie była mężczyzną. I nie chciała dać się onieśmielić. Te słowa sprawiły, że chciała mieć władzę.

– Ten statek – poprawiła go z teatralną przesadą – stoi w tym porcie pusty i gnije.

Zaklął pod nosem i spojrzał w niebo.

– Jestem właścicielem tych cholernych łódek od tygodnia, więc jeszcze za wcześnie, żeby urządzać im pogrzeb.

– W ogóle nie musimy urządzać im pogrzebu. – Uniosła latarkę stojącą u jej stóp i przysunęła ją do szczytu schodów, na których stał Bestia. – O ile mi je sprzedasz.

– Za ile? – Uniósł brew.

– Za ludzi, których odcięłam, tych, których potrzebujesz, żeby uratować twój wielki ładunek lodu. Tych, po których do mnie przyszedłeś.

– Nie możesz trzymać ich w zamknięciu do końca świata.

– Ale mogę ich trzymać wystarczająco długo. – Przeniosła wzrok z rzędu statków na holownik, który stał zanurzony w wodzie głębiej niż wszystkie inne, i szybko oceniła go wzrokiem. – Na oko osiemdziesiąt parę ton topiącego się lodu.

– Dziewięćdziesiąt parę – poprawił ją.

– To niedługo – powiedziała. – Co jest w lodzie, miejmy nadzieję, suchego? Kolejna partia burbonu, który tak lubisz?

Coś błysnęło w jego oku. Zaskoczenie. Podziw. A Hattie przezwyciężyła chęć pokazania swojego triumfalnego uśmiechu.

– Mnie nie obchodzi prawdziwy ładunek, ale zainteresuje złodziei. Nie chcesz tych statków, a ja tak. I moim zdaniem może być ci bardzo trudno prowadzić interesy ze statkami w tym porcie, z tymi ludźmi, jeżeli nie będę tego chciała.

– Nie wiesz, z kim pogrywasz.

– Wydaje mi się, że gram z człowiekiem równym sobie. – Uniosła brew i zalało ją podniecenie. – Ostatecznie właśnie sprzątnęłam wszystkich robotników stąd aż do Wapping, a dotąd żaden z rywali czegoś takiego nie zrobił. Jakie masz teraz wyjście?

Przyglądał jej się w milczeniu.

– Bardzo jesteś z siebie dumna, prawda, wojowniczko?

– Tak, dosyć. – Uśmiechnęła się promiennie. – Musisz przyznać, że to mistrzowskie posunięcie.

Nie odpowiedział, ale dostrzegła lekki grymas jego warg, który sprawił, że zapragnęła rzucić mu się w ramiona i go pocałować, mimo że byli wrogami.

Oparła się impulsowi i zmieniła temat.

– Wiesz, dlaczego statki mają galiony?

– Nie.

Uśmiechnęła się, podnosząc latarkę z ziemi.

– Miały je, od kiedy tylko zaczęto żeglować, na całym świecie. Wikingowie, Rzymianie, Grecy. Każda kultura, o której wiadomo, że wypływała na otwarte wody, wykorzystywała galiony.

Podeszła, stanęła na szczycie schodów i patrzyła na niego z góry.

– Starożytni nordyccy żeglarze wierzyli, że galion kierował losem. Pokaźny statek mógł mieć ich osiem albo dziesięć, choć sporo ważyły i

zabierały cenną przestrzeń. Miały strzec i chronić przed każdą groźną na morzu okolicznością: jedna przed spokojnym morzem, inna przed sztormem, jeszcze inna, żeby uspokoić wiatry. A jeżeli na statku wybuchnie epidemia? Był na to galion.

On nadal milczał.

– Kiedy na otwartych wodach zrywał się sztorm, załoga pędziła zamykać włazy i zwijać żagle, żeby przygotować się na wzburzone morze. Ale zadaniem niektórych członków załogi była wymiana galionu na taki, który odstrasza zło, chroni przed sztormem i zaprowadzi żeglarzy do raju, gdyby wydarzyło się najgorsze. – Przyglądała mu się uważnie. – Podobno jeżeli statek tonie bez galionu, żeglarze, którzy giną, błąkają się po morzu.

Przerwała. On słuchał z błyskiem w oku.

– Mów dalej.

Zawsze jej słuchał. Umiał sprawić, że czuła się, jakby była jedyną istotą na całym świecie.

– Te? Te, które mierzyły się ze sztormami? Te, które towarzyszyły żeglarzom w godzinie śmierci? To były zawsze kobiety. – Spojrzała na czarną rzekę, na której po odpływie statki osiadły w mulistym dnie. – Kiedy byłam młodsza, wydawało mi się to cudowne – w końcu kobiety przynosiły żeglarzom pecha, ale na każdy statek przypadało pół tuzina kobiet pragnących wypłynąć w morze. – Przerwała, przypominając sobie morskie legendy, które opowiadał jej ojciec.

– Tylko jak byłaś młodsza?

Spojrzała mu w oczy.

– Teraz rozumiem, że bajka o tym, że dziewczyny przynoszą na statku pecha, została wymyślona tylko po to, żeby kobiety nie mogły wieść życia takiego, jakiego chcą.

– Opowiedz mi resztę. – Kiwnął głową.

– To tylko bajka – powiedziała. – Wymyślona po to, żeby przekonać młodych mężczyzn do tego, żeby całkowicie oddali się morzu i

zrezygnowali z życia. Legenda przekazywana sobie nawzajem przez mężczyzn. Więc kiedy spotykała ich nieunikniona śmierć, wydawała się właśnie taka, nieunikniona. Ale też nie taka zła, bo się jej spodziewali.

– No i?

– Wierzymy w legendy, zwłaszcza kiedy wydaje się, że nie mogą mieć nic wspólnego z prawdą. – Zaczęła schodzić po schodach do niego. Nie ruszył się. – Porwanie to nie legendy. Cios w głowę? – Machnęła ręką. – Dostałeś ich tysiąc. – Postawiła stopę na ostatnim stopniu, na takiej wysokości, że patrzyła mu prosto w oczy. – Ale… noc, kiedy port zamarł?

Roześmiał się lekko.

– Historia na wieki.

– Dzięki tej historii będę królową. Kobietą, która powstrzymała Bestię.

Spuścił wzrok i na chwilę jego oczy wypełnił grzech.

– Podoba ci się to – zauważył się w końcu ponurym, cichym głosem.

Tak. Podobało jej się. Ale chciała być tylko jego królową.

Zignorowała tę niemożliwą myśl.

– Jeżeli zrezygnujesz z tych statków, twój zostanie rozładowany dzisiaj, zgodnie z planem. I nikt nie musi się dowiedzieć, że ja ich zamknęłam. Ale jeśli nie…

– To szantaż – powiedział.

– Nonsens – odpowiedziała. – To negocjacje. Pomiędzy rywalami.

– Aaaa – odezwał się cicho, a ona uświadomiła sobie, że jeżeli się pochyli, leciutko, znajdzie się na tyle blisko, żeby go dotknąć. Nie wydawał się tym zainteresowany.

– Jeżeli nie podobają ci się te negocjacje, mam też propozycję – dodała.

– Zamieniam się w słuch. – Uniósł brwi.

– Ty masz władzę w Covent Garden, a ja dzisiaj udowodniłam swoją w Docklands. – Zamilkła.

– Spółka.

– Wspólny interes. – Kiwnęła głową.

– Wszystko uczciwie – powiedział.

– Cóż, z mojej strony na pewno – odparła, zachwycona grymasem, jaki pojawił się na jego twarzy. Uwielbiała go. Żałowała, że nie może zaproponować ważniejszej spółki. Takiej, która polegałaby na byciu razem wieczorami i za dnia.

Żałowała, że on nie może jej pokochać.

Whit wyciągnął z kieszeni zegarki i spojrzał na dwie metalowe tarcze, a potem znów je schował. Odwrócił wzrok, przestąpił z nogi na nogę i przez chwilę Hattie myślała, że może odejść. Ale tego nie zrobił. Wziął głęboki oddech i wypuścił powoli powietrze. A potem, jakby nosił te słowa od wieków, zaczął opowiadać.

– Urodziłem się w St. Thomas, w Southwark.

Zamarła, zszokowana tymi słowami, jego tak osobistym wyznaniem, przytłaczającym. St. Thomas był szpitalem dla niezamężnych matek, ponurym miejscem. Większość urodzonych tam dzieci rozmieszczano w sierocińcach w całym mieście, ich matki ze wstydu wierzyły, że samotne macierzyństwo będzie dla dziecka takim stygmatem, że skazywały je na los jeszcze gorszy niż sam szpital. Jakby sierocińce były lepsze niż domy, biedne czy nie. Jakby instytucja była lepsza niż rodzina, jakkolwiek wyglądała.

– Wybawiciel – wyszeptała, nie będąc w stanie się powstrzymać.

Nigdy więcej tak do mnie nie mów.

W jednej chwili usłyszała nieprzyjemne echo jego złości tamtej nocy, kiedy rzuciła mu tym imieniem w twarz.

– Przepraszam. Nie chciałam…

– Nie – powiedział z lekkim uśmiechem, jakby próbował ulżyć jej skrępowaniu. – Masz rację. Otrzymałem imię od miejsca, w którym się urodziłem i po mężczyźnie, który ufundował szpital. Moja matka w ten sposób zapłaciła za łóżko. Takich jak ja są setki. Tysiące.

Hattie miała wielką ochotę go dotknąć, choć wiedziała, że na to nie pozwoli.

– A twoja mama? Jak miała na imię?

– María. – Patrzył poza nią, w stronę rzeki, na której pół tuzina łodzi płynęło we mgle i w niskiej wodzie, a płonące na nich latarnie zamieniały je w unoszące się na wodzie chmury. – María de Santibáñez. Dwadzieścia lat nie wypowiadałem tego głośno. – Wypuścił powietrze. – Mówiła mi, że nosiła takie samo imię jak jakaś pradawna krewna, dama na królewskim dworze. – W jego głosie pojawiła się pogarda. – Jakby to coś znaczyło.

– Dla niej znaczyło.

– Byłaby w siódmym niebie, gdyby wiedziała, że doszedłem do tego miejsca. I rozmawiam z córką hrabiego.

– Który został nim dzięki łutowi szczęścia – przypomniała. – Gdy umrze mój ojciec, nic po tym nie zostanie. A ja znów będę musiała liczyć na siebie.

– W ciągu tych paru tygodni, odkąd cię znam, Henrietto Sedley, zdążyłem się przekonać, że przewyższasz innych. Powinnaś otrzymać tytuł hrabiowski.

Prychnęła.

– Nie zależy mi na tytule.

– Mój ojciec był księciem.

Hattie opadła szczęka, gdy usłyszała te słowa, wypowiedziane tak, jakby chodziło o obrót na sali balowej Mayfair. Pokręciła głową, jakby chciała oprzytomnieć.

– Powiedziałeś…

Znów ponury śmiech.

– Imię matki wypowiedziałem dwadzieścia lat temu, a o tym nie mówiłem nigdy. Ale to prawda, mój ojciec był księciem.

– A ty urodziłeś się w St.Thomas.

– Rodzice mojej matki przyjechali z Hiszpanii do pracy w posiadłości ojca mojego ojca. – Przerwał, jakby po raz pierwszy zaświtała mu w głowie ta myśl. – Mojego dziadka. – Po chwili mówił dalej. – Ojciec mojej matki był świetnym jeźdźcem. Sprowadzono go z Madrytu, żeby nadzorował stajnie należące do posiadłości. Moja matka urodziła się we dworze i wychowała w jego blasku.

Wychowana w książęcej posiadłości w Anglii córka nadzorcy stajni powinna być szczęśliwa, przeznaczona do życia jako żona i matka, i dobrze wyjść za mąż. Whit powinien wieść życie, które nie ma nic wspólnego z Covent Garden.

– I co się stało?

– Jej rodzice zmarli młodo, a jej przydzielono miejsce w głównym domu.

Hattie przebiegł dreszcz. Słyszała tę historię tysiące razy. Majętni mężczyźni i to, jak niszczyli młode kobiety wokół siebie.

– Whit… – Wyciągnęła rękę, ale on się cofnął.

– Nigdy nie powiedziała na niego złego słowa. Wynajdywała usprawiedliwienia dla tego, co zrobił. Był przecież księciem, a ona służącą, a tacy się nie pobierają. Ale była piękna, a on czarujący… a mężczyźni to mężczyźni… – Zawiesił głos, a Hattie obserwowała wydatne kości policzkowe i pełne wargi, które pozbawiły ją mowy, gdy pierwszy raz go zobaczyła. Bez trudu mogła sobie wyobrazić, że jego matka była wielką pięknością.

Gdy na nią patrzył, dostrzegła coś w tych jego pięknych orzechowych oczach – tak podobnych do oczu jego brata, więc domyślała się, że musieli odziedziczyć je po ojcu.

– Zrobiłem w życiu wiele różnych rzeczy. Takich, za które powinienem pójść prosto do piekła. Ale nigdy nie powtórzyłem grzechów ojca.

– Wiem. – Nie miała co do tego wątpliwości.

Wziął głęboki oddech.

– Byłem młody i nie rozumiałem. Wierzyłem jej, wierzyłem, że odprawiono nas ze dworu, bo tak postanowiono, i że powinniśmy być wdzięczni za zapchlony materac w Holborn i za pieniądze, które nie wystarczały nawet na świece, żeby dobrze widziała. Ale teraz… – Zawiesił głos, a ona czekała. Nienawidziła tej historii. Rozpaczliwie chciała ją usłyszeć. – Teraz wiem, że uciekła z tego szpitala. Że uciekła, żeby mnie jej nie zabrano. – Hattie poczuła ucisk w piersi, słysząc w jego głosie złość. – Powiedzieliby, że odbierają mnie jej, bo to będzie dla niej dobre. Że ją uratuje. Ale ona się dla mnie poświęciła.

To nie była prawda.

– To nie było poświęcenie.

– Było – powiedział, poddając się wspomnieniom o kobiecie, która musiała go bezgranicznie kochać. – Kiedy on nas znalazł, nawet na nią nie spojrzał. Przyszedł po mnie.

– Odebrał ją ci – oznajmiła łagodnie.

Spojrzał jej w oczy z wdzięcznością, a potem się odwrócił. Hattie poszła za nim, jak na smyczy. Gdy dotarł do głównego masztu, wyciągnął rękę, żeby dotknąć okaleczonego drewna, do którego od zawsze przybijano rozmaite przedmioty. Odezwał się do masztu.

– Zostawiłaś tu dla mnie list.

Nie zaskoczyła jej zmiana tematu.

– Mam tendencję do dramatyzmu.

Obejrzał się na nią przez ramię.

– Rok Hattie.

– Zapowiada się tragicznie.

– Na pewne rzeczy potrzeba czasu – zauważył.

– Ja czekałam już wystarczająco długo.

Kiwnął głową, schował dłonie do kieszeni i oparł się o maszt z czapką nisko na czole, połami płaszcza powiewającymi mu wokół nóg, przez co wyglądał jak uosobienie szelmowskiego żeglarza i Hattie przez chwilę

zastanawiała się, jakby to było, gdyby należała do niego. Jakby nie musiała z nim walczyć. Jakby po prostu wziął ją pod swój płaszcz i pozwolił jej się upajać swoim ciepłem, objął ją za szyję i…

Kochać go.

Co by było, gdyby ten wyjątkowy mężczyzna pozwolił, żeby go kochała?

– Chcę ci opowiedzieć resztę.

– Chcę jej wysłuchać.

Jego przenikliwy wzrok powędrował do jej oczu, jakby go zaskoczyła.

– To będzie straszne, prawda?

– Tak – odpowiedział.

Kiwnęła głową.

– I nigdy wcześniej nikomu tego nie opowiadałeś.

– Zgadza się. – Nie mógłby.

Spojrzał w górę na maszt, na mocno ściągnięte i związane żagle.

– Dlaczego tego chcesz?

Bo cię kocham.

Nie mogła tego powiedzieć. Więc przysunęła się o krok, na tyle, że jej spódnica kłębiła się wokół jego nóg.

– Bo mogę.

I to zdawało się wystarczać.

– Było nas czworo.

Kiwnęła głową.

– Wszyscy urodziliśmy się tego samego dnia. – To usłyszała od niego już wcześniej. – Matka Diabła była żoną marynarza. Moja – służącą. Ewana – kurtyzaną. A matka Grace była księżną.

Oczy Hattie otworzyły się szeroko.

– Jest dzieckiem z prawego łoża? A wydawało mi się, że mówiłeś…

– Grace miała innego ojca, ale jej matka była księżną i nosiła dziecko w tym samym czasie co nasze matki.

Hattie milczała, zadziwiona szaleństwem, jakie wiązało się z tytułami i przywilejami.

– Książę desperacko pragnął dziedzica i swoją największą szansę upatrywał w brzuchu swojej żony, choć nosiła dziecko, które nie było jego z krwi i kości.

– Więc dlaczego nie zaczekał i nie postarał się o drugie dziecko z księżną? O chłopca? Własnego?

Whit się uśmiechnął, szeroko i triumfalnie tak, że oszołomił Hattie.

– Bo księżna uniemożliwiła mu dalsze starania o dziedzica.

– Jak? – Jego uśmiech był zaraźliwy.

– Strzeliła do niego.

– I go zabiła? – To nie było możliwe.

– Nie. W jaja.

– Nie! – Oczy Hattie otworzyły się szeroko, a potem zmrużyły z nienawiścią. – I dobrze.

– Grace odziedziczyła celność po matce, jeżeli cię to ciekawi.

– Ciekawi. Chętnie o tym posłucham, jeżeli mogę.

– Z przyjemnością.

Hattie rozpromieniła się, słysząc odpowiedź, która zabrzmiała tak, jakby mieli przed sobą całe życie na opowieści. Whit opowiadał dalej.

– A więc księżna urodziła dziecko, ale była to dziewczynka. A mój ojciec łajdak nazwał ją dziedzicem, twierdził, że jest chłopcem, i odprawił ją i jej matkę na wieś.

Hattie pokręciła głową.

– To niezgodne z prawem. To zdrada linii.

– To prawda. A ustanowienie fałszywego dziedzica karane jest śmiercią.

Spojrzała mu w oczy.

– To dlatego musiałeś uciekać. Bo wiedziałeś. A on się martwił, że powiesz ludziom.

– Sprytna dziewczynka – powiedział łagodnie z podziwem w oczach. – I miał rację. Właśnie ci mówię.

Ale nikomu innemu. Nigdy.

– Nie rozumiem… – zawahała się. – W kim widział dziedzica?

– Książę był chciwy i dumny. Chciał, żeby dziedzic odpowiadał jego wyobrażeniom. Żeby przejął spuściznę. Miał trzech synów. Ale my nie wiedzieliśmy, że mamy jego. Obserwował nas. Diabła w sierocińcu, Ewana w burdelu w Covent Garden i… – zawiesił głos.

– I ciebie – dokończyła za niego. – Z matką. – Kobietą, która go kochała. W domu, który był bezpieczny. Jak się uczył. Ścisnęło ją w piersiach.

– Nie trwało to długo – odpowiedział. – Wywiózł nas na wieś, do siedziby księstwa. I wyjawił nam plan. Jeden z nas miał zostać dziedzicem. Otrzymać wszystko. Pieniądze, władzę, ziemię, wykształcenie. Zawsze miał mieć wszystkiego pod dostatkiem. On i jego rodzina.

Wiedziała, że padną te słowa. Wiedziała, że ten szalony, odrażający książę zagrozi jedynemu, co było dla Whita drogie. Jego matce.

– Jak? – spytała ledwie słyszalnym szeptem. Nie chciała wiedzieć.

– Walczyliśmy o to. Na setki sposobów. Tysiące. Początek był łatwy. Wyścigi i tańce. – Walc. Powiedział, że ojciec zmusił go, żeby nauczył się tańczyć walca. – Sprawdzian odpowiedniego tytułowania. Odpowiednie nakrycie stołu. Rozstawianie szkła. Aż w końcu, kiedy nas wypróbował, stało się jasne, że nie zależy mu na żadnej z tych rzeczy. Chciał silnego syna, który przedłuży jego linię i zrobi wrażenie w świecie.

Jeżeli jakiś mężczyzna był w stanie spełnić te wymogi, wykonać te rzeczy – był to Whit.

– Co ci kazał zrobić?

– Nie bez powodu po przyjeździe do Londynu umieliśmy walczyć.

Otworzyła szeroko oczy.

– Kazał wam walczyć ze sobą nawzajem?

Kiwnął głową.

– To też było proste. Co prawda, nie znaliśmy się, ale byliśmy braćmi i garnęliśmy się do bójki, jak było trzeba. Szybko nauczyliśmy się, jak zadawać cios, żeby wyglądał na bolesny, ale wycofać się w ostatniej chwili, żeby nie wyrządzić krzywdy. Ewan był w tym najlepszy z nas wszystkich. Wydawało się, że idzie jak taran, a tymczasem okazywał się lżejszy niż piórko.

Przez ułamek sekundy Hattie poczuła wdzięczność do tego mężczyzny, który – jak wiedziała – stał się czarnym charakterem tej gry. Tego, który próbował zabić Grace i wbił nóż w policzek Diabła.

– Myśleliśmy, że jesteśmy wspaniali i wysilamy się wspólnie, żeby obalić ojca. Ale nie wiedzieliśmy, że to wszystko było częścią planu. Tworzył z nas drużynę, żeby móc wykorzystywać jednego przeciwko drugiemu. I tak zrobił. Zaczął się nami bawić. Groził jednemu z nas, żeby skłonić pozostałą dwójkę do walki. – Odwrócił wzrok. – Te groźby były szalone. Jeżeli dwóch z nas nie będzie walczyć, dopóki jeden nie zostanie powalony, trzeci będzie chłostany.

– Chciałeś ich uratować.

– Tak – odpowiedział. – Jasne.

Wybawiciel. To nie tylko imię. Cały jego charakter.

– Dawał nam nagrody, a potem je odbierał. Prezenty. Zabawki. Zwierzaki. Wszystko, co nam się podobało. Uwielbiał nas zmuszać, żebyśmy błagali o to, czego pragnęliśmy. – Whit spojrzał na nią. – Droczysz się ze mną z powodu cytrynowych słodyczy? To przez niego. Dziękuję za maliny.

– Oczywiście. – Kiwnęła głową. Marzyła, żeby obsypywać go słodyczami już zawsze. Marzyła, żeby przyciągnąć go do siebie i mocno przytulić, ale on nie pozwoliłby na to – ten dumny, cudowny mężczyzna.

– Po jakimś czasie nie dawałem już rady i zacząłem snuć plan ucieczki. Wiedziałem, że jeżeli uda mi się wrócić do Holborn, odnajdę matkę. I że moglibyśmy uciec. Taki miałem plan. Wrócić tam i uciec.

Hattie oddałaby wszystko, co miała. Firmę, statki, majątek, przyszłość – wszystko, aby odmienić to, co miał powiedzieć. A jednak te słowa padły.

– Powiedział mi, że jeżeli zostanę, pozostawi ją przy życiu. Stało się jasne, że nie byłem tam po to, żeby wygrać. Że nigdy nie byłem brany pod uwagę do roli księcia. Nienawidził tego, że byłem podobny do matki. Wściekał się, że jestem za mały. Zbyt śniady. Sprowadził mnie, żeby pozostali mogli się ćwiczyć. Byłem tam, żeby Diabeł i Ewan mogli walczyć, a jeżeli spiszę się dobrze, jeżeli przyjmę ciosy, przegram rywalizację, będę mógł wrócić do matki z pieniędzmi, wyzwalającymi ją od życia, do którego została zmuszona.

Zamilkł na długo, a Hattie cierpiała w ciszy z powodu ślicznego chłopca, jakim kiedyś był, i wspaniałego mężczyzny, jakim się stał.

– Że będę mógł ją ocalić! – To było kłamstwo. Hattie nie potrzebowała potwierdzenia. W głębi duszy wiedziała, że to było kłamstwo.

– Był potworem – powiedziała. – Obrzydliwym, obmierzłym tchórzem.

With był wyraźnie zaskoczony.

– Jesteś zła.

– No pewnie! Byliście dziećmi! A on dorosłym mężczyzną z pieniędzmi i władzą. Jaki człowiek tak manipuluje dziećmi? Własnymi dziećmi!

– Taki, który chce dziedzica.

– Dziedzic nic nie znaczy, jak jesteś już trupem – warknęła, aż nagle ją olśniło. – Zaraz. Dziedzice. Uciekłeś. Z Diabłem i Grace.

Kiwnął głową.

– Dziedzicem został Ewan. Księciem. Zdradził cię.

Kolejne skinienie.

– A teraz? Gdzie on jest?

– Nie wiem. – Te słowa były pełne frustracji.

Świadomość paliła.

– Ale jest tutaj. Blisko.

Mięsień jego twarzy drgnął.

– Nie pozwolę cię skrzywdzić. Ochronię cię.

I miała ją. Swoją odpowiedź.

– A więc o to chodzi. Chronisz mnie przed nim.

– Do ostatniego tchu. – Spojrzał jej w oczy.

– Nie boję się go. – Pokręciła głową.

– A powinnaś. Ja się boję.

– To on powinien bać się mnie – przysięgła z wściekłością. – Z przyjemnością dopadłabym go gołymi rękami.

Oczy zrobiły mu się wielkie i wydał z siebie lekki, zaskoczony śmiech.

– Jesteś bardzo zła.

– Nie waż się śmiać. To nie jest zabawne. Nie rozumiesz? Dość już ci zabrali. Nie pozwolę, żeby on zabrał ci także mnie. – Trzęsła się z wściekłości i nie była w stanie zapanować nad sobą ani opanować łez coraz mocniej ściskających ją za gardło. – Chciałabym ich dopaść i zniszczyć. Chciałabym wziąć twój najostrzejszy nóż i wbić go dokładnie w ich czarne serca.

Wyciągnął do niej rękę.

– Nie płacz, skarbie. To przeszłość.

– Nie. – Strząsnęła jego dłoń. – Nosiłeś to w sobie przez lata. I będziesz nosił już zawsze. I nienawidzę tego. Nienawidzę ich. Chyba nie sądzisz, że jestem w stanie słuchać tej historii o mężczyźnie, którego kocham, i ludziach, których on kocha, nie marząc o tym, żeby zemścić się na każdym, kto się nad nim znęcał.

Zamarł.

– Hattie.

Nie zwróciła uwagi. Zagalopowała się.

– Zniszczyć życie dzieci? Dla cholernego tytułu? Co za nonsens. Jedyną moją pociechą jest to, i mówię to z przyjemnością, że twój ojciec smaży się w piekle.

– Hattie – odezwał się cichym, pełnym napięcia głosem, jakby pilnie chciał jej coś powiedzieć.

– Co? – spytała, dysząc z wściekłości.

– Kochasz mnie?

Zalała ją fala gorąca, a po niej chłodu, a potem czystej paniki.

– Co takiego? Nie. Co? – Zamilkła, oddychając nerwowo. – Co?

Jego piękne oczy błyszczały z rozbawienia.

– Powiedziałaś, że mnie kochasz, Hattie. Kochasz?

– Nie powiedziałam tego. – Nie powiedziała. A może?

– Powiedziałaś, ale nie to jest w tej chwili najważniejsze.

– A co?

– Czy mnie kochasz?

– Ja… – zamilkła. – Nienawidzę twojego ojca.

– Ale on nie żyje. – uśmiechnął się. – A więc wygrałaś. – Wyciągnął do niej ręce i przyciągnął do siebie.

– Bardzo cierpiał, umierając? – spytała przez ramię, upajając się jego bliskością. Rozpaczliwie pragnęła jego dotyku, dowodu, że przetrwał koszmar dzieciństwa i stał tu, cały i zdrowy. Złożył pocałunek na jej skroni.

– Śmiertelnie. Powiedz mi, że mnie kochasz.

Zanurzyła się w jego piersi, nie będąc w stanie oprzeć się twardym, zapraszającym równinom jego ciała. Był taki potężny i podobało jej się to o wiele za bardzo. Lubiła go o wiele za bardzo. Kochała go bardziej, niż powinna, choć on nigdy tego nie odwzajemni.

– Nie – wyszeptała.

Zadarł jej głowę, żeby spojrzała mu w oczy.

– Słucham?

– Nie. – Pokręciła głową.

Pochylił się i ją pocałował, drobną, miękką i idealną.

– Dlaczego?

Bo ty nie odwzajemniasz mojej miłości.

Słowa, które wypowiedział w swoich pokojach tamtej nocy wyryły się w jej pamięci. „Nie mogę cię kochać”. Nie powiedziałaby mu tego, skoro on nie może odpowiedzieć jej tego samego.

– Bo nie chcę być jeszcze większym ciężarem.

– A jakim to może być dla mnie ciężarem?

– Całe życie chronisz ludzi. Czujesz się za nich odpowiedzialny. Ratujesz ich. Dajesz siebie, nawet kiedy nie musisz. A ja nie chcę się do tego przyczyniać. Nie chcę być kolejną osobą, do której należysz, bo nie jesteś w stanie się powstrzymać. – Wzięła głęboki oddech. – Nie chcę być zadaniem.

Zesztywniał w smagającym ich chłodnym wietrze, a Hattie przez chwilę myślała, że ją wypuści. Sądziła, że to rozsądne. Uważała, że powinna się od niego odsunąć, skoro właśnie oświadczyła, że nie chce być dla niego ciężarem.

Ale tak naprawdę wcale nie chciała się od niego odsuwać.

Chciała z nim zostać.

Na zawsze.

Bo go kochała. Bo chciała go chronić.

Jego ramiona zacisnęły się mocniej wokół niej, a ona zaczerpnęła powietrza, napełniając płuca jego zapachem – cytryny, wawrzynu i rozkosznej, rozgrzewającej przyprawy. Zamknęła oczy i poddała mu się. Maszt za jego plecami sprawiał, że ten i bez tego silny, krzepki mężczyzna był jeszcze silniejszy.

– „Syrena” – powiedział po długiej chwili. To słowo uniosła bryza znad rzeki. – Statek nazywa się „Syrena” – wyszeptał jej do ucha.

Kiwnęła głową.

– To największy ze wszystkich sześciu, które kupiłeś, żeby mnie ukarać.

– Wcale nie po to. – Złożył pocałunek na jej skroni. Wypowiadał słowa w jej włosy. – Musisz mi uwierzyć, że nie zrobiłem tego, żeby cię skrzywdzić.

Chciała mu wierzyć. Ale nic z tego nie miało sensu.

Zanim zdążyła się odezwać, on mówił dalej.

– Syreny. Piękne kobiety, które są w stanie sprawić, żeby mężczyzna rzucił się w morze. Wcielenie pokusy. Śpiewem wyzwalające największe żądze, sprawiające, że niemożliwe wydaje się możliwe. Były w stanie przekonać, że marzenia się spełnią.

– A biedny Odyseusz natrafił na te niegodziwe kobiety – zażartowała. – Gdyby tylko opłynął wyspę dłuższą drogą.

Roześmiał się, a jego cichy, niski śmiech był jak piękna pokusa.

– Oj, przecież Odyseusz wcale nie natknął się na nie przypadkiem. Szukał ich, wiedząc, co go czeka. – Spojrzał na nią z góry bursztynowymi oczami lśniącymi w świetle latarni. – Jak my wszyscy, myślał, że może spróbować i nie zginąć.

Słuchając tych słów, Hattie poczuła nieprzemożne pragnienie i drżała, marząc, żeby jej dotknął. Zupełnie jakby była syreną.

– To trafna nazwa dla twojego statku.

– Tak? Zdawało mi się, że wręcz odwrotnie.

Przechylił głowę pytająco.

– Raczej nie słynę z kobiecych sztuczek – odpowiedziała. – Zupełnie nie umiem wodzić na pokuszenie.

Prychnął cicho. Zgadzał się z nią? Protestował?

Nie była w stanie się domyślić.

– Hattie… – Jej imię zabrzmiało jak cichy jęk. – Chyba tak nie myślisz. Nigdy w życiu nie byłem kuszony tak, jak przez ciebie.

– Masz słabość do słodyczy – zażartowała.

Nie roześmiał się.

– Tak jest naprawdę.

– To bardzo miłe. – Uśmiechnęła się, choć nie było jej wesoło. – Ale ty się temu nie poddałeś, więc z pewnością przyznasz, że nie jestem najlepszą

kusicielką. Do syreny mi daleko. – Roześmiała się, cicho, ironicznie. – Żaden mężczyzna nie rzuci się nigdy w morze dla starej dobrej Hattie.

– Brednie. – W jego głosie było coś, czego nigdy wcześniej nie słyszała. – Odyseusz musiał przywiązać się do masztu, żeby oprzeć się pokusie syren. Coraz mocniej i mocniej, aż krwawił od lin i krzykiem błagał swoich ludzi, żeby go uwolnili, żeby mógł się do nich dostać. Wabiły go na śmierć.

Cofnęła się o krok, uwalniając się z jego objęć, oddalając od niego, bo wiedziała, że nie będzie w stanie stoczyć z nim kolejnej walki. Nie teraz, gdy go już znała. Nie teraz, gdy tak bardzo go pragnęła. Nie teraz, gdy tak bardzo go kochała.

Straci statki i straci interes. Ale to wydawało się niczym w porównaniu z utraceniem jego. A przecież nigdy nawet go nie miała.

Spojrzała mu w oczy i odezwała się do siebie samej i do niego.

– Nie umiałam cię skusić.

Odwróciła się, żeby odejść, zejść ze statku, oddalić się od niego. Ale podszedł do niej, z jej imieniem na ustach, palcami ujmując jej palce i odwracając ją z powrotem do siebie. Chwycił jej twarz i pocałował, długo, namiętnie i szaleńczo, jakby się bał, że jeżeli tego nie zrobi, ona może zniknąć na zawsze.

Hattie westchnęła pod wpływem doznania, a on przyciągnął ją bardziej, napawając się tym odgłosem, oblizując jej wargi i dopominając się jej ust długimi, powolnymi, cudownymi muśnięciami, aż zmiękły jej kolana i zatraciła się w jego ramionach, i upajała nim. Dopiero wtedy uwolnił jej wargi – nie uwalniając jej – wytyczając szlak pocałunków od policzka do ucha.

– Kusiłaś mnie – powiedział rozpalonym, powalającym tonem. – Kusiłaś mnie w każdej sekundzie, odkąd oprzytomniałem związany w twoim powozie. – Przygryzł płatek jej ucha na tyle mocno, że poczuła ból, i ssał go, aż przywarła do niego. – Kusiłaś mnie tysiące razy. Chciałem zedrzeć z

ciebie ubranie tysiące razy. Położyć cię nagą pod słońcem i w blasku księżyca i gwiazd i wielbić cię, aż oboje zapomnimy, jak się nazywamy.

Oszalała, słysząc te słowa.

– Myślałam, że mnie nie chcesz. Myślałam, że ci nie zależy…

Tym razem ugryzł ją w szyję, a ostrą karę złagodziła rozkosz jego nieśpiesznego języka.

– Z braku pożądania mężczyzna nie chodzi podniecony całymi dniami.

– A ty chodziłeś? – Przełknęła ślinę, zawstydzona i zachwycona jednocześnie. – Podniecony całymi dniami?

To niemożliwe.

– Byłem podniecony, odkąd po raz pierwszy usłyszałem twój głos. – Jedna dłoń błądziła po jej boku, przyciągając ją do niego w talii. – Odkąd pierwszy raz dotknąłem twojego ciała.

Cofnęła się, żeby spojrzeć w jego ciemne, niosące obietnicę oczy.

– Naprawdę?

– Słuchanie o cierpieniach sprawia ci przyjemność? – Uniósł brwi.

– Tak.

Roześmiał się z jej natychmiastowej odpowiedzi.

– Cóż, Hattie. Byłem podniecony na myśl o tobie, o byciu w tobie, dojściu w tobie i pozostaniu w tobie na zawsze. I chciałem cię odzyskać, żebym mógł ci powiedzieć, jak bardzo cię pragnę i że kochanie się z tobą nie będzie żadnym zadaniem do wykonania.

Uśmiechnęła się lekko.

– To brzmi całkiem przyjemnie.

– Cieszę się, że miałem możliwość sprawić ci przyjemność, moja damo. – Przyciągnął ją do siebie, żeby znów ją pocałować. – Ale powinnaś wiedzieć, że Odyseusz był bohaterem. Ja nim nie jestem. – I znowu. – On chciał się oprzeć. Ja nie. Chcę wszystkiego. Chcę każdego kawałeczka ciebie. O niczym innym nie myślałem, odkąd odeszłaś. Od poprzedniego razu. – Przycisnął czoło do jej czoła. – Jezu, Hattie. Chcę wszystkiego. Z

radością pozwolę się przywiązać do masztu, jeżeli dzięki temu będę mógł spełnić moje najbardziej skryte fantazje, w których pojawiasz się tylko ty.

Zapłonęła pod wpływem tych słów, wizji, jaką wieściły, tego cudownego mężczyzny, przywiązanego do masztu niecały metr dalej. Jej wzrok powędrował do masztu, a kiedy spojrzała znów na Whita, jęknął z rozkoszy.

– Cholera, Hattie. Wyobrażasz to sobie. Widzę to w twoich oczach.

Spojrzała na niego, wiedząc, że powinna zaprzeczyć.

Jednak zamiast zaprzeczyć, rzuciła:

– Dość dobrze radzę sobie z węzłami.

– Aaaaach… – Odetchnął głęboko, a potem nagle posłał jej mroczny uśmiech. – Udowodnij.

Otworzyła szeroko oczy.

– Chyba nie chcesz powiedzieć…

Przyciągnął ją do siebie.

– Tamta poprzednia noc była dla ciebie. Ale ta… A gdybym ci powiedział, że ta jest dla mnie? – Słowa przeobraziły się w cichy szum. – Przywiąż mnie do masztu, syreno, pozwól mi usłyszeć twoją pieśń.

23

To nie było na zawsze, wiedziała. Powtarzała to sobie, kiedy on odsuwał się, nie spuszczając z niej wzroku. Poszła za nim bez wahania.

To nie jest na zawsze, przypominała sobie ciągle, bo ten mężczyzna – ten cudowny mężczyzna – sprawiał, że nabierała przekonania, że wspólna przyszłość jest jednak możliwa. Jakby ich przeszłość, poczynania jej rodziny i fakt, że on stał na drodze wszystkim jej marzeniom, nie miały najmniejszego znaczenia, bo zaraz miał jej pozwolić zażyć rozkoszy, jakiej nigdy sobie nie wyobrażała.

A nie wyobrażała jej sobie, bo nigdy nie przypuszczała, że taki mężczyzna istnieje, że taka chwila jest możliwa. A jednak.

Przekonała się o tym w chwili, gdy zdjął płaszcz, zupełnie się nim nie przejmując, i rzucił go na pokład. Hattie zmierzyła wzrokiem statek, ciesząc się z niższego środkowego pokładu i ciemności w porcie, tej nocy bezludnym. A jednak się obawiała.

– Ktoś może nas zobaczyć

– Raczej nie, bo ktoś zadbał o pustkę w porcie z powodu tej właśnie pokusy. – Jej oczom ukazały się jego noże, skórzany futerał na piersi i batystowa koszula. Hattie nie była w stanie się powstrzymać i wyciągnęła do niego ręce. Zamarł, gdy jej palce przesunęły się po skórzanych paskach.

– Jednego ci brakuje. – Zesztywniał, a ona zastanawiała się, gdzie go zostawił. Ale na to przyjdzie czas później. Teraz mieli go tylko dla siebie. Spojrzała mu w oczy.

– Mogę?

Cofnęła się o krok, przyglądając mu się, a on zaklął w ciemności.

– Hattie, wyglądasz, jakbyś miała wobec mnie jakieś plany.

Podniosła wzrok.

– Bo mam.

Wypuścił gwałtownie powietrze.

– No to szybko, skarbie.

Podeszła do niego i wyszarpnęła koszulę ze spodni, zachwycona tym, jak poruszał się wraz z nią, pomagając jej, a jego mięśnie prężyły się z rozkoszy przy każdym muśnięciu jej palców. Chwycił koszulę, zdjął przez głowę i rzucił na pokład, a potem wyciągnął ręce do Hattie i przyciągnął ją, żeby znów pocałować. Poddała się temu, a jej dłonie wędrowały w dół po jego piersi, sunęły rozpostarte po skórze, a mięśnie jego brzucha naprężyły się pod wpływem jej dotyku, aż syknął z pożądania.

Przygryzła jego pełną wargę i się cofnęła.

– Nie jest ci zimno?

– Jestem rozpalony jak pieprzone słońce. – Przyciągnął ją do kolejnego pocałunku. – A w kwestii tych planów…

Roześmiała się i splotła palce z jego palcami, unosząc je ponad ich głowy, do haka na maszcie, do którego starannie przywiązano końce lin głównych żagli. Nie musiała mu mówić, żeby chwycił hak. Nie musiała mu mówić, żeby trzymał tam dłonie, nawet kiedy się od niego odsunęła.

– Podoba ci się to.

– Bardzo. – Jak mogłoby jej się nie podobać. Był najpiękniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała, miał długie nogi i wydatne mięśnie, i na sam jego widok ciekła jej ślina, a pożądanie w jego oczach sprawiło, że znów pragnęła go dotknąć.

– Przestań się przyglądać, syreno. Pora, żebyś wzięła to, czego chcesz.

Podeszła do niego.

– A ty czego chcesz?

– Wszystkiego. – Odpowiedź była natychmiastowa. – Chcę tego wszystkiego co ty.

Pokręciła głową.

– To za mało. To ma być twoja przyjemność.

– Moją przyjemnością jest zadowolić ciebie. – Powiedział to już wcześniej, w swoich pokojach. A ona mu nie uwierzyła. Ale dziś wieczorem niemal była w stanie uwierzyć. Przysunęła się, bo nie mogła już dłużej stać z dala od niego.

– Co syreny mają dla ciebie zaśpiewać, Bestio? – Jej dłoń przesunęła się po jego piersi, a kciuk pocierał płaski krążek sutka. Wstrzymał oddech. Dostrzegła jego minę. Potarła znowu. Zauważyła ściągniętą twarz. Pochyliła się i złożyła w tym miejscu pocałunek, nieśpieszny, drażniący.

– Aaaach – westchnął.

Uśmiechnęła się.

– Podoba mi się to.

– Mnie też.

Jej dłonie wędrowały w górę po jego rękach, potem w dół, niżej, na pierś i tors, po jego gładkiej skórze obsypanej miękkimi włoskami, do pasa, gdzie znikały pod spodniami. Zajęła się pierwszym guzikiem, potem drugim i trzecim.

– Gdy zobaczyłam cię pierwszej nocy, pomyślałam, że mógłbyś się tam dotknąć, dla mnie – powiedziała po cichu.

Z jego piersi wydobył się cichy warkot.

Złożyła delikatny pocałunek na jego szerokiej piersi, rozpinając spodnie, i kolejny, gdy zsuwała je z bioder, odsłaniając całą jego twardą długość. Dyszał ciężko, kiedy wyciągnęła do niego ręce, ale zamilkł, jak tylko go chwyciła.

– Dla ciebie, skarbie.

Jęknął nisko, gdy delikatnie zaczęła pocierać kciukiem czubek.

– Podoba ci się to – uśmiechnęła się.

– Tak. – Odetchnął gwałtownie.

Spojrzała na niego w górę.

– Co jeszcze ci się podoba?

Odchylił głowę, oparł ją o maszt i wpatrywał się w gwiazdy.

– Wszystko. Mój Boże, Hattie. – Znów pocałowała jego tors, ściskając w dłoni jego męskość i przesuwając nią w górę i w dół, a potem znowu, aż zaklął cicho w ciemności. – Chcę cię dotknąć.

Pokręciła głową, liżąc sutek, który pominęła wcześniej.

– Na razie nie. Jestem zajęta kuszeniem ciebie. – Kolejny ruch jej zaciśniętej dłoni. – Podoba ci się to.

– Tak.

– Powiedz mi, co jeszcze ci się podoba.

Jego oczy się otworzyły, a nią zawładnęło pożądanie, gdy zobaczyła jego minę. Szalał z rozkoszy.

– Nie.

Pocałowała go, a on pożerał jej wargi.

– Rozwiąż mnie – rozkazał, gdy w końcu się odsunęła.

– Myślisz, że tak się czuł Odyseusz? – uśmiechnęła się.

– Nie obchodzi mnie to. Rozwiąż mnie. Chcę cię dotknąć.

Pokręciła głową i skupiła się na jego twardej jak stal męskości, którą ściskała w dłoni.

– Nie powiesz mi?

Stłumił jęk.

– Czego?

– Czego chcesz. – Spojrzała mu w oczy.

Pokręcił głową, ale nie odwrócił od niej wzroku.

– To jest dla ciebie.

Uśmiechnęła się, czując się jak królowa.

– A jeżeli ci powiem, że ja też tego chcę?

Oddech eksplodował z niego, jakby cierpiał, ale ona już się poruszała, zsuwając się po jego ciele na kolana.

– Kurwa, Hattie – powiedział cicho. – Nie musisz…

Uśmiechnęła się na te słowa i wycisnęła pocałunek na jego udzie.

– Bardzo mi się podobało, kiedy robiłeś to mnie.

– Mnie też, skarbie – jęknął.

– Tobie też będzie się podobało?

– Tak. – To słowo było lżejsze niż oddech. – Boże, tak.

– Mogę? – spytała cicho.

Mruknął, wysuwając biodra w jej stronę. W niemym błaganiu. Rozchyliła wargi nad twardym, sterczącym koniuszkiem jego męskości i zaczęła delikatnie wodzić po nim językiem, kusząco, niepewna, co lubi. Szarpnął się w więzach, wyginając się pod wpływem doznania, i wykrzyknął w ciemności jej imię.

Podobało mu się.

Hattie również. Jego dotyk i smak, siła w jej dłoniach i na jej języku i czysta, niezrównana władza, jaką jej dawał. Nigdy wcześniej się tak nie czuła. Tak pewna. Tak silna. Tak pożądana, że zdawało jej się, że on jest zdolny zrobić wszystko, byle ją mieć.

To była żądza.

Wzięła go do ust, jego słonego i słodkiego smaku nie dało się porównać z niczym innym, co znała, a on mówił ponad nią, ten silny, milczący mężczyzna, który zdawał się być zdolny do mówienia, tylko gdy znajdował się w szponach namiętności. Szeptał bezeceństwa, słowa takie jak: mocniej, głębiej, takie jak: język, ssij, pieprz, Hattie, właśnie tak. A ona podążała za jego prowadzeniem, biorąc go powoli i głęboko, upajając się jego rozkoszą. I swoją własną.

Lubiła to.

Lubiła go.

Kochała go.

Pulsował na jej języku, a ona odnalazła rytm, który oboje doprowadzał do szaleństwa, a on składał sprośne obietnice.

– Proszę, Hattie… więcej, Hattie… dojdę, jak nie przestaniesz.

Ale ona nie chciała przestawać, zwłaszcza gdy zabrakło mu słów i pozostało tylko jedno.

– Hattie… – Znowu i znowu, na nowo i na nowo, aż ona też zapomniała o wszystkim innym, a on poddał się rozkoszy i jej, a w końcu spełnieniu, głośnemu, niepohamowanemu, cudownemu. Tylko oni, statek, port i niebo.

A kiedy go wypuściła, po głowie krążyła jej tylko jedna myśl.

Więcej.

Więcej tej siły, tej rozkoszy, tej więzi. Pragnęła ich.

I jego.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego w górę, a on wpatrywał się w nią nieruchomo.

– Rozwiąż mnie.

Jego słowa były oschłe, niemal zbolałe i Hattie wystraszyła się, że posunęła się za daleko.

Może był zły?

– Dalej, rozwiąż mnie.

Podniosła się, dosięgła węzła, przy czym musiała się do niego zbliżyć. Na tyle że pochylił głowę i zaczął ssać delikatną skórę jej szyi, przyprawiając ją o dreszcz. Na tyle blisko, że drasnął zębami wypukłość jej podbródka. Zanurzył zęby w płatku jej ucha.

– Będę się z tobą kochał, w końcu. Jak należy – syknął.

– Tak – odpowiedziała, dysząc z pożądania, ale jej palce nie dawały sobie rady z linami, a on mruczał sfrustrowany, ona zaś naśladowała go jak echo, aż nagle sobie przypomniała… Odsunęła się i spojrzała w jego rozszalałe oczy. – Ty cudowny mężczyzno. Masz noże.

Wyciągnęła jeden z futerału leżącego u ich stóp i w jednej chwili odzyskał wolność, objął ją, a nóż potoczył się po pokładzie, ale żadne z

nich nie zwróciło na to uwagi, gdy wziął ją na ręce, jakby nic nie ważyła, pozbawiając ją równowagi, wywracając cały jej świat do góry nogami, aż leżała na plecach na jego ubraniu.

Pocałował ją w usta, potem przesunął wargami po szyi, a potem zawisnął nad nią w złotym blasku latarni. Jego nagie ramiona naprężały się, a dłonie podciągały jej spódnicę, wyżej i wyżej, i wyżej, aż odnalazł szparę w jej pantalonach i spojrzał jej w oczy.

– Ta bielizna podoba mi się mniej niż ostatnim razem.

Kiwnęła głową.

– Nigdy więcej.

Zerwał je jednym szarpnięciem i…

– Ooooch – westchnęła, a on mruczał jej w szyję.

– Taka wilgotna. – Zanurzył w niej palce i patrząc jej w oczy, powędrował głęboko. – Podoba mi się to.

– Mnie też. – Uśmiechnęła się, słysząc echo wcześniejszych słów.

– Hm. – Opuścił głowę, żeby ją pocałować, nieśpiesznie i przeciągle, aż pożądanie zalewało ją całą, rozpalając jej ciało. Uniosła biodra, wychodząc na spotkanie jego ruchom, a on się cofnął i przez chwilę ją obserwował. – Pokaż, jak bardzo.

Zrobiła to, patrząc w jego piękne bursztynowe oczy, które wpatrywały się w jej ciało, jej ruchy. Jakby chciały, żeby uwierzyła, że on jej pragnął tak, jak mówił. Niewyobrażalnie.

– Jesteś taka piękna. Mógłbym patrzeć na ciebie całą wieczność.

Poruszyła się na jego palcach, a on położył kciuk na czułym pączku powyżej i musnął go raz, drugi, aż jęknęła.

– Whit!

Uśmiechnął się lubieżnie.

– Tak się właśnie czuję, kiedy mnie dotykasz.

– Zrób to jeszcze raz. Żebym zapamiętała.

Roześmiał się nisko i cicho i zrobił to, wzniecając płomień, który przetoczył się przez nią niczym fala.

– Moja rozpalona, zachłanna piękność. – Poruszał się w niej głęboko, powoli, idealnie, cudownie miarowo, aż zaczęła się wić. A wtedy przestał, a ona jęknęła rozczarowana.

– Zaczekaj!

– Hm. – Oblizał palce i pochylił się nad nią i zaczął ją całować, powoli, nieśpiesznie. – Nie. Teraz ty zaczekaj.

– Obiecałeś, że będziesz się ze mną kochał. – Rozchyliła uda, wiedząc, że nie powinna. Wiedząc, że damy tego nie robią. Ale nie obchodziło jej to. – W końcu – powtórzyła jego wcześniejsze słowa, zachwycona tym, jak ją pieścił, swoją gładką długą męskością przesuwając się po niej, koniuszkiem ledwie muskając miejsce, w którym chciała go poczuć. Jęknął, a ją zalało poczucie triumfu. – Jak należy.

Roześmiał się ochryple.

– Chcę tego, skarbie. – Ocierał się o nią, a ona wzdychała z rozkoszy. – Tak bardzo. Nigdy nie czułem nic wspanialszego od ciebie, jak dochodzisz pode mną. – Kolejne muśnięcie. Kolejne westchnienie.

– Zrób to – poprosiła, poruszając się przy następnym jego ruchu, a on zamarł, swoim koniuszkiem całując jej rozpalone wnętrze.

Zaklął, nisko i siarczyście.

– Hattie. Boże. Ty jesteś syreną.

Uniosła biodra i oboje jęknęli, gdy on wsunął się w nią leciutko, tylko na tyle, żeby pokusić ich oboje. Zanurzyła palce w jego włosach.

– Teraz – wyszeptała. – Proszę, Whit, teraz.

Dał jej to, wszedł w nią jednym płynnym, pewnym ruchem, bez zawahania, jakie towarzyszyło mu za pierwszym razem, jakby wiedział, że teraz już może wziąć wszystko, co chce jej dać. I tak było.

Serce jej stanęło. Co za cudowny mężczyzna. Co za silny, porządny, piękny, cudowny mężczyzna. Łzy napłynęły jej do oczu, a on oczywiście je

zauważył i zmarszczył czoło zaniepokojony.

– Kochanie, boli? Mam…

– Nie – odpowiedziała, ściskając go za ręce. – Nie, nie waż się ze mnie wychodzić.

Zamarł.

– Ja… – Pokręciła głową. Nie była w stanie się powstrzymać. – Ja cię kocham.

Pochylił głowę i dotknął jej czoła swoim.

– Nie zasługuję na to.

Co za kłamstwo. Jej dłonie powędrowały na jego kark, a palce zanurzyły się we włosach.

– Zasługujesz.

– Nie – wyszeptał. – Ale przyjmuję to.

Zaczął się poruszać, a Hattie zatraciła się w powolnych, cudownych ruchach, które pozbawiały ją tchu i rozumu, i była w stanie tylko szeptać jego imię.

– Kocham cię. – Jej serce już przepadło.

Zanurzył się w niej.

– Jeszcze raz.

– Kocham cię. – Przywarła do niego, a on sięgnął pomiędzy nich i odnalazł wrażliwy pączek tuż nad miejscem, w którym byli złączeni. – Tak. Whit.

– Nie wytrzymam już dłużej, skarbie. Chcę dojść w tobie.

– Nie czekaj. – Jego dotyk okrążał ją coraz bliżej i bliżej, unosząc ją coraz wyżej. – Proszę, kochany, proszę, nie czekaj.

– Jeszcze raz – wyszeptał. – Tylko jeden.

– Kocham cię. – Dała mu te słowa i po chwili zatraciła się w rozkoszy, rozpadając się w drobny mak pod nim i pod londyńskim niebem, i wykrzyczała jego imię, i uczepiła się go, kiedy poruszał się w niej w pięknym, miarowym rytmie, niosąc ją ku spełnieniu, pierwszemu,

następnemu, aż w końcu poddał się własnemu z niskim, głośnym jękiem, najrozkoszniejszym dźwiękiem, jaki Hattie w życiu słyszała.

Whit złożył pocałunek na jej ramieniu.

– Nie zasługuję na ciebie.

Uśmiechnęła się na te słowa.

– Chyba przyznasz, że jest ze mną tyle samo kłopotów co rozkoszy.

Nie odpowiedział, a jego duże, szorstkie palce kreśliły wzory na jej nagim ramieniu, delikatnie i pewnie, i na tyle hipnotyzująco, że Hattie zapomniała, gdzie się znajdują i kim są i wszystkie te powody, dla których nie mogli ze sobą być. Śledziła te ruchy, powolne muśnięcia palców i jego oddech w swoich włosach, aż jej powieki zrobiły jej się ciężkie, a ona zastanawiała się, co by się stało, gdyby tu zasnęła, w jego ramionach, nad rzeką.

I gdy stwierdziła, że nie obchodzi ją, co się stanie, bo on też nie miał ochoty się stamtąd ruszać, on się odezwał, szepcąc jej do ucha.

– Wyjdź za mnie.

24

Jasne, że zamierzał się z nią ożenić.

Zamierzał się z nią ożenić od chwili, gdy wszedł na ten cholerny statek i zobaczył ją, stojącą na dziobie, wyglądającą w każdym calu na wojowniczkę gotową do bitwy. Jego wojowniczkę, usiłującą zwabić go do siebie.

Jakby nie chciał paść jej w ramiona z własnej woli. Zwłaszcza po tym, gdy mu powiedziała, że chciałaby zamordować jego ojca i brata. A całą rzecz zakończyła pięknie, wyznając mu, że go kocha.

Kochała go.

Wiedział, że gdyby miał tych słów już nigdy więcej nie usłyszeć, zapamięta tę chwilę na zawsze. Gdy będzie wydawał ostatnie tchnienie, przed oczami będzie miał nieposkromioną wściekłość Hattie, a w uszach jej słowa: „mężczyznę, którego kocham”.

Kochała go, a to zmieniało wszystko; sprawiało, że należała do niego bez wątpienia.

A potem przywiązała go do masztu i uczyniła swoim, wcześniej sprawiając, że szalał z pożądania, i napełniła go rozkoszą, spełnieniem i spokojną pewnością. Po raz pierwszy w życiu Whit nie miał wątpliwości. Wiedział.

Poślubi Henriettę Sedley.

Nic się nie zmieniło, a jednak zmieniło się wszystko.

Więc było to niefortunne, ale się tego spodziewał, gdy wypowiedział tę myśl, która nie była pytaniem, ale właściwie rozkazem. Ale z pewnością nie spodziewał się tego, co stało się później.

Nie spodziewał się, że Hattie znieruchomieje przy nim, jakby te słowa były dla niej ciosem. I nie spodziewał się, że powoli podniesie głowę, robiąc unik jak przed wściekłym psem.

I z pewnością nie spodziewał się, że powie, tak po prostu, jakby zapytał, czy napije się herbaty.

– Nie.

Jak to, do cholery?

– Dlaczego?

– Bo cię kocham.

Zaniemówił, gdy usłyszał te słowa, te same, których wcześniej tak rozpaczliwie się domagał, ale teraz nie był w stanie się nimi upajać. Zbyt niepokoiła go cała reszta.

– Cholera, Hattie, ale to chyba właśnie powód, żebyś za mnie wyszła?

– Nie, jeżeli nie możesz odwzajemnić mojej miłości. – Przerwała. – Nie, jeżeli nie możesz mnie kochać jak równej sobie. Mógłbyś?

Tak. Nie.

Nie tak, jak ona tego oczekiwała.

Niech to szlag.

Zalał go strach, gorący i nieprzyjemny. Wiedział, co ma na myśli, mówiąc o równości. Słyszał jej wcześniejszą propozycję współpracy. Ale gdyby zostali wspólnikami, nie mógłby jej ochronić przed Ewanem ani przed niczym innym.

Jeżeli ją kochasz, to ją stracisz.

Usiadła, gdy tak milczał, i wyciągnęła rękę po swoje ubranie, a on nie mógł znieść tego, że znów znaleźli się w tym samym miejscu – ona się ubierała, a on czuł się tak, jakby ktoś rozbił mu na głowie zastawę do herbaty, na co w pełni zasłużył.

Hattie uklękła, ułożyła spódnicę na swoich pełnych biodrach i zasznurowała gorset.

– Nie chcę niczego wymuszać – powiedziała w końcu cicho. – Nie chcę być kobietą, którą być może kochasz. Taką, co do której trzeba się zastanawiać, czy się ją kocha. – Zamilkła. – Chciałabym, żeby ta odpowiedź sama wychodziła z twoich ust, choćbyś nie wiem jakim był stoikiem. Chciałabym być osobą, której nie jesteś w stanie dawkować sobie w wielkie dni i od święta, bo chcesz mieć mnie przy sobie każdego innego dnia.

Była zbyt cenna na zwykłe dni.

– Zasługuję na to. Partnerstwo. Równość. Ty mi to pokazałeś. – Uśmiechnęła się do niego lekko. – Wiem, że to niemożliwe. Więc dlatego: nie… Nie wyjdę za ciebie.

W tych słowach było tyle uczucia, smutku, rezygnacji i szczerości, jakby znała je na długo przed tym, jak zmusił ją, żeby je wypowiedziała. Jakby była na nie przygotowana. Boże, nie mógł znieść myśli, że była na nie przygotowana.

– Hattie. – Wstał, wciągnął spodnie, znalazł koszulę i włożył ją przez głowę. – Nie rozumiesz.

– Nie chcę, żebyśmy byli rywalami – westchnęła. – Chcę być… – Pokręciła głową, a on nie mógł tego znieść. – Uwolnię jutro ludzi. – Kiwnęła w stronę jego kieszeni. – Domyślam się, że masz zegarek, żeby to sprawdzić, ale wydaje mi się, że dziś jest już za późno na sprowadzenie wszystkich do pracy.

Wyciągnął zegarek, prawie nie czując ciepłego metalu, gdy odczytywał godzinę.

– Za sześć dziesiąta.

Oderwała wzrok od sznurowania gorsetu i spojrzała na statek zanurzony w wodzie bardziej niż inne.

– Powinieneś być w połowie rozładunku, a cały ten lód powozami powinien jechać już do miasta.

– Niezupełnie w połowie. Ale mniej więcej. Hattie…

– Uwolnię ich jutro – powtórzyła.

– Jak to zrobiłaś? Uwięziłaś ich?

Uśmiechnęła się.

– Nie tylko ty masz lojalnych przyjaciół, Bestio.

Przydomek go ubódł.

– Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. – Marzył, żeby go do nich zaliczała. – Nieczęsto się zdarza, że ktoś nazywa mnie tak bez strachu w głosie.

– Ja się ciebie nie boję.

Wiedział to. I sprawiało mu to większą przyjemność, niż mógł przyznać. Zastanawiał się nad odpowiednim doborem słów.

– Ty zawsze byłaś odważna. Zawsze wiedziałaś, czego chcesz i jak to zdobyć. Nigdy nie pozwalasz, żeby drogę wyznaczał ci kto inny. – Zamilkł, a potem wyznał jej prawdę. – Ja nigdy nie miałem w sobie takiej odwagi.

Zmarszczyła czoło, a on pokręcił głową.

– We mnie jest tylko strach. Wykuto mnie w nim. Wychowano w strachu, że kiedyś ktoś, kogo kocham, znajdzie się w niebezpieczeństwie, a ja nie będę w stanie go ocalić. – Wypuścił rozedrgany oddech. – Nie mogę zapewnić ci bezpieczeństwa.

Jej piękne fiołkowe oczy nie drgnęły.

– Oczywiście, że nie możesz. – Te słowa przeniknęły go niczym ostrze. – Nie ma we mnie żadnej odwagi. Jestem przerażona każdego dnia. Boję się świata i tego, jak się na mnie gapi i śmieje ze mnie i szepce o mnie, gdy mu się zdaje, że nie słyszę. Boję się życia na pół gwizdka, pełnego jedynie namiastek uczuć i możliwości i tysiąca rzeczy, które mogłabym osiągnąć, gdybym tylko sięgnęła trochę wyżej.

Pokręcił głową.

– Nie grozi ci takie życie.

Miał zamiar tego dopilnować.

Łzy napłynęły do jej pięknych fiołkowych oczu, a Whit poczuł ból w piersiach. Dlaczego ona płacze?

– Kiedyś chciałam małżeństwa. Chciałam dzieci i rodzinnej sielanki. Pewnie, że tak. Nam, kobietom, od urodzenia wmawia się, że właśnie tego powinnyśmy pragnąć. Mówią nam to ojcowie i nasi bracia, i cały świat wokół nas. Chyba że jest się taką jak ja – za głośną i za dużą i ze zbyt wielką ilością pomysłów. Wtedy nie możesz mieć marzeń, jakie zdaniem wszystkich mieć powinnaś. Bo tak naprawdę nie są dla ciebie.

Powstrzymał się przed powiedzeniem jej, żeby przestała. Nie mógł znieść tego, jak o sobie mówiła. Nie mógł znieść, że zawsze się poniżała, choć była warta nieskończenie więcej. Ale rozumiał to podejście lepiej niż ktokolwiek inny.

– Hattie – wyszeptał. Jej imię zabrzmiało w jego ustach łagodnie, a on przesunął przy tym dłonią po swojej piersi.

Zignorowała go i mówiła dalej.

– Nie było mi trudno sobie wmówić, że tego nie potrzebuję – małżeństwa, partnerstwa. Ostatecznie mnóstwo kobiet zostaje starymi pannami. Mnóstwo mężczyzn zostaje starymi kawalerami. A ja miałam plan.

Kiwnął głową.

– Rok Hattie.

Uśmiechnęła się do niego.

– Teraz zdaje się to nieco bezsensowne, prawda?

Dam ci rok. Dam ci całe życie.

Zdawało się, że słyszy te myśli, jakby wypowiedział je na głos.

– Nie chcę tego od ciebie.

Te słowa zabolały.

– Nauczyłam się dostosowywać. Nauczyłam się pragnąć firmy i chcieć zostać kapitanem własnego losu. Nauczyłam się żyć z myślą, że nie mogę mieć wszystkiego.

A jednak mogła. Chciał, żeby powiedziała wszystko. Kochała go, a on chciał jej dać to, czego pragnęła. Statki, firmę… i wszystko, czego, jak jej wpajano, nie mogła mieć.

Zanim zdążył się odezwać, dodała:

– Aż pojawiłeś się ty. – Pokręciła głową. – Pojawiłeś się i zagroziłeś wszystkim tym rzeczom, których pragnęłam. Zagroziłeś firmie, którą pomagałam budować i którą zamierzałam prowadzić. Zagroziłeś przyszłości, którą tak starannie zaplanowałam.

Pokręcił głową. Już nie. Czyż właśnie jej tego wszystkiego nie zaproponował?

Spojrzała na niego i wzięła głęboki oddech.

– Ale najgorsze z tego wszystkiego jest to, że przez ciebie zaczęłam pragnąć całej reszty – powiedziała. – Wszystkich tych rzeczy, których wcześniej, jak sobie wmawiałam, nie chciałam. Sprawiłeś, że ich pragnę. I to nie od byle kogo. Sprawiłeś, że pragnę ich od ciebie. – Zamilkła. – Nie zamiast czegoś. Na dodatek. Do wszystkiego. Każdego aspektu życia, jakie mogłabym wieść. Dynamicznego, dzikiego, pełnego poranków na targu w Covent Garden i wieczorów w dokach, i nocy w twoich pięknych pokojach, w otoczeniu świec, książek i poduch we wszystkich kolorach. – Spojrzała w dal, na latarnię kołyszącą się na wietrze na pokładzie statku, na którym znajdował się towar Bękartów, i dodała, tak cicho, że słowa zagłuszał wiatr. – Wiem, że to brzmi jak szaleństwo. Jak śmiałe marzenia nierozsądnej dziewczyny. Ale to nie jest szaleństwo. Nie potrzebuję ochrony. Potrzebuję partnera. Chcę wszystkiego.

Ale Whitowi nie umknęły te słowa. Usłyszał je. Usłyszał i zaniepokoiła go wizja Hattie, wiodącej takie życie. Widział ją w spódnicy powiewającej na wietrze od rzeki, jak pilnuje ludzi – tych, którzy zdążyli dowieść, że ją

uwielbiają, dając się usunąć tej nocy poza jego zasięg. I nadal będą ją uwielbiali – będą szukali jej wskazówek, a ona będzie nad nimi panowała jak królowa.

Jak jego królowa. Bo on będzie przy niej. Będzie ją osłaniał przed wiatrem. A może, za jakiś czas, pojawią się też dzieci i będą się uczyć wspinać na statki matki i bawić w chowanego w magazynie ojca – dziewczynki z fiołkowymi oczami, krzyczące do niego spod takielunku, i chłopcy z promiennymi uśmiechami, lubiący malinowe cukierki i lody cytrynowe.

Wyciągnął ręce i przyciągnął ją do siebie, zachwycony tym, że się nie zawahała, nawet teraz, choć odmówiła mu rzeczy, której pragnął najbardziej na świecie.

– Więc weź to. Wszystko. Daję ci to. Wszystko, czego chcesz.

Jej wzrok odnalazł jego oczy, lśniące w świetle latarni.

– Chcę miłości. A ty nie możesz dać mi miłości i trzymać mnie w zamknięciu, ukrywając przed światem jak skarb. Nie możesz zapewnić mi bezpieczeństwa i pozwolić mi stać u twego boku.

Te słowa go zmroziły. Ile razy mówił sobie, że byłby w stanie uratować świat, gdyby go nie kochał? Nie mógł pozwolić sobie na kolejną słabość. Na życie w strachu, że pewnego dnia nie będzie w stanie jej ochronić.

Już była jego słabością.

Już go pokonała.

Kochając ją, nigdy nie będzie w stanie uwolnić się od pragnienia jej.

Za późno.

Pokręciła głową i cofnęła się z jego uścisku.

– Nie chcę niczego połowicznie. Ani firmy, ani fortuny, ani przyszłości. A już na pewno nie ciebie.

Cofnęła się, objęła się rękami, a serce Whita zaczęło łomotać, jego umysł nie chciał pogodzić się z tym jej gestem, i przeszył go do głębi wstręt do siebie samego. Chroniła się.

Przed nim.

Miał ochotę krzyczeć, gdy sobie to uświadomił. Chciał krzyczeć, podejść do niej, wziąć ją w ramiona i obiecać wszystko, czego pragnęła. Całe życie. Włącznie z sobą samym.

Kochałby ją.

I razem stawiliby czoło światu – Ewanowi, wszystkiemu.

Idealnie dopasowani.

I z czymś jeszcze.

Z nadzieją.

Ale zanim zdążył to wyrazić, zanim zdążył błagać ją, żeby dała mu szansę, zanim zdążył jej powiedzieć, że mógłby się tego nauczyć, zanim zdążył zacząć ją kusić tym wszystkim, czego pragnęła… tym wszystkim, czego pragnął on sam…

Nocą wstrząsnęła eksplozja, a port stanął w płomieniach.

25

Hattie patrzyła, jak idzie do niej, powoli i spokojnie, z trzeźwym spojrzeniem i drgającym na wargach uśmiechem, obawiając się jego cudownego dotyku, słodkich słów, obietnic, które wiedziała, że będą próbowały ją przekonać, że on da jej wszystko, o co prosiła. Nastawiła się na to, co chciał powiedzieć, wiedząc, że nie będzie w stanie mu się oprzeć – temu mężczyźnie, którego pokochała bezgranicznie – wiedząc, że zaraz dotknie ją delikatną pieszczotą i ciepłymi pocałunkami, i martwiła się, że nie będzie w stanie tego znieść, choć rozpaczliwie pragnęła.

Ale on jej nie dotknął, jak się spodziewała. Zamiast tego, kiedy portem wstrząsnęła potężna eksplozja, dopadł jej z przerażeniem w oczach, powalił na ziemię, odwracając w powietrzu, wziął w ramiona, chroniąc przed siłą uderzenia, gdy oboje ślizgali się po pokładzie w stronę burty.

Kiedy się zatrzymali, Hattie natychmiast odwróciła się do niego.

– Nic ci… – Jego dłonie były wszędzie, przesuwały się po jej rękach i tułowiu. – Nic ci się nie stało?

– Nie. – Pokręciła głową wtuloną w jego pierś i czuła dudniące w niej serce. – Nie powinieneś był tego robić. Będziesz miał drzazgi z pokładu.

– Mam gdzieś drzazgi, kiedy mogłaś zostać… – Wyciągnął do niej ręce, przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił. – Musimy stąd uciekać.

– Co się stało? – Odsunęła się od niego i spojrzała w ciemne niebo, obsypane iskrami. Z oddali dochodziły krzyki z portu. – Kogoś zaatakowano.

– Zostań tu. – Przemknął przez pokład jak błyskawica, chwycił futerał z nożami i zapiął go na sobie, a potem zaczął się rozglądać. W jednej chwili ocenił sytuację.

– Ładunek.

Oblał ją zimny strach,

– Mój brat?

Nie patrzył jej w oczy.

– Nie, mój.

– Ewan. – Jej oczy otworzyły się szeroko.

Wrócił po nią, podał jej rękę i ją podniósł.

– Musimy cię stąd zabrać.

– Nie ma mowy. – Rozpalił ją wstrząs. – Będę pomagać.

– Nie. – Chwycił ją za rękę i pociągnął do trapu, a potem po pochylni na ląd, gdzie mężczyźni już zbiegali się do portu, żeby gasić pożar. – Jeżeli tu jest, grozi ci niebezpieczeństwo.

Hattie spojrzała w kierunku statku płonącego w doku.

– Ilu ludzi?

Nie zwrócił na nią uwagi, zbyt skupiony na gromadzącym się tłumie.

– Co?

– Ilu ludzi było na statku?

Odwrócił się i spojrzał jej w oczy.

– Nie wiem. – Złapał przebiegającego obok chłopaka, niemal zwalając go z nóg.

– Brixton.

– Bestio! Jesteś cały! – Oczy chłopaka otworzyły się szeroko. – Sarita powiedziała, że widziała, jak tędy szedłeś, ale nie wróciłeś.

– Nic mi nie jest, brachu – odpowiedział, a Hattie dostrzegła ulgę w oczach chłopaka. Rozumiała go. Ona też by po niego biegła. – Wiej stąd. Tu nie jest bezpiecznie.

– Nie, szefie. – Brixton spojrzał na statki i zadarł brodę. – Będę pomagał.

– Która godzina?

– Dziesiąta, Bestio – odpowiedział chłopak, a ona usłyszała strach w jego głosie. – Tak?

Whit zesztywniał, a ona dostrzegła, że się waha. Zauważyła, że opiera się jakiejś przemożnej pokusie.

– Dobra. Wchodź. Ale jeżeli coś będzie nie tak, znikasz.

Chłopak się uśmiechnął beztrosko, o wiele za młody.

– Jak na przykład bomba?

Whit chwycił chłopaka za podbródek.

– Tak, na przykład jak bomba.

Wypuścił chłopaka, odwrócił się do Hattie, chwycił ją za rękę i odciągnął od tłumu.

– Chodź.

Z dala od ognia.

– Jak to? Dlaczego?

Nie odpowiedział. Pociągnął ją w wąską alejkę pomiędzy tawernami a sklepem żeglarskim. Szarpała się, ale on jeszcze bardziej zacieśnił uścisk.

– Dokąd mnie zabierasz? Co znaczy dziesiąta?

Nie zwalniał.

– W te noce, kiedy nie robimy rozładunku, straż zmienia się o dziesiątej.

Zrozumiała, szybko i boleśnie.

– Podwójna liczba ludzi na statku.

Burknął.

– O, mój Boże, Whit, to przeze mnie. Zamknęłam haki. Gdyby nie to, nie doszłoby do tego.

Nie odwrócił się.

– Albo mielibyśmy dwa tuziny trupów zamiast tego, co jest.

Stanęła, zapierając się piętami na bruku.

– Musimy wracać.

– Nie. – Bezdyskusyjnie.

Wyprostowała się.

– Jestem odpowiedzialna za to, co dziś się tam stało. Powinnam pomóc. Mogę pomóc.

Zaklął pod nosem i spojrzał w niebo.

– Nie wrócisz tam. Wybuch był tak silny, że mógł roznieść statek, w płomieniach stoi cały zapas lodu i ładunku, a Ewan powiedział, że chce ci coś zrobić, żeby dopaść mnie.

– Nie może mi nic zrobić na oczach połowy portu! Wracajmy i zróbmy, co trzeba.

– To nie są twoje grzechy, Hattie. Wracasz do domu.

– Oczywiście, że to moje grzechy! – krzyknęła. – Myślisz, że o tym nie wiem? Ale to też jest mój świat! To też moja sprawa! Jeżeli ty się martwisz, ja też się martwię. Jeżeli ty tam jesteś, ja też tam będę. Niech Ewan przychodzi. Poradzimy sobie z nim wspólnie. Razem.

Odwrócił się od niej i podniósł rękę, żeby zatrzymać jakiś powóz.

– Niczego takiego nie zrobimy. Nie chcę, żebyś znalazła się blisko niego. Dopadnie cię, żeby się na mnie zemścić. A do tego nie mogę dopuścić.

– Dlaczego?

– Bo odebrałem mu jedyną rzecz, na jakiej mu zależało.

– Jaką? Co może być dla niego cenniejsze niż bracia? – Wróciła myślami do portu. – Od życia mężczyzn i kobiet, którzy dla nich pracują?

– Nie co. Kto.

Olśnienie przyszło szybko.

– Grace.

– Bystra dziewczynka – powiedział łagodnie.

Obok nich przystanął powóz z sapiącymi w ciemności końmi. Woźnica spojrzał na pomarańczową łunę migoczącą nad dachami, potem, nerwowo, na noże na piersi Whita.

– Wszystko w porządku, milordzie?

– Będzie lepiej, jak zabierze pan ją z dala od tego miejsca – warknął Whit, otwierając drzwi.

– Nie – zaprotestowała Hattie, szalejąc z wściekłości. – Nie zostawię cię samego w tym piekle, na łasce szaleńca, który nie wiadomo, co jeszcze szykuje.

Spojrzał jej w oczy z lekkim uśmiechem na ustach.

– Zamierzasz staczać za mnie bitwy, skarbie?

Pokręciła głową.

– Za ciebie, nigdy. Z tobą.

– Moja wojowniczka. – Uśmiechnął się ze smutkiem.

Nie miał zamiaru jej na to pozwolić. Zamierzał wsadzić ją do tego powozu, a sam stanąć do walki, która mogła go zniszczyć. Albo jeszcze gorzej.

– Nie rób tego. Uwierz we mnie.

Uwierz w nas.

– Nie musisz mnie chronić.

Zdawało się, że te słowa go odblokowują, wypełniają determinacją. Dodają mu siły. Utwardzają.

– Niestety, muszę. Muszę to zrobić. Spytałaś mnie, dlaczego noszę dwa zegarki – powiedział, szybko i bezceremonialnie, jakby udzielał jej wskazówek, jak odnaleźć bardzo trudną drogę. I być może tak było. – Nigdy się nie spóźniam. Nie spóźniam się, bo nie zdążyłem uratować mojej matki. Nie żyła, gdy przyjechałem, była martwa z powodu plagi, która przetoczyła się w tamtym tygodniu przez dom. Była martwa i sama. A mnie nie udało się jej ochronić.

– O, nie… – powiedziała cicho Hattie, wyciągając do niego rękę, opuszkami palców muskając skórzane paski futerału, który go więził. Broń miał zawsze blisko.

– Ale ciebie mogę ochronić – ciągnął. – Mogę cię chronić zawsze. Mogę utrzymać cię z dala od mojego brata. I mogę utrzymać cię z dala od tego

wszystkiego.

– Ale to część tego wszystkiego! – odpowiedziała. – To część świata, którego pragnę. Część życia, którego pragnę. Z tobą. – Pokręciła głową. – Nie rozumiesz? Wolę jedną noc z tobą niż całe życie bez ciebie.

– Nie. Nigdy nie narażę cię na niebezpieczeństwo.

Łzy frustracji i złości popłynęły jej po policzkach.

– Nie ty o tym decydujesz. Tylko ja.

– Do diabła, to już nie jest żaden Rok Hattie, chodzi o twoje życie! O moje zdrowie psychiczne! – Zamknął oczy. – Proszę. Wsiądź do tego cholernego powozu. W tej chwili.

Zmrużyła oczy.

– Zmuś mnie.

Zrobił to, nieszczęsny, podniósł ją z ziemi jak worek ziarna i wrzucił do powozu. Zadbał o to, żeby na tyle straciła równowagę, żeby nie była w stanie powstrzymać go przez zamknięciem drzwi. Usłyszała uderzenie jego pięści w bok powozu, ledwie słyszalne, a potem koła ruszyły. Płonęła z furii i wściekłości, siedząc i patrząc przez okno, ledwie dostrzegając jego postać wracającą biegiem do portu. Do niebezpieczeństwa.

Łomotała w dach powozu.

– Natychmiast zatrzymaj ten powóz!

– Nie mogę – dobiegła stłumiona odpowiedź woźnicy. – Dostałem funta, żeby zawieźć panią do Mayfair!

– Chciał pan powiedzieć: funta za to, żeby mnie uprowadzić!

– Gdybym panią uprowadzał, droga damo, nie byłaby się pani w stanie odezwać aż do Berkeley Square!

Nie mieszkała w Berkeley Square, ale to nie miało znaczenia.

– Zapłacę panu, żeby pan się zatrzymał!

Wahanie.

– Zdaje się, że to, co się dzieje w porcie, nie jest dla pani!

Woźnica postanowił przedstawić, co jego zdaniem jest dobre, a co złe.

– Eeech! Faceci! – Hattie waliła w dach powozu. Nie potrzebowała ochrony tego nieznajomego mężczyzny, który właśnie wrzucił ją do swojego powozu. Cholera, czyż to nie ona wyrzuciła Whita z powozu dawno temu?

– Cholera, cholera! – krzyczała, przysuwając się do drzwi, obserwując przemykające za oknem budynki. Nigdy nie czuła się tak bezużyteczna jak w tej chwili, gdy pojazd oddalał się pędem od portu, w którym Whit i jego ludzie toczyli szaloną walkę z wodą i płomieniami.

Tam był jej miejsce. Przy Whicie.

„Wyjdź za mnie”.

Szczerze wierzył, że jeżeli przystanie na jego propozycję, nie będzie przy nim trwać? Nie rozumiał, że bycie żoną oznacza bycie partnerką? Bycie równą? Nie rozumiał, że jeżeli ma z nią dzielić życie, chciała wszystkiego? Nawet tego?

Zwłaszcza tego.

Powóz zwolnił, a ona wyjrzała przez okno.

Dojeżdżali do skupiska tawern, w którym ulice zalewali ludzie, uniemożliwiając jazdę z dużą prędkością… Teraz miała szansę.

Powóz poruszał się w żółwim tempie, a Hattie oceniła wzrokiem zakręt. Wzięła głęboki oddech, otworzyła drzwi, zamknęła oczy i skoczyła.

Potknęła się i wpadła na atletycznego czarnoskórego mężczyznę w kapeluszu z szerokim rondem.

– Uuuuf! – odezwał się głośno. – Jezu, dziewczyno! Do diabła, co w ciebie wstąpiło. – Aż nagle: – Zaraz! To ta Sedley. Ta, która zamknęła dziś ludzi.

Kiwnęła głową, prostując się i odwracając, żeby wrócić do wspomnianych doków.

– Hattie Sedley.

Uśmiechnął się.

– Co za idiotyzm, występować przeciwko Bękartom.

– Nie przeciwko – odpowiedziała. – Z nimi. Trzeba było tylko zwrócić ich uwagę.

Roześmiał się nisko i szczerze.

– A więc dama Bestii?

– O ile pójdzie po rozum do głowy – rzuciła przez ramię, już go zostawiając i kierując się do portu, najszybciej jak mogła.

Kluczyła po ulicach i alejkach dzielnicy, aż znalazła się tam, skąd przyjechała, w miejscu, w którym zostawił ją Whit. Skręciła, przeszła przez tłum cisnący się przed jedną z tawern na końcu portu, gdzie każdy mężczyzna snuł swoją teorię na temat tego, co się stało sto metrów dalej.

– Słyszałem, że Bękarci walczą ze sobą nawzajem. Bestia nie lubi żony Diabła.

Co za nonsens.

– To nie tak. Słyszałem, że inna grupa chce wejść w interes z lodem.

Hattie mało się z tego nie roześmiała, jakby handel mrożoną wodą był na tyle intratny, żeby był wart bomby.

– To musi mieć coś wspólnego z tym, że Sedleyówna zapłaciła dziś ludziom, żeby nie poszli do roboty. Za duży zbieg okoliczności; żaden miejscowy nie został ranny, jak ta cholerna bomba zatopiła ładunek Bękartów.

– Jest odpływ – padła odpowiedź. – Nic nie utonie. Lód po prostu się wyślizgnie i stopi do rzeki.

– Mrozy przyjdą szybko w tym roku – rozległ się głośny męski głos.

Hattie przewróciła oczami, nie mając cierpliwości do gapiów i plotkarzy, którzy nie mieli o niczym pojęcia, ale najwyraźniej sprawiało im przyjemność wymyślanie swoich wersji zdarzeń. Spojrzała na jednego z milczących gapiów.

– Coś się komuś stało?

– Troje ludzi zabranych do chirurga Bękartów w Garden. Bestia się nie zgodził, żeby dotknął ich portowy rzeźnik.

A jakże. Whit prędzej odciąłby sobie własną rękę, niż pozwolił, żeby rzeźnik w zakrwawionym fartuchu opatrywał jego ludzi.

Hattie przyśpieszyła kroku, jak najszybciej chcąc go odnaleźć. Widziała już statek, oświetlony płomieniami, teraz już do pewnego stopnia opanowanymi przez sznur mężczyzn pracujących zgodnie, którzy wiadrami nosili wodę, pracując, żeby ugasić pożar, który zagrażał całemu portowi.

Mężczyźni działali szybko, z opanowaniem, jakby robili już tę właśnie rzecz z tuzin razy. Więcej. I tak było. Nabrzeże widziało już niejeden wybuch prochu, niejeden pożar i strzelaninę. Ufając pracy mężczyzn, szła naprzód, w stronę płonącego statku. Po mężczyznę, którego kochała.

– Lady Henrietta?

Odwróciła się na dźwięk swojego imienia, a z bramy w ciemności wyłonił się mężczyzna, wysoki i jasny. Wiedziała, kto to. Był to książę Marwick, rozpoznałaby go każda szanująca się stara panna wśród całego tłumu, nawet nieogolonego i z dzikim wzrokiem.

Hattie ani przez chwilę nie sądziła, że ten właśnie książę po prostu przechadza się późnym wieczorem po londyńskim porcie, choć uważany był powszechnie za wielkiego szaleńca.

Wściekłość chwyciła ją mocno za gardło i wsunęła dłoń do kieszeni, szukając w niej noża, ciężkiego i ciepłego.

– Ewan.

Błysk zaskoczenia mignął w jego oczach.

– Powiedział ci o mnie.

– Powiedział mi, że ma brata, który jest potworem. – Zacisnęła dłoń na nożu. – Wyglądasz na takiego.

Z portu dobiegł krzyk, a ona spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła dwóch mijających ich biegiem mężczyzn, nieświadomych, z kim rozmawia w ciemności. Skupiła się znów na Ewanie.

– To twoja sprawka.

– Tak. – Jego słowa były pozbawione emocji.

– I nie wystarczy ci? Troje ludzi rannych? Kolejny ładunek zniszczony? Teraz myślisz o tym, co… czeka mnie?

– Tak?

– A nie to właśnie robisz? Grozisz braciom, ich bliskim i przyszłości?

– A ty jesteś przyszłością Wybawiciela?

Zerwał się wiatr, powiewając spódnicą Hattie. Jej włosy wysmyknęły się ze spinek.

– Chcę nią być – odpowiedziała, a w jej słowach nie było smutku. Jedynie wściekłość. – Większość życia spędziłam na walce o rzeczy, których pragnę. Teraz walczę o moją przyszłość, a ty zagrażasz również jej. Dlaczego? – Przerwała i przyglądała mu się. – Z powodu jakiejś nic niewartej zemsty.

Podszedł do niej z błyskiem w bursztynowych oczach, tak znajomych, a jednak tak obcych.

– Moja zemsta nie jest nic niewarta. Zabrali mi wszystko.

Spojrzała na niego gniewnie.

– Niczego ci nie zabrali. Zbudowali królestwo z niczego – świat dobrych ludzi zna dobroć, hojność i lojalność twoich braci. Lojalność, o której ty możesz tylko pomarzyć. A ty… – wycedziła. – Próbowałeś ich z tego odrzeć. A ja nie będę się temu przyglądać.

Na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie.

– Nie?

Wiatr owijał jej spódnicę wokół nóg, gdy się wyprostowała.

– Nie. Whit przez całe życie się zamartwiał, co może się wydarzyć, jak po niego przyjdziesz. A prawda wygląda tak – i lepiej weź sobie to do serca – że to ty powinieneś się martwić. Bo jeżeli ich skrzywdzisz, tych dobrych ludzi o dobrych sercach i silnej woli, to ja cię dopadnę. Nie łączy nas żadna przeszłość, która mogłaby cię ocalić.

– Wybawiciel zawsze żył swoim życiem, jakby czuwało nad nim przeznaczenie. – Zaśmiał się lekko. – I nagle ty go chronisz. Jak anioł stróż.

– Chyba się przekonasz, że nie jestem aniołem, tylko wojowniczką. – Wyciągnęła nóż i zrobiła krok w stronę okropnego mężczyzny. – Czas, żebyś odszedł, Ewan.

Jego wzrok padł na ostrze. Sięgnął do płaszcza i wyciągnął swój nóż. Nie. Nie swój, Whita. Ten, którego brak zauważyła wcześniej. Spojrzała na księcia, ich wroga, i dopadł ją strach. A jednak furia zwyciężyła.

– To nie należy do ciebie.

– A może do ciebie? – Obrócił go w dłoni, podając jej rękojeść. Wzięła go do ręki, a on go wypuścił. – Może jesteś darem dla nas wszystkich.

Usłyszała w tych słowach nadzieję. Błaganie. Coś jeszcze.

– Rozumiem, dlaczego cię kocha.

W tej chwili Hattie uświadomiła sobie, że Whit naprawdę ją kocha. I nie miała zamiaru odejść z portu, dopóki jej tego nie powie. A ten mężczyzna stał jej na drodze.

– Więc może zrozumiesz, dlaczego nie pozwolę, żebyś mu to zabrał.

– Dziś w nocy… – Spojrzał na port, na puste łodzie i potężny rozładowywany statek. – To… nic nie miało dla niego znaczenia.

Pokręciła głową.

– Ty ich tego nauczyłaś. Pieniądze nie dają władzy. Tytuł nie daje mocy. A ani jedno, ani drugie nie daje szczęścia. Co innego miłość.

W tych słowach była prawda, jasna i smutna, i gdyby wypowiedział je ktoś inny, Hattie by mu współczuła. Ale ten mężczyzna przez całe życie zagrażał temu, którego kochała, więc miała go gdzieś.

– Wątpisz, że będę chciała wbić w ciebie nóż, jeżeli jeszcze raz będziesz próbował go dopaść?

– Nie.

– A w to, że jestem w stanie to zrobić? – Korciło ją, żeby to zrobić.

– Powiedziałem mu, żeby sobie ciebie odpuścił – wyznał Ewan. – Zagroziłem, że cię mu zabiorę, jeżeli tego nie zrobi.

To wyznanie było niespodziewane, a jednak w pewnym sensie oczywiste. Nic dziwnego, że Whit ją odepchnął. Zrobiłby wszystko, żeby ją chronić. Jej wybawiciel. Zmrużyła oczy.

– Nie trafiłeś.

Kiwnął głową.

– Nie zrobiłby tego.

– Nie. – Pokręciła głową. – To ja bym tego nie zrobiła. Dla mnie nie jesteś widmem. Nie jesteś moją przeszłością. Ani moją przyszłością. Nie boję się ciebie. I nigdy z niego nie zrezygnuję.

Zapadła między nimi cisza.

– Przypominasz mi ją.

Grace.

– Z tego, co słyszałam, to komplement.

– Opowiedział ci o niej?

– Oczywiście – odparła łagodnie. – Jest jego siostrą.

Te słowa zmieniły coś w Ewanie, coś, czego Hattie nie była w stanie nazwać poza tym, że zdawało się, że się uspokoił.

– Była ich siostrą – powiedział. – Ale moim sercem. – Jego wzrok powędrował do jej oczu, a ona dostrzegła w jego spojrzeniu głęboki ból i smutek. – Najpierw miał ją, a teraz ciebie, a ja nic.

– Bo tak wybrałeś.

Spojrzał na port nieobecnym wzrokiem.

– Wybrałem ją.

Hattie nie odpowiedziała. Nie musiała. Pogrążył się w rozmyślaniach. We wspomnieniach. Po długiej chwili spojrzał na nią swoimi bursztynowymi oczami tak podobnymi do oczu Whita, tak pozbawionymi namiętności Whita.

– To już koniec – powiedział.

Hattie odetchnęła. Zalała ją ulga.

– Nie przyjdziesz po niego więcej.

– Myślałem, że będę wiedział… – zamilkł. Po chwili odezwał się znowu, a jego słowa były surowsze niż wcześniej. – To koniec.

Książę Marwick odwrócił się i odszedł, jakby nigdy go tu nie było. Przyglądała się, jak się oddala, śledząc jego kroki, aż pochłonęła go noc i straciła go z oczu.

Odwróciła się do portu, wsuwając do kieszeni nóż, który trzymała w dłoni, i ruszyła w stronę statku, na którym mężczyźni dzielnie walczyli o uratowanie wszystkiego, co się da, ze zrujnowanego statku. Mężczyźni, których była pewna, że zawsze staną ramię w ramię z Whitem i Diabłem i Bitnymi Bękartami.

Podziwiała ich długi rząd, gdy wykonywali katorżniczą pracę, taszcząc lód i ładunek, a wśród nich, w otoczeniu płomieni, ciągnącego hak, jakby urodził się z nim w dłoni, ich przywódcę. Mężczyznę, którego kochała, dowodzącego swoimi oddziałami. Jedno słowo przeszyło ją, gdy mierzyła wzrokiem jego silną, atletyczną postać.

Mój.

Zniknął, pewnie w ładowni, żeby dalej ratować statek, a Hattie ruszyła do niego, przemierzając długi, jałowy dok do statku, pięćdziesiąt metrów od niej, bardziej stanowcza niż kiedykolwiek.

Nie chciała statków. Chciała jego. Chciała jego i chciała tego życia, przy nim, w tym płonącym doku. Chciała być obok niego na tym płonącym statku. A jeżeli sprzeciwi się jej obecności, będzie o niego walczyć, przypominając mu codziennie, że nie potrzebuje obrońcy.

Potrzebuje jego.

Przyśpieszyła kroku, chcąc znaleźć się przy nim jak najszybciej i mu to powiedzieć.

Zdążyła przejść przez dok i podejść do rzędu pustych statków, gdy usłyszała tuż za sobą krzyk. Odwróciła się i zobaczyła biegnącego do niej Ewana. Wsunęła dłoń do kieszeni, obejmując onyksowy nóż Whita, i

zastanawiała się, co zamierza zrobić wróg, gotowa wbić nóż w jego udo, ramię, pierś – gdziekolwiek będzie trzeba.

Nie zdążył do niej dobiec, gdy nastąpiła druga eksplozja, roztrzaskując statek za nią i powalając ich oboje na ziemię.

26

Statek płonął na górze, ale pod pokładem znajdowało się ponad siedemdziesiąt ton lodu i ładunku, który można było jeszcze uratować w taki czy inny sposób, zakładając, że ludzie będą się uwijać. Gdy już miał pewność, że Hattie została bezpiecznie odprawiona z portu, Whit wrócił na statek. Nik zjawiła się z zapewnieniem, że Diabeł jest już w drodze, rzekomo po to, żeby ocenić straty, ale Whit wiedział lepiej niż inni, że zniszczenia, jakim uległ statek, są nie do naprawienia. Jednak zawartość była inną historią.

Po zbadaniu mężczyzn wysłanych do szpitala w Rookery Whit wziął ciężki żelazny hak i ruszył do pracy z mężczyznami, pracującymi zgodnie, podnoszącymi skrzynie i podającymi je sobie kolejno, dopóki nie uratują tyle, ile się tylko da. Mężczyźni przybiegli szybko z tawern przy dokach, zapominając, że Hattie zapłaciła im, żeby tej nocy nie pracowali – wiedząc, że jest różnica pomiędzy umową rywali a tragedią wymagającą pomocy. Kiedy w końcu obejrzał ładownię, dostrzegł pewne straty – kilka skrzynek brandy zostało zmiażdżonych pod wpływem eksplozji, ale był pod wrażeniem tego, jak zabezpieczony był ładunek.

Usłyszał drugą eksplozję w oddali, gdy był pod pokładem, a odgłos wydarł z niego przekleństwo. Wiadomość przyszła szybko. Kolejny statek. Pusty. Nic, co wymagałoby jego uwagi. Dziś wieczorem jego uwagi wymagał ten ładunek, szybko – zanim lód, który został starannie

spakowany i zabezpieczony przez ludzi w Oslo, roztopi się i utrudni transport przemycanego towaru.

Bękarci przemycali w lodzie, żeby nie ryzykować odkrycia – nie tylko w noc taką jak ta, kiedy zdawało się, że należy wdrożyć każdy alternatywny plan. Whit pracował na czele grupy, powoli i metodycznie, decydując, które bloki ruszyć, które zostają i który ładunek kiedy ma opuścić ładownię. Nie miał zamiaru dopuścić do tego, żeby towar sprowadzony z takim wysiłkiem nagle przepadł z powodu strachu.

Przeciągnął dwie skrzynki burbona jedna po drugiej, wzdłuż kolejki, a potem wziął blok lodu, po nim drugi. Pracujący z nim mężczyźni jęknęli pod ciężarem ciężkich bloków.

– Te są na tyle przejrzyste, że się je sprzeda – powiedział Whit, podnosząc głos, żeby Nik usłyszała go tam, gdzie stała w ładowni. – Jest tu jeszcze pół tuzina w takim samym stanie, nietkniętych przez eksplozję.

Norweżka kiwnęła głową, a potem uśmiechnęła się do niego.

– A chciałbyś je sprzedać?

– Nie.

– Zostawiasz je na lód malinowy – uśmiechnęła się. – Jak słodko.

Dzieci z Rookery dostawały słodycze, gdy do portu przypływał lód. Whit nie widział powodu, dlaczego mieliby to zmieniać z powodu katastrofy.

– Powiedz mi, Nik – zaczął, ciągnąc kolejny blok – czy lady Nora lubi słodycze?

Mężczyźni w szpalerze roześmieli się, słysząc to pytanie, zwłaszcza kiedy Nik pokazała Whitowi niecenzuralny gest. Whit się uśmiechnął i wrócił do pracy, pozwalając, żeby rytm pracy mężczyzn w szpalerze go uspokoił. Zaczął rozmyślać o Hattie. Zastanawiał się, czy woli lód cytrynowy czy malinowy, wyobrażał sobie odgłosy, jakie wydawałaby, gdyby karmił ją tymi łakociami. Gdyby wrzucił łyżeczkę pomiędzy jej piersi. Jak długo opierałby się pragnieniu, żeby zlizać je z jej skóry. Jęknął, ciągnąc skrzynię piwa wzdłuż szpaleru.

„Chcę wszystkiego”.

Silny, słodki głos Hattie, dopominający się wszystkiego, czego pragnęła. Wszystkiego, na co zasługiwała. Upierający się, żeby był równym jej partnerem albo nikim.

Jezu, on też tego chciał.

Ale dzisiejszego wieczoru ten świat omal jej nie zabił, a on nie był w stanie jej ochronić. Ewan przyszedł po nich – Whit nie miał wątpliwości, że za eksplozją stoi jego brat – ale nawet jeżeli go wytropi i odnajdzie, groźby nie ustaną. Zagrożenie stanowił cały świat. I Whit wiedział, bez wątpienia, że choć nie wyobrażał sobie właściwie życia bez Hattie, zdecydowanie nie wyobrażał sobie życia, w którym ona nie będzie bezpieczna.

Miał rację, że ją odepchnął. Że wsadził ją do powozu.

„Nie rób tego. Uwierz we mnie”.

Oparł się jej słowom, nadal niosącym się w nim echem.

„Nie musisz mnie chronić”.

Oczywiście, że musiał. I chronił.

– Bestio!

Krzyk dobiegał z oddali, znad ładowni, ale nie odpowiedział, nie chciał przerywać, bo skrzynie i paczki palące jego mięśnie pozwalały mu zapomnieć o bólu z powodu odesłania Hattie.

Diabeł wpadł do ładowni, przepychając się przez szpaler ludzi.

– Bestio – powtórzył, a wtedy Whit usłyszał dziwny cień w głosie brata. Znajomy, Niepokojący.

Coś się stało. Coś bardzo złego.

Odwrócił się do Diabła. Był bez koszuli, tak jak Whit, ale nie miał swojej szpady. Jej utrata była tym samym, co utrata kończyny, i Whit od razu ją zauważył. Znieruchomiał wyprostowany w niskim pomieszczeniu.

– Co się stało?

Diabeł po chwili pokręcił głową.

– Niech to szlag – zaklął w ciemności. Mogły to być jedynie wieści o mężczyznach, których zawieźli do szpitala.

– Abraham? Mark? Robert? – Wszyscy byli przytomni, żaden z nich nie miał ran, które Whit oceniłby jako śmiertelne.

Ale sprawy nie zawsze miały się tak, na jakie wyglądały.

– Ktoś nie przeżył? Kto? – Zrobił krok w stronę brata. – Rozbiorę Londyn cegła po cegle, aż znajdziemy Ewana. Zginie. – Nigdy nie oswoił się ze śmiercią. Ilu umierających widzieli? Tuziny? Kilkudziesięciu? Stu? Kiedy człowiek wychowa się na ulicach Covent Garden, śmierć jest częścią życia, tak jak przemoc i choroby, ale nigdy nie można się z nią oswoić.

– Kto? – spytał znowu.

Diabeł pokręcił głową z oczami przepełnionymi czymś okropnym. Czymś, czego Whit nie rozumiał. Więc o co chodzi? Co innego mogło…

– Whit. – Diabeł nie był zły. To nie frustracja naznaczyła jego słowa, pełne jarzma przeszłości. Ciężkie od smutku.

– Bracie. Chodzi o Hattie.

Whit zamarł i wyraźnie zobaczył twarz brata. Pełną smutku. I strachu. Strachu przed tym, co może się stać, gdy Whit wszystko zrozumie. I czegoś jeszcze – strachu, że pewnego dnia to samo może przydarzyć się jemu. I to ten strach – naznaczony gorącą, spanikowaną ulgą człowieka, który uniknął kuli – uzmysłowił prawdę. Whit znieruchomiał, gdy zmiażdżyła go świadomość. Trzeci wybuch. Ten, który dokonał większych zniszczeń niż poprzednie.

Nik podeszła do niego z przerażeniem na bladej twarzy.

– Bestio – odezwała się łagodnie. Zupełnie nie jak Nik.

Upuścił hak na ziemię, a jedynym ruchem był jego krok w stronę Diabła; nikt nie pracował, wszystko się zatrzymało, tak jak czas. Jak jego serce.

– Nie.

Diabeł kiwnął głową.

– Chłopaki znaleźli ją w dokach, pięćdziesiąt metrów stąd.

Whit obejrzał się przez ramię do miejsca, gdzie na posterunku stała Nik, kilka kroków od niego, ze zmarszczonym czołem. Pokręcił głową.

– To nie ona. Wsadziłem ją do powozu.

Zapłacił woźnicy. Odesłał ją do Mayfair. Odesłał ją, bo nie chciał jej tutaj. W niebezpieczeństwie.

Chronił ją.

A ona błagała go, żeby mogła zostać.

„Uwierz we mnie”.

Gdyby tak zrobił, byłaby z nim. Bezpieczna.

– Wróciła – powiedział jego brat. – Drugi wybuch widocznie…

Whit wsunął dłoń do kieszeni i musnął kciukiem zegarek. Jego wojowniczka nie czekałaby ani chwili, żeby odnaleźć drogę powrotną, jeżeli chciała tu być.

I odnalazła tę drogę. Żeby być przy nim. Równa jemu.

Wiedziałby, gdyby zginęła?

Pytanie Ewana tej nocy, gdy zagroził Hattie. Tej nocy, kiedy poprzysiągł, że odbierze ją Whitowi, jeżeli on z niej nie zrezygnuje.

Wiedziałbyś, gdyby zginęła?

Wiedziałby. Wiedziałby, że cały świat się skończył.

Wiedziałby, że światło zgasło. Wiedziałby.

Pokręcił głową. Wiedziałby.

– Gdzie ona jest?

– Wiozą ją do szpitala.

Szpital.

– Muszę do niej dotrzeć. – Tym razem nie mógł się spóźnić.

Diabeł kiwnął głową.

– Tak. Ale, Whit…

Pieprzyć to. Nie straci jej. Ani teraz, ani nigdy.

– Nie.

Whit nie miał zamiaru słuchać tego, co chciał powiedzieć brat. Już gnał, żeby dotrzeć do Hattie.

Wysoko na dachach nad portem trzecia z rodzeństwa Bękartów klęczała, obserwując brata wychodzącego z ładowni płonącego statku po otrzymaniu wiadomości, że jego ukochana zginęła. Dostrzegła strach w jego chodzie i determinację w zamarłej w stoicką zaciętej minie, jakby zamierzał sprzeciwić się śmierci.

Jakby był w stanie, jeżeli mógłby ją zatrzymać.

Przyglądała się, jak zeskoczył na ląd, załamany, podobnie jak załamałoby się jego życie, gdyby Henrietta Sedley nie przeżyła. Rozbite na dwie połowy – jak maszt na sztormie: przed Henriettą i po niej.

Grace przyglądała się i cierpiała z powodu Bestii i jego miłości.

Wiedziała, jak to jest stracić najważniejszą osobę na świecie.

Wiedziała, jak to jest, gdy los ją człowiekowi wydziera.

I wiedziała, jak to jest przetrwać.

Ale miała dość wegetowania. I miała dość chłopaka, którego straciła – którego wszyscy stracili – bawiącego się nimi dla rozrywki.

Wstała, w długim płaszczu powiewającym za nią i w kapeluszu nasuniętym nisko na czoło.

– Koniec z tym – powiedziała do dwóch kobiet, stojących u jej boku. – To powinno było się skończyć wiele lat temu.

Jej przyboczne stały w milczeniu, obserwując scenerię w dole, z nożami przy paskach. Grace wskazała w ciemności drzwi, do których dowlókł się ranny mężczyzna, chowając się po wybuchu. Skąd obserwował, jak ludzie Bękartów zabierają Hattie.

– Przyprowadźcie go do mnie.

Czekał na zjawę przez dwadzieścia lat.

Dziś wieczorem życzenie księcia Marwick miało się spełnić.

Nie budziła się. Więc Whit czuwał.

Nie pamiętał, jak dotarł do lecznicy, nie pamiętał, którędy ani czy przyjechał powozem, czy przyszedł pieszo. Nie pamiętał, czy spotkał kogoś po drodze ani jak dostał się do środka. Czy zapukał do drzwi, czy wyważył je kopniakiem. Przyprowadzono go tu? Do tego łóżka w słabo oświetlonym kącie głównej sali szpitala w Rookery, w której na stoliku obok płonęła jedna świeca – jedyna rzecz, która rozpraszała ciemność.

To nie miało znaczenia.

Liczyła się tylko ona.

Hattie – ciągle nieruchoma jak kamień, z zamkniętymi oczami, piersią ledwie unoszącą się i opadającą, jakby życie i śmierć walczyły o nią. Życie i śmierć… i Whit.

Nie pamiętał rozmowy z lekarzem. Nie pamiętał bezużytecznych słów, jakie wypowiedział, tłumacząc jej nieprzytomny stan. Coś o lodzie, obrzęku i tajemnicach ludzkiego umysłu.

Coś o traumie.

Trauma, przypomniał sobie Whit, gdy jego też dopadła, gdy tak się w nią wpatrywał, gdy uklęknął przy niej i ujął jej chłodną dłoń w swoją, przyciągnął ją do ust, żeby pocałować, przypominając sobie jej ciężar. Jej delikatny dotyk.

Ktoś przyniósł mu krzesło, ale z niego nie skorzystał. Nigdy zbyt wiele nie rozmyślał o Bogu, ale wiedział, jak wygląda modlitwa, a jeżeli klęczenie miało przywrócić mu Hattie, był skłonny klęczeć wiecznie. I modlił się, w tych chwilach, całując po kolei kostki jej palców i życząc jej siły. Marząc, żeby jej palce się zacisnęły.

Modlił się też do Boga, ale głównie modlił się do Hattie.

Modlił się na głos, wypowiadając wszystkie słowa, jakie mógł znaleźć, jakby dając je jej, mógł ją utrzymać przy życiu. Ta szalona myśl była jedyną w głowie Whita i po raz pierwszy w życiu mówił… bez zastanowienia, nie wiedząc, kiedy skończy.

Bo był skłonny mówić w nieskończoność, gdyby to miało zatrzymać ją tutaj, przy nim.

Klęcząc przy niej, spoglądał na jej idealną, piękną twarz, złotą w blasku świecy, i wyznawał jej wszystkie swoje prawdy.

Zaczął od najważniejszej.

– Kocham cię.

Przeszywało go poczucie winy, rozpościerając między nimi szeroką przestrzeń, a on przywarł do jej dłoni, nie chcąc oderwać od niej wzroku.

– Kocham cię – powtórzył. – I powinienem był ci to powiedzieć wcześniej. Powinienem był ci to powiedzieć w noc bójki. – Przełknął ślinę, z trudem wypowiadając słowa. – Powinienem był ci to powiedzieć wtedy, w Covent Garden, kiedy chciałaś dotrzeć do mojego najlepszego odbiorcy i okazało się, że to królowa. – Zamilkł, a słowa uwięzły mu w gardle. – Ja wtedy też znalazłem królową. Znalazłem ciebie i powinienem był ci powiedzieć, że cię kocham. Powinienem był ci powiedzieć, jaka jesteś piękna. Powinienem był ci powiedzieć, że twoje nieziemskie oczy i promienny cudowny uśmiech mnie powalają. – Zamknął oczy i oparł czoło na dłoni. – Chciałbym, żebyś się znowu uśmiechała, skarbie. Chciałbym, żebyś uśmiechała się w każdej minucie każdej godziny każdego dnia do końca naszego życia, aż się tym zmęczysz, a ja nie będę miał innego wyjścia niż scałować ten uśmiech z twoich warg i dać ci wytchnienie. I bardzo bym chciał, żeby to życie było tak długie, żebyśmy mogli się razem zestarzeć, krzątać się po naszym domu, z odwiedzającymi nas dziećmi i wnukami, przewracającymi oczami na widok tego, że cały czas szaleję na twoim punkcie.

Jego wzrok powędrował na chwilę do jej twarzy, przesunął się po jej wydatnych policzkach, długim nosie i bliźniaczych brwiach, które unosiły się i opadały przy każdym odczuciu, teraz nieruchome. Whit przetarł twarz dłonią, gdy zalały go panika i niepokój.

– Mój brat musiał znaleźć się o krok od śmierci, żeby uświadomić sobie, jak bardzo kocha swoją żonę, ale to… – Zdawało mu się, że nie jest w stanie tego znieść.

– Umarłbym tysiąc razy, żeby do tego nie dopuścić. Żebyś tu nie leżała… Zamieniłbym się z tobą miejscami bez wahania. Nie jestem potrzebny światu tak jak ty. Kto będzie kupował wszystkie niesprzedane kwiaty na targu na koniec dnia? Komu londyński port będzie wierny tak jak tobie? Kto będzie… – Przełknął ślinę. – Kto nauczy moje córki zawiązać przyzwoity węzeł? – Głos mu się załamał przy ostatnim słowie i spuścił głowę na łóżko, przytłoczony chwilą. – Jezu, Hattie. Proszę, nie zostawiaj mnie. Proszę, nie odchodź.

Zjawiali się ludzie, ale Whit ich nie zauważał – najpierw zatroskani Diabeł i Felicity. Felicity uklękła obok niego i położyła silną dłoń na jego ramieniu. Nie spojrzał na nią. Nie był w stanie zmierzyć się z jej niepokojem. Wpatrywał się w twarz Hattie.

– Jest zamknięta.

Palce Felicity ścisnęły go za rękę, pewnie i mocno, ale usłyszał łzy w jej głosie, gdy się odezwała.

– Nie ma zamka, którego nie można otworzyć.

Ale Hattie nie była mechanizmem ze stali. Była ciałem, kośćmi i miłością, a Whit wiedział, że to najbardziej kruche rzeczy.

Podszedł do niego brat i położył mu dłoń na ramieniu.

– Na zewnątrz są ludzie, pełnią straż. Dwudziestu i z każdą minutą coraz więcej.

Czuwają.

– Powinni rozładowywać statek.

– Pozwól, że ja będę się o to martwił. Powinni być tutaj. Z tobą.

– Oni jej nie znają. – Odwrócił się do brata. – Nawet ty jej nie znasz.

– Ale znają ciebie, Bestio – powiedział Diabeł z błyskiem w oku. – Znają człowieka, który zawsze się o nich troszczył. I nie mogą się doczekać, żeby

poznać kobietę, którą kocha. – Odkaszlnął. – Ja też nie.

Whit odwrócił głowę i wzruszony znów spojrzał na Hattie.

– Naprawdę ją kocham.

Uścisk Felicity się zacieśnił.

Nie powiedziała: i możesz ją mieć.

Nie powiedziała: i miłość wystarczy.

Bo to nie była prawda. Nie było żadnej gwarancji.

– Oddaję jej firmę.

– Oczywiście – powiedział Diabeł.

With nie odrywał wzroku od jej dłoni w jego dłoni, od jej nagich palców. Podniósł je do ust i znów złożył pocałunek na jej palcach, przekupując ją.

– Obudź się, kochanie. Dam ci wszystko. Udowodnię ci to. Tylko się obudź i pozwól, żebym cię kochał.

Po jego słowach zapadła cisza, która ciągnęła się przez długie minuty.

– A co z tobą? Siebie też jej oddasz?

– Zawsze będę jej.

Felicity pocałowała go w ramię i wstała, a Diabeł podszedł, żeby jej pomóc, i mocno ją przytulił, jakby był w stanie odpędzić całe zło, które dopadło tej nocy Hattie.

Whit spojrzał w smutne oczy brata ponad głową szwagierki.

– Nigdy jej nie wypuszczaj.

Minuty, godziny, dni później – czasu odmierzanego jedynie płytkimi oddechami Hattie – ciemna noc poddała się oślepiającemu słońcu i ich oczom ukazał się pokój, czysty i przyjemny. Zjawiła się żona doktora z jedzeniem, którego Whit nie tknął, i herbatą dla Felicity i Diabła, który doglądał też trojga innych rannych – z nastawionymi nogami, opatrzonymi ranami, z nadzieją na wyzdrowienie.

A Hattie spała z dłonią bezwładną w dłoni Whita.

Mimo to mówił do niej, cicho, nieprzerwanie.

Drzwi gwałtownie się otworzyły i do środka wpadła Nora, a tuż za nią Nik. Nora doskoczyła do łóżka, tuż obok Whita, ze łzami w oczach.

– Hattie, nie!

Trawiło go poczucie winy, jeszcze gorsze z powodu niepokoju jej przyjaciółki.

– Odesłałem ją – wyznał. – Próbowałem ją od tego odsunąć.

Spojrzała na niego z niepewnym uśmiechem na twarzy,

– Hattie nigdy by na to nie pozwoliła. Wie, czego chce, i zrobi wszystko, żeby to zdobyć. Wskoczyła z powrotem do walki, żeby być przy tobie. Bo cię pragnie. – Wyciągnęła do niego rękę i dotknęła jego policzka, szorstkiego po całym dniu bez golenia. – Wróciła do ciebie, bo cię kocha.

Kocha.

Whit uchwycił się czasu teraźniejszego tego słowa.

Nik odwróciła się do Diabła i przekazała mu najświeższe informacje.

– Wybuchy spowodował bydlak, który pracował u Sedleyów.

– Russell – wycedziła Nora. – Śmieć jakich mało.

– Dopadliśmy go – dodała Nik. – Twierdzi, że za jeden z wybuchów zapłacił Ewan. Drugi był za darmo.

– Zajmę się nim – powiedział Diabeł groźnym, zimnym tonem.

– Chciałabym popatrzeć – odpowiedziała Nora, a po chwili wszedł lekarz i ustąpiła mu miejsca.

Chwycił rękę Hattie w nadgarstku i zmierzył puls.

– Jest silny i miarowy. – Spojrzał na Whita. – Jeszcze żyje.

– Boże drogi – powiedziała Nora, zszokowana prostymi słowami.

Whit zaklął i odwrócił się od niego.

– Jeżeli tylko to możesz powiedzieć, to się wynoś.

Diabeł zrobił krok do przodu.

– Bestio, daj mu pracować. Wiesz, że jest najlepszy w Londynie. Wolałbyś, żeby zajmowali się nią lekarze z portu?

– W życiu bym do tego nie dopuścił – zapewnił lekarz, z wyrozumiałością patrząc Whitowi w oczy. – Widziałem gorsze rzeczy niż ty, Bestio, i wiele przeżyłem. Mogę powiedzieć tyle: nie ma złamań. Nie ma krwotoku. Nie ma widocznych obrzęków. Parę zadrapań i siniaków, ale nic poważniejszego niż guz na głowie. – Odwrócił się, wziął z tacy worek lodu i położył Hattie na głowie. – Mamy szczęście z dwóch powodów: puls jest wyraźny i mamy niekończący się zapas lodu. I przysięgam: zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby uratować twoją damę.

Moją damę. Whit przełknął ślinę na te słowa, bo wzruszenie ściskało go za gardło.

– Dziękuję.

Lekarz kiwnął głową i skierował się do drzwi, odwracając się przed wyjściem.

– Ach, byłbym zapomniał. – Sięgnął do paska swoich spodni. – Znalazłem to w kieszeni tej damy, ale wydaje mi się, że należy do ciebie.

Onyks i stal błysnęły w świetle.

Jego nóż. Ten brakujący. Jakimś cudem trafił w ręce Hattie. Spojrzał na Diabła.

– Ewan.

Jedna z czarnych brwi brata się uniosła. Odwrócił się do Nik.

– Nie ma go?

– Nie. – Pokręciła głową. – Co to znaczy?

Whit znów spojrzał na Hattie.

– To znaczy, że walczyła za nas.

Jego wojowniczka.

Jego wybawicielka.

Złożył pocałunek na jej dłoni.

– Obudź się, skarbie. Proszę.

– Warto wspomnieć – rzucił od niechcenia lekarz – że niektórzy twierdzą, że pacjenci w tym stanie słyszą. Moja żona mi powiedziała, że do

niej mówisz. Sugeruję, żeby robić to nadal.

Powinien czuć się zawstydzony ze względu na obecność innych ludzi, ale był skłonny rozebrać się do naga na środku Rookery, żeby oglądał go cały świat, jeżeli dzięki temu miałaby się obudzić.

Więc mówił dalej.

– Powinienem był ci powiedzieć, jaka jesteś piękna. Powinienem mówić to częściej. Powinienem był mówić to tak długo, aż zapomniałabyś, że kiedyś w to nie wierzyłaś.

Nora i Felicity pociągały z tyłu nosami, ale Hattie dalej spała.

Po komplementach spróbował przekupstwa.

– Kupię ci jedno ze szczeniąt Rebeki. Kupię ci ich całe mnóstwo. W dzień będą mogły chodzić z tobą do portu, a w nocy spać w twoich nogach. – Przyłączyłby się do nich. – Znalazłem sprzedawcę fasoli szparagowej na targu – otrzymał stałe zamówienie na fasolę dla ciebie. Wystarczy, że mu powiesz, że przysyła cię Bestia.

– To nie zamówienie, Bestio, tylko zastraszenie – odezwał się Diabeł spod ściany. – Hattie, powinnaś się obudzić choćby tylko po to, żeby Bestia przez ciebie nie dręczył wszystkich sklepikarzy w Garden. – Przerwał. – I jeszcze dlatego, że bardzo chciałbym poznać kobietę, która sprawiła, że mój brat tropi sprzedawców fasoli.

Whit pokręcił głową, ale nie zaprotestował. Spróbowałby wszystkiego, co mogłoby ją obudzić.

– Każę mojemu cukiernikowi zrobić dla ciebie więcej tych malinowych cukierków. I innych też, jak będziesz chciała. Truskawkowych albo jabłkowych. Jakie wybierzesz. Nie wiem, jakie owoce lubisz najbardziej. – Spojrzał na Norę. – Jaki jest jej ulubiony owoc?

Nora pokręciła głową ze łzami w oczach.

– Nie powiem ci. Obudź się i sama mu powiedz, Hattie – odezwała się głośniej.

Kiwnął głową. Dobrze. Chciał to usłyszeć od niej. Chciał dowiedzieć się o niej wszystkiego, z pierwszej ręki. Spojrzał na nią znowu, szukając nowego tematu.

– Diabeł – powiedział głośniej, żeby usłyszał go brat.

– Tak?

– Na Berkeley Square jest dom. Przy Warnikach. Jest pusty.

– I?

– Kup go. Na jej nazwisko.

Brat nie zawahał się, słysząc prośbę. Kiwnął głową.

– Załatwione.

Whit odgarnął włosy z jej twarzy, musnął palcami nieprawdopodobnie delikatną skórę na policzkach.

– Widzisz, skarbie? Kupujemy dom. Ale będziesz musiała się obudzić, żeby w nim zamieszkać. A ja bardzo chciałbym zamieszkać w nim z tobą. – Wyciągnął rękę, żeby jej dotknąć, odgarnąć włosy z czoła. – Rok Hattie nabiera kształtów.

Poruszyła się.

Ruch był ledwie zauważalny. Drgnienie pod powiekami. Nie zauważyłby go, gdyby nie był tak na niej skupiony. Zerwał się z kolan i pochylił nad łóżkiem.

– Hattie? – Przysunął się bliżej, znów ujmując jej dłonie i starając się za mocno ich nie ściskać. – Hattie, proszę, skarbie. – Kolejne drgnienie. – Tak, właśnie tak, kochanie.

Atmosfera zrobiła się gęsta, wszyscy w napięciu podeszli do łóżka, a Whit mówił dalej.

– Musisz otworzyć oczy, Hattie. Masz najpiękniejsze oczy na świecie. Mówiłem ci to? Nigdy nie wiedziałem oczu takich jak twoje. Tak ekspresyjnych. A kiedy mi powiedziałaś, że mnie kochasz, mało nie padłem na kolana. Nie chciałabyś móc zrobić tego jeszcze raz? Otwórz oczy,

skarbie. – Ściszył głos do szeptu. – Otwórz oczy, żebym mógł ci powiedzieć, jak bardzo cię kocham.

Posłuchała go.

Jej powieki się uniosły, a jej wzrok skupił się na jego oczach i – nie do wiary – uśmiechnęła się, jakby przed chwilą wcale nie stała u wrót śmierci. I rzeczywiście powaliła go na kolana, bo nie miał siły utrzymać się na nogach. Nora westchnęła, a Nik wybiegła po lekarza. Hattie ścisnęła mocniej jego dłoń.

– To była kusząca oferta.

Roześmiał się na te słowa i nie był w stanie ukryć łez, cieknących mu po policzkach.

– Cieszę się, że to słyszę.

Jej dłoń uniosła się do jego głowy, jej palce mierzwiły jego włosy, słabe, ale żywe.

– Powiedz mi – wyszeptała.

– Kocham cię, Henrietto Sedley.

Uśmiechnęła się szerzej, ukazując dołki w policzkach.

– Podoba mi się to.

Parsknął śmiechem.

– Mnie też, teraz, kiedy obudziłaś się i to słyszysz. – Przerwał, a potem spojrzał przez ramię na drzwi. – Gdzie ten cholerny lekarz?

Pokręciła głową.

– Nie. Jeszcze nie. Najpierw coś powiem. Obudziłam się, żeby upomnieć się o swoje ciało, firmę, dom, majątek, przyszłość. Ale to wszystko masz ty.

– Nie musimy się pobierać – powiedział. – Chcesz firmę. Jest twoja. Zaraz podpiszę papiery. Fortunę z pewnością zrobisz dzięki bystremu umysłowi i wdziękowi. Będziesz mieć to wszystko dla siebie. Ale… – W jego głosie było słychać błaganie. – Pozwól mi dzielić z tobą przyszłość. Nie jako mężowi. Nie jako obrońcy. Jako twojemu partnerowi. Równemu

tobie. Jak będziesz chciała. Wezmę to, co zechcesz dać, bylebyśmy byli razem.

Pokręciła głową, krzywiąc się lekko, a on znów zaczął się rozglądać za lekarzem.

– Nie, Whit. Nie zrozumiałeś mnie. Masz wszystko. Całą mnie. I daję ci to z własnej woli.

Złożył pocałunek na kostkach jej palców, a potem na ustach, policzkach i czole, a później znów na ustach.

– Nie mam nic. Wszystko, co moje, jest twoje, jest dla mnie niczym, jeżeli nie mogę tego dzielić z tobą. Moje interesy, moje życie, mój świat, moje serce.

Uśmiechnęła się lekko.

– Będę cię chronić.

Zamknął oczy, słysząc te słowa. I pod wpływem rozkoszy, jaką przyniosły.

– Tak, Jezu, tak.

– Powiedz mi jeszcze raz.

Zrobił to, cicho i słodko szepcąc w jej usta.

– Kocham cię.

Zjawił się lekarz, który stwierdził, że Hattie wraca do zdrowia, ale wymaga kilkudniowej obserwacji w szpitalu. Zgromadzeni goście wyszli, uprzednio się przedstawiając, z obietnicą codziennych wizyt, a chwilę później na zewnątrz rozległy się gromkie wiwaty, od których zadrżały szyby w oknach.

Hattie otworzyła szeroko oczy i podniosła głowę z piersi Whita, a jak tylko zostali sami, położył się obok niej i przysiągł, że wyjdzie stąd dopiero razem z nią.

– Co to było?

– Rookery, cieszą się, że ich pani wraca do zdrowia.

– Ich pani? – uśmiechnęła się.

– Moja pani.

– Mój Bestia. – Chwila ciszy. – Pocałuj mnie znowu.

Zrobił to, z początku delikatnie, a potem, kiedy przyciągnęła go do siebie, mocniej. Gdy w końcu się odsunął, westchnęła.

– Powiedz mi jeszcze raz.

– Kocham cię.

Rumieniec zalał jej policzki – oznaka rozkoszy i zdrowia. A potem zamknęła oczy.

– A teraz powiesz mi te wszystkie inne rzeczy. To wszystko, co mówiłeś, kiedy ich nie słyszałam.

Bestia ułożył się ze swoją damą w ramionach, szczęśliwy, że będzie mógł to robić do końca życia.

Epilog

Rok później

Hattie stała u sterów statku, podziwiając swoje miasto. Słońce zachodziło nad dachami i cały Londyn płonął w bursztynowym świetle, a rzeka lśniła złotem. Słyszała krzyki mężczyzn i kobiet w oddali w porcie, rozmawiających, śmiejących się, przywołujących się nawzajem – Docklands późnym popołudniem tętniły życiem. W porcie cumowało jeszcze pół tuzina innych statków – wszystkie należały do Sedley-Whittington Shipping, wszystkie pełne robotników rozładowujących legalny towar.

Z wyjątkiem tego. Na tym panował spokój i był tylko jej. Należał do Bitnych Bękartów.

– Tu jesteś.

Hattie odwróciła się na dźwięk mrocznego, zadowolonego głosu męża idącego przez pokład, w płaszczu z powiewającymi połami, gdy długimi nogami i pewnym krokiem pokonywał odległość po dębowych deskach. Podniosła dłoń, gdy podszedł do schodów prowadzących do miejsca, w którym stała.

– Zaczekaj.

Stanął w jednej chwili, spojrzał na nią w górę z uśmiechem na ustach i pytaniem w oczach, które lśniły tak jak zachodzące słońce. Twarz miał

śniadą po całym lecie przepracowanym na statkach – nadal był zabójczo przystojny.

– O co chodzi?

Uśmiechnęła się do niego.

– Chcę tylko na ciebie popatrzeć.

Whit uśmiechnął się lubieżnie.

– Ja też lubię na ciebie patrzeć, żono. – Przeskakując po dwa stopnie, spotkał się z nią w pół drogi na mostku i wziął w ramiona. – Lubię cię też dotykać.

Pieścił jej ręce przez turkusową suknię.

– Podoba mi się ta suknia. – Podniósł jedną dłoń do jej włosów i zatknął długi kosmyk za ucho. – Podobają mi się twoje piękne oczy. – A potem zaborczo położył dłoń na jej okrągłym brzuchu, w którym nosiła pierwsze dziecko. – I brak mi słów, żeby wyrazić, jak bardzo podoba mi się to.

Zarumieniła się na dźwięk cichych, sprośnych słów, na wspomnienie tego, jak doskonale udowodnił jej to zeszłej nocy.

– A co myślisz o całowaniu mnie?

Jęknął cicho z głębi gardła i pokazał jej, jak bardzo lubi również to, całując ją długo i namiętnie, zanurzając się głęboko, aż poddała mu się całkowicie. Dopiero wtedy przerwał pieszczotę drugim pocałunkiem, delikatnym i słodkim, i trzecim na jej policzku, i ostatnim we włosach, przyciągając ją do siebie i upajając się jej zapachem.

– Kocham cię – wyszeptał, a słowa skradł wiatr, zanim Hattie zdążyła je usłyszeć.

Ale poczuła je, wtulając się w jego ciepło.

– Więc jestem, jak prosiłeś.

– Hmmm. – Przytulił ją mocno. – Na naszym statku.

Uśmiechnęła się, wtulając twarz w jego pierś z lekkim zawstydzeniem, kiedy zrozumiała, co miał na myśli. Nie zgodził się, żeby statek, nazwany „Syreną”, wszedł w skład floty Sedley-Whittington, powtarzając raz po raz,

że poziom grzechu, jaki widział ten statek, pasuje raczej do Bitnych Bękartów. Hattie przewracała oczami, słysząc tę teorię… aż przechrzcił go na „Wojownika”. A wtedy ona też wolała, żeby zatrzymał go do interesów, którymi zajmował się najdłużej.

– Nik chciała go wyprawić przed odpływem, ale powiedziałem jej, że mam plany na dzisiejszy wieczór. – Jego słowa były ciche i mroczne i Hattie zadrżała pod wpływem obietnicy, jaką z sobą niosły.

– Jakie plany? – Spytała.

– Takie, które kończą się z moją żoną nagą pod gwiazdami.

Objęła go za szyję i wtuliła się w jego ciepły płaszcz.

– Dziś mam urodziny.

– Zgadza się. – Pochylił się i ją pocałował, przygryzając jej dolną wargę. – Myślałem raczej o tym, że to nowy rok.

Uniosła brwi.

– Jest wrzesień.

– Tak, ale Rok Hattie dobiegł końca. I załatwiłaś swoje sprawy, prawda? – Przyciągnął ją do siebie i wyszeptał do ucha: – Ciało.

Westchnęła, gdy przygryzł jej ucho, a potem pocałował w szyję, a jej dłonie powędrowały do jego ramion, żeby się przytrzymać i nie stracić równowagi.

– Bardzo dobrze się spisałeś, pomagając mi w tym.

– Zastanawiam się, czy moglibyśmy to przeżyć jeszcze raz. – Pociągnął ją do tyłu, uniósł, posadził na burcie, trzymając mocno, i stanął pomiędzy jej udami, napierając na najbardziej wrażliwe miejsce.

– Chyba można byłoby to zorganizować. – Roześmiała się, gdy liznął ją w zagłębienie ucha. – I co jeszcze?

– Interesy i fortuna – mruknął.

– Och, z tym rzeczywiście poradziłam sobie nieźle. Wyszłam za bogatego mężczyznę z głową do interesów.

Kolejne mruknięcie.

– To chyba raczej on ożenił się z bogatą kobietą z głową do interesów.

Gdy tylko Hattie wyszła ze szpitala po atakach Ewana w porcie, Whit załatwił dla nich specjalne zezwolenie na ślub. Ceremonia odbyła się w kościele w Covent Garden, a po niej wyprawiono huczne wesele w porcie, z latarniami, muzyką, jedzeniem, lodem cytrynowym i malinowymi łakociami dla każdego.

Potem Hattie i Wybawiciel Whittington stworzyli imperium żeglugowe, największe ze wszystkich, jakie widziało to miasto, zatrudniające każde zdatne do pracy ręce w Covent Garden i Docklands i cieszące się uznaniem większości londyńskiej arystokracji i wszystkich londyńskich biznesmenów.

– Można nawet powiedzieć, że Sedley-Whittington grozi tym, że zamieni Bitnych Bękartów w przykładnych dżentelmenów – powiedział Whit, całując Hattie w kark.

– Hm. Na szczęście tak się nigdy nie stanie.

Uśmiechnęła się, a w prawym policzku ukazał się dołeczek. Whit ją pocałował, a jego duża dłoń powędrowała na jej brzuch, w którym rozwijało się ich dziecko, silne i zdrowe. I ruchliwe. Gdy wyczuło dotyk ojca, zaczęło kopać, a Whit otworzył szeroko oczy, a jeszcze szerzej, gdy usłyszał słowa Hattie.

– Przygotowuje się, żeby zostać Bitnym Bękartem.

Jego śmiech był idealny.

– Dom – powiedział łagodnie.

Spojrzała mu w oczy.

– Ty jesteś domem.

W odpowiedzi znów ją pocałował, długo i powoli, aż przywarła do niego, marząc, żeby znajdowali się wszędzie indziej i nie w ubraniu.

Ale Whit najwyraźniej nie zakończył jeszcze rozmowy.

– I? Co dalej? Jak uczcimy twój pierwszy Rok Hattie, oszałamiający sukces?

Pokręciła głową.

– To nie był sukces, a na pewno nie oszałamiający.

– Co to znaczy?

– To, że na mojej liście została jedna sprawa. – Przyciągnęła go do siebie. Słońce już zniknęło za Londynem, ciemność spowijała port, okrywając ich sobą. – Pomożesz mi przy niej?

– Oczywiście – wyszeptał, patrząc jej w oczy. – Powiedz tylko, o co chodzi.

Chwyciła klapy jego płaszcza i przyciągnęła go do siebie.

– O przyszłość.

Jęknął, nisko i lubieżnie.

– Miałaś ją od samego początku.

Podziękowania

Kiedy tworzyłam świat Bitnych Bękartów, nie miałam pojęcia, że tak zakocham się w Covent Garden i londyńskich Docklands, i wielu osobom jestem wdzięczna za ich czas i wiedzę. Nie napisałabym historii Whita i Hattie bez bogatych zbiorów Muzeum Londynu, szczególnie badaniom antropologicznym Charlesa Bootha Life and Labour of the People of London*, a także dysponujących nieprawdopodobną wiedzą pracownikom Museum of the London Docklands i The Covent Garden Area Trust oraz wyjątkowym ekspozycjom Muzeum Foundlinga. Mam wielkie szczęście pisać przy niezachwianym wsparciu cudownej Carrie Feron i całego zespołu Avon Books, między innymi: Liate Stehlik, Asanté Simons, Angeli Craft, Pam Jaffee i Kayleigh Webb. Dzięki Eleanor Mikucki zawsze wypadam lepiej, a bezgraniczna cierpliwość Brittani DiMare jest wspaniałym darem.*

Whit i Hattie nigdy nie pojawiliby się na kartach książki, gdyby nie grupa kobiet o wiele mądrzejszych ode mnie. Jestem ogromnie wdzięczna za bystre umysły Louisy Edwards, Carrie Ryan, Sophie Jordan, Sierry Simone i Tessy Gratton i za cenną przyjaźń Jennifer Prokop i Kate Clayborn. Dla Evy Moore, Cheryl Tapper i wszystkich członków OSRBC: tak jak obiecałam – bohaterka o fiołkowych oczach – mam nadzieję, że jest udanym dopełnieniem serii.

Ericu, milczący bohaterze mojego serca – dziękuję, że zawsze wiesz, kiedy potrzebuję Twoich słów.